Sobór

Ołeś Honczar

Państwowy Instytut
Wydawniczy

Ołeś Honczar urodził się w roku 1918 na Ukrainie. Debiutował w roku 1938. Pisze opowiadania, nowele i powieści w przeważającej części związane tematycznie z okresem wojny. Jest laureatem nagrody państwowej, nagrody im. Szewczenki i nagrody Leninowskiej. Utwory Honczara, w których realizm przeplata się z liryzmem i romantyką, zostały przełożone na wiele języków.

Sobór to współczesna powieść o życiu Ukrainy. Tradycja współistnieje tu z dniem dzisiejszym, wspaniałe zabytki z nowymi zakładami przemysłowymi. Tematem powieści jest walka o zachowanie starego soboru, stanowiącego symbol tradycji dawnej kozaczyzny, uosobienie rodzimego stepowego piękna.

Autor *Soboru* znany jest polskim czytelnikom z powieści *Człowiek i broń,* wydanej w roku 1963 przez PIW.

Sobór

Ołeś Honczar

HONCZAR
SOBÓR

Ołeś Honczar

SOBÓR

Przełożył z ukraińskiego
KAZIMIERZ TRUCHANOWSKI

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Tytuł oryginału:
«SOBÓR»

Okładkę i obwolutę projektował
JAN BOKIEWICZ

1

W żadnej na świecie encyklopedii nie znajdziecie tej Zaczepianki. Lecz ona istnieje rzeczywiście. Jeżeli nie jest się przyzwyczajonym do nazwy, to brzmi to nawet trochę dziwnie — Zaczepianka. Widocznie ktoś o coś tu się zaczepił. I od tego się zaczęło. Ale powiadają, że dawniej, zanim powstały tu zakłady przemysłowe, była w tym miejscu wielka wieś, w której wyrabiano spisy dla Zaporożców. Kiedy Kozacy ciągnęli na Sicz, wstępowali tu, by się zaopatrzyć w spisy. Wtedy to, być może, któryś Kozak zaczepił się tu o jakąś dziewczynę, dając początek dynastii.

Mieszkają w Zaczepiance przeważnie ludzie rzetelni, jakby Mykoła-student powiedział — sprawiedliwi. Robociarze. Metalowcy. Ci, których życie zostało rozbite na zmiany dzienne i nocne. Na jednym końcu osiedla migocze zalew dnieprzański, na drugim bieleje sobór ze spękanym i poodpadanym tynkiem. Starodawny sobór kozacki. Przed oknami chałup, za sadami wiśniowymi, za Dnieprem noc w noc jaskrawym płomieniem dyszą piece hutnicze, zieją czerwonym ogniem niczym wulkany. Tam powstaje metal. Niebo ciemnieje i coraz głębszym się staje, kiedy z pieca hutniczego spływa potok rozpalonej lawy, sycząc z wysoka strumieniem spieczonej szlaki.

Szare niebo nad osiedlem, bure dymy.

O północy, kiedy na terkocących rowerach zmożona codziennymi kłopotami przemknie wzdłuż zakładów nocna zmiana, Zaczepianka nareszcie pogrąża się w sen, a nad nią, w przestrzeni nieba zwisa zielonorogi księżyc. Wtedy sobór wznosi się nad osiedlem w zadumie, jedyny pośród ciszy, pośród jasnej akacjowej nocy, która nawet nie jest podobna do nocy, lecz do jakiejś, jakby się chciało powiedzieć, anty-nocy. Nie jest tu ta anty-noc zwyczajna, lecz jakby urze-

czona zjawą soboru, zasłuchana w muzykę jego baniastych, harmonijnie rozmieszczonych kopuł i w śpiewne linie piętrzących się tarasów. Dla niej, przyzwyczajonej do chęci rozwiązywania jakichś dawnych zagadek, do rozszyfrowywania tajnych zapisów wieków, sobór pełen jest jeszcze odległej muzyki, grzmi nawałnicą liturgii, odbija się echem prawosławnych mszy, pieniami chórów, żarliwym, pokutniczym szeptem, pełen jest grzechów, z których tu się spowiadano i kajano, pełen jest łez, ekstatycznych uniesień ludzkich, nadziei...

Zakłady dostarczają surówki, toteż w czasie spustu, jakby nad wulkanami, żar bucha w niebo, którego głębina naraz ożywa, zaczyna dyszeć, pulsować; odblaski nieba migoczą nocami na murach soboru, na jego kopułach.

W tym właśnie czasie z instytutu wraca Mykoła Bagłaj, student wydziału metalurgii, i rzecz jasna, że wtedy zatrzymuje się na majdanie i z przyzwyczajenia wsłuchuje się w ciszę soboru, w jego milczenie, słucha owej nie każdemu dostępnej „muzyki sfer". Czując ludzką obecność, poruszy się, zaszeleści na soborze bocian, który uwił sobie gniazdo na rusztowaniu obejmującym dokoła jedną z bocznych wież. Gdy tylko Mykoła zatrzymał się i podniósł głowę do góry, bociek od razu zaniepokoił się, poruszył czy może zatrwożył odgłosami kroków, może niespokojny o swe pisklęta, by z gniazda nie powypadały. Podniósł się na gnieździe i wtedy na obłych zboczach kopuł zarysowała się jego pełna gracji sylwetka na jednej nodze.

Stoi ptaszysko, spogląda z wysokiego soboru na swój ulubiony zalew przepełniony żabami. Zalew w księżycowej poświacie połyskuje z daleka, odbija w swym spojrzeniu namioty akacji, które okadzały Zaczepiankę gęstym, miodnym aromatem.

Przed studentem rozpościera się ziemia rodzinna, ziemia jego przodków. Wieki przemawiają do niego o tej północnej godzinie, w ciszy, gdy nie terkocą motocykle i echo ich nie odbija się w sadach, gdy woda nie szumi w rurach i nad ukołysaną w poświacie księżycowej Zaczepianką. Nad jej cichymi uliczkami panuje tylko czujność nieba oraz spokojna biel soboru. W nocy sobór wydawał się jeszcze monumentalniejszy niż za dnia. I nigdy nie znudzi się studentowi ten widok. Jest on jednym z tych tysiącletnich monumentów, które są rozrzucone po świecie. Podobne do posępnych

cytadeli, z oknami-strzelnicami, to znowu ze strzelistymi wieżami ocierają się aż o chmury, to olbrzymimi kopułami swych baniastych kształtów odtwarzają obraz nieba. Od wielu ludzkich pokoleń poprzez minione wieki wznoszą się niewzruszone, przyozdobione symbolicznymi figurami, kamiennymi chimerami, które wchłonęły w siebie wszystkie namiętności epok. I gdy kiedyś dalecy wędrowcy wyłonią się z głębin wszechświata i przybliżą do naszej planety, pierwszymi obiektami, które dostrzegą, będą niewątpliwie sobory. I ci przybysze z przestrzeni międzygwiezdnych też będą się zastanawiali nad tajemnicami proporcji, nad idealnym współbrzmieniem myśli i materii, usiłując odgadnąć przez niego dotąd nie rozwiązaną formułę odwiecznego piękna!

Tak będzie, student jest tego pewny.

Pogoda bezwietrzna, nie czuje się dziś dymu z zakładów koksochemicznych. Miodem akacjowym pachnie zaczepiańska uliczka Wesoła. Perzem zarosło pod płotami, a pośrodku uliczki miękki kilim pyłu, po którym lekko suną rozbite na ćwiczeniach sportowych studenckie trzewiki. Mimo że młodzieniec nigdy jeszcze nie latał, idzie po tym zaczepiańskim kilimie niby kosmonauta...

Dla niego, Bagłaja młodszego, tu jest epicentrum życia. Wszystko tu odczuwa wyraźniej niż gdziekolwiek indziej, przemawia do niego niegdysiejszy świat swoją mądrą, nocną, chimeryczną ciszą, ornamentami roślinnymi odbitymi na pobielonych przez księżyc, ściemniałych jak szlaka murach. W nocy sugeruje mu to bujny zaczepiański barok rozrosłych akacji oraz wybujałych liści winorośli. Wszystko to nabrało teraz inych wymiarów, rozrosło się, przeplotło, we wszystkim jest całkowita, pełna harmonia. A sam sens istnienia czy nie polega na tym, by chłonąć piękno tych nocy, by żyć w mądrej zgodzie z przyrodą, by doznawać słodyczy pracy, by odczuwać poezję społeczności ludzkiej? Aby nauczyć się to cenić, należy chronić to wszystko.

Odpoczywa ulica Wesoła po pracy i hałasie dziennym, po natłoku szarych, dokuczliwych kłopotów. Mocno śpi pod narkozą akacji, które aż do okien nawisają nad domami obfitym, srebrzyście bielejącym kwieciem. Nie widać ni werand, ni ogrodzeń, ni wychodków — wszystko spowite nocnymi fantasmagoriami akacji, chimerami cieni. Cisza, sen i morze kwiecia. Jest coś czarownego i tajemniczego

w nocnym kwitnieniu, w księżycowych zwidach, w ciszy tych jasnych akacjowych nocy. Wszystko pogrążone jest w spoczynku, pełną piersią oddycha niebieski firmament. Sobór, wznosząc się nad osiedlem, stoi na straży zaczepiańskiego snu i marzeń sennych.

Bagłaj-student kroczy z powagą w swoim sportowym ubraniu i idąc mruczy coś pod nosem. Gdzieś na Klinczyku słychać dalekie odgłosy, echo odpowiada na Cyganówce czy na Kolonii; student miałby ochotę odhuknąć na całe gardło, lecz nie wypada, przecież ludzie śpią, więc dalej mruczy półgłosem coś, czego Zaczepianka nie rozumie.

Prócz Bagłaja-juniora jest jeszcze Bagłaj-senior, który ze względu na swój temperament i zadzierzystość znany był dawniej w osiedlu jako Iwan-dziki lub Iwan-rudy, niekiedy nazywano go „ten Bagłaj, który przebywa w Indiach" lub po prostu Iwan Wieruńczyn. Iwan i Wieruńka dopasowali się podobieństwem charakterów. Mieszkają sobie w zgodzie, koło ich domu jako symbol sielanki rodzinnej pod obsypanymi kwieciem akacjami stoi zgrabna ławeczka z oparciem. Ławka, można powiedzieć, historyczna. Niedługo po ślubie Iwan własnoręcznie ją zmajstrował, żeby można było wyjść wieczorem i przy cichych zorzach posiedzieć sobie we dwoje z młodą żonką. Jeśli chodzi o wybór miejsca dla ławki, to Iwan widocznie odgadł i ustawił ją właśnie tam, gdzie niegdyś praszczurowie siadywali sobie na pniach odziomków. Bo skoro zapadał wieczór, to z całej ulicy gromadziło się zbiegowisko koło tej ławki, jakby ją tu tylko dla nich ustawił. Przez cały wieczór tłoczno pod oknami, brzdąkają na gitarach. Póki Iwan był w domu, nieraz rozpędzał zbiegowisko, wybiegając z domu w samych tylko kalesonach, tak chudy, że widziało się żebra, zły, skudłaczony ze snu, z wytrzeszczonymi oczami.

— Ano wynosić mi się stąd, gawiedź rozwrzeszczana! Jakże wy tu hałasujecie! Odpocząć po zmianie nie dadzą.

Dziś rozpędzi tych brzdąkaczy, a jutro oni znowu tu, znowu brzdąkają, rechoczą pod oknami, jakby naumyślnie doświadczali cierpliwości Iwana oraz tej jego „dzikości", bo od najmniejszego dotknięcia cały zwijał się w sobie i wybuchał niczym proch.

Od dawna wiadomo, że owoc zakazany jest najsłodszy.

Za Bagłajami, bliżej zalewu, mieszka Jagor Kartaty, zapalony amator sadownictwa. Pewnego lata, kiedy w jego

sadzie winogrona nabierały sokiem, zamyślił stary postawić nad winnicą dozorcę elektrycznego. Tylko jakieś szpaczysko dotknie winorośli, zaraz „jest kontakt" i w chałupie dziada terkocze dzwonek. Skudłaczony gospodarz wyskakuje na ten alarm. I jak to bywa — nawet ci, których dawniej nie nęcił sad Jagorowy, teraz nie pomijali okazji, by szarpnąć za krzaczek, i dzwonek w chałupie nie milkł przez całą noc. Musiał stary zrezygnować z tej racjonalizacji. To samo stało się i z Iwanową ławką.

Teraz stoi pusta. Czy nie dlatego pusta, że gospodarza nie ma w chałupie, że nikt nie wybiega i nie przepędza natrętów? I oto teraz jakby sama zapraszała: usiądź, studencie, odpocznij po rzetelnej pracy! Można nawet przylec na niej z twarzą zwróconą do góry i pomruczeć sobie do gwiazd i miesiączka.

Ledwie student się położył, doznając błogiego spokoju, gdy w otwartym oknie zjawiła się zaspana Wieruńka. Krągłolica, o pełnych ramionach, oparła się o parapet i białą koszulą świeci w księżycowej poświacie.

Dziwactwa studenta dobrze są znane Wieruńce, toż to tylko Mykoła ma zwyczaj o tej porze wylegiwać się beztrosko na cudzej ławce, choć do domu ma dwa kroki. Wylegiwać się i wyśpiewywać do gwiazd...

— Wygodnieś się tu ułożył — rozlega się z okna głos Wieruńki. — I śpiewasz pięknie, ale gdybyś umilkł, byłoby jeszcze piękniej. Dzieci mi pobudzisz.

— Przecież milczę. Śpiewać nie wolno? A myśleć?

— Już jakaś napędziła ci myśli?

— Nie, moje rozmyślania są innego rodzaju.

— A jakiego, jeżeli nie jest to tajemnica?

— Myślę, Wieruńko, zastanawiam się, czy nie zapisać by się do sekcji walki klasowej.

— A, to coś nowego!

— Wywieszono u nas koło dziekanatu takie obwieszczenie: „Zapisujcie się do sekcji walki klasowej..." Gdyby tak chodziło o walkę klasyczną...

Wieruńka cicho się śmieje. Jej białe policzki jaśnieją i ramiona bieleją, kąpiąc się w mleku księżycowym, i wydaje się, że idzie od niej zapach mleczny. Dawno już nie jest dojarką, lecz dotąd od Wieruńki jakby mlekiem pachniało jak wtedy, gdy Iwan po raz pierwszy przyprowadził ją na Wesołą. Oprowadzał ją i wszystko pokazywał, i wychwa-

lając sam siebie wykrzykiwał z dumą: „Na naszej ulicy anonimów się nie pisze!" Rozkochała się, popełniała w sobie w szczęśliwym zamęściu, w idylli ślubnej, choć pracę ma nielekką, wciąż w hałasie, w dyżurze szychtowej zmiany. Wieruńka nie pierwszy już rok pracuje zmiana za zmianą w kabinie dźwigu. Na oddziale mówią o niej as-maszynista. Tylko że tam na twarzy ma maskę ochronną, której nie zdejmuje przez całą zmianę, żeby nie zatruć się żrącym pyłem. Niby królowa zasiada Wieruńka aż pod niebem, dźwig posłuszny jest każdemu jej ruchowi, przesuwa się, gdzie należy; hurkocząc nabiera tony rdzawego złomu, przenosi w tej podniebnej przestrzeni z jeszcze większym hałasem do wsadu, do wsadu. Na wiecznych przeciągach, w żrącym kurzu, w zgrzycie żelastwa — tak toczy się jej życie w czarnej kabinie dźwigu unoszącej się nad piekłem hutniczym. A tutaj, w domu, jej kabina jest nawet bialutka, płynie w aromacie akacjowym; strzekotliwy konik polny, ukryty gdzieś w burzanie, snuje przodownicy z dźwigu hutniczego swój nocny poemat... I tak całą noc. Galaktyki z dalekiego wszechświata całą noc nasłuchują, jak zaczepiańskie koniki polne cykają...

— A czy słyszałaś, Wieruńko, że ponoć otrzymano sygnały z jakiejś dalekiej gwiazdy? Astronomowie zanotowali: regularnie co sto dni powtarzają się sygnały emitowane we wszechświecie z tajemniczej radio-anteny... Z jakiejś pozaziemskiej cywilizacji... Odzywają się, stukając rytmicznie do drzwi...

— Tylko ich nam brakowało! Swoich kłopotów mamy co niemiara.

— Wieruńko, a co mówi ten oto sobór?

— Ten z popękanym tynkiem? Nie słyszałam, żeby coś mówił.

— To się wsłuchaj. Nie uszami, ale duszą...

— Moja dusza kogo innego nasłuchuje, Iwana znowu we śnie widziałam. Śniło mi się, że jakby się dno tygla przepaliło. Ledwie ten tygiel dźwignęli, a dno — trzask i wytop się rozprysnął po całej hali. Już mój dźwig płonie, wytop płynie, a Iwan stoi, ani drgnie... Ja do niego wołam, żeby uciekał, ale głos mi więźnie w krtani, jakby pełno w niej było tych dolomitów i magnezytów... Zginiesz, Iwanie, krzyczę, ratuj się! I od tego krzyku przebudziłam się... Co to może znaczyć taki sen?

— Iwan powróci jako fakir czy jog. Boso po rozpalonej szlace będzie chodzić.

— I po co ja go tam puściłam? Nigdy więcej go samego nie puszczę. Na koniec świata poślą, to i ja za nim... Bo tak i życie zejdzie...

Smutek rozłąki i oczekiwania brzmi w jej głosie. Dla niej cały świat jest przepełniony Iwanem. Stworzyła sobie jego kult, którego nikt nie potrafi obalić. U innych swary i bójki, po sądach i komitetach się ciągają, a u nich zgoda, dostatek i miłość. Dzieci już chodzą do szkoły, a ona wciąż się stroi dla Iwana jak jaka dziewczyna. Coraz to biegnie do fabrycznego parku samochodowego, gdzie Iwan wraz z innymi pełni wartę. Powiadają, że zazdrość ją tam pędzi, by przypilnować Iwana, lecz ona za zazdrosną siebie nie uważa; to nie zazdrość, to duma pędzi ją do parku; z radością w sercu patrzy, jak Iwan z czerwoną opaską na ramieniu, surowy i groźny pełni swą wartę. Zamroczenie pijackie u pijaków mija natychmiast, gdy spostrzegą Iwana Bagłaja. Różne męty uciekają w krzaki, bo dziś wartę pełnią martenowcy, a szczególnie on, rudy Iwan ze swymi pomocnikami. Rudym go nazywają, ale serce ma złote, czułe i sprawiedliwe. Za to go pokochała. Niekiedy w nocy ocknie się, bo jakby taksówka koło podwórza się zatrzymała i światłem omiotła... Przyjechał! Akurat na spust wytopu. Dla innych jest rudy, dziki, ale Wieruńka dech wstrzymuje, taka jest z niego dumna. Szczególnie gdy w zakładzie mowa jest o Iwanie. Cóż to za mistrz w wytopie stali! Po prostu wirtuoz... Nie ma żadnej skazy w jego charakterze: jaki jest w życiu, taki i w pracy — dziki, narwany, stąd przezwisko, ale talent, jeśli chodzi o wytop stali... Jak podchodzę do pieca, powiada, to w piersi swej czuję, co tam i jak! Dla Wieruńki Iwan jest pierwszym wśród czarodziejów pieców martenowskich. Nie darmo zwrócono na niego uwagę, gdy wybierano do Indii. I chociaż nierzadko słyszy się teraz w osiedlu, że ten jest w Asuanie, tamten w Afganistanie, ale Wieruńce się zdaje, że tylko jej Iwanowi przypadł zaszczyt reprezentowania ukraińskich metalowców gdzieś w Bhilai.

— Toż to będzie niespodzianka: przyjedzie chłopisko do domu, a soboru nie ma...

— Jak to nie ma? — zdziwiła się Wieruńka.

— Zamierzają burzyć.

— Pierwszy raz słyszę. Mnie tam nic on nie obchodzi,

ale żeby ludzi o to się nie spytać... Ale to chyba ktoś zmyślił.

— Nie zmyślił. Widocznie sobór przeszkadza komuś w zrobieniu kariery...

— Obnosisz się z tym twoim soborem jak z malowaną torbą... Powiedz lepiej, kiedy ty matce synową przyprowadzisz? Myślę, że masz już jakąś na szpilkach?

— Ależ, Wieruńko!

— Tak trudno ci wybrać?

Aby rozśmieszyć Wierę, Mykoła opowiedział, jak poszedł z chłopcami w sobotę na tańce, właśnie na te twisty, których Wieruńka nie pochwala. Pod koniec wieczora jakiś typek, degenerat krzywonogi, odwołuje ich paczkę na bok, szeptem proponuje: „Potrzebujecie dziewcząt? Mogę dostarczyć..."

— Czyż to nie łobuz? — jeszcze teraz oburza się Mykoła. — Miało się ochotę w tykwę go zamalować, ale powiedzieliśmy: po co ręce brudzić?

— Trzeba go było do komendy odprowadzić — poważnie powiedziała Wieruńka. — Tam mamy dla takich dobrą miotłę.

Wieruńkę też od czasu do czasu można było spotkać w parku samochodowym w grupie wartowniczej. Zapisała się tam, jak pożegnała swego Iwana, kiedy odjeżdżał do Bhilai. Była postrachem dla chuliganerii parkowej. Student wprawdzie ironizował z tego powodu: ogród nie plewiony zielskiem porasta, dzieci pod opieką babki, a ona podtrzymuje prestiż Iwana, walczy z naruszycielami porządku gromadzkiego.

— Powiadają, Wieruńko, że wszyscy wartownicy na baczność przed tobą stają?

— Śmiej się, śmiej! Ktoś musi warty pełnić. Idziesz, a tu dzieciuch z pierwszej wypłaty już się napompował i ludzi zaczepia. On tam i wypił jak wróbel, bo ileż mu trzeba na pierwszy raz... Blady i zdechły poniewiera się pod krzakami, czyż serce nie ma zaboleć? Ale nie jestem twoją matką! Wczoraj jedno z rzemieślniczęt żółtodziobych wlazło na parkiet taneczny i nuże zaczepiać dziewczęta. My z Hanną motorniczą właśnie nadeszłyśmy: Ano, gołąbku, pozwól no z nami! Jedna za jedno ucho, druga za drugie i do komendy. A ono jeszcze się stawia! A potem skomli: ta oto, powiada, ciotka ucho mi naderwała, spójrzcie, aż spuchło... Wpiszcie to do protokołu!

— A tak naprawdę, Wieruńko, czy ty masz prawo obywatela wolnego ciągnąć za ucho?

— A chuliganić ma on prawo? Obrońca się znalazł! Dla kogo wyrabiasz swoje bicepsy?

— Przyznasz, Wieruńko, że co innego sportem się zajmować, a co innego pijaków zbierać po parkach samochodowych. Zgodzisz się, że są to różne rzeczy.

— A kto ma ich zbierać? Tylko my, kobiety? A gdzie wy, wałkonie?

— Ja nie jestem od wykręcania rąk. Może mdłości od tego dostaję? Może czuję do tego odrazę? Czy nie jest to jedyne zajęcie, które w naszych czasach zwątpienia i nieprzydatności jest coś warte, ten właśnie kult ciała jak w czasach antycznych? Na łodzie i na Dniepr — oto osiągnięcie, to jest coś dla mnie! Zresztą czego na tej grzesznej ziemi jeszcze nie pozbawiono człowieka, to uśmiechu nieba i łaski słońca.

— Uśmiech nieba — ładnie to powiedziałeś. Poetą jesteś.

— „Dni moich złote bergamoty oberwały, obiły wichry." Słyszałaś?

— To twoje?

— Kostka, ślepego piosenkarza; słowa jego i muzyka również.

— Anonimów u nas się nie pisze, lecz ktoś i na niego, na Kostka, szczeknął przed władzą rejonową. Że niby po kryjomu działa w Zaczepiance, napoje „sam-pędzi" produkuje. Miałam ja z nim kłopotu... Jak wam, powiadam, nie wstyd na niewidomego donosy robić? Może kiedyś coś tam na święta pędził, ale teraz ze spółdzielni inwalidów różne roboty do domu bierze... Koszyki wyplata i z tego żyje...

— Wieruńko, z samych koszyków człowiek nie wyżyje. „Dni moich złote bergamoty", to nadaje życiu smak. — Mykoła nerwowo potrząsnął głową. — Sztuka w naszych czasach pociąga najszlachetniejszych. Sztuka, Wieruńko, może jest ostatnią ostoją swobody...

— Ach, wy wszyscy jesteście sceptykami — odcięła się Wieruńka powiedzonkiem Iwanowym, które często powtarza trzeba czy nie trzeba. — Za bardzo mędrkujesz, Mykoło... Spójrz, jaka noc. Dziewczęta gdzieś tu marzą w takie noce. Niejedna może usycha z tęsknoty „za nim", a „on" ćwiczy się w obracaniu językiem... Kiedyśmy się poznali z Iwanem, to czy uwierzysz, jakby nas coś opętało, życie

moje się rozjaśniło. Ludzie wydawali mi się piękniejsi, i farma... Czas zadawać karmę krowom, a ja ani żłobów, ani silosa nie widzę, wciąż spoglądam na drogę, kiedy wreszcie władza przyjedzie, a z nimi rudy kędzierzawy, który ma w oczach coś dzikiego...

Widać Wieruńka bardzo się stęskniła za Iwanem, kiedy aż do tych wspomnień wróciła, do tych swoich spraw intymnych, których dawniej Mykoła chyba by nie posłyszał. I jakby pijana od tych wspomnień zacicha oparta o parapet, uśmiecha się z lubością do swych występków, do swych przeżyć miłosnych...

Drzewa w sadach stoją nieruchome. Mykoła od czasu do czasu spogląda poprzez nie w stronę podwórza Jagora Kartatego, nasłuchuje. Gęsi się tam odezwały. Widać Jagor z Dniepru wrócił i gęsi się zaniepokoiły. Od czasu gdy Kartatego przeniesiono na emeryturę i przy dźwiękach orkiestry przywieziono weterana-martenowca aż na Wesołą, stary znalazł dla siebie inne zajęcie, nie mógł przecież siedzieć z założonymi rękami. Początkowo pracował dorywczo, robił tak zwane „chałtury" — instalował sąsiadom centralne ogrzewanie, dachy pokrywał z trudem zdobywanym eternitem, choć jego chałupa dotąd po staroświecku, jedna jedyna w całym osiedlu słomą kryta. I tak się działo, dopóki nie dostał dawno oczekiwanej posady — został nadzorcą boi na Dnieprze. Zaopatrzył się stary w przybory do rybołówstwa, porobił nowe znajomości z inspektorami od połowu ryb, którzy niekiedy odwiedzają starego, przyjeżdżają aż z miasta, by odpuszczać grzechy.

A od niedawna w obejściu starego pojawiła się nowa tajemnicza osoba. Czyż Wieruńce z jej typowo kobiecą przenikliwością trudno się domyślić, czemu to Mykoła raz po raz ucho nastawia w tamtym kierunku?

— Widziałeś, jaka to u Jagora kuzyneczka grządki podlewa? Śliczna! A wy śpicie! Żebyście choć kiedy na tańce dziewczynę zaprosili, sceptycy nieszczęśni!

Rzecz oczywista, że tajemniczej osoby, która pojawiła się na Jagorowym podwórzu, a której na imię było Jelka, nie mogli nie zauważyć sceptycy. Jednak nikomu jeszcze nie udało się zawrzeć z nią znajomości. Nieraz nawet najciekawsi chłopcy, przemykając na rowerach koło podwórza starego, przyhamowywali i wyciągali z zaciekawieniem szyje, ale wywołać jej na ulicę żaden się nie ośmielił. Żaden

nie dostrzegł uśmiechu na jej smagławej twarzyczce. Sama powaga i niedostępność; tylko niekiedy zerknie ukradkiem za płot, zmarszczy brwi na gapiących się cyklistów i znowu patrzy pod nogi, w ziemię, na węża do polewania, z którego tryska woda, podniesie go ze złością i tylko patrzeć, jak smagnie cię strumieniem prosto w oczy. Najczęściej widzą ją odwróconą plecami do ulicy. Nieraz i Mykoła widział jej smukłą sylwetkę oraz mocne nogi, opalone na brąz, mokre po kolana, w dziadkowych chodakach, które od szczodrego polewania urosną chyba jak dynie. Kim jest ta, co naruszyła spokój zaczepiańców, bałamutka młodzieńczych nocy?

Mykoła nic o niej nie wie. Od starego nic się nie wydębi, milczy jak skała. Bagłaj wie tylko, że ona jest stamtąd, gdzie bodiaki rosną na bałkach i smagłość sarmacka zabarwia twarze.

— Może ona też jest poetką? — zastanawia się Wieruńka. — Bo jak biegnie do sklepiku po chleb, to jakby ją kto ścigał, ludzi się boi. Tylko wtedy wybiega, kiedy na ulicy nikogo nie ma; z nikim nie chce się spotkać. Przebiegnie, tylko mignie i cały czas ogląda się za siebie, jakby ją kto gonił.

Mykoła podnosi się z ławki i dla rozprostowania kości wykonuje kilka gimnastycznych ruchów.

— Dobranoc, Wieruńko — mówi zamyślony. — Gratuluję ci twego klasycznego oczekiwania. Witam w tobie Jarosławnę, która na murach warowni wypowiadała swój żal.

— Ty wciąż żartujesz.

— Wcale nie żartuję. Kobiety, moim zdaniem, górują nad mężczyznami uczuciem i urokiem... Gdy widzę zakochaną kobietę, w jej świętości oczekiwania, chciałbym jej się pokłonić.

I rzeczywiście Mykoła się ukłonił. Lecz Wieruńce się zdawało, że w tym jego ukłonie krył się żart.

Tej nocy coś wodziło Bagłaja po całej Zaczepiance niczym lunatyka. Zajrzał do domu, zaczerpnął wody, napił się, potem koło płotu Jagorowego długo majaczyła jego sylwetka i gęsi na niego gęgały ze złością, bielejąc w świetle księżycowym pod chlewem niby pecyny śniegu.

Zatrzymał się później koło zalewu, koło którego jakby zaledwie wczoraj wylegiwało się, baraszkowało i uganiało się jego dzieciństwo opalone na brąz. Student wydziału metalurgii jeszcze teraz przychodzi tu z przyzwyczajenia, by

pochlapać się w zalewie, popłoszyć w szuwarach karasie i wciąż jeszcze asystują mu w tym różne Bagłajczęta, Tkaczenięta, Szpaczenięta, cała ta umorusana gwardia zaczepiańska, oddana mu bez reszty. Potem zatrzymał się koło cmentarza, po drugiej stronie sadu Jagorowego, na porośniętych burzanem małych wzgórkach ziemi, nad którymi kiedyś po nocach jaśniały fosforyzujące sylwetki przodków. Kim oni byli? Czy byli to Zaporożcy ze spisami? Pierwsi hutnicy? I po co wstawali z grobów? Czyżby było im ciasno pod ziemią? Czy wabiła ich chęć popatrzenia na całą realną przyszłość? Ponoć byli wśród nich czarodzieje, różni wróżowie, niesamowici ludzie. Weźmie taki garsteczkę ziemi rodzimej pod czapkę — i w drogę, a ta ziemia obdarzą go takimi czarami, że gdy spotka się z wrogiem twarzą w twarz, to wróg go nie widzi. Słyszy, bisurman, że Kozak się z niego śmieje, słyszy rżenie jego konia, lecz Kozaka nie widzi. Niewidoczny jak duch, a śmieje się!

Cmentarz jest teraz zaniedbany, tylko w okresie Świąt Wielkanocnych przychodzą tu odwiedzać mogiłki jakieś babuleńki. Dla nich ci, co spoczywają pod ziemią, to nie truchło, nie przemieniona materia, lecz jakby jakiś podziemny szpital żywych i czujących... Całe klany metalowców tu spoczywają, tych, co spisy oraz hakownice robili dla Siczy. Jeszcze i teraz to i owo tu się znajduje. Pewnego razu wykopano w ogrodzie Kinebasza dzbanuszek kamionkowy; zastanawiano się gromadnie, co by to być mogło i do czego służyło? Wreszcie zrozumieli: toć to przecież tygielek do metalu, do robienia odlewów! Gdzieś tu, widać, były odlewnie kozackie.

Bagłajowie to potomkowie takiego klanu. Mykoła, jeszcze jako wyrostek, poszedł w ślad za starszym bratem do zakładu, gdzie poprzez ciemne okulary w otworze pieca hutniczego ujrzał migocący jakby w jądrze słonecznym płomień! Raz ujrzysz i nigdy już tego nie zapomnisz... A kiedy po zmianie wyjdziesz z bramy, to pierwsze, co ci się rzuci w oczy, to wznoszący się nad parkiem fabrycznym ciemny Tytan Pracy, z rozerwanym łańcuchem na rękach, odlany z pierwszego metalu po rewolucji. To twój ojciec z towarzyszami go odlał. Spojrzysz i coś się odezwie w twym sercu...

Potem na rower i jazda ulicą Szeroką do domu. Pochyliwszy się nad kierownicą, naciskasz na pedały, szorujesz po

kocich łbach, a tu już za przedmieściem w łunie zachodu osiada czerwony arbuz. Przed tobą mknie samochód ciężarowy z bladolicymi madonnami fabrycznymi. Siedzą pod plandeką w roboczych ubraniach, spracowane, milczące. Spoglądają na ciebie obojętnym wzrokiem. Któraś jednak dostrzeże w tobie coś śmiesznego, pokaże innym ciebie, fabrycznego kłapouchego zająca, i wszystkie zaczynają chichotać, i ty do nich też zęby szczerzysz, bo czy to coś kosztuje? Koło soboru skręcisz przez majdan na swoją ulicę Wesołą i oto jesteś u mety. Od poczerniałej z kurzu bramy zakładowej do rodzinnego progu — oto i cały trakt twojej wczesnej młodości.

Do szkoły rzemieślniczej i do przyzakładowej Zaczepianka posyła teraz innych, tych, którym wąs jeszcze nie czernieje pod nosem, ty zaś jesteś już niemłodym studentem i oto stoisz przed nocną nie znikającą zjawą soboru. W jej cieniu przemijało życie całych pokoleń. Były, przeminęły, a teraz zjawiłeś się ty. Po tobie przyjdą i będą żyli w tej Zaczepiance ludzie innego pokroju, o innych zainteresowaniach, jacyś tam cybernetycy, astronauci... Kim ty będziesz dla nich? Z jakimi uczuciami będą cię wspominali? Powiadają, że śmierć jest wyznacznikiem ludzkiego życia. Podobno wszystko dyktuje strach przed niewiadomym, przed tajemnicą niebytu... Czy rzeczywiście tak jest? Czy nie bardziej niepokoi żywych to, co mogą przeczuwać w sposób irracjonalny — że przejdą przez życie jako coś przypadkowego, przekwitną pustym kwiatem? Na czym więc polega „skończony twór całej mądrości ziemskiej"? Jak siebie zrozumieć? W jaki sposób się doskonalić? Jak masz postępować przed obliczem wszechświata, byś naprawdę czuł się dziełem przyrody? Oto masz przed sobą arcydzieło, poemat stepowego kozackiego budownictwa. W architekturze soboru istnieje swoisty rytm, wolny, niczym nie skrępowany polot natchnienia, miłość najwyższa... Czy stworzysz coś, co by temu dorównywało, coś piękniejszego? Czym uwieczni siebie twoja dusza, gdzie są twoje poematy? Wieruńka powiada, że dziewczęta w takie noce omdlewają z miłości... A gdzież jest ta, którą ty byś uwielbiał, spotkawszy ją na drodze swego życia; gdzie jest ta, którą byś opiewał? Wiadomo, że miłość powstała w późniejszym stadium rozwoju ludzkości, a potem była przedmiotem kupna, no, a dalej? Na pewno może się rozwijać obok piękna, a nie potworności.

Uczucie czyste i święte zawsze będzie hymnem życia i sztuki... Lecz gdzież jest ten twój jeszcze nie wyśpiewany hymn?

Milczy sobór. Bagłaj czuje na jego widok jakiś dziwny smutek, nawet coś niepokojącego. Sobór jakby krył w sobie coś z żywiołu, emanuje czymś wielkim, tak jak oddziaływa na człowieka step lub ławice chmur, lub spowite wiecznymi dymami czarne, zakopcone bastiony zakładów przemysłowych... Niema muzyka soboru, muzyka harmonijnie wznoszących się pod niebem baniastych wież; muzyka ta rzeczywiście istnieje, słyszysz ją wyraźnie, mimo że inni, zdaje się, są na nią głusi. Zaczepianka nie jest pamiętliwa, ale prawdopodobnie nie może zapomnieć, czym był kiedyś ten sobór, największy, najwspanialszy w całym okręgu. Ileż to głów zaczadziało czadem lampek, obłudą kazań, narkotycznymi dymami popowskich kadzideł... Spasieni popi stawali się tu jeszcze zażywniejsi, starostowie cerkiewni, ostrzyżeni pod makutrę, z głową wysmarowaną oliwą pobrzękiwali górami miedziaków i talarów, proceder złodziejski uprawiali, majątki robili na sprzedaży świec, oszukańczy dostawcy za jednym zamachem otrzymywali tu odpuszczenie grzechów, starcy zaś i stare kobiety marli w kruchcie, nieszczęsne kaleki, które zewsząd ciągnęły tutaj, żeby odzyskać zdrowie, żeby stał się cud, lecz cud się nie stawał i zostawali kalekami... Płonęły świece, ikony przybrane ręcznikami olśniewały swymi szatami, chóry w całym soborze grzmiały głosami, rozbrzmiewały rajskimi pieniami, wyśpiewując ludziom niebiańską wieczną szczęśliwość, a po nabożeństwach znowu wyrzucano ich z nieba w realny, twardy świat oszustwa, zdzierstwa, niepewności, w świat belgijskich fabrykantów i „rodzimych" mordatych strażników, w świat zarobków i strajków, pijatyk i bójek do krwi... Lecz to już minęło, wyparowało razem z dymami kadzidlanymi, pozostał dla studenta tylko ten doskonały twór architektoniczny, symfonia plastyki. Czyżby miano to zburzyć? Wieruńka uspokaja: nie ma niby powodu do zburzenia... Skoro jednak wzięto się do niego, skoro stanął on na czyjejś drodze jako przeszkoda, to przyczynę znajdą... Och, ciężko mu będzie przeciwstawić się temu!... A przyszłe pokolenia kiedyś spytają: jacy to wyście byli? Coście zbudowali? Coście zburzyli? Przed czym duch wasz się korzył?

2

Działa przeciwlotnicze szaleją, pod niebem wycie i gwizd, samoloty odbijają światło, zamazane światło słoneczne, oślepiające jak wybuch. Siły wojny uczepiły się przepraw, Dniepr kipi, jego brzegi drżą pod uderzeniami bomb.

Wielkim płomieniem, jakby to był koniec świata, płoną zakłady fabryczne.

W robotniczych ogródkach na przedmieściach — usypiska amunicji, stosy jaszczy z pociskami też płoną; pociski wybuchają, same strzelają, gwiżdżą we wszystkich kierunkach.

Żar walki płonie nad odartymi z liści ogródkami, sypią się sadze.

Wszystko jest w czadzie.

Wśród tego piekła oczadziałego, w podzielonym świecie, w okopie pośród złotolicych słoneczników nagle coś zapiszczało.

W tej właśnie chwili żołnierz przebiegał koło wykopu — twarz we krwi, ręka zdruzgotana zwisała bezwładnie też zalana krwią... Mimo iż był ogłuszony, zalany krwią, posłyszał ten pisk i zatrzymał się nad wykopem, nad kobietą, która właśnie urodziła. Nowo narodzone dziecko, które dopiero oczy otworzyło, patrzyło z podziwem i niezrozumieniem, gdy po raz pierwszy ujrzało ten świat cały zbryzgany krwią, oblana krwią twarz przesłaniała całe niebo tak, że czerwieniało, kurzyło dymami, i słońce świeciło w krwawej aureoli. To było pierwsze wrażenie nowo narodzonego, pierwsze karby, które zanotowała jego podświadomość.

— Powiedzcie tam, zawołajcie kogokolwiek... — rozległ się z wykopu zmęczony głos matki.

Żołnierz stał oszołomiony, zapomniawszy o tym, że on sam ocieka krwią, widać nie docierało do jego świadomości, że w tym chaosie zniszczenia mógł narodzić się człowiek; był przekonany, że tu można tylko umrzeć. To wprost nieprawdopodobne, że na przekór niesamowitemu szaleństwu śmierci nagle gdzieś z niebytu wdziera się w te wybuchy, w ten chaos i czad malutki kiełek życia. Dziwem niezwykłym było to, że to nowo narodzone, bezsilne pisklę jest właśnie człowiekiem. Niemowlę zakrzyczało jeszcze głośniej, jakby oślepione łuną światła, jakby tym krzykiem niemowlęcym z wykopu sama ziemia się buntowała przeciwko chaosowi końca świata, przeciwko odrażającemu, na drzazgi

rozdartemu słońcu. Dymiły leje wyrwane cuchnącymi bombami. Poniewierały się świeżo połamane gałęzie, z liśćmi i owocami. Płonące jaszcze pocisków same strzelały na tyłach ogródka i słyszało się, jak głucho padały łuski pocisków w ogrodach i na cmentarzu.

— Zawołajcież, zawołajcie kogokolwiek!...

Ocknąwszy się, żołnierz się cofnął, pobiegł w słoneczniki, które jeszcze jakąś chwilę, gdy przebiegł, chwiały swymi złotymi tarczami.

Dzień był cały zakrwawiony, południe oślepiające.

O czym myślała matka? Może płakała? Może dławiło ją poczucie winy: po co urodziła? Po co swe dziecko wprowadza w takie życie? Pragnęła, by świat był pełen kwiatów, pełen aromatu, tymczasem ten świat, w który weszło jej dziecko, spotyka je smrodem, wybuchami, szaleństwem śmierci... Z pewnością jest to zły znak, że dziecko przyszło na świat w okopie. I to, że pierwszy człowiek, którego niemowlę ujrzało, cały był zbroczony krwią. (Nic nie robi takiego wrażenia, jak ludzka krew w świetle słonecznym!)

Żołnierz mimo wszystko nie zapomniał kogoś tam zawołać, a była to Szpaczycha, kobieta najhałaśliwsza w całej Zaczepiance, która w te dni nic innego nie robiła, tylko terkotała o swej bojaźni, jęczała i stękała przy każdej eksplozji, a teraz, kuśtykając, zgięta wpół, biegła przez ogrody wśród gwizdu pocisków; nogi miała całe w rozgniecionych pomidorach, poparzone na jeszcze gorących łuskach pocisków. (Potem opowiadała, że gdy nadeptywała na nie, to aż podskakiwała z bólu...)

Przybiegła i zaraz zakrzątała się koło położnicy.

— Chłopak! —powiedziała. — Może kiedyś, gdy wyrośnie, kieliszeczkiem ciotkę poczęstuje. Za to, żem go odebrała, żem pępowinę zawiązała w czasie takiego bezhołowia.

W taki to sposób przyszedł na świat jeszcze jeden Bagłaj, spadkobierca metalowców.

To ten sam, który teraz na rodzinnym bagłajowskim łóżku się nie mieści. Niedawno pokazał matce w mikroskopie niewidoczną gołym okiem odrobinkę sadzy z komina fabrycznego. Zerknęła matka: „Oj, dolo moja! Bryła jak kamień wielka!"

— Kamień ten nie wynosi nawet dwóch mikronów — uśmiechnął się syn. — Ale gdy jest ich niezliczona ilość,

tworzą całą chmurę... Żyć wśród rozkosznej przyrody, na brzegu jednej z najpiękniejszych rzek na kuli ziemskiej i całe życie oddychać kurzem z rudy oraz spalinami, czyż to normalne, mamo? Filtrować płucami — czyż to do pomyślenia?

— Będzie do pomyślenia, kiedy powietrze oczyścicie.

— W tym właśnie celu podnosimy intelekty; wybitne umysły odnajdują się w tłumie!

Syn zaprzyjaźnił się z Ołeksą mechanikiem. Na cały dzień anektują matczyny stół, rozkładają na nim swe wykresy i cały czas nad czymś się głowią.

— Będą, mamo, filtry. Takie zbudujemy, że nawet molekuła się nie przemknie...

— Bo czy wy wiecie, jak teraz naszą miejscowość nazywają? — dodaje Ołeksa, który, choć niewiele jest starszy od Mykoły, już zupełnie wyłysiał, czaszka jak kolano. — Wczoraj w autobusie słyszałem: okolica młodości i śmiechu... Młodości dlatego, że na starość ciężko będzie w takim dymie dożywać ostatnich dni...

— A śmiechu?...

— Bo wszyscy z tamtego brzegu się śmieją, kiedy wiatr wieje w stronę Zaczepianki. A kiedy wieje w stronę przeciwną, wtedy Zaczepianka się śmieje...

Śpi student, smagły i długoszyi, o czarnych brwiach; na jego czerwonych i trochę spierzchłych ustach błąka się uśmiech. Śni mu się może jedna z tych, co na spartakiadach, cała we wstążkach, w kabłąk się zwija. On sam przygotowuje się do spartakiady. A może we śnie widzi swą miejscowość nie zasypywaną sadzami, nie przesłanianą chmurami rudych dymów fabrycznych, w które dziś jest okutana cała Zaczepianka, bo pióropusze lisich ogonów dymu nad zakładami azotowymi skierowane są w tę stronę.

Poprzez liście winorośli spowijającej werandę widać, że słońce wschodzi w czerwonej łunie. Matka, szykując śniadanie, zapatrzyła się w to słońce, bo piękno wschodzącego słońca nigdy człowiekowi nie zbrzydnie, zawsze jest piękne, do ostatniej chwili życia. Szkoda, że syn prześpi takie piękno, późno się położył i matka nie odważa się go obudzić, dopiero budzik ją wyręczył i tak zaterkotał, że Mykoła zerwał się jak oparzony. „Dzień dobry, mamo!" huknął radośnie, ubierając się w swój ciemnogranatowy dres i wybiegając z chałupy; zanim zasiądzie do swoich watmanów i przybo-

rów kreślarskich, musi dla rozprostowania kości przebiec kilka razy dokoła łachy, jak to robi przy każdej pogodzie.

Biegnąc w stronę łachy, Mykoła musiał minąć słomą kryty pałac Jagorowy. Jakimś cudem ocalała ta staroświeczyzna między dachami krytymi eternitem, między murowanymi budynkami zaczepiańców, ten osiadły w ziemi, z przyzbą, ponoć czasy zaporoskie pamiętający zimownik. Nie wiadomo kiedy chałupa ostatnio była kryta słomą, słoma na dachu uleżała się, sprasowana przez czas w jedną masę, zieleniejącą gdzieniegdzie mchem, umocnioną na samym szczycie mocnymi snopkami z trzcin. Chałupa jest stara, osiadła, z nowymi okiennicami pomalowanymi na niebiesko i takim samym płotem od ulicy — niebieskim, z czerwonymi wzorami. Po śmierci Jagorychy nikt tej chałupy nie odnawiał, stała obijana przez deszcze, bo choć Kartaty żadnej roboty nie zaniedbuje, to uważał, że samemu bielić chałupy nie przystoi, jest to, jak mówił, babska robota. Dopiero od niedawna chałupa poweselała, świeżo pobielona stoi; i chlewik pobielony do połowy, kubełek z gliną i szczotką stoi koło „kozła", ale tej, co chałupę pobieliła, nigdzie nie widać. Ani tej, co chałupę pobieliła, ani starego nie widać, tylko pompa „Kama" koło studni terkoce i woda z rury się leje — piołuny podlewa. Gdzież się podziała ta, co wczoraj podlewała? W końcu sadyby Jagora zachował się spłachetek lewady — pola: tam i siana kopiczka, i szuwarów kępka, i smużka żyta, które Jagor nazywa „żyteczko".

I tam nikogo nie ma, nie mignie postać dziewczęca. A może już się pożegnała z wujkiem Kartatym? Pogościła jakiś czas i wróciła tam, skąd przybyła, i już nigdy jej nie ujrzysz, nigdzie nie spotkasz dziwnej zadumy zielonkawych oczu.

Od razu poczuł, że wpada w zły humor. Nie spostrzegłeś jej na podwórzu i już cię smutek ogarnął; odnosisz wrażenie, że nigdy już jej nie zobaczysz... Nie powinieneś się poddawać takim nastrojom. A w ogóle, jakie możesz mieć pretensje? Czy obiecywała ci spotkanie? Może w innym jest zakochana bez pamięci, może kocha jakiegoś traktorzystę lub pożeracza serc z klubu fabrycznego, ty zaś jesteś dla niej niczym, wielkością nieskończenie małą... Tak, lecz czemu ona w serce ci zapadła? Oto tajemnica pierwszego za-

ciekawienia — jak ono się rodzi? Czemu nie jakaś inna zwabiła cię, podbiła twe serce?

Na łasze między szuwarami ciemnieje coś, jakby olbrzymi pień: to Jagor Kartaty siedzi w łódce, cierpliwie wyczekując na okonie i karasie. Wiosną w czasie wylewów, gdy woda z Dniepru rozlewała się, sięgając łachy, Kartaty strumykom rowki przekopał, trawkę zieloną przydeptał, nęcąc wodę wiosenną i ryby: „Chodźcie, chodźcie, karpie i szczupaki" — przygadywał. I woda, jak przybrała, to w ciągu nocy aż pod oknami chałupy Jagora się zatrzymała. Śmiała się wtedy Zaczepianka: „No, nazwoływaliście, wujku Jagorze, tych karpi? Do okien już zaglądają?"

Zmilczał stary. I teraz łowi w milczeniu to, czego nie da się złowić. Na grzbiecie jakaś wyszmelcowana kamizelka, łatę widać na plecach, głowa starego zupełnie zniknęła pod wojłokowym, zdeformowanym kapeluchem, takim kapeluszem-weteranem, które donaszane są przez hutników-emerytów. Fantazyjniej załamać rondo takiego kapelusza, wetknąć za wstążkę pióro i mógłby nim wymachiwać jakiś średniowieczny cabaliero w ceremonialnym ukłonie gdzieś na ulicach Werony lub Saragossy, witając w średniowieczu swe damy... Nie widać Jagora spod kapelucha, zwisa tylko spod niego wielki jak kartofel nos Jagora, czerwony i posiniały. Stary się złości, kiedy go pytają, czemu ten jego nos tak posiniał — nie od kieliszka posiniał, lecz od żaru buchającego z pieca hutniczego! Kto powątpiewa, niech stanie przy piecu, niech przez całe swe życie postoi, wtedy się przekona, na skutek czego nosy hutnikom sinieją... Kiedy ryba nie bierze, lepiej starego nie zaczepiać, przejdź koło niego w milczeniu, jakbyś go nawet nie spostrzegł. Do pogwarek ze starym lepiej wybierz inną porę, kiedy nie będzie pochłonięty rybołówstwem, które wprawdzie niczego mu nie obiecuje, bo karasie tu są bardzo mądre, wiedzą, jak mają się zachowywać. Żeby nakłonić Jagora do rozmowy, do dyskusji, potrzebna jest sprzyjająca atmosfera; zdarza się to najczęściej po wypiciu kieliszka! O, wtedy wam, dzisiejszym, stary opowie, co to w jego czasach znaczyło być metalowcem-hutnikiem, jaką siłę trzeba było mieć w grzbiecie, żeby spośród tych, jacy setkami wyczekują w pośrednictwie pracy, właśnie ciebie wybrali do roboty w fabryce, tylko najlepsi siłacze tam trafiali... Przez kilka lat pchasz wagonetki, a dopiero potem wezmą cię do pracy przy piecu

i nie tyle do pieca, ile do świętych świętości. Wy od razu trafiacie do zakładu, jakby do kina, możesz iść sobie nawet w krawacie, bo każdemu tam przydziela się szafki (jedna na ubranie czyste, druga — na robocze); po robocie bierzesz tusz, odświeżysz się, przebierzesz. A my wtedy jakżeśmy się myli? W kanale koło wielkiego pieca! Jak się zgrzejesz, to podstawisz głowę pod kran, opluskasz się i mokry znowu do roboty... Ludno wtedy było przy piecach, bo wszystko robiono własnymi rękami, tak jak pracowali nasi dziadowie. Gdy dysza zatka się żeliwem, to czyste nieszczęście! W sześciu chłopa bierzemy za ożóg i przebijamy, dłubiemy aż iskry w oczach stają, póty walimy łomem, aż dyszę oczyścimy. Laboratoriami nas nie pieszczono... Teraz głos laborantki słyszycie nie ruszając się z miejsca; ona ci przez głośnik, też nie ruszając się z laboratorium, powie, coś ty tam wypichcił... A niektórzy nawet próbują spierać się z laborantkami: Daj, powiada, czego trzeba; a ona mu na to: Nie! Bierz to, co jest! Wcale się nie obrażę... Teraz, zanim ostatni tygiel załadujesz, to z pierwszego masz już analizę. A wtedy wszystko na oko. I po to miało się te oczy! Tylko spojrzę przez ciemne okulary i po odcieniu, po czymś nieuchwytnym powiem ci z dokładnością do ułamka tysięcznego, jak jest! Byli fachowcy, tajemnice swe znali. Izot Łoboda, bywało, jak zrobi siekierę — niczym jej nie wyszczerbisz; potrzebna brzytwa, to on ci i brzytwę zmajstruje, lepszą niż solingenowska... Spytasz, jak on to zrobił, a on tylko w uśmiechu wąsem poruszy; hartowałem ją, powiada, w kwaśnym mleku, a dohartowywałem cebulą... A wy? — pośle Jagor w stronę młodych wzgardliwe spojrzenie. — Gdzie wasza mądrość? Może te nasze piece nawet za bardzo kurzyły, ale po bożemu, bo przez te wasze dmuchawy tlenowe jeszcze więcej kopcą. Ten dym żelaziście bury, to wasz dym. I cuchnie koksem. I azotniakiem, tak że liście na drzewach od niego żółkną... To wszystko wasze udoskonalania, tak samo jak wody zatruliście kwasami, od których ryby w Dnieprze od razu brzuchem do góry... Po dwadzieścia i po trzydzieści tysięcy odwalają, a co z tego? Komu ta kara dopiecze? Z jednej kieszeni wyjął i do drugiej włożył... Zadymienie większe, Dniepr zanieczyszczacie, od hałasu maszyn głuchniecie! Prawda, dbając o ludzi, syreny fabryczne zmieniono. A ja was pytam: po co? Syrena — to była pieśń fabryczna. Może mi bez niej smutno...

Obiegłszy trzykrotnie łachę, dokoła nieporuszonego kapelucha Jagorowego, sterczącego z szuwarów, student wraca do domu. Podwórze Jagorowe świeci pustką, szczotka jak dawniej w kubełku z gliną, nikt jej nie dotykał; jakiś smutek zakrada się do serca młodego, jakby coś utraciło, coś, czego nie można odnaleźć...

Poranek wietrzny i niespokojny; od zakładów wiatr pędzi skołtunione dymy, niebo się chmurzy, ciemnieje, słońce nad sadami nie jest tak jasne jak wczoraj. Iwan, jadąc do Indii, żartował: „Mykoła nasz nie na darmo złapał pyłek pod mikroskop... Wrócę i chyba nie poznam Zaczepianki — dymu ni śladu przez te Mykoły urządzenia filtrujące i na tabliczkach firmowych spostrzegę: «Wykonano w Zaczepiance...»"

A tymczasem dymy się rozsnuwają, filtry zaś istnieją tylko w marzeniach. Nie tak trudno je skonstruować, jak zastosować.

Ileż to zaproponowano różnych sposobów filtrowania, ileż to tych projektów, nawet chwalonych, po szufladach kancelaryjnych kurz wyławia. Dyrektorowie czują te filtry nawet w wątrobach, łatwiejszych się domagają, tańszych, a na razie dławcie się dymem, setki ton pyłu z rudy żelaznej rozpyla się nad okolicą i sami nim oddychają... A wszystko dlatego, że pochłaniacze gazów niby to nie dają widocznych efektów. Gdyby choć jakaś cząstka procentu była zagwarantowana według tych planów — dawno już byłyby zastosowane. A tak, trujcie się! I sam dyrektor się truje tym burym kurzem, sadze zasypują wasze akacje, smrodem z „Koksochemu" zagłuszą aromat akacjowy, bo mnie liryka nie obchodzi, dla mnie ważne jest tylko tempo! Dopędzić zaporożców, prześcignąć zakłady „Azowstal", plan wykonać, raporty wysłać — w tym zamyka się sens mego istnienia.

Na werandzie przy szklance herbaty siedzi Ołeksa-mechanik, skarżąc się przed starą Bagłajową:

— Nigdy nie przypuszczałem, że mamy tylu krętaczy. I to krętaczy tak wysokiej próby. Zwolnienie dał mi nasz dyrektor: ze wszystkich obowiązków na dwa tygodnie zwolniłem cię, towarzyszu mechaniku, bierz samochód i jedź, tylko wreszcie doprowadź do końca sprawę z kim należy, bo spodziewamy się jeszcze jednej komisji. Zębami chwyciłem się za tę sprawę. Zacząłem wędrować po urzędach, w różnych gabinetach byłem, wszystkie decyzje otrzymałem, po-

zostało tylko najprostsze: pojechać do Rady Miejskiej, by dokładnie wskazano nam miejsce, gdzie zezwoli się nam zbudować zbiornik fabryczny. I tak od dyrektora Rady Miejskiej do szanowanego w całym okręgu Bohatera Pracy Socjalistycznej, towarzysza Bublika. Już trzy dni do niego jeżdżę, trzy dni uganiam się za nim po całej okolicy i nie mogę go złapać. Nieuchwytny jak dym!

— On po prostu chowa się przed tobą — powiada Mykoła siadając do śniadania. — Może on ma nawet rację ze swego punktu widzenia: O czym on ma z tobą, barbarzyńcą, rozmawiać? Po co on ma twoimi śmierdzącymi zbiornikami zapaskudzać kwitnące pola?

— A te pola ma takie kwitnące — zgadza się mechanik. — Samego maku cały łan... Ale czyżby naprawdę chciał wodzić mnie za nos?

— I daje ci to do zrozumienia w taki oto sposób: zróbcie, towarzysze, obwód zamknięty! Czerpiecie z Dniepru co roku coraz więcej, a co zwracacie przyrodzie? Truciznę! Potoki martwej, złej wody !

— Jutro pojadę do niego o czwartej rano. Będę na niego czatować koło jego domu jeszcze przed wschodem słońca. Mimo wszystko zdobędę podpis tego Bublika.

— Papierzysk tych namnożyło się tyle, że ludzie w nich toną — powiada Bagłajowa. — Naszą Tkaczychę odkąd to już mordują o jakiś papierek, chyba sprawa o sąd się oprze... A tylko dlatego, że myszy zjadły jej trzy lata pracy.

— Mamo, dość już krytyki! — Mykoła marszczy brwi. — Lepiej proszę zwolnić nam stół dla pozytywnej działalności.

Zasiądą oni przy tym stole na długie godziny. Nieraz, utkwiwszy wzrok w rozłożony rysunek kreślarski, mechanik skrobie się po łysej, opalonej czaszce; student nieraz głaszcze się w zadumie po potylicy, szukając wyjścia z jakiejś ślepej uliczki. A sady prężą swe gałęzie, wiatr je przygina i słońce jakby niepełnym, przygaszonym światłem błyszczy w przymglonym niebie. Zaczepiańscy Edisonowie zrobią sobie przerwę, gdy uliczka będzie rozbrzmiewać chłopięcymi głosami:

— Spójrzcie, oto oni!

Obaj — i Ołeksa-mechanik, i Bagłaj-młodszy, wyskakują z chałupy przy okrzykach chłopaków, przy hałasowaniu i też zaczynają się gapić w bok od soboru, w niebo, gdzie wysoko w górze, pod buropomarańczową chmurą dymów

z koksowni oślepiająco połyskują gołębie prawdopodobnie należące do chorążego-walcownika. Ktoś je tam płoszy, chłopcy czy sam właściciel, zmuszając, by wzbiły się nad soborem, nad zwałami ciężkich dymów, aby tam, ponad obłokami, już w bezchmurnych przestrzeniach, te mądre ptaki łyknęły sobie trochę świeżego powietrza. W całym osiedlu widać stąd, jak gołębie to znikają, to znowu się wyłaniają z tej buropomarańczowej opony i śmigają niby małe rybki wzbijając się ledwo dostrzegalnie coraz wyżej i wyżej. I oto już ich nie widać, roztopiły się, znikły, dopiero po jakiejś chwili znowu się srebrzą niby białe strzępki papieru porwane przez wiatr i rozmiecione, rozsypane w tej ceglastorudej chmurze. Bagłaj, zadarłszy głowę, widzi, jak powoli, lecz wytrwale, gołębie się wznoszą nad soborem, jakby i sobór porwały ze sobą, okrążenie po okrążeniu wznoszą sobór pod niebo, z jego kopułami i ostrymi szczytami, budując nad tym widocznym jeszcze jakiś swój własny, wyższy, niewidoczny sobór.

Zaczepianka nie jest przyzwyczajona do takiego widowiska: nawet ten, kto pracował na nocnej zmianie, został zbudzony hałasowaniem gołębiarzy. Wychodzi na podwórze i jeszcze zaspany spogląda na tę nienaturalną pomarańczowego koloru chmurę z koksowni, poprzez którą wznoszą się do góry białośnieżne gołębie chorążego. Wznoszą się coraz wyżej i wyżej, by przynajmniej tam odetchnąć czystym powietrzem.

Bagłaj-student stoi na podwórzu wśród podnieconej dzieciarni, nie odrywając oczu od podniebnej przestrzeni, pod którą ptaki to znikają w chmurze nad soborem, to znowu srebrzą się, migają, błyszczą niby jasne iskierki... I przez cały czas młodzieniec czuje na sobie czyjeś spojrzenie. Zapatrzony w niebo, nie zauważa, jak dwoje zielonkawych, po dziewczęcemu patrzących oczu uważnie obserwuje go z gąszczu Jagorowej dżungli.

3

Ten bardzo stary, pamiętający jeszcze czasy kozackie sobór, Jelka od dzieciństwa przechowywała w swojej pamięci jako widok z Wowczugów; choćby się wspiąć na palce, jak można najwyżej, nigdy nie objęło się go wzrokiem w cało-

ści. Widziała ze stepu tylko jego wierzchołki, niebieskie banie jego wieżyczek.

Pasie dziewczyna cielęta koło swej mizernej farmy, na zrudziałych, spalonych w słońcu parowach, gdzie rosną tylko bodiaki jak jakieś kaktusy gdzieś w meksykańskiej pustyni. Gdy wejdzie na pagórek — daleko przed nią roztacza się w migoczącym świetle słonecznym coś wysokiego i niebieszczejącego: wierzchołek zwidu dziecięcego.

Matka opowiadała, że będąc jeszcze dziewczyną, chodziła do soboru na nabożeństwa; ludzie tam szli na bosaka, by oszczędzać obuwie, dopiero tam się obuwali, przed progiem, zanim weszli do świątyni, do tego świętego piękna.

Jelka wyrastała na farmie. Ojca nie znała zupełnie: był nim ponoć jakiś wędrujący żołnierz, kiedy front tędy przebiegał. Rosła, nie wiedząc, co to takiego pieszczota ojcowska. Lecz czy wiele rówieśnic Jelki znało te pieszczoty? Matka pracowała stale jako świniarka. Lato czy zima, świątek czy piątek, od świtu do nocy tylko przypłodek, prosienie, karmienie, przydziały... A Jelka-Oleńka cały czas przy matce, przy jej pracy. Nawet kiedy poszła do szkoły, to i wtedy godziny pozaszkolne schodziły jej na farmie, tu były jej Hellady i Babilonie.

Bo przecież trzeba było jakoś żyć! W niedostatkach powojennych nikomu nie było lekko, a już tej niezamężnej matce jedynaczki, która nie potrafiła w zarządzie farmy upomnieć się o swoje, a tylko wykonywała najtrudniejsze roboty, szczególnie było ciężko. Inna przynajmniej krzykiem zdobyła dla siebie lepsze warunki, sterroryzowała brygadzistę, podczas gdy głos matki Jelczynej przywykł jedynie do proszenia. I tak było dobrze, gdy brygadzista obiecał wóz słomy na zimę, lecz obiecanego nie zawsze można było się doczekać, bo on na swój sposób przekręci, władzę bowiem ma tu większą, niż miał cezar rzymski. Co chce, to zrobi. Nie postawisz butelki — nie będzie słomy, niech nawet woda w chałupie zamarza. Gdy się ściemni, bierz sznurek i skradaj się za matką w pole, do sterty. Mimo woli złodziejką zostajesz, sami cię do tego zmuszą. Smyczesz tę słomę w pośpiechu i rozglądasz się, a serce omal nie wyskoczy ci z piersi. Objuczone wiązkami, odchodzą, potykając się, od sterty, a wiązki słomy przygniatają do ziemi. Ich nie widać, tylko te wiązki słomy same suną po ośnieżonych polach.

Rosła dziewczyna na bezludziu, w zdziczeniu. A kiedy podrosła, to i brygadziści zaczęli ją dostrzegać:

— Ładna dziewuszka wyrosła!

Po wysokoniebnym, niebieskim lecie, jesienią niebo jest przesłonięte nad stepem głębokim mrokiem, mgłami, nie widać już więcej jasnego soboru, nie ma i przestrzeni; malutkim staje się świat. Wieczory długie, ciemności dokoła nieprzeniknione, w oborze świecą latarnie „Nietopetrze", mimo że druty na słupach wysokiego napięcia tuż nad samą farmą huczą na wietrze.

Pewnego dnia zjawił się na farmie przyjezdny propagandzista, z teczką, bladolicy, w kaszkiecie na głowie, z czerwonym szalikiem na szyi.

— Jak tu u was, dziewczęta? Kino bywa? — wypytywał z zaciekawieniem.

— A bywa!

— Bilety nie bardzo drogie?

— A dosyć drogie.

— Czego wam jeszcze tu trzeba? — dopytywał się ze szczerym zaciekawieniem.

Halka, dziewucha już nie pierwszej młodości, taka, co to już straciła nadzieję na zamążpójście, cichutko szepnęła:

— Chłopców...

Wszystkie naraz parsknęły, potem się pośmiały, lecz wcale nie było im do śmiechu, bo chłopców we wsi naprawdę zostało niewielu: ten poszedł rzemiosła się uczyć, tamten do wojska, ów do nowego budownictwa.

Gość spytał jeszcze, czy mają rzeczkę, żeby można było przyjechać tu latem, by się opalić tak jak one. I choć rzeczki nie było, jedna ze starszych świniarek powiedziała:

— Przyjeżdżajcie, opalicie się... My przez całe życie się opalamy.

Gość nie obraził się i powiedział uprzejmie:

— Przyjdźcie, dziewczęta, wieczorem do klubu na odczyt — i dłużej niż na innych zatrzymał spojrzenie na Jelce, której się wydało, że zaproszenie było skierowane przede wszystkim do niej, że tylko ją zapraszał do klubu. Oczy miał jakieś wodniste, choć na ogół był niczego sobie: młody był, niebrzydki, sympatyczny z tym swoim jaskrawym szalikiem...

— O czym będziecie mówili? — nieśmiało spytała Jelka.

— O, to będzie temat szczególny: o miłości. „Miłość —

to nie westchnienie na ławeczce..." Słyszycie? No i tak dalej. Przyjdźcie, nie pożałujecie.

Wieczorem były w klubie. Wszystkie z farmy usiadły w pierwszym rzędzie, by niczego nie uronić. Niedługo i on się zjawił na oklejonej fornirem trybunce, ze swoją nadmiernie wypchaną teczką. Spostrzegłszy Jelkę, posłał jej uśmiech i zaczął rozkładać swe papiery. A Jelka nie mogła zrozumieć, czemu cały czas czuła się tak zaniepokojona. Czekała wciąż na jakieś odkrycie, spodziewała się usłyszeć słowa, których dotąd nie słyszała, słowa osobliwe, i przez cały czas oczu nie spuszczała z jego bladego czoła, z jego jaskrawego szalika. On musiał wypowiedzieć te słowa, może przede wszystkim przeznaczone dla niej, i to takie, które do głębi poruszyłyby jej duszę. I oto rozpoczął. Klub w Wowczugach malutki, ciasny, z glinianą potrzaskaną polepą, z niskim sufitem... Możesz mówić nawet szeptem, a wszyscy cię posłyszą, on zaś z tej trybunki naraz zaczął mówić podniesionym głosem, jakby siedzieli przed nim ludzie głusi albo jakby zupełnie nikogo nie było, jakby tu zupełnie było pusto. Wymachiwał rękami, upajał się brzmieniem własnego głosu, który to zniżał w sposób aktorski, wystudiowany, to podnosił wrzaskliwie, tylko patrzeć, jak zapieje niczym kogut! Jelka słów jego nie słyszała, od jego fałszywego piania mrówki przebiegały jej po ciele, cały czas bała się, że on jednak zapieje po koguciemu i gorąco jej się robiło od piekącego wstydu z powodu tego krzyku-wrzasku, wstydziła się przed dziewczętami, przed ludźmi... „Czemu ty tak krzyczysz? — błagała go w duchu. — Czyż tak można... o miłości?" Miała ochotę zasłonić uszy, uciec, jednak się opanowała, wytrwała do końca prelekcji. Niczego nie zapamiętała, wszystko prześliznęło się gdzieś obok jej serca i rozumu.

Kiedy się rozchodzili, dopędził ją na podwórzu; idąc obok niej, chyba czekał na pochwałę, bo potem sam spytał:

— No, jak?

A ona szła milcząca, z opuszczoną głową. Młody lektor na swój sposób wytłumaczył sobie jej milczenie. Widocznie był przekonany, że miał dziś powodzenie, poczuł się pewny siebie i zaczął opowiadać Jelce, ile pracy włożył, by przygotować swą prelekcję, przewertował stosy książek, samych tylko cytatów wybrał więcej niż dwieście. Lecz nie żałuje, że tyle włożył w to pracy, bo spośród różnorodnych odczy-

tów ten zawsze ma największe powodzenie. Tu nikt nie powie, że przedmiot jest suchy, nudny, dla niego nieciekawy. Sprawa miłości każdego poruszy!

„Biedaczyna — pomyślała Jelka ze smutkiem. — Tak się napracować i wszystko na próżno. Stara się nauczyć ludzi miłości, a sam... Czy kochałeś się ty kiedykolwiek? Czy byłeś kochany?"

Prelegent odprowadził ją do domu i cały czas zasypywał słowami o swoim niespokojnym, koczowniczym życiu, o stepowych, błotnistych drogach, o tym, jak go gdzieś z jakiegoś wyboju traktorem wyciągano, bo ludzie wszędzie chcą posłuchać o miłości, o przyjaźni, o kochaniu...

„I ty to we wszystkich klubach opowiadasz?" — nie dawało spokoju Jelce. Dotąd nie pozbyła się uczucia wstydu z jego powodu.

Mżyło tego wieczora, prelegent podniósł kołnierz jak zmarzluch, lecz mimo to nie spieszył z pożegnaniem. Sam przyznał się do tego, że nikogo jeszcze w życiu nie kochał. Jelka była tego pewna.

— Inni płoną z tej miłości, na ściany lezą... Wierzycie w to? — wesoło zapytał Jelkę.

Zaczął coś mówić o ludziach wieku atomowego, o ich potrzebie znalezienia w czymś kompensaty, zapomnienia, o potrzebie życia współczesnego pod narkozą piękna.

Zorientowawszy się, że ma przed sobą jeszcze uczennicę, choć ze starszej klasy, powiedział jej komplement:

— Pani jest już zupełnie dojrzała! Panna o takiej ślicznej urodzie... Ja panią tam na farmie od razu zauważyłem. — I bez najmniejszego wahania przeszedł na „ty". — Jesteś piękna. Pozwól nasycić się twoją urodą...

Przysunąwszy się bliżej, próbował ją objąć. Wypadło to grubiańsko, jakoś nieładnie, zachował się tak, jak rozpuszczeni przez dziewczęta traktorzyści, co to pijani usiłują objąć każdą dziewczynę. Odepchnęła go obiema rękami, ostro i ze złością.

— Zaczekajcie! Najpierw sami nauczcie się, jak należy kochać.

I więcej już go nie widziała ani jego koguciego szalika.

Ona pragnęła miłości, lecz czy to była miłość? Miłość powinna być osnuta dyskrecją. Uczucia tego nie da się porównać z żadnym innym. Pragnęła kogoś spotkać, kto odpowiedziałby melodią serca, uczuciem na uczucie, kto odsłoniłby

przed nią poezję jasnych nocy stepowych, z kim doznałaby rozkoszy zbliżenia... Z takim człowiekiem na pewno i te mgły nie oślepiałyby jej, i nieprzebyte drogi nie wydawałyby się błotniste, i praca nie wydawałaby się ciężka.

Kim mógł być ten jej przeznaczony? Ten szałaput kierowca z kołchozu, który uganiał się za nią po stepie i farmach? A jak zaniosło go do głębokiego jaru, to i stamtąd zaczął dawać znaki światłem. Dziewczęta śmiały się na farmie:

— Spójrz, Jelko, on już ciebie nawet na niebie szuka. W kosmosie!

Jelka wiedziała o tym, że się podobała jeszcze jednemu chłopcu z mechanicznego, właśnie jednemu z tych zepsutych przez dziewczęta, ale jesienią poszedł do wojska. Kiedyś otrzymała od niego list: „Jagoś nie mogę przyzwyczaić się do służby, trudno przyzwyczaić się do tego, by ktoś tobą komenderował, lecz trzeba będzie się przyzwyczaić, racje żywnościowe są wystarczające, najadam się dobrze, tak że na zdrowie się nie skarżę, a do tego jeszcze ligor wojskowy i ćwiczenia fizyczne też dodadzą zdrowia..." I to pisał tak do niej, która przeczytała z zapartym tchem wszystkie dzieła poetyckie w bibliotece, czytała karty Puszkinowskiej delikatności uczuć i potem po całych nocach nie mogła zasnąć, tak była przejęta na skutek swoich późniejszych na ten temat fantazji... A on tam jakoś się najada! Przyznawała: urodziwy był, a jak tańczył! Teraz pisze, że się poprawił w sobie. Widziała go utuczonego, o pełnej twarzy, i ten gładki, utuczony mężczyzna już jej nie denerwował, stał się dla Jelki jakby kimś obcym. Oburzała ją teraz tylko jego gramatyka oraz ten jego „ligor", który zasługiwał na dwójkę, a szczególnie to „jagoś". Jakżeż to można się rozczarować tylko przez jakieś tam „jagoś". To było najgorsze! Jelka nawet słówka nie odpowiedziała.

W niedługim czasie zwolniono kierownika ich farmy, który zupełnie się rozpił i po pijanemu wieczorami ględził na farmie o potrzebie zacierania różnic między miastem a wsią oraz jakie to on proponuje sposoby w tym celu... „Chcecie wiedzieć jakie? Zaciemnić miasta!" A co wygadywał w tym czasie, kiedy nareszcie wzięto się do zelektryfikowania ich farmy... Wtedy to jego winy stały się jeszcze bardziej widoczne i nikt się za nim nie ujął: odszedł i na tym koniec.

Dziewczęta też go nie żałowały: obojętny był dla nich. Na ludzi patrzył jak na bydło rogate...

Na miejsce pijaka-zaciemniacza przysłano na farmę młodszego, zawziętego, z jakiejś dalekiej brygady. Dawniej był brygadzistą, teraz zaś zrobiono go kierownikiem farmy, ale dla dziewcząt został brygadzistą. Ten się okazał o wiele lepszy niż poprzedni, wyjednał u władz zwierzchnich nowe fufajki dla dziewcząt oraz buty gumowe, żeby nie tonęły w błocie; radio się zjawiło, udoje się zwiększyły, bo ustanowił nowe racje i makuchów gdzieś trochę zdobył. Dziewczętom dostarczył książek na temat hodowli. Wiedzę swoją zdobył na studiach zaocznych lub, jak mówił w żartach, „pozaocznych". Odmiennie niż jego poprzednik, dojarek nie dyskwalifikował, odbywał z nimi narady, w jaki sposób zwiększyć udoje. Wspólnie to obmyślali, poszukiwali sposobów, a jedna ze starszych dojarek zaproponowała, by zastosować... wodę gwiaździstą. To znaczy taką, co przez całą noc stała w skopku naświetlana przez gwiazdy. Bo, powiadają, istnieje w narodzie przekonanie, że kiedy krowa daje mało mleka, to nabiera się do skopka wody i stawia się na noc pod gwiazdami, niech tak postoi całą noc, a rano należy krowę taką wodą napoić...

— Do naświetlonej przez gwiazdy wody trzeba jeszcze makuchów — brygadzista z lekka wyśmiał propozycję. — I ja wam obiecuję: makuchy będą!

Poza tym obiecał, że i przydziałów się dobije. Wskazując na dalekie wieżyczki soboru, powiedział:

— Widzicie? Tam sobór pełen jest przydziałów! Gdyby nasi nie spali, dawno by już mieli załatwione przydziały.

Do Jelki brygadzista był wyraźnie usposobiony przychylnie: jest zupełnie młodziutka, więc trzeba mieć dla niej względy. Gdy jedna z dojarek zachorowała i trzeba było podzielić jej krowy między inne dojarki, brygadzista przeznaczył Jelce rekordzistkę Kniaginię, co było nie byle jakim honorem, i dodał przy tym:

— Kniaginię przygotowujemy na wystawę! Gdy tylko zdobędę karmę, to postawimy ją oddzielnie, damy jej lepsze warunki, do Moskwy twoja Kniaginia pojedzie. I ty z nią, Jelciu!...

Pojaśniało życie Jelki na farmie. I chodziła teraz lekko, jakby fruwała uśmiechając się; w ruchach jej było coś ja-

skółczego i nierzadko słyszało się, jak coś sobie pośpiewywała, nabierając z sąsieku sieczki dla krów.

Władzy swej brygadzista nie nadużywał, z nim można było podyskutować i pożartować, dziewczęta przy nim poczuły się swobodniej. Wprawdzie bardzo się bał swojej zazdrosnej War'ki, przyznając się otwarcie:

— Trzech złych rzeczy w życiu ścierpieć nie mogę: wściekłego byka, stugramowej racji żywnościowej na dzień i zazdrosnej żony.

Żona jego była bardzo zazdrosna; nieraz, męcząc się podejrzeniami, przybiegała na farmę, śledząc, szpiegując, szczególnie gdy miał zostać na nocnym dyżurze w czasie cielenia się krów. Mając okazję do spędzenia wesoło czasu, lubił bowiem pożartować z dziewczętami, pobaraszkować z nimi w sąsieku na słomie. I tak się składało, że tam na słomie najczęściej nie wiadomo czemu znajdowała się Jelka. Cóż złego było w tych żartach? Jej nawet takie żarty i śmiechy się podobały. Na innego może by się obraziła, a tu tylko upadała na słomę i zwijała się, gdy brygadzista z gromady dziewcząt tylko ją zaczynał łaskotać:

— Ano zobaczymy, co to za jabłuszka masz za pazuchą!

Wiosną spotkało Jelkę wielkie nieszczęście; matkę w gliniance ziemia przywaliła. I Jelka została sierotą. Na pogrzeb przyjechał wuj Jagor, brat matki, pracownik fabryczny, o którym matka czasem wspominała, ale na ogół to Jelka sama musiała się domyślać, jaka to była młodość tego wuja, który gdzieś się zawieruszył w Hulajpolu. Odjeżdżając, ten mało znajomy krewny spytał Jelkę, czy nie zamierza przypadkiem przenieść się do miasta i choć Jelka o tym nie myślała, wuj Jagor na wszelki wypadek powiedział, że jego chałupa zawsze stoi dla niej otworem.

W czasie żałoby Jelka po raz pierwszy doceniła wierność i przyjaźń koleżanek, które przychodziły do niej na noc, dzieliły jej samotność, doceniła brygadzistę, który miał teraz dla niej jeszcze więcej względów jako dla sieroty. Sam przywiózł słomy, mimo że nie prosiła o to. Wróciła wieczorem do domu i zastała słomę na podwórzu.

Przerwała naukę. Dotąd była tylko pomocnicą matki, teraz natomiast o wszystko musi zadbać sama.

— Na razie jakoś dasz sobie radę, a potem zrobisz kurs korespondencyjny w technikum — pocieszał ją brygadzi-

sta. — Znam tam wszystkie chody, mam znajomości, więc ci pomogę.

Pewnego razu całą gromadą pojechały do miasta po przydziały. Dzień był wietrzny, błękit nieba gdzieniegdzie widniał spomiędzy chmur. Wyraźnie zapowiadała się wiosna. Ziemia odmarzła, nagie drzewa wśród czarnych pól ożywały, gięły je porywiste wiatry stepowe. Wiatr wiał z południa, lecz było chłodno i dziewczęta w butach i fufajkach siedziały skulone pod plandeką samochodu. Wśród nich był również brygadzista. Wieziono kartofle na bazar, wsypane wprost do pudła samochodu, i na nich siedziały dziewczęta. Samochód kołysał się na wybojach rozjeżdżonej drogi, ledwie się posuwał. Dopiero gdy wyjechali na drogę brukowaną, pojechali szybko. Seledynowe okna nieba od razu jakby się powiększyły, połyskiwały jakby weselej. Dziewczęta patrzyły w zadumie, gdy ich trzytonową ciężarówkę minął jakiś inny samochód ciężarowy, pełen ludzi siedzących w tłoku na otwartej platformie ramię przy ramieniu niby żołnierze.

— Dziewuchy, przed nami poczta polowa!

Kiedy się zbliżyli, okazało się, że wcale nie byli to chłopcy z poczty polowej, lecz szare butle gazowe, ustawione ciasno na platformie.

— Macie naszych przyszłych narzeczonych — cierpko zauważyła Halka, która już była starą panną.

Gdzieniegdzie widniały w stepie rusztowania wieżyczek — to budowano pierwsze szyby Zachodniego Donbasu, które przesunęły się aż tutaj. Brygadzista zauważył, że chłopcy po odbyciu służby wojskowej przeważnie idą do pracy w kopalniach. Katria Stiepanyszna, dziewczyna o czerwonych policzkach, powiedziała, że w jesieni też machnie się do kopalni; dość już ma tego kołchozu w dodatku zacofanego, najbardziej zacofanego w całym okręgu. Brygadzista niby to martwił się przechwałkami Katri i próbował wyperswadować jej ten zamiar, zapewniając ją, że z całą pewnością w przyszłym roku całkowicie zmechanizuje farmę, a wtedy pełno u nich będzie różnych korespondentów i delegatów, których na razie tylko tam wożą, gdzie są Bohaterowie Pracy. Starał się ją przekonać, że praca w gospodarstwie rolnym jest o wiele zdrowsza, gdyż całe dni spędza się na świeżym powietrzu. Nadmienił poza tym, że Lew Tołstoj też kiedyś za pługiem chodził.

— Niech tam Tołstoj robi sobie, co chce — odcięła się Katria — a ja pójdę do kopalni.

I okutawszy się chustą po same oczy, umilkła.

Magazyn produktów przydziałowych znajdował się w tym kozackim soborze, który widać już z daleka, gdy podjeżdża się do osiedli fabrycznych. Najpierw zajechali na rynek centralny, kartofle sprzedali niezwłocznie, a potem, gdy podjechali pod sobór, by pobrać przydziały, to na drzwiach wisiała kłódka, mimo że do końca dnia pracy było jeszcze daleko. Nie wiedzieli, gdzie można odnaleźć magazyniera. Lecz zjawił się sam pod wieczór pod dobrą datą, nadmieniwszy mimochodem, że dopiero jutro rano zacznie wydawać przydziały, gdyż, jak powiedział, nie ma jeszcze wszystkich papierów i zarządzeń.

Brygadzista, dopędziwszy magazyniera, zaczął coś z nim szeptać, lecz wyników to żadnych nie dało — musieli przenocować koło soboru.

Jelka, jeszcze jako dziecko, jeden raz widziała ten sobór — wtedy był jarmark. Matka kiedyś zabrała ją ze sobą, gdy jechała tu ze swoimi ziomkami, by sprzedać olej. Wtedy jeszcze obowiązywały kartki żywnościowe, ciężko było ludziom. Jelka przypomina sobie, że jakaś kobieta chodziła po bazarze i od każdej sprzedającej olej pobierała po łyżce tego oleju.

— Na milicjanta — wyjaśniała cicho.

Robiła to niby w tym celu, by milicjant nie przeganiał handlujących, gdyż sprzedaż oleju była zabroniona. I kobiety nie żałowały, każda dawała po pełnej łyżce na tego mizeraka milicjanta. Trudno to nawet nazwać łapówką, raczej należało to traktować jako premię za to, że nie był formalistą i wnikał w trudne położenie wszystkich. Jelka zapamiętała sobie sobór z jego surowością, chłodną i jakby potężną wielkością. Teraz natomiast swym opuszczeniem budził coś w rodzaju współczucia, te błękitne planety jej marzeń były w jakiś sposób bliższe jej dziecięcym wyobrażeniom.

Ich ciężarowy samochód ustawiono na noc pod akacjami, niedaleko soboru, by jutro, kiedy utworzy się kolejka po przydziały, być jak najbliżej drzwi. Stopniowo zaczęły przybywać inne samochody pełne handlarzy, którzy zabierali swe kosze i tobołki i szli na noc do krewnych. Koleżanki Jelki całą gromadą wybrały się do Wierki Iwanowej, z są-

siedniej wsi, która przed kilku laty wyszła tu za mąż. Mąż jej rudy i z wytrzeszczonymi oczami stał się znakomitym hutnikiem i Wieruńka teraz och, jak żyje! Koleżanki wołały, by i Jelka szła z nimi, lecz powiedziała im, że ma do kogo pójść — wuj Jagor Kartaty mieszka tu gdzieś niedaleko: chałupa pokryta słomą, oznaczona numerem siedemnastym. Mimo że zapadł zmierzch, jednak znalazła w końcu uliczki ten siedemnasty numer. Furtka zamknięta na głucho, nie ma gospodarza w domu, może na całą noc gdzieś pojechał... Zajrzała Jelka tu i tam i z tym wróciła na majdan, do samochodu.

Brygadzista zadowolony z tego powiedział, że zostawia Jelkę, by pilnowała samochodu, a sam z kierowcą oraz z innymi znajomymi, wśród których uwijał się i magazynier, poszli szukać szynku.

Wkrótce w jednej z chałup rozległ się śpiew. Jelka rozpoznała wyraźny głos Katryny, mocno górujący nad innymi. Poznała ulubioną piosenkę Katryny: „Tarnina, matko, koło chaty..." Śpiewały, widać, w chałupie tej szczęśliwej Wierki z Pohrebyszcz, która okiełznała jakiegoś rudego hutnika i teraz „och, jak żyje...". Do nowej chałupy jesienią się przeniosła, ale do pobielenia ścian zaprosiła kobiety ze swojej wioski, z Pohrebyszcz; przez tydzień robiły tynki wewnętrzne, a potem malowały, bo tutaj, powiadają, i tynków nie potrafią nakładać, i kogucików malować nie umieją... Do głosów kobiecych dołączył się męski, zgodnie im wtórując. Można się było domyśleć, co dziewczęta przywiozły krajance na pokropienie nowej chałupy... Jelkę też korciło zajrzeć tam, by posiedzieć w ciepłej chałupie pomalowanej w piękne wzory, lecz nie uległa, czując nawet, że ogarnia ją złość. Bardzo na ciebie tam czekają u tej pohrebyszczanki, w dodatku nieznajomej, bardzo by ci było przyjemnie patrzeć na jej dobrobyt!

Dziś Jelka czemuś na wszystkich była zła.

Sobór posępnie płynął w wieczornych obłokach. Jakimś smutkiem, a nawet czymś niespokojnym wiało od niego. Przez kogo on został zbudowany? Jakim cudem ocalał? Jakiego ducha ktoś w niego tchnął, że nawet po wiekach Jelka go wyczuwa?...

W pobliżu przechodziło jakichś dwóch mężczyzn, szarpnęli za plandekę, myśląc widocznie, że wewnątrz samochodu nikogo nie ma. Zaśmiali się, zatrzymali się, postali koło słu-

pa, który stał na miejscu dawnej dzwonnicy, po której tylko kawałek sztaby został. Jeden z nich czymś uderzył po tej sztabie, mówiąc:

— Jaki nikczemny dźwięk... Dźwięk szarych dni... Bezbarwnej codzienności...

Pogwizdali, jeszcze się pośmieli i zamilkli.

Ściemniło się zupełnie, zaczął kropić deszcz. Jelka głębiej zaszyła się pod plandekę, okutała się, by szybciej się zagrzać.

Brygadzista i kierowca samochodu wrócili późno, przynieśli śledzie w gazecie, butelkę i bochenek razowego chleba.

— Mamy przydział — brygadzista powiedział wesoło, zapraszając Jelkę. — No, gosposiu, chodź do nas, zaraz się rozgrzejemy... Bierz chleb, bierz butelkę!...

Jednak o niej nie zapomnieli.

Rozgrzewali się po ciemku. Chleb łamali na kawałki, rozrywali śledzie, wódkę nalewali do szklanki. Był to rzekomo jakiś rum, który po ciemku podzielili sprawiedliwie. Jelkę też namówili, by wypiła. Łyknęła kilka razy — mocne to było jak ogień. Później domyśliła się, że to był nieprzypadkowy poczęstunek, uplanowany wcześniej, i w duchu stwierdziła, że nieprzypadkowo zostawiono ją tutaj pod plandeką. Coś jej podszeptywało, by została, mimo że żadnych zamiarów nie miała, niczego przedtem nie układała, choć niby i przeczuwała, jak to będzie.

A było tak: kierowca gdzieś zniknął, brygadzista skulony palił papierosa koło samochodu; sobór wyłaniał się z mroku nieba jakoś zjawiskowo. Było chyba po północy, wiatr się rozszalał, hałasując kawałkiem gdzieś z soboru oderwanej blachy. Po jakimś czasie brygadzista wszedł pod plandekę.

— Pozwól, że wejdę pod budę... Słyszysz, co za wietrzysko... Przecież nie będę marzł koło samochodu...

Umilkłszy, przysunął się bliżej.

— Nie obawiaj się. Nie będę zaczepiać.

I choć miała zamiar odpędzić go od siebie, to jednak czemuś tego nie zrobiła. I gdy posłyszała pełne pieszczoty słowa, to nie przerywała mu, chciała tych słów słuchać, było w jego skargach na tę jego dolę coś prawdziwego, w jego współczuciu dla Jelki, która została teraz bez matki, sama jedna... Już jego bliskość i ufność nie były jej obojętne,

widać i on wyczuł nastrój Jelki i przysunął się jeszcze bliżej, ona zaś poczuła wyraźnie ciepło idące od niego. Gorące, błagalne szepty wzruszyły, pieszczotliwość, dotąd jej nie znana, budziła wzajemność. Wiatr szarpał ich budą, plandeka łopotała. Jelka zaś słyszała jego żarliwe słowa:

— Jelko, raz żyjemy! Dwa razy nikomu się nie udało!

Ileż to, mówił, jest starych panien na wsi, nikt na nie nawet nie spojrzy! Chłopcy się rozbiegli, dziewczętami w wioskach choć groblę wykładać... I o kopalniach jeszcze słyszała, do których machną się we dwoje... O szczęściu, które trzeba chwytać...

I znowu:

— Raz się żyje! Dwa razy nigdy jeszcze nikomu się nie udało! Nie bądź taka harda! Nie bój się! Jesteś teraz sama... Jesteś wolna! Nikt ci nie rozkazuje!

Ona też zdawała sobie sprawę z tego, że jest wolna i może sobą rozporządzać. Może rzeczywiście trzeba korzystać z momentu, chwytać go? Inne same są gotowe rzucić mu się na szyję, ona zaś taką władzę nad nim zdobyła, doprowadzając swego brygadzistę do szaleństwa... Podniecona, już go od siebie nie odtrącała, a gdy poczuła słodycz pocałunku, zrozumiała, że w tym właśnie kryje się całe szaleństwo miłości.

Noc była ciemna, noc najciemniejsza pośród wszystkich, noc upadku Jelki. Nie stała się ona świętem życia Jelczynego. Nie obdarzyła ni radością, ni upojeniem. Niczego nie dała prócz bólu.

Rano niebo było puste, nieliczne obłoki płynęły nad soborem, wiatr się uspokoił, na wschodzie rąbek nieba czerwieniał krwawo. Otworzono drzwi soboru: zaczynano wydawać przydziały. Dziewczęta nawoływały się w soborze. Jelka powinna była też tam się znaleźć, lecz czemuś jej nie wołano, nie interesowano się nią. Więc nie spieszyła się z wyjściem spod plandeki. Ciemnoszary brudny gołąb siedział na gzymsie soboru, wydymając pierś. Ptactwo ćwierkało na nagich drzewach. Gałęzie połyskiwały wiosenną wilgocią. Życie upominało się o swe prawa, ale rześkość poranka, przebudzenie wiosenne, jasna smużka świtu i ptasie ćwierkanie, i wesołe okrzyki w soborze — wszystko to istniało jakoś poza nią, wszystko się działo jakby gdzieś daleko, w pokonanym, zupełnie spustoszonym świecie. Raczej ten świat powinien był palić ją wstydem za to, co się stało,

ogniem hańby, grzechu, sromoty, lecz Jelka jakoś i tego nie odczuwała, istniał tylko tępy ból, uczucie pustki i bezgranicznego smutku.

Wreszcie się podniosła. Mimo wszystko trzeba było iść i pomagać dziewczętom w odbieraniu przydziałów. Kierowca coś dłubał w motorze, odwrócił się do Jelki i uśmiechnął się jakoś nieprzyjemnie swoją wykrzywioną, podciągniętą do góry zajęczą wargą.

— Jak się spało, Ołeno bat'kiwno? — i mrugnął do niej z obrzydliwą intymnością. — Czy nie było zimno pod plandeką? Bo ja w kabinie marzłem.

Okazuje się, że był w kabinie samochodu! Zdawało się, że gdzieś poszedł, a tymczasem był tu... I widać po nim, po jego ordynarnej gębie, po znaczącym uśmieszku, że wie o wszystkim... No, teraz wszyscy będą wiedzieli w Wowczugach!

Przez moment czuła się jak oparzona, a potem było jej wszystko jedno. Powlokła się do soboru z opuszczoną głową, po oczy zakutana w chustkę. Zatrzymała się w progu naprzeciwko otwartych na oścież drzwi soboru. Nie miała odwagi przejść przez próg. Miała wrażenie, że gdy go przekroczy, stanie się coś strasznego, ziemia się pod nią rozstąpi, sklepienie soboru runie na jej głowę, upadłą, zbezczeszczoną.

A tam, wewnątrz, było gwarnie, rozlegały się wesołe głosy. Widziała, że Halka, stara panna, stoi koło stosu przydziałów przytrzymując otwarty worek, ktoś zaś coś do niego nasypuje, po czym Halka nagle zadarła głowę do góry i ni stąd, ni zowąd wrzasnęła pełną piersią:

— He-e-j, na wysokiej połoninie...

I zaśmiawszy się, powiedziała:

— Oto mi akustyka.

Nikt jakby na Jelkę nie zwrócił uwagi, kiedy się przemogła i przestąpiła próg soboru; nikt nie spytał, dlaczego się spóźniła, czemu zaspała. Pojawienie się jej w soborze wszyscy przyjęli spokojnie, nawet obojętnie, lecz w tej obojętności wyczuwało się jakieś porozumienie. W soborze panował jeszcze większy chłód niż na dworze, cuchnęło tu pustką i myszami. Okna gdzieniegdzie jeszcze były całe, lecz zasnute pajęczyną i kurzem. Tuż po wojnie zamierzano utworzyć tu muzeum antyreligijne z kącikiem dla miejscowej fauny i flory, lecz jakoś do tego nie doszło i jedynie

jak wspomnienie po tych zamiarach wypchany jastrząb wisiał zakurzony nad ołtarzem i gdzieniegdzie ze ścian pomiędzy wypłowiałymi madonnami pyski wilcze i dzicze szczerzyły kły. Już i dzików na płoniach nie ma, tylko tu szczerzą kły... Pośrodku soboru piętrzą się usypiska zboża na przydziały, dalej zwalono stosy worków papierowych z superfosfatem, a jeszcze dalej, w kącie, poszczerbiony, z ciemnego drzewa ikonostas, z rzeźbionymi gronami i liśćmi winogronowymi. Kiedyś, jak powiadają, ten ikonostas przepiłowano i podzielono między muzea, a tylko jego część tu została... Zwalono to na jeden stos; ściany w zaciekach, poprzez szarą pajęczynę gniewnie spoglądają jacyś święci. Wieczny półmrok panuje w zakątkach soboru. Jedynie w górze, pod latarnią głównej wieży — błękit jak w niebie; pośród złocistych gwiazd bielił się namalowany gołąb z rozpostartymi skrzydłami; ocalał również obraz jakiegoś świętego młodzieńca w jasnopurpurowym płaszczu. Tam nie było ni kurzu, ni pajęczyny, tam panował jasny błękit nieba. Niebo właściwie było ciemnobłękitne, a na nim złote gwiazdki! Jelka stała pośrodku soboru jak głucha i patrzyła w głąb wielkiej latarni najwyższej wieży, gdzie wszystko zostało tak, jak było niegdyś. Głębina ta jakby wciągała w siebie duszę Jelki, wciągała jak wir... Oczu nie można było oderwać, dostawało się od tego zawrotu głowy, jak się dzieje z człowiekiem, gdy stoi nad przepaścią, do której coś go popycha... „Jestem zbezczeszczona. Zbezczeszczono mnie. Nie wolno mi, nie mam prawa tu stać!" — wołało w niej sumienie. I z jakimś zapamiętaniem stała w tej zaśmieconej świątyni utkwiwszy wzrok w wysokim błękicie nieba. Nie zaśmiecony został tylko ten skrawek soboru, który swą czystością nawiewał na nią jakiś lęk, czystością pokuty, poczuciem winy, oraz podmuchem jakiejś niepewnej nadziei. Oto piękno unoszące się nad nią w górze — czemu przedtem przed nią się nie ujawniło?

— Nie myśl, żeś się znalazła w planetarium, Jelko! — zawołano na nią wreszcie. — Dość tego gapienia się, chodź do nas, pomóż nam.

Wszyscy byli zakurzeni tym przydziałowym zbożem, trudno było poznać dziewczęta i gdy Jelka też się wzięła do nagarniania zboża do worków, to poprzez kurz widziała tylko czyjeś zakurzone buty, drepczące niemrawo koło worka.

Potem i jego dostrzegła, brygadzistę. Po raz pierwszy po tej nocy wyszedł z magazynierem z jakiegoś zakamarka, podszedł bliżej, rozpiął kurtkę i powiedział energicznie:

— Ładujcie, ładujcie, dziewczęta, porządnie. Nie zawsze można dostać taki anielski pokarm!

I wyraźnie było widać, jak ucieka wzrokiem, jak unika spotkania się spojrzeniem z Jelką. A kiedy się śmiał, to jego oczy zupełnie znikały. Uśmiech był, lecz bez spojrzenia. Śmieje się, a oczy zupełnie znikają pod zakurzonymi powiekami — w ten sposób ślepnie w swym uśmiechu. „I ten oto bezoki człowiek, z głową mocno osadzoną w ramionach, z oszukańczym uśmiechem, to jest człowiek, któremu w nocy oddałaś się we łzach? Ten, który prawił ci słodkie słówka, który namiętnym swoim bełkotem oraz swym współczuciem duszę twoją rozdarł?" Jelka poczuła, że nienawidzi samej siebie za tę chwilową słabość, za to, że pozwoliła się oślepić. Wybraniec? Krępy, krągłolicy, a wzrostem był niepozorny, szczególnie teraz, kiedy się garbił w swojej kurtce z barankowym kołnierzem.

Kiedy trzeba już było wynosić worki z soboru, Jelka z nienawiścią krzyknęła do brygadzisty:

— Sami noście!

— A ty?

— Ja mam wolne.

W onieśmieleniu trzepocząc powiekami, nic jej nie powiedział, zatkało go. Dziewczęta też zdecydowały, że dźwiganie do samochodu ciężkich worków to nie dla kobiet i wyraźnie odmówiły. Jelka, stojąc z boku i patrząc spode łba, widziała jak oni we dwóch — brygadzista i magazynier z iksowatymi nogami, jego kompan od kieliszka, wloką worki z soboru, zderzając się z nimi we drzwiach; wyglądali niepozornie, drepcząc nieporadnie z tymi workami przed ogromnym soborem niby jakieś żuki czy korniki. „Czyż po to mam żyć? Żyć dla przydziałów? Nie chcę! Nie będę! Jeżeli gdzieś się nie utopię na łasze Wilczej, to wyniosę się ze wsi. Nie dostanę pozwolenia na przeniesienie się, to i bez zezwolenia żyć będę. Tu moja ziemia, tu mój świat." Jedynym ratunkiem dla niej było teraz życie bez zezwolenia na zamieszkanie gdzie indziej.

Gdy szła zamyślona do swego samochodu, kierowcy innych samochodów zaczepiali ją żartami, lecz Jelka im nie odpowiadała, zaczepki nie wzbudzały w niej nic innego

prócz obrzydzenia. Wszyscy wydawali się jej teraz nienawistni, wszyscy byli równi brygadziście. Brutalni, lepcy, w ich słowach słyszała oszustwo, a ich uściski były jej wstrętne.

Przed odjazdem jeszcze raz poszła do wuja Jagora, lecz go nie zastała. Wracali do domu. Wszyscy byli w złych humorach, jakby się wszyscy ze sobą pokłócili. W drodze brygadzista usadowił się między workami, daleko od Jelki, widać obawiał się, by Jelka mu się nie narzucała, by nie próbowała odciągnąć go od żony. „Nie obawiaj się — posłała mu w duchu swą pogardę. — Splunęłam na ciebie. Nigdy mi się nawet nie przyśnisz."

Już pierwszej nocy w domu przyśnił się jej sobór. Przyśniło się jej, że sama stała pośrodku soboru, spoglądając w głębinę jego kopuły, a tam, zamiast potoku światła, zamiast błękitnego nieba ze złotymi gwiazdami nie wiadomo czemu szarzał mrok, a nawet było zupełnie ciemno, i ktoś jakby tam w tym mroku dreptał w miejscu. Dokoła Jelki ściany świątyni jakby się zsuwały i zewsząd wyłaniały się szczeciniaste łby dzików, nie namalowane, lecz żywe, poruszały się.

Ocknęła się i do świtu nie mogła zasnąć. Wszystko od nowa przemyślała po kolei: udoje... makuchy... gwiaździsta woda... I jakby sobie na złość stwierdziła: „Oto ci woda gwiaździsta... To twoja kałuża..."

Podle ułożyło się życie Jelki. Żona brygadzisty nie dała spokojnie przejść do klubu. W klubie lepiej się nie pokazywać — naurąga, błotem obrzuci:

— Bękart! Wykurwek wojenny! To tego w szkole was uczono? Jak cudzych mężów uwodzić?

I tak spostponuje, że nie wiadomo, gdzie się podziać. Czyż jej wytłumaczysz, czyż uwierzy, że brygadzista umarł dla niej, nie istnieje i istnieć nie będzie? A nawet gdyby się zakochała? Nie ma prawa czy co? Powiedzcie, wy, mądrzy, jak ma postępować dziewczyna, gdy nagle zakocha się w żonatym? No, zgoda, że to nie o niej, ale z inną przecież mogło się stać?

Brygadzista po pewnym czasie znowu próbował ją objąć, lecz na tym się skończyło. Ale i ze swoją wrzaskliwą żoną już nie żył. Zmęczony jej zazdrością zmuszony był wynieść się ze wsi. Początkowo urządził się w sąsiednim kołchozie, a stamtąd przeniósł się gdzieś dalej, znikł z horyzontu. Po-

tem krążyła wieść, że widziano go na terenach kopalni Zachodniego Donbasu.

Żona brygadzisty odtąd wprost oszalała. Takie plotki puściła po wiosce o Jelce, że wszystkie kobiety zaczęły podejrzewać ją o najgorsze.

— Patrzcie, oto idzie ta, co żonatych deprawuje!

— Może i mojego już uwiodłaś? A on przecież ma dzieci! A przecież on ma mnie!

Wszędzie biegną za Jelką złe, dociekliwe oczy, złe ręce gotowe przy najmniejszym, nawet urojonym podejrzeniu chwycić ją za włosy. Jego nie winiły, że uwiódł dziewczynę, cały grzech spadł na Jelkę.

Niektórzy chłopi naprawdę uwierzyli, że ona dla każdego jest teraz dostępna, byle hultaj, który niejednej już alimenty płacił, czuł się upoważnionym do napastowania Jelki, domagania się wzajemności.

— Sprytna, sprytna poszła Magdalena — słyszała nieraz za sobą.

Gdybyż to ludzie wiedzieli, jak to wszystko jest jej teraz nieznośne. Lecz nie było to gorsze od tego uwodziciela, który zniweczył jej niewinność. Zhańbiono ją i za to musi sama płacić; tyle doznała upokorzeń, tyle musiała wypić goryczy...

Nawet stary stróż pewnej nocy podkradł się pod jej okno i zaczął skrobać niby pies pazurem:

— Jelko, Jelko, wpuść pogrzać się...

Otworzyła drzwi i z pasją krzyknęła mu prosto w twarz:

— Żebyś zdechł, dziadu!

Matki też przestrzegały synów przed nią. Jeden z nich spróbował zalecać się, syn buchaltera, ale matka na całe gardło zaczęła krzyczeć:

— Ta Czeczilka-latawica ma być moją synową? Inni wianuszek zabrali, a ty mi ją do chaty przyprowadzisz?

I wszystko wykrzyczała, jak ta szlaja z brygadzistą się puszczała, jakie to przydziały oni tam pobierali w tym soborze...

A brygadziście, który zdezerterował, widać zapadł w serce jakiś okruch tej nocy, gdy nocowali koło soboru. Po pół roku list przysłał, zapraszając Jelkę do kopalni. Przyjeżdżaj. Rozwód wezmę. Zaczniemy nowe życie...

Przyjaciółce najbliższej, Hanusi z ptasiej farmy, zwierzyła się z tego listu.

— Żeby tak mnie zapraszał, to bym pojechała — powiedziała Hanusia.

— Raczej umrę, niż do niego pojadę. Obrzydł mi on. Nienawistny mi jest. Wszyscy oni tacy. Nie ma, Hanusiu, porządnych ludzi. To tylko w książkach...

I naprawdę tak myślała. Nie ma ludzi czystych, nie ma prawdy, przepili całą, na bimber przerobili! Kłamstwo dokoła, słowa bez pokrycia, każdy żyje tylko dla siebie. Wszyscy są jak ten brygadzista o żelaznych rękach, który mimo wszystko osiągnął to, czego chciał, zabrał wianuszek, brutalnie zdeptał barwinek wiosenny.

Przyjaciółka nie zgadzała się z nią przytaczając różne przykłady, ale Jelkę to tylko jeszcze bardziej denerwowało: nie i nie! Świat wydawał się jej wrogi. Raz po raz wracała do tego, by wynieść się tak jak inni z tej wsi, do fabryki czy do jakiejś nowej budowy.

— Cegłę będę nosiła. Najcięższa robota mnie nie przeraża.

W zarządzie farmy ustosunkowano się do tego inaczej. Kierownik, człowiek łagodny, rzeczowy, który dla Jelki był życzliwy, starał się ostudzić jej zapał, gdy przychodziła do kancelarii, by dowiedzieć się, czy otrzyma zgodę na odjazd.

— My przecież ciebie cenimy, Jelko... Jesteś bardzo pracowita. Czemu ci na farmie jest źle? Może tu i order otrzymasz... A to, że baby mielą ozorami? Od tego są babami. Dziewczyna ładna, jeszcze los do ciebie się uśmiechnie.

Raz i drugi jej wyperswadował i tak się ciągnęło do wiosny. Bardzo możliwe, że byłaby została, rany powoli by się zagoiły, gdyby nie awantura, jaką zrobiła jej zootechnik, której mąż nie nocował w domu. Przybiegła na farmę i zaatakowała Jelkę koło silosu wyzwiskami, mimo że ta nie wiedziała nawet o co chodzi. Cisnąwszy widły do silosu, Jelka pobiegła do kancelarii ze stanowczym zamiarem nie zgadzania się na dalsze namowy.

Ani kierownika, ani kierownika organizacji partyjnej nie zastała, był tylko buchalter. Siwy, głowa jak dynia, jedno oko własne, drugie sztuczne.

— Paszport? Wykluczone, Jelko — powiedział kategorycznie wysłuchawszy jej żądania. — Wszyscy stali się mądrzy. Wszyscy tylko by chcieli odejść, a kto tu będzie pracował?

Słowa te rozzłościły ją jeszcze bardziej.

— A ja co — jestem przykuta do tego miejsca? Czy do późnej starości mam siedzieć w tym śmierdzącym silosie? Deklaracji, że nie odejdę, nikomu nie składałam.

— No, no!... — stropił się buchalter. — No, toś zaśpiewała... Z jakich to książek tegoś się nauczyła, towarzyszko Czeczil? Czemu to zbrzydła ci u nas robota? Mleko i śmietana ci się przejadły? Chcesz smaczniejszego?

— Swobody chcę.

— A więc to tak! U nas za mało ci swobody?

— Innej poszukam.

— Poszukaj, może znajdziesz... Stamtąd niejedna już razem ze swobodą w podołku gwardzistę matce przyniosła... A może z papierosem w zębach wrócisz do nas, ty, poszukiwaczko swobody?

— Nie wrócę! Nigdy! Obrzydła mi wasza farma.

Buchalter znacząco przymrużył własne oko.

— Dokądżeż to zamierzacie wywędrować, jeżeli to nie tajemnica? Czy nie w ślad za dziadkiem do kopalni?

— A cóż to, czy tam nie mój kraj? Czy tylko tyle jest ziemi ojczystej, ile zajmuje ta wasza zafajdana farma? Myślicie, że płakać będę za nią, za waszymi „dobrodziejstwami"?

— Przynajmniej adresik przyślij, gdzie będziesz...

— Będę tam, gdzie nikt nie będzie mnie prześladował. Gdzie nikt nie będzie oblewać mnie pomyjami, jak to robi wasza pyskata małżonka.

— Ciszej, ciszej — szepnął buchalter, zerknąwszy na okno, i od razu zaczął rzeczowo: — Gdyby to zależało tylko ode mnie, Ołeno, to bym cię nie zatrzymywał... Wyjechałabyś, dokąd byś chciała, żebyś naszych chłopców nie bałamuciła, nie wnosiła w małżeństwa niesnasek... Bo i u mnie w domu chaos, awantury, ale nie wiem, czy są do tego jakiekolwiek podstawy...

I czekał, aż Jelka coś powie, lecz ona milczała.

— Otóż ja, jako ojciec rodziny, byłbym osobiście za tym, by dać ci zwolnienie... Ale porządek musi być. Sama widzisz: rąk do pracy nie starcza. Nam twoje ręce są dziś bardzo potrzebne...

Jelkę jakby batem smagnął.

— Wam tylko moje ręce są potrzebne! Widzicie, jak się potrzaskały od waszego „dobra"! — I aż pod nos podsunęła buchalterowi swoje mocno spracowane dłonie.

— Tylko bez tego! — buchalter się cofnął, obawiając się o swe szklane oko.

— Ja mam nie tylko ręce! — krzyknęła Jelka cała zapłoniona i nie zdająca sobie z niczego sprawy. — Ja mam również duszę. Nie całą ze mnie jeszcze wymotano... Nie dacie zwolnienia, sama odejdę!

— Bez paszportu, dziewczyno, daleko nie zajdziesz... Tam prędko się tobą zainteresują. A dokumentów, wybacz, w żaden sposób... Krzycz czy proś, choćbyś ziemię gryzła...

I dokumentów nie wydał.

A wieczorem na podwórzu buchaltera znowu była kłótnia, znowu stamtąd na całą wieś rozlegały się dzikie wrzaski jego żony:

— Chcesz tę zbezczeszczoną? Ktoś rosę otrząsnął, a ty do chaty chcesz ją przyprowadzić?

Krzyk ten wystarczył Jelce za paszport. Z kamieniem tych słów w sercu — „rosę otrząsnął" — przed świtem ruszyła do miasta, by zniknąć tam, by w jego wirze zniknąć na zawsze.

4

I tak Jelka znalazła się u swego wuja, Jagora Kartatego, w Zaczepiance.

W jaki sposób mogła mu wytłumaczyć swoje przybycie? Że ponoć zwolnili, gdyż ma zamiar wstąpić do jakiegoś technikum na naukę. Wuj nawet jakby uwierzył. Krzepki, żylasty, o twarzy topornej, na której życie poorało głębokie bruzdy, spojrzał na nią uważnie spod nawisłych brwi:

— A dokumenty jak tam... masz w porządku?

— Nie wszystkie jeszcze posiadam — zmieszała się siostrzenica. — Ale będą.

Wuj może czegoś się domyślał, a może nawet coś przeczuwał, lecz nie dopytywał się dalej.

— No to mieszkaj sobie, wypoczywaj. Może i mnie coś pomożesz. Bo odkąd owdowiałem, nie ma komu w chałupie ładu utrzymać. A do tego sadek, ogródek... Wszystko bez rąk kobiecych marnieje.

Wyprowadził ją do sadu, pokazał grządki truskawek, zbyt stare drzewka morelowe oraz gruszę, którą, widać, lubił najbardziej.

Sam ją szczepiłem... Dziczką była, a teraz, widzisz, gruszki jak rękawice na niej wiszą.

Gruszki naprawdę zwisały z gałęzi olbrzymie, szorstkie jak rękawice hutnicze, które wiszą w chałupie wuja. I wąż do polewania pokazał, i studnię z „Kamą", z malutkim motorkiem, który uruchamiał pompę.

Podobało się tu Jelce.

Osiedle spokojne, z ogródkami, a za ogródkami, za Dnieprem dzień i noc dymią kominy fabryczne. Rano, gdy wszyscy pójdą do pracy, w Zaczepiance panuje bezludzie, tylko dzieciarnia, przejedzona owocami morwy, hałasuje na ulicy i koło łachy. Niekiedy sąsiadka, Szpaczycha, wyprostowawszy się nad grządką, przerzuci się z Jelką ze swego ogrodu słóweczkiem. Jelkę dzieckiem nazywa. A poza tym niewidomy czołgista pogwizduje na swoim podwórzu, coś tam majstrując bez końca. Oczy stracił na froncie. Kiedy idzie ulicą, stąpa pewnie, jakby widział doskonale. Spotkanych poznaje bezbłędnie. Pewnego razu Jelka, biegnąc po chleb, chciała przemknąć koło niego niepostrzeżenie, lecz ją zatrzymał i to nawet ze złością:

— A ty co za jedna, że się nie witasz?

Jelka, zawstydzona, powiedziała cicho:

— Dzień dobry!

I teraz odważyła się spojrzeć w jego ciemne okulary.

Czołgista, dzieciarnia, pochylona kobieta pieląca w ogrodzie... Poza tym w sadku Bagłajowskim całymi dniami wałkoni się w hamaku student wydziału metalurgii, ten, który co rano biega dokoła łachy dla zaprawy sportowej. Nabiega się i wtedy wraca do chałupy z tym zupełnie łysym mechanikiem, wraca na cały dzień albo kładzie się w hamaku pod morwą odgradzając się od świata książką.

Zaczepianka, mimo że żyje z fabryki, o ziemi też nie zapomina, nie oderwała się od niej. Kartaty z zadowoleniem patrzy na obfite plony. „Dary natury, Jelko... Piękne latko nie poskąpiło. Latem tylko szczęką ruszaj, żeby gęba się nie rozleniwiła..." Ledwie się skończą czereśnie, a już zaczynają się czerwienić wiśnie, morwy sypią owocami, a tylko patrzyć, jak zaczną dojrzewać morele. Zdarza się, że tak obrodzą czereśnie, iż kobiety nie mogą z nimi się uporać, wtedy ogłasza się powszechną mobilizację i poważni hutnicy wraz z dzieciakami wspinają się na drzewa, aż Jelkę na ten widok śmiech ogarnia, jak ci ludzie, co w fabryce są

autorytetami, ci, co potrafią wyprodukować najtrwalsze wytopy, może nawet do produkcji rakiet międzyplanetarnych, pokornie pełzają na czworakach po grzesznej, piaszczystej ziemi, po łatwo rozgniatających się truskawkach i na wyprzódki z dziećmi zbierają dary szczodrej zaczepiańskiej ziemi. Pohukując, śmieją się ze swej niewoli:

— Jak tam Koszbenkowa brygada, normę wyrabia? — rozlega się gdzieś z ogródków. Po czym słychać odpowiedź:

— Szturmowszczyzna i tu obowiązuje, niech ją drzwi ścisną!

— A tu jeszcze kumie trzeba pomóc...

Wszyscy tu są kumami, swatami, braćmi. Nie ma złodziei ani leniów. Rodzice tu żenili synów i osiedlali koło siebie, wszyscy się rozbudowywali: na jednej działce po dwie, po trzy chałupy się tłoczą, obok starych wyrastają nowe budynki, mocne, wznoszone ze szlaki. Dawniej, jak powiadają, było tu luźniej, teraz ciaśniej, lecz Zaczepianka tym się nie martwi, żyje wesoło. Żyją ci ludzie z niczym się nie kryjąc, mieszkają osobno, a żyją jakby wspólnie, na widoku wszystkich. Kobiety wszystko o sobie wiedzą, co która piekła, co gotowała, której mąż całą wypłatę przyniósł do domu, kto na loterii wygrał.

Od dzieci tu aż gęsto i dzieciarnia nie wiadomo czemu lgnie do tego studenta Bagłaja. Znoszą mu tu pod morwę różne żuczki, koniki polne, dokądś go wołają, a on czasem nawet się zmarszczy z niezadowolenia, lecz odkłada konspekty i idzie z malcami na łachę lub na cmentarz.

Młodzież w Zaczepiance przeważnie ciemnolica — chłopcy są smagli i dziewczęta smagłe. Gdzieś pracują, gdzieś się uczą, znikają na cały dzień i dopiero wieczorem wracają na swoją ulicę Wesołą. Wtedy w Zaczepiance robi się gwarniej, słychać odbiorniki radiowe, warczą motory, słychać nawoływania... Po podlaniu ogródków zbierają się grupami to koło jednego, to koło drugiego podwórza, najczęściej w domino grają, a że uliczka nie służy dla ruchu kołowego i kończy się na łasze, więc wprost na ulicę wynoszą stoliki i ustawiają pod latarniami, i cały wieczór klekoczą tam kostkami do gry, czując się bezpiecznie: nikt nie przyjdzie, nikt nie zakłóci spokoju. Dokoła stolików graczy żaby skaczą, znalazły sobie dogodny sposób polowania na owady, które opalone lampkami elektrycznymi spadają na ziemię i tylko je zbierać, nawet już podsmażone...

Nowy, nieznany Jelce świat zaczepiański. Niekiedy, podkradłszy się pod płot, długo, niezauważona, patrzy ze swego ogródka na ludzi zaczepiańskich, na tych upartych o wysokich czołach graczy w domino. Dla wuja Jagora domino nie istnieje, on uważa, że jest to strata czasu, zajęcie bezowocne, od którego człowiek tylko głupieje. A Jelce czemuś się podoba hazardowa gra, to mocne postukiwanie kostkami pod latarniami ulicznymi. Dużo tu jest ładnych twarzy, nie tyle rysami ładnych, ile jakąś godnością, spokojem, pewnością siebie. Kiedy głośno stukają kostkami domina po stole, kładąc je z rozmachem, to wygląda to tak, jakby wszyscy razem bili jakiegoś nieprzyjaciela, aż zęby zaciskają; wtedy widać ich ręce, u niektórych aż po same łokcie czymś oparzone, jakimiś kwasami przy pracy, u niektórych już zabliźnione i węzlaste, przez co stały się jakby jeszcze mocniejsze. Twarze niekiedy są blade, zmęczone nadmiernie, lecz widać w nich stanowczość, w każdej zaduma na czole, mimo iż w tym czasie metalurgowie nie myślą o Hiroszimie ani o biurokracji, lecz o tym, jak by tu zrobić „dach" taki, żeby partnerzy ryknęli z podziwu.

Młodzi najczęściej koczują koło obejścia Bagłajów albo jeszcze dalej — koło Orlanczenkowego podwórza. Chłopcy tacy, że zapatrzysz się mimo woli. Dzień spędzają gdzieś w oddziałach fabrycznych, w wodociągach, na dźwigach i koparkach, a wieczorem — już wystrojeni, uczesani, w czarnych modnych trzewikach pojawiają się na ulicy Wesołej, starając się stąpać raczej po trawie niż po kurzu ulicy, by nie zakurzyć swych ostronosych trzewików. Niekiedy i ten Bagłaj-student zjawia się w towarzystwie i już nie w wypełzłym dresie, którego cały dzień nie zdejmuje, lecz wystrojony — w ubraniu wieczorowym, w białej wyprasowanej koszulce z krótkimi rękawami lub w nowym szarym swetrze, w którym tak mu do twarzy. Wysoki, przystojny... I też w szpiczastych trzewikach, wyglansowanych do połysku przed tańcami — widać dziś będzie tańczyć z jakąś dziewczyną... A kiedy chłopaczyska ciągną go, by zagrał z nimi w piłkę, to wymiguje się, wskazując na trzewiki, na sweter — wystroił się przecież nie do gry, ale czy można ich przekonać — nie dadzą mu spokoju, póki lekko nie podwinie rękawów swego swetra (robi to tak jakoś delikatnie i ładnie) i nie nastawi rąk do piłki... Pochłonięty grą, nawet o kurzu zapomina, a kurz aż dymi spod nóg,

i czatuje na piłkę dopóty, dopóki koledzy go nie odwołają. Wtedy student się opamięta: otrzepie ubranie, nogę postawi na ławce i oczyści kurz z trzewików, po czym poprawi wzorzyste skarpetki, najpierw na lewej, potem na prawej nodze, podciągnie dokładnie. Już wraca do kolegów i oto roześmiana gromada pociągnęła koło soboru, prawdopodobnie do parku wytwórni betonowej, na tańce...

Wuj Kartaty nie lubi, kiedy Jelka wpatruje się w tamtą stronę.

— Pókiś nie zameldowana, Jelko, to uważaj... Żyj tak, jakby cię tu wcale nie było.

Tak wuj postanowił i tak musi być. Ani nogą za próg. Żyje, jakby jej wcale tu nie było. Ludzie nie są natrętni, jakby czekali, by sama przyszła i im się przedstawiła. Tylko wczesnym rankiem step niekiedy nawołuje Jelkę głośnym wołaniem przepiórek: gdzieś za ogródkami czy na cmentarzu zamieszkała przepiórka stepowa. Każdego ranka radośnie pitpilika! Jelka chodziła tam, szukała w burzanach cmentarnych swojej krajanki, lecz nigdzie jej nie spostrzegła.

Jedyną dostępną dla Jelki drogą jest ta prowadząca do Dniepru, do boi na Dnieprze, które obsługuje Kartaty. Przez cmentarz, gdzie aż do zaczadzenia pachną macierzanki, przez usypane mogiłki, porośnięte kolczastą tarniną i innymi krzakami, gdzie na przekór zakazowi kozy robotnicze beztrosko się pasą, dostając się tu przez dziurę w ogrodzeniu z drutu kolczastego, którym ogrodzono stację pomp. Po chwili już się jest na brzegu, koło budki, w której przechowywane są zapasowe boje, i koło łódki na brzegu. Cóż to za swoboda, co za przestrzeń dla duszy! Motorówki terkoczą na Dnieprze, prześlizgują się koło barek, płyną jak we śnie... Brzeg przeciwległy — to bastiony fabryk, czarne, spowite dymami, szare usypiska żużlu nad samym Dnieprem, te, co przez całą noc migocą rozpaloną lawą. Teraz są ciemne niby wygasłe wulkany. Trochę wyżej na brzegu, wśród ciemnej zieleni parku jest przystań wodna metalowców, wspaniała, z prześwitami, niebiesko-biała niby jakiś pałac kozacki. Przystanie dla łódek, kawiarnia z orkiestrą, na wysepkach różne urządzenia rekreacyjne. Z tego wszystkiego korzysta ludność fabryczna, zwykli śmiertelnicy tacy jak Jelka. Nie tylko produkują tu różne ulepszenia, lecz i sami z nich korzystają. Odpracowałeś swą zmianę i baw

się, jest jeszcze biały dzień. I idą do kina, do parku, na Dniepr i do wioseł... Gdzie indziej tylko przy okazji oczy Jelki ujrzą coś innego, wtedy, gdy ich samochód ciężarowy rozwozi po dalekich swobodach, wtedy Jelka zobaczy ludzi zmęczonych do ostatecznych granic, wymizerowanych, jakby ich wyciśnięto. Dziewczęta z fabryki, gdy wracają ze zmiany, piosenek nie śpiewają jak tamte, ze stepu, gdy wracały z pola. Bo tam, gdy tylko mknie z pól wieczornych samochód ciężarowy, to wiatr roznosi dokoła strzępy piosenek... Człowiek, pracujący w fabryce, potrzebuje dłuższego czasu, by wrócić do siebie po pracy, Jelka wyraźnie to zauważyła. Na razie ma przed sobą tylko tereny wypoczynkowe hutników, święto lata, spokojne piękno wód Dniepru; tu i tam ludzie mkną całymi rodzinami, z dziećmi, a gdzie indziej przemknie łodzią motorową jakaś parka — dziewczyna i młodzieniec, ogorzali na słońcu, oboje beztroscy, pędzą w stronę ledwie widocznych wysp na Dnieprze, wprost na zachodzące w łunie pożaru słońce wieczorne, na nocne wyprawy z komarami, z przygodami i prawdziwą miłością...

Życie tu kipi, fabryki dymią z przeciwległego brzegu, gdzieś z zakładów metalurgicznych dochodzą jakieś tajemnicze odgłosy; słońce osiada za spowite mgłą wzgórza, za dalekie kominy; gładzizna dnieprowa liliowieje, różowieje, fale wyginają się, kołyszą się w gasnących promieniach odblaskami aksamitu. Aksamity te stopniowo zagęszczają się amarantami. Przepłynie bialutki statek wycieczkowy z ludźmi z fabryki, jakby pływająca wyspa, w odgłosach muzyki, którą daleko słychać nad wodą, przesunie się i dopiero po pewnym czasie przybije do brzegu podniesiona przez statek fala i głośno pluśnie o piaszczysty brzeg tuż u nóg Jelki.

„Potężne! Kolosy!" — tak by się wyraziła Jelka o wieżach hutniczych, o tych czarnych zakładowych soborach Wszystko tu jest spowite w dymy, wszystko w jakichś podziemnych, zagadkowych odgłosach.

— Czy kobiety też tam pracują? — spytała kiedyś wuja Jagora.

— Jest ich tam tysiące.

— I ja bym też chciała.

Ale wuj tego by jej nie życzył. Nie jest im tam słodko w tej kurzawie aglomerowni, sama się jeszcze przekonasz,

zobaczysz kobiety pracujące łomami przy remoncie torów fabrycznych i na dźwigach, kiedy przepływają na tych dźwigach tuż nad płomieniem pieców. Czyż to praca dla kobiet? Czy taka kobieta może potem dzieci rodzić? Przyjdzie czas, kiedy kobiet wcale w wydziałach hutniczych nie będzie, chyba że będą tylko podawały hutnikom kwas witaminizowany. Przede wszystkim trzeba, żeby kobiety były zwolnione od prac szkodliwych dla zdrowia przez całą tę mechanizację i automatyzację, która wyręcza człowieka. Za jego, Jagorowej, młodości, ludzi przy piecach hutniczych było jak mrówek. Żeby piec załadować rudą, do samego dowozu tej rudy trzeba było chyba tysiąc chłopa, a teraz wystarczy dwóch.

O zachodzie słońca wuj i Jelka wsiądą do łódki i popłyną zapalać światła na bojach; łódka kołysze na tych malinowych falach Dniepru. Niekiedy docierają aż do hałd szlaki, które u wuja wywołują zadumę.

— Zupełnie jak wulkany — zapatrzywszy się powiada Jelka.

— Te góry, Jelko, to wykipiała nasza praca.

Dymy wiecznie tu czadzą, opadają wielkie płaty sadzy.

— Kto mieszka tam, koło zakładów, ten białego śniegu nie ujrzy — wykrzykuje wuj Jagor. — Upranej bielizny nie wieszaj, bo od razu czarna się zrobi. Kiedyś i ja tam mieszkałem. Nałykałem się. Rano, bywa, idę do roboty i na sadzach ślad pozostaje jak na śniegu. Na ławkach, na liściach drzew, na wszystkim sadze. Tony i tony spadają ich na miasto każdej doby. Dawno się mówi o tym, żeby zainstalować filtry, ale póki co, językami na razie filtrują.

Nie, nie na kobiece ręce robota w hucie, znowu przestrzega siostrzenicę wuj Jagor, tam i nie każdy mężczyzna wytrzyma. Tam przy piecach nie ujrzysz cherlaka, wszystko chłopy silne, tam potrzebni są ludzie krzepcy.

— Kiedy nas przyjmowano do pracy, to przede wszystkim zdrowie badali, najpierw trzeba było przejść przez ręce lekarzy, zdrowie swoje pokazać i dopiero wtedy gadaj, co byś chciał robić...

Jelce jeszcze matka opowiadała, że wuj Jagor, po tym jak załamała się pod nim taczanka machnowska, jak jej koła rozjechały się na cztery strony świata, poszedł do zakładów, na robotę najtrudniejszą — rudę dowoził. Teraz nawet takiego zajęcia nie ma, przeminęło. Patrząc na steranego wu-

ja, Jelka nawet nie może sobie wyobrazić, że kiedyś był młody, a przecież był...

— Wuju, a czy w zakładach, kiedyście przyszli ze stepu, ciężko wam było przywyknąć do pracy?

— Och, nawet sobie wyobrazić nie możesz! Wtedy dopiero pierwszy piec zbudowali, całymi tygodniami nie wychodziliśmy z zakładów, nawet tam nocowaliśmy. Wtedy to jakoś w step wyskoczyłem. Kiedy znalazłem się na nim po długiej rozłące, twarzą upadłem na zieloną trawę, uwierzysz, tarzam się po niej i płaczę... Śmieję się i płaczę. Z czasem przywykłem do murów, polubiłem zakłady, wszystko jakoś się ułożyło...

— Życie zmęczyło?

— Ano, nie przehulałem go. Napracowałem się, Jelko, och, napracowałem się w życiu. Wciąż twarzą do ognia... I ślady tego zostały... Samej szlaki całe góry... A nasz metal i po morzu pływa, i pod niebem lata...

Dymy z bliska aż duszą Jelkę, ciężko pełzną od strony zakładów, teraz i ona chciałaby jak najprędzej stąd uciec, ale staremu się nie spieszy, spokojnie grzebie się koło boi i przy tym jeszcze dokonuje kwalifikacji tych dymów: biały — to jeszcze nic, ale i czarny, ten co kłębami wali, też nie najgorszy, najgorszy jest ten żółtobury, a nawet czerwony, który rozwleka się po okolicy całymi kilometrami i długo stoi nad osiedlem, i sprawia to, że niebo staje się rdzawe... Od takiego to i zielone drzewa żółkną...

Nad jednym z kominów gaz się pali, wygląda jak olbrzymia latarnia, niebieskawy płomień trzepocze jak płatki jakiegoś kwiatu.

— Cóż to za latarnia, wuju?

— Droga to latarnia. To nasze grosze tak się spalają. Nie nadążamy gazu wykorzystywać jak należy... A tam nad parkiem, widzisz? Na wysokiej kolumnie... Toż to Tytan! Rozerwał kajdany, którymi był przykuty do skały i depcze orła, który szarpał jego wnętrzności... Tytan pracy pozbawiony okowów. Prometeusz pracy... Nasi hutnicy z pierwszego żeliwa rewolucji go odlali i sami postawili. Prawda, w czasie okupacji niemieckiej trzeba mu było zejść z cokołu, na zwałach złomu przeleżał, w podziemiu... A teraz spójrz, znowu jak drużynowy nadzór nad zakładami pełni...

Przeszłość wuja jest dla Jelki zagadkowa. Mała jeszcze

była, gdy słyszała o dwóch braciach: jeden poszedł do czerwonych i gdzieś na Perekopie poległ, a drugi, zupełnie jeszcze mały, znalazł się u Machny, stepowa wolnica go pociągnęła, junackie życie taczankowe. I gdy pierwszy brat nawet po śmierci był dla matki przez wiele lat jakby jakimś wsparciem, to o drugim, żywym, matka tylko z rzadka odważała się opowiadać Jelce. Tym drugim był właśnie wuj Jagor. I choć ta przeszłość dawno minęła, to jednak ożyła, gdy wygasła grzeszna legenda, i wuj Jagor, spracowany hutnik, był jakoby rehabilitowany, lecz i dalej wspominano o tym półgłosem, cichutko, żeby nikt nie słyszał. I sam wuj też nie lubi, kiedy wspominają jego hulajpolską przeszłość.

Pewnego razu, gdy boja była już zapalona i oboje wyruszyli w drogę powrotną, przysiedli na brzegu koło łódki. Jelka zebrała się na odwagę i zapytała, gdyż korciło ją dowiedzieć się, co to było to Hulajpole, którego cień przez całe życie wlókł się za wujem.

Kartaty tym razem nie rozgniewał się. Pokurzywszy, podumawszy, powiedział głucho:

— Krwawe bezhołowie to było.

— A swoboda?

— Krwawymi wiechciami ulatywała spod taczanek. Łzami i krwią swoboda ta się umywała, Jelko... Tygiel wytopu jest droższy niż wszystkie te rujnujące wypady...

W głosie wuja nie było teraz ni obawy, ni niepokoju, był tylko smutek i żal za czymś. Siedział zgarbiony ze wzrokiem utkwionym w ciemne zakłady na przeciwległym brzegu, w wielki piec i w czerwone migotanie, od którego całe niebo od czasu do czasu dyszało jakby olbrzymimi płucami.

— Ci, co Ukrainę wskrzeszali, odeszli w przeszłość, Jelko... Nie matka anarchia ją wskrzesiła, lecz ojciec Prometeusz...

Długo się zasiedzieli tego wieczora. Z zamierzchłej odległości, gdzie niby niczego nie było, zamigotały płomienie, czyste, pełne niezwykłego diamentowego blasku nadanego im chyba przez niebieskawą mgłę, z której się zrodziły.

Ruszali już do domu, kiedy przybiła jedna z zapóźnionych motorówek dnieprowych. Wysiadło z niej dwóch mężczyzn i nie spiesząc się zaczęli oglądać przybory rybackie Jagora koło budki.

— A rybka gdzie, Jagorze Zacharowiczu? — spytał jeden z przybyłych.

— Ryba w Dnieprze — bąknął Kartaty i przybyli, potraktowawszy odpowiedź jako żart, przysiedli koło starego.

Jelka siedziała opodal i przysłuchiwała się ich rozmowie o jakichś nowych przepisach rybackich, o tym, jak wczoraj w nocy przyłapano dwóch kłusowników koło jazu z kapronowymi sieciami. W ten sposób niby to żartem dano mu do zrozumienia, że na niego jest anonim od dnieprowych rybek.

Ze strzępów gazet rozpalili ognisko, które wybuchło i wkrótce zgasło. W blasku płomienia Jelka zdążyła spostrzec, że jeden z przybyłych miał wytrzeszczone oczy, był młody, charakteru pogodnego — uśmiech bez ustanku igrał na jego okrągłych policzkach. Obok niego, ćmiąc papierosa, siedział prawdopodobnie właściciel motorówki — nie ogolony, szczupły, w mycce na głowie, w wyszmelcowanym ubraniu. Ściszając głos, zaczęli wypytywać wuja Jagora o Jelkę, czyja jest i skąd. I kiedy posłyszeli, że dziewczyna przyjechała z zamiarem zaciągnięcia się do pracy w zakładach, to ów młodzieniec od razu się ożywił, zawołał Jelkę i chwacko się wyprostowawszy w swojej porozpinanej brezentowej kurtce spytał przyjaźnie, dokąd dokładnie ma zamiar udać się do pracy. Jelka się zmieszała, ciekawość przybyłych była dla niej zaskakująca. Nic określonego nie mogła im powiedzieć, więc sami zaczęli jej doradzać z zapałem, dokąd najlepiej jest wstąpić, gdzie będzie mniej zgłoszeń; okazało się, że mają znajomych i w szkole teatralnej, i w akademii medycznej. Mogłaby również zapisać się na kursy modelarstwa... Jelka potem odeszła, oni zaś dalej rozmawiali z wujem Jagorem, przerzucając się żartami — przede wszystkim chodziło im o zupę ze świeżego połowu.

— Nic się nie łowi? W takim razie my swoją przywieziemy, żebyście tylko ugotowali — powiedział młodszy o zadartym nosie i wesoło patrzących oczkach. — Bo nikt tak nie potrafi ugotować jak wy. Jeżeli nie tu, to my i do waszego domu trafimy, nie jesteśmy hardzi...

Widać było, że dawno znali Kartatego, znali jego biografię, bo w czasie rozmowy któryś z nich niby od niechcenia, niby żartem powiedział:

— No, co pamiętamy, to pamiętamy, Jagorze Zacharyczu...

Co powiedzieli poza tym, tego Jelka nie dosłyszała. Tyle tylko, że Jelce się nie podobało to, że wypominali wujowi jego przeszłość, jakby nie rozumieli tego, że można człowieka zranić mimo woli, a co to kogo obchodzi, co człowiek przeżył dawniej, co w nim się wypaliło... Został przecież zrehabilitowany tymi oto górami szlaki.

Potem mówili jeszcze o upadku moralności wśród dziewcząt, które tylko to mają na uwadze, by potańczyć lub pójść do restauracji.

— Kłopotów nie mają — doleciało jeszcze do Jelki z mroku. — Na życie patrzą jak na zabawę... Jeszcze to dziesięciu klas nie ukończyło, a już poronienia robi!

I mimo że mowa była o innych, z miasta, to Jelkę jednak ukłuło to nieprzyjemnie; zrozumiała, że zbłądziła w ciemności.

Jednak do niedoli Jelczynej nie ustosunkowali się obojętnie, gdyż żegnając się młodszy powiedział do Kartatego:

— Jej też pomożemy, gdy będzie trzeba. Należy torować drogi takim pracownicom z ludu.

„Gdybyście jeszcze znali moją biografię, to byście wtedy zaśpiewali" — z goryczą pomyślała Jelka.

Do domu wracali w milczeniu. Potykali się na wykrotach — wuj Jagor prowadził, Jelka szła za nim. Druty telegraficzne huczały wysoko nad nimi cały czas. Nad osiedlem świeciły gwiazdy, a gdzieś nad stepem rozsnuwały się chmury i bezgłośnie migotały błyskawice. Jelka czuła ciężar na sercu, sama nie wiedziała, czemu tak było. Na łasze w szuwarach pokrzykiwały kaczki — czy niepokoiła je chmura? Powietrze pachniało czombrem, było na sposób stepowy lekkie, jedynie gdy wiatr powiał od zakładów, wtedy ciągnęło czadem aż tutaj — spowijało całą Zaczepiankę tym jadowitym chmurzyskiem, burym jak po eksplozji atomowej. Całe niebo wtedy cuchnie. Ale to już niedługo. Dmuchnie wiatr ze stepu, z ziemi Jelczynej i znowu powietrze staje się czyste, całe przedmieście wionie zapachem lata. Wtedy Jelka nawet tutaj, w swojej nowej przystani, słyszy delikatne dzwonienie kłosów, suchy, upalny zapach dojrzewającej pszenicy.

By nie potykać się po nocy na mogiłach cmentarza, poszli wokoło, wychodząc na ulicę Szeroką. Późno już, nigdzie nie słychać uderzenia kostkami domina, nie szumią strumie-

nie wody po ogródkach. Utrudzone przedmieście śpi, spowite serpentynami ciepłej letniej nocy.

Ale ulica Szeroka naraz ożywa. Z niewidocznych zaułków, ścieżek, podwórzy, na majdan przed soborem wypadają cykliści, pędzą obok zakładów, tylko opony szumią. Nasunąwszy cyklistówki na oczy, mkną po bruku Szerokiej, mkną po ścieżce pod namiotami drzew, prześlizgują się w pobliżu Jelki, wszyscy ubrani na ciemno, w ubraniach roboczych, lekcy, milczący, jakby bezcielesne duchy tych fabrycznych przedmieść.

— Zmiana nocna jedzie — powiada poważnie i z jakąś zadumą Kartaty w ślad za nimi.

Oni zaś dalej mkną, chwila po chwili, z szelestem opon, z wiatrem szybkiej jazdy pędzą w stronę fabryki pod burym, potężnym niebem, które nigdy nad nimi nie gaśnie.

5

Właściwie to soboru jakby już nie było. Na jednym z ważnych posiedzeń, na którym omawiano przypuszczalną przyszłość Zaczepianki oraz rozpatrywano projekty jej zabudowy zgodnie z planem generalnym, w żaden sposób nie potrafiono znaleźć miejsca dla soboru: to komuś stawał na drodze, to znowu usiłowano go wcisnąć w jakiś jeszcze nie istniejący plan rozbudowy nowego mikrorejonu. Jakkolwiek członkowie posiedzenia posiadali kompetencje wąskie, lecz mogli mówić szczerze. Gospodarz rejonu, człowiek pochmurny, o oczach wypłowiałych i przenikliwych oraz o ziemistej cerze, marszcząc czoło, spytał:

— A dlaczego on musi tu stać?

W tym pytaniu nie było nic stanowczego. Można je było potraktować po prostu jako pełne wewnętrznego wahania zastanowienie się nad problemem. Mogło być zupełnie przypadkowe i nie mające żadnego podtekstu. Lecz mogło być i inaczej. Mogło to się tłumaczyć powiedzmy tak: z jakiego stulecia jest ten sobór? Osiemnastego? Czyż mało jest w republice pamiątek architektury z osiemnastego stulecia? I czy będzie to wielką stratą dla ludu pracującego, jeżeli o jeden obiekt przeszłości będzie mniej? Prawdopodobnie wymaga on remontu. Czy wyasygnować? Jak długo będziemy takimi sprawami obciążali budżet? Czy nie byłoby

bardziej celowo przewidzieć na jego miejsce wybudowanie czegoś, co naprawdę jest konieczne dla ludności naszej sławnej Zaczepianki? Takie właśnie pytanie mogło świadczyć o zastanawianiu się, które do niczego by nie zobowiązywało, lecz mogło zawierać w sobie siłę zamiaru.

Zaczepiankę na tym posiedzeniu reprezentował jej delegat Łoboda Wołodymir Izotowicz, syn sławnego kiedyś na cały kraj ober-majstra Izota Łobody, zasłużonego hutnika republiki. Łoboda-syn był dla Instytutu Wołodymirem Izotowiczem, dla Zaczepianki zaś dotąd jest tylko Wołod'ką, może dlatego, że jest towarzyski, bezpośredni w obcowaniu z ludźmi, wcale się nie wywyższa. Jakoś wypłowiał i wyłysiał zupełnie przy pracy w Komsomole, na głowie została tylko rzadziutka kępka włosów. Wołod'ka nawet sam pokpiwa z tej kępki: są to, mawiał, resztki z osełedca zaporoskiego. Obecnie ten krągłolicy, o kwitnącym zdrowiu Łoboda jest kierownikiem kulturalnym całego rejonu fabrycznego. Właśnie na zebraniu dał znać o sobie. Kiedy zbliżało się trzystolecie Rady Perejasławskiej i miało się odnawiać dawne pamiątki, a kredytów na restaurację soboru nie udało się znaleźć, Wołod'ka wpadł na pomysł:

— To i obejdzie się. Mamy wyjście: wziąć z rezerwy pozostałej.

— A potem?

— A potem niech stoi. Najważniejsza rzecz — przystroić na święto.

Na to mu odpowiedziano:

— Jesteś genialny.

Sobór obramowano rusztowaniami, geniusz zaś wkrótce przeszedł na kierownicze stanowisko w kulturze. I choć bociek niejedne bocianięta wysiedział na tym buforowym rusztowaniu, Łobodzie wcale to nie przeszkadzało ani jego sprawom służbowym, raczej przeciwnie: dekoracja ta przegniła, osunęła się, odsłaniając wszystkie kopuły pokryte rdzą i Zaczepianka przyzwyczaiła się do takiego stanu rzeczy, chyba że bociek za bardzo się rozklekocze na soborze, wtedy któryś z hutników spojrzy spode łba w tamtą stronę:

— Bociek nam nie takich jeszcze geniuszy wysiedzi...

I oto obecnie, kiedy znowu zebrano się na posiedzenie w sprawie soboru i kiedy włożono w pliki papieru ważką replikę, zaczepiański delegat od razu pojął, jak mu się zdawało, jej istotę i ze skromnością podległego rozwinął

myśl, że na tym miejscu, jak twierdził, bardzo byłoby poręcznie wznieść kryty bazar dla ludzi pracy, gdyż w tym względzie odczuwa się wielką potrzebę. W dawnych czasach na tym majdanie odbywały się jarmarki, później istniał tu niewielki bazar, który potem został zlikwidowany, a teraz warto by odnowić dawną narodową tradycję.

Łoboda-wydwiżeniec uważał siebie za znawcę Zaczepianki, jej potrzeb i nastrojów, więc jego przemówienia wysłuchano z uwagą. I mimo że ostatecznej decyzji na razie nie powzięto, to Wołodomir Izotowicz wyszedł z przeświadczeniem, że osiągnął przewagę. Minie jakiś czas i nikt nie będzie kłuł go w oczy tym soborem, nikt nie będzie narzekać, że sobór został zaśmiecony, zapuszczony, że użyło się go na skład przydziałów (choć już nie ma tego składu). Powstanie tam nowy kompleks, nawet restaurację tam można będzie otworzyć, a wszystko to z jego inicjatywy wynikłej ze znajomości psychologii Zaczepianki.

Gdy po posiedzeniu Wołod'ka Łoboda szedł ulicą w porozpinanej kurtce, junacko wystawiając szeroką pierś pod wiatr, ktoś na niego zupełnie demokratycznie zawołał:

— Wołod'ko, zaczekaj!

Odłączywszy się od grupy, która nie wiadomo czemu czekała koło budynku sądu rejonowego i milicji rejonowej, podeszła do Wołod'ki baba Szpaczycha, dzielnicowa zaczepiańska. Szpaczycha, jak zwykle, trochę kuleje. Ta jej ułomność pozostała jako pamiątka z budowania, jeszcze w latach trzydziestych, czwartego wielkiego pieca. Wołodymir Izotowicz nie ma teraz czasu dla Szpaczychy, lecz ona śmiało bierze go za łokieć i, oglądając się, powiada:

— Mam coś ci powiedzieć, Wołod'ko. Usiądźmy tu na tej ławce.

Więc siadają na ławce pod omdlewającymi w spiekocie akacjami, akurat naprzeciwko budynku sądowego, z którego co jakiś czas wyjrzy to czapka milicjanta, to mignie twarz prokuratora, znajomego Łobody, to znowu mignie ktoś niespokojnie, prawdopodobnie jakiś gwałciciel porządku publicznego.

Sprawa Szpaczychy jest poważna: chodzi o dolę kóz zaczepiańskich. Gdy wyszedł zakaz trzymania kóz oraz nakaz, iż należy je niezwłocznie wyrżnąć, zjadają bowiem wszystek biały chleb miasta i tylko grochowiny pozostają, od tego czasu Szpaczycha-dzielnicowa nie ma spokoju. Komisje

z rady rejonowej chodzą i zaglądają na każde podwórze, u kogo kozy jeszcze pozostały i komu by za nie dopiec karą. Dzielnicową raz po raz zapytują, czy w Zaczepiance skończono z kozami, czy stosuje się ona do wydanego polecenia? Przecież do jej obowiązków należy nie tylko doręczać nakazy podatkowe i przypominać Kartatemu, by w święta była wywieszona flaga... A jak ona ma upominać ludzi, kiedy sama trzyma nielegalnie kozę, która mieszka w psiej budzie! Dzielnicowa raczej musiałaby dawać przykład, lecz ona sama przoduje w powiadamianiu ludności:

— Szykujcie się, ludzie kochani, jutro komisja będzie! Wyganiajcie kozy jak najdalej w krzaki... Aż na Radutę wyganiajcie!

A do Wołod'ki zwróciła się z taką oto prośbą: czy nie mógłby on, jako swój bądź co bądź, zaczepianiec, wstąpić z nią do najwyższej tu władzy, żeby uzyskać amnestię dla kóz — bądź co bądź dzieciom hutników dają one mleko! Powiadają, że palenicami wszyscy kozy zaczęli karmić, normy ludzkie skarmiają i dlatego są braki białego chleba... A przecież to nieprawda! Zaczepianka kozy swoje pasie na nieużytkach, można pójść i przekonać się...

— Kozy — to nasze krówki, chudoba robotnicza, po cóż na nie tak napadać? Wstaw się, Wołod'ko, choć ty!

Biała, o pełnych policzkach twarz Wołod'ki pochmurnieje, powleka się mgłą odpowiedzialności, nos staje się jeszcze bardziej zadarty. Jego rybie wypukłe oczy chłodno patrzą na Szpaczychę.

— Bardzo żałuję, Owramiwno, ale nic pomóc nie mogę. Prawo dla wszystkich jest prawem. Czy swat, czy brat — wyjątków dla nikogo nie ma i wy mnie, Owramiwno, nie nabierajcie na przyjaźń. — Tu dopiero pojawił się na jego pełnych ustach ironiczny uśmieszek. — Ale czym innym uraduję wasze serce — powiedział wpatrując się w chudą, zaostrzoną uwagą twarz Szpaczychy. — W niedługim czasie nie trzeba będzie daleko biegać po mleko. Nie będziecie z koszami tłoczyć się w autobusach, telepać się do miasta, żeby sprzedać tam jakąś pietruszkę. Zaczepianka będzie miała swój bazar... Nie wy do miasta, lecz ludzie miejscy będą przyjeżdżali na wasze targowisko.

— Jazda nas nie przestrasza. Jak dobrze obrodzą morele, to nam i do Archangielska nie za daleko.

— Po co wam wtedy będzie ten Archangielsk? O dwa kro-

ki od was będzie pierwszej klasy kryty bazar pod szkłem, pod kolorowym dachem z plastyku...

— A gdzież to on ma być?

— Na majdanie... Na miejscu, gdzie stoi sobór.

Twarz Szpaczychy wyciągnęła się z podziwu:

— A sobór?

Młody Łoboda wiedział, że Szpaczycha nigdy nie była usposobiona do soboru przychylnie. Przy zamknięciu soboru znalazła się w awangardzie, szczególnie ujawniła swą zawziętość w sprawie wygnania z Zaczepianki przybłąkanego tu zasuspendowanego popa, jednego z tych zwinnych popów okupacyjnych, którzy niczym głodne wilki kręcili się koło soboru, chrzcząc potajemnie po wioskach dzieci, niekiedy nawet dzieci towarzyszy na stanowiskach... I choć dokonywano tego bez udziału tych osobistości, mimo to niektórzy mieli z tego powodu poważne nieprzyjemności, szczególnie miał je Petro Petrowicz, którego Łoboda czuł się uczniem... Po jednym takim skandalu postanowiono utworzyć w soborze muzeum i Petro Petrowicz wziął się osobiście do wypychania trofeów łowieckich — jastrzębi i dzików, co robił z wielką umiejętnością... Wprawdzie jego następca zrezygnował z tej wystawy myśliwskiej, a szkoda, bo sobór odtąd stoi bezpański — ani dla dzików, ani dla popów... Szpaczycha szczególnie była czynna w tej działalności — dla zasuspendowanego popa nie miała litości. „Jaki tam z niego pop, kiedy pod riasą nosi bryczesy? — darła się na całą Zaczepiankę. — Żadnej wiary w nim nie ma, to niedowiarek!" I przy całej gromadzie złożyła przysięgę, że wnuków swoich za nic do niego nie poniesie, niech raczej rosną bez chrztu, niż miałaby je nieść do jakiegoś włóczęgi. Taka była, lecz teraz Łoboda po prostu jej nie poznał.

— Ja nawet myślałem, że wy, jako wybitna dzielnicowa, jako bohaterka pierwszych pięciolatek, moglibyście wykazać pełną inicjatywę... Rady soborowej nie ma, ale ktoś mógłby zebrać podpisy w imieniu mieszkańców wszystkich siół, powiedzmy, zwrócić się do rady rejonowej z petycją...

Szpaczycha, widać, w lot się domyśliła. Oczy jej naraz ożyły i zabłysnął w nich śmiech:

— Że niby „idąc na rękę życzeniom ludu pracującego"? Żeby potem wszystko na nas złożyć? Ale tego nie będzie, Wołodymirze — odrzekła uroczyście, jakby składała przy-

sięgę. — Jeżeli o mnie chodzi, to niech sobie stoi. Sobór jeść nie prosi.

— Ale prosi o kredyty — ze złością zareagował Łoboda. — Nawet domaga się tego. A z czego? Z waszych podatków? Czy z rent? Ludzie we wspólnych mieszkaniach się duszą, a my kosztami remontu cerkwi budżet będziemy obciążali? — I już spokojnie ciągnął: — Sobór jeszcze się nie wali, więc można by go jakoś wykorzystać, gdyby nasz leniwy kombinat mięsny był obrotniejszy... Czemu by, powiedzmy, przy pewnych kosztach nie zrobić z soboru zmodernizowanej, na tysiące ton, chłodni? Chłodnia-gigant...

Szpaczycha podniosła się z ławki.

— Wybacz, Wołodymirze, ale nie w tym kierunku poszły twoje myśli. Lepiej byś pomyślał o syrenie fabrycznej.

O jaką to syrenę babie chodzi? Łoboda zmarszczył czoło. Potem przypomniał sobie. Jeszcze jego ojciec i Kartaty, i jeszcze niektórzy później, jak były zakazane syreny fabryczne, zamierzali pisać gdzieś podanie, by w drodze wyjątku dano ich fabryce-weteranowi prawo uruchomienia co rano syreny. Ale jakoś wtedy tego podania nie napisano, poszło jakby w zapomnienie, a teraz oto Szpaczycha przypominała.

— Jeszcze o tym pomówimy — odrzekł Wołod'ka stanowczo, podnosząc się z ławki. — Niebawem będę na Wesołej, nie myślcie, że o niej zapomniałem. Choć kłopotów mam co niemiara, ale na swoją Wesołą zajrzę.

I jeszcze tego wieczora zajrzał. Przyjechał skromnym „Moskwiczem" z kimś innym. Żeby nie wystraszyć ciszy zaczepiańskiej, „Moskwicz" wjechał w uliczkę niezbyt prędko, koło obejścia Wieruńki Bagłajowej nawet przyhamował. Uchyliwszy drzwiczki, Wołod'ka pozdrowił kumę, która krzątała się koło kwiatów przy parkanie, pytając, kiedy wreszcie należy spodziewać się Iwana. Dowiedziawszy się, że Iwan, być może, właśnie gdzieś nad Himalajami przelatuje, Łoboda okazał radość:

— Jak przyjedzie, to zaraz dajcie znać. Udekorujemy orderem. Z pewnością przywiezie mleka kokosowego, więc zrobimy próbę...

O wszystkim on tu wie, ten Łoboda; wie, co kto robi, jakie ma kłopoty, co kogo boli. Ołeksa-mechanik przechodził obok ze smutno pochyloną sokratesowską głową. Wołod'ka i jego obdarzył uwagą:

— No, jak tam, Ołekso, złapałeś wreszcie swego nie do złowienia Bublika? Wydębiłeś od niego teren pod swoje zbiorniki?

Ołeksa zatrzymał się jeszcze smutniejszy. Jednak złapał tego Bublika i tamten mu teren przydzielił, lecz, jak się okazało, nie jego teren, ale sąsiedzki!

Wołod'ka zarechotał.

— Dał, ale nie własny... Buduj to bagnisko, ale na polach sąsiedzkich! A to ci Bublik! Nieśmiertelny Bublik! Tak się ciebie pozbył — mówił z zachwytem. — Znakomicie się wykręcił!

— Wykręcił się od nas, ale nie tak prosto — powiedział mechanik i ponury poszedł dalej, Łoboda zaś przestał się śmiać i znowu podżartowywał z kumy, że ponoć nie usycha tak bardzo z tęsknoty za mężem, przestała go kochać posiedziawszy w kurorcie, i teraz...

— Dwa lata — toć przecież niełatwo wytrzymać... A może i już zaczęłaś o nim zapominać?

Że też się odważył postawić takie pytanie! Chłodnym milczeniem odpowiedziała Wieruńka na jego nietakt. On nawet pojęcia nie ma, ile ona w tym czasie przemyślała, ile niepokoju o Iwana nawiedziło jej serce... Gdzieś, być może, epidemia wybuchła, a Iwan już staje przed jej oczami, bo choć różne szczepienia miał robione, lecz bądź co bądź są to tropiki, gdzie to dżuma grasuje, to znowu cholera... Napisał kiedyś, że w Oceanie Indyjskim z towarzyszem się kąpał i Wieruńka tym się przeraziła — tam przecież, w tym oceanie, rekiny! Może wnukowie kiedyś na urlop będą latali nad ten ocean, bo na razie toż to daleki świat! Iwan jest teraz całkiem dla niej nieosiągalny. Przebywa gdzieś aż za Himalajami, jakby gdzieś w niebie!

Stoi Wieruńka oparłszy się piersią o płot; twarz jej o brzoskwiniowej cerze spowija zaduma... Ale nie takie to myśli, żeby z każdym można było podzielić się nimi.

— Kiedy, ty, Wołod'ko, zmienisz swoje potiomkinowskie rusztowania? — spytała wskazując na sobór.

Wołod'ka zrozumiał krytykę, lecz się nie obraził.

— Niedługo, niedługo — powiada. — Będą tu wkrótce przechodziły czołgi... Ich o to spytaj, przejdą na wskroś! Wszystkie nietoperze z soboru wypłoszą!

Wieruńka przez moment ujrzała zupełnie wyraźnie, jak

czołgami burzą sobór, z którego ulatują nietoperze wielkie jak bociany.

A Łoboda, pomachawszy Wieruńce wesoło ręką, dał znak kierowcy, by ruszał. Koło domu nauczyciela „Moskwicz" przemknął szybko, koło parku buldożerów jakby miał zamiar zatrzymać się, ale i park minął, i Fedora-walcownika minął, i zatrzymał się koło chałupy Jagora Kartatego. A później, kiedy Wieruńka ułożyła już dzieci do snu i usiadła jak zwykle koło okna, w zwykłej swej pozie oczekiwania, „Moskwicz" cały czas stał przy końcu uliczki. Wołod'ka ostatnio często zajeżdżał do Jagora. Wieruńka ciekawa była, w jakiej to sprawie tak często przyjeżdżał. Czyżby na zupę rybną? Dawniej starego odwiedzał, i to rzadko, tylko inspektor rybołówstwa, a teraz i tego „geniusza" coś tam ciągnęło. Ale czy tylko na zupkę? Czy nie zdecydował się, jak powiada, jeszcze raz spróbować porzucić stan kawalerski? Takie pięknotki jak ta siostrzenica starego i w prospekcie reklamowym nieczęsto się ujrzy...

Przydałoby się wprawdzie narzeczonemu mieć włosy jak na młodego przystało, bo on na tych posiedzeniach zupełnie wyłysiał. Jest rówieśnikiem Iwana, kiedyś się przyjaźnili, Wołod'ka był nawet na jego weselu, a kiedy przyszło na świat pierwsze dziecko, sam się wprosił na kuma. I sam wkrótce się ożenił, lecz wybrał był sobie taką, że nawet przez rok nie pożyli, gdy znalazła sobie innego kandydata — machnęła się gdzieś ze śpiewakiem estradowym, który tu przyjeżdżał.

Wołod'ka po ożenieniu się zdążył otrzymać mieszkanie w mieście przy bulwarze, tam też w niedługim czasie i ojca zabrał, choć stary bardzo się temu opierał. Kiedy synowej już nie było, to i ojciec znalazł się na Skarbnem, w domu starych hutników, bo co miał z nim robić syn nieżonaty? A tam ojciec miał opiekę, czuł się w kolektywie, żyje sobie jakby w wiecznym sanatorium.

Młody Łoboda i teraz nie wyrzekł się Zaczepianki. Zajrzy przy sposobności, by odwiedzić swego stryjecznego brata, ślepego Kostię-czołgistę, niekiedy zanocuje u niego, gdy się spóźni. Czuje się tu jak w kręgu swoich, z każdym za pan brat. W rozmowach lubił podkreślać, że wie niewiele więcej, niż wiedzą oni, zwykli śmiertelnicy, jemu ponoć dostępne jest to, czego oni tylko się domyślają. Przekonał się nieraz, że z daleka otrzymywał informacje o każdej kolej-

nej reorganizacji. A jednak dba o to, by nie odrywać się od mas. Bywało, usiądzie bez żadnej ceremonii z robotnikami, by przy okazji kilka partii „kozła" zabić, jeszcze najświeższym kawałem poczęstuje z „radia wierz mi" o kukurydzy na księżycu lub coś innego opowie. „Nie myślcie, powiada, że się oderwałem od mas, byłem zwykłym człowiekiem i zwykłym zostanę" — niby to hutnikiem. Bo przecież w fabryce życie rozpoczynał, w oddziale, i ma prawo tak powiedzieć nawet na obecnym stanowisku: „My, hutnicy, jesteśmy ludem prostym: u nas anonimów się nie pisze."

Ceniony jest na służbie, to prawda. Więcej nam trzeba, powiadają, takich pracowników. Orientuje się w postępie, w starym się nie zagrzebał. A poza tym, trzeba to podkreślić, jest to człowiek z awansu społecznego, posiada zawziętość jeszcze komsomolską, energia z niego emanuje, ideami sypie na poczekaniu jak z rękawa, o różnych „pokojach szczęścia", zwycięstwach, karnawałach, pałacach ślubów, a nawet wymyślił świąteczne nalepki na pudełka z cukierkami (i słówko wymyślił: „koloretki"), a wszystko to są wynalazki ich zaczepiańskiego „geniusza". I choć ulica Wesoła podśmiewa się dobrodusznie z takich wynalazków, to jednak mieszkańcom jej jest przyjemnie, że Wołod'ka nie zapiera się swoich, nikogo nie traktuje protekcjonalnie, nawet baby Szpaczychy, która dawniej po nocach, niby alchemiczka, produkowała w chlewiku piekielnie mocne samogony, za co zaproszona była w gości do milicji, po czym urządzenia zniszczyła, a następnie została wysunięta na stanowisko dzielnicowej, więc Wołod'ka rzadko ominie okazję rzucenia babie słówka przez furtkę, zaczerpnięcia, jak mówił, mądrości ludowej. Pewnego dnia nawet przywiózł ją z miasta z jej koszami, podrzucił ją samochodem osobowym aż na podwórze, co bardzo rozczuliło starą i potem przez trzy dni nic innego prócz panegiryków na cześć Łobody nie było słychać.

Jedynie Mykoła-student w żaden sposób nie zawrze paktu pokojowego z „geniuszem", po prostu ścierpieć go nie może. Mykoła ma dla niego tylko jedno określenie: „Zdrajca własnego ojca." Ale zdaniem Wieruńki jest to przesada. Przecież Wołod'ka nie porzucił ojca, lecz przeciwnie, chciał dla niego jeszcze lepiej, i kiedy otrzymał mieszkanie w mieście — zabrał starego do siebie. Ojciec za nic nie chciał rozstawać się z Zaczepianką, lecz syn go przekonał: „Przy mnie, tato, będziecie, bo inaczej ludzie powiedzą, że syna

nie macie! A jesteście przecież, ojcze, hutnikiem zasłużonym, wasza sława i na mnie spada..." Smutno było staremu na bulwarze, zwłaszcza kiedy synowa uciekła i samotność zamieszkała w ich osieroconym mieszkaniu. Stary zaczął znowu przemyśliwać, żeby wrócić na Wesołą, gdzie tak przyjemnie pod gruszą z przyjacielem Jagorem w święta sobie przesiadywali, ale Wołod'ka do takiej hańby, rzecz oczywista, nie mógł dopuścić, a poza tym trzeba było wysiedlić stamtąd Cyganów. I choć rad by ojcu pójść na rękę i troską otoczyć, lecz cały czas na posiedzeniach, na naradach, to on dzwoni, to do niego dzwonią — powierzono mu sprawy kultury, a to stanowisko gorące! I wtedy to właśnie Łobodzie-synowi przyszła myśl do głowy: umieścić starego w Domu Hutnika. Istnieje taki na Skarbnem, Dom Weteranów, w lesie, nad rzeczką, na odwiecznych płoniach. „Rybkę, tato, będziecie łowić, powietrze świeże, karmią dobrze, pielęgniarki, kelnerki, kino, prasa, rygor sanatoryjny! Czego jeszcze trzeba? Do Zaczepianki ciągnie? A może ona już nie dla nas, za niskie progi, tato? Kto tam na was czeka? Mogiła mamy... Jest uporządkowana. Tylko zamartwiać się tam będziecie. Tam co i raz byście popijali z tym machnowcem, rozmowy nie wiadomo na jakie tematy byście prowadzili... Wystarczy, że kiedyś głowę za niego podstawialiście..."

I stary Łoboda dożywa swoich dni w Domu Hutnika, w towarzystwie zasłużonych weteranów. Niektórzy potępiają Wołod'kę za taki krok. Zaczepianka długo o tym gadała, a dla Mykoły Łoboda-syn odtąd jest tylko „zdrajcą własnego ojca". Wieruńka, mimo iż sama czegoś takiego by nie zrobiła, to jednak uważa, że Wołod'ka jest usprawiedliwiony, a przynajmniej należy go zrozumieć. Gdyby jeszcze był żonaty, rodzinę miał, ale sam po stołówkach i barach jada: tam herbaty, ówdzie kefiru się napije, bo przy robocie jest od świtu do nocy, tacy ludzie mają czas pracy nienormowany...

Stoi „Moskwicz", maskę wparł w płot Jagorowy, latarnie pogasił i czeka niewidoczny w cieniu chlewika. Ależ długo oni tam rozmawiają, czyżby zupka w żaden sposób nie mogła się ugotować? Zaczepianka od pierwszego przyjazdu czemuś poczuła antypatię do tych nocnych amatorów zupy. Takie historie nawet dzieciom się udzielają jakby przez powietrze: była już skarga na malców, którzy poprzednio rzekomo umieścili na „Moskwiczu" różne bazgroły, owocami

morwy ponapisywali na nim różne nieprzyzwoite wyrazy... Ale stamtąd żaden szmer nie dochodzi, widać goście w milczeniu siorbią zupkę, którą stary uwarzył...

A na podwórzu starej Bagłaichy jest wesoło: i słowiki trelują po wiosennemu, na przekór porze roku. Na wiosnę Mykoła nagrał ich śpiew gdzieś aż w lesie na Skarbnem, teraz zaś zebrało się u niego towarzystwo — i Zaczepiańcy, i jacyś aż z Kolonii, i z Kodaków przyszli, zdaje się koledzy szkolni, uruchomili magnetofon z taśmą, na której były nagrane trele słowicze i na całą Zaczepiankę sypią je, jak mogą najgłośniej. Że też coś takiego wymyślili — trele słowicze nagrali! Przecież nigdzie ich teraz nie posłyszysz, swoje odśpiewały i teraz na gniazdach siedzą, lecz u studenta cały wieczór słowiki trelują, aż się zachłystują, aż echo się rozlega, jakby o wschodzie słońca na odwiecznych starych dębach się rozśpiewały... Za łachą, na Sołonczakowej, ktoś radiolę nastawił, słowikom na przekór, kto kogo przemoże, lecz słowiki się nie poddają, młodzież rozhulała się i wśród szczebiotu leśnego słychać czyjś radośnie beztroski głos:

— Swoboda i miłość to dwa lotne skrzydła poezji! Reszta to tylko ozdobniki!

I znowu głos oddają słowikom, nastawiają po raz drugi, i jeszcze wzmacniają, widać chcą dokuczyć tym pożeraczom zupy rybnej, którzy za płotem Jagorowym cichcem jedzą tę swoją zupę kłusowniczą. Może ona i niezupełnie jest kłusownicza, ale jakoś tam niewesoło: przyczepili się do starego, widocznie przyłapali go na jakimś grzechu i teraz zupą wyduszają z niego pokutę... Spytaj potem Wołod'kę, po co był u Kartatego, ale on się wykręci, znajdzie jakieś wytłumaczenie i coś jeszcze do tego dołoży: przyjeżdżałem, powie, jak do żyjącego eksponatu, porozmawiać o życiu ładowaczy; albo coś innego powie. A może opowie o nie wiadomo przez kogo dokonanym wyczynie fabrycznym w czasie okupacji, kiedy ktoś Tytana fabrycznego z ciężkiego żeliwa spod nosa Niemcom wykradł i ukrył wśród różnego rupiecia, w podziemiach fabrycznych azyl mu znaleziono... Ktoś to zrobił, ale kto — dotąd tych świadków nie wykryto, bohaterzy pozostali nieznanymi... Wołod'kę tylko zaczepić, a na poczekaniu znajdzie sto wyjaśnień, takiego w stępie nie utłuczesz... Ale Wesoła cała jest taka, że prawdy przed nią nie ukryjesz, tu nawet dziecko wie, po co do starego Jagora od czasu do czasu inspektor rybołówstwa to z jednym, to z dru-

gim przyjacielem zagląda... I nigdy za dnia, tylko w nocy, jak nietoperze. Wszystko tam osłonięte tajemnicą, bez śpiewania piosenek, bez pogadywania siorbią tę zupę, lecz po całej Wesołej wszystkie sroki na ogonach roznoszą wiadomość, jaką tam dzisiejszego wieczora zupę zwarzono, jaką rybę Jagor gotował i jakie przyprawy do niej dodawał. I gdyby ci pożeracze zupy wiedzieli, co o nich myśli Zaczepianka w tym czasie, gdy oni pracują łyżkami, jakby się dowiedzieli, jakim pieprzem Wesoła zaprawia tę ich tajną wieczerzę, to chybaby łyżki w ich gębach uwięzły, chybaby ośćmi się podławili ci pożeracze! Jednego inspektora rzekomo już przeniesiono i przez jakiś czas stary miał spokój, a teraz nowy drogę znalazł, a może Łoboda go naprowadził. Wołod'ka okazał się niezupełnie zły: ojca swego rozłączył z Jagorem, żeby nie popijał z tym machnowcem, ale sam sobie pozwala, zanęcił się tutaj, mimo że nie proszony... I spróbuj mu jutro zrobić uwagę, spotkawszy się z nim gdzieś w radzie zakładowej, to on ci coś takiego zmyśli, że winny się poczujesz, plotkarza z ciebie zrobi... Wszyscy wiedzą, jaki to krętacz — naprawdę nawet go w stępie nie utłuczesz...

Ale czas już spać. Podniósłszy się, Wieruńka podeszła do dzieci, które się poodkrywały, aż do podłogi pozwieszały swe ogorzałe nożyny. Troskliwie je poprawiła: śpijcie, nabiegałyście się w ciągu dnia. I sama zaczęła się rozbierać. Światła nie zapalała, by nie zwabić komarów i muszek.

6

W nocy sobór młodnieje. Zmarszczek czasu na nim nie widać; w nocy jakby wracał do tej kozackiej młodości, kiedy z szuwarów powstał młodym pięknem, zalśnił po raz pierwszy w stepie niebieskimi półkulami swoich kopuł.

W czasie wojny na majdanie przed soborem ognisko rozpalili żołnierze włoscy, oberwani, bezsilni po Stalingradzie; kuląc się gotowali w kociołkach nastrzelanych wróbli zaczepiańskich. Innym razem zatrzymywały się tu na noc tabory niemieckie i w nocy zrzeszona w podziemnej antyfaszystowskiej organizacji młodzież z osiedla, która działała na słobodach lewobrzeżnych, dokonała napadu. Wiele wtedy zabrano chłopców i dziewcząt z Zaczepianki i z innych osiedli podmiejskich; wśród zabranych znalazł się i syn Szpa-

czychy, dzielny i zawsze rozśpiewany młodzieniec, po którym od tego czasu ślad zaginął — czy w piwnicach został zamordowany przez gestapowców, czy może spalono go w krematoriach Oświęcimia... Samą Szpaczychę też ciągano na policję; dotąd opowiadają w Zaczepiance, jak jeden z bandytów z Podgorodnej, który był nawet jakimś dalekim krewnym Szpaczychy, smagnął babę nahajem. Znęcając się nad wujenką bandyta zasłaniał się rękawem, a ona mu pod nahajem krzyczała: „Nie zasłaniaj się, nie zasłaniaj, psubracie! Ja cię jednak poznałam! Już ja ciebie zapamiętam! Żelazem będzie ci zapisane, jak ty swoją rodzoną wujenkę katowałeś!"

Straszne to były czasy, okrutnie wykrwawiły Zaczepiankę, wyniszczyły jej kwiat. Lecz były one dla niej próbą żywotności, mocy duchowej, oddania dla tego, co dla człowieka było święte. Odbywały się tu zbiórki podziemnego komitetu obwodowego partii, przybywały tu patrole łącznicze i stąd wyruszały na poszukiwanie przejść przez linię frontu. Jedna z ulic na Kolonii została nazwana imieniem legendarnej łączniczki — studentki Mai Papirnej, którą dotąd wielu ludzi pamięta.

Bagłaj młodszy od wczesnego dzieciństwa wchłonął w siebie wszystkie te straszne opowieści o latach cierpienia — aresztów, rozpraw, egzekucji, werbunku do Niemiec, kiedy cała ulica Szeroka była ulicą płaczu i przekleństw. Mykoła niekiedy sam czuł się uczestnikiem walki narodowej, codziennego oporu stawianego przez Zaczepiankę okupantowi. Sama Zaczepianka oraz osiedla okoliczne stawały się w tym tragicznym świetle jakby jakimiś innymi, surowszymi, groźniejszymi, o duszach heroicznych. Życiu ówczesnemu właściwa była legendarność, bohaterzy tamtych lat budzili w Bagłaju uczucie szacunku, budząc w nim jednocześnie krytyczne spojrzenie na siebie. Na tym tu majdanie, koło wiekowych akacji, kiedyś jego rówieśnikom, spiskowcom młodocianym, wykręcano na policji ręce, przy ustawionych stołach sortowano jak bydło spędzone z osiedla dziewczęta. Bagłajowi na myśl o tym pochmurniało czoło, na to wspomnienie milknie nawet gadatliwy przyjaciel Bagłaja Romek Orlanczenko, gdy zdarza się, że późną nocą wracają we dwóch z parku fabrycznego.

Tego wieczora też szli przez majdan po odprowadzeniu na ostatni autobus swoich przyjaciół, którzy przyjeżdżali do

Bagłaja, by posłuchać jego słowiczego koncertu. Obaj — Mykoła i Romek — przecinali majdan w milczeniu. Postali na tym miejscu, gdzie rzekomo była kiedyś dzwonnica stojąca w pobliżu soboru, lecz oni już jej nie znali, dzwonnica jeszcze przed wojną zniknęła, dzwony pozdejmowano, serca ich wyrwano, zardzewiały kawałek szyny, niezdarnie zastępując dzwon, wisi na słupie jako symbol dogmatyków i ascetów... Tak ten ułamek szyny widzi Romek, który pierwszy przerywa milczenie:

— A może tak i powinno być? — rozmyśla na głos. — Może w naszych czasach do wszystkiego potrzebny jest taki stosunek, wyłącznie utylitarny? — Szczupła jego twarz o ostrym podbródku bieleje jakoś trójkątnie pod sczesanymi na czoło włosami. Tym razem twarz ta jest poważna, bez uśmiechu. — Ileż to pokoleń niby liście jesienne przepędził wicher czasu... Były, przeminęły. Tak i nas przepędzi, zawieje w nieznaną niepamięć. Byli tacy, przeminęli, przeszli do niebytu, bez najmniejszego śladu...

— Sądzisz, że bez śladu? — Bagłaj położył rękę na jego ramieniu. — Myślisz, że w nas obu nic z nich nie zostało?

Skręcili w Wesołą, usiedli na ławce Wieruńki.

— Ci, co zawieszali dzwony na dzwonnicy, ci nasi Beethovenowie stepowi, wiedzieli, co robili — znowu zaczął Orlanczenko. — Ja już nie mówię o takich jak ta Maja Papirna, która z całą świadomością poszła na śmierć... A teraz? — I zdziwił Bagłaja, gdy nagle wypalił bez związku z tym, co mówił poprzednio, że przenosi się do innego zakładu. — Do tego, gdzie na wydział wchodzi się w białych fartuchach, gdzie otrzymuje się specjalne przydziały żywnościowe... Dość już tego, nie chcę więcej gazami się zatruwać w tej hucie.

— Wydaje ci się to dziwne? — pochylił się w stronę Mykoły. — Ty wciąż się spodziewałeś znaleźć i we mnie iskierkę bohatera? Hej, hej, niestety, nie mam jej. Coraz mniej jest takich, którzy ją mają. Ryba szuka, gdzie głębiej, a nam tylko powiedz, gdzie lepiej, gdzie lepsze są zarobki i gdzie dają przydziały żywnościowe...

— Ktoś by pomyślał, że jesteś głodny...

— Jestem syty. Ale chcę być jeszcze bardziej syty... I czy tylko ja jestem taki? Człowiek to brzmi dumnie! A nasz działacz, Łoboda, brzmi dumnie? Ha, ha! Powiedz mu tak, a on pierwszy zarechocze, uważając, żeś z niego zakpił...

— Powiadają, że w zakładzie zaczynał dobrze.

— Otóż to właśnie, zaczynał! Ale istnieje taka sztuka, narkotyk władzy, heroina karierowiczostwa... Tylko raz tego spróbuj i przepadłeś... Pożądanie władzy... tylko od tego oczy jego nabierają połysku. Rodzonego ojca odda za karierę, sobór ten rozwali, byle tylko o jeden szczebel wyżej się wspiąć. Ideały? Kichać on chce na twoje ideały! Władzy dla niego jak najwięcej, władzy! A spytaj go, po co mu ona. Po to, by jeszcze wyżej skoczyć! I iluż ich jest takich... Dziś jest naczelnikiem wydziału, jutro dyrektorem, a tam już celuje na stanowisko jeszcze wyższe. Po co ci, człowiecze, jeszcze wyższe stanowisko? Więcej kłopotów i zawał serca gotowy. Oto i masz całą pieśń. A jednak jak o to walczą! Tam staczają bitwy nie na życie, lecz na śmierć. Niewidoczne, gabinetowe, lecz takie, gdzie litości nie ma dla nikogo: albo zwyciężysz, albo będziesz zgniecioną ofiarą...

— Obraz posępny — uśmiechnął się Bagłaj. — Tylko że ja nie tak posępnie widzę rzeczy. Jest oczywiście i tak. Trucizna karierowiczostwa, zaślepienia, chęć za wszelką cenę kierowania sobie podobnymi...

— Na wyścigi, niby małpy po orzechy kokosowe...

— Nie samymi małpami świat jest zaludniony! Jaki on tam jest, taki jest, ale zgodzisz się, że nie jest taki zły ten świat, i pięknie by było na nim ze trzysta wiosen przeżyć...

— Zgoda, świat jest piękny. Lecz kim jest zaludniony? Kiedyś mówiłeś o sojuszu ludzi, o wspólnocie ludzkiej. Że należy kultywować dobro, a nie rozdmuchiwać nienawiść. A jak ja mam być dobry dla człowieka, który sprzedał własnego ojca? Jaki humanizm pogodzi mnie z nim?

— Nie sprzedawcę własnego ojca miałem na względzie...

— Ale on reprezentuje siłę! Nie Archimedes, nie Galileusz — urzędnik kroczy po świecie i on nadaje ton... Tak, tak, wielki urzędnik dwudziestego wieku. Einstein niczym jest w porównaniu z nim. Tamten dokonuje odkryć, a ten decyduje. Guziki dzwonków naciska. Wydaje decyzje w sprawie twego losu, stypendium ci przyznaje. Dla niego jesteśmy tylko podwładnymi. On dysponuje prawem i nawet bądź co bądź obowiązkiem jego jest sztorcować nas, poganiać nas według własnego upodobania... Dobrze się dzieje, kiedy ma coś w łepetynie, bo czasem siedzi bałwan nad bałwanami, tępy, zaspany, lecz nawet taki żąda, żebyś był mu posłuszny, żebyś myślał tak, jak on chce, pragnie widzieć dokoła

siebie legiony jednakowo myślących... Na mnie i na ciebie patrzy tylko jak na surowiec, jak na rudę, z której trzeba wytopić metal!

— A w tobie, widać, akurat anty-metal buzuje?

— Nie tylko buzuje, lecz tryska we mnie! Bo my choć biedni, ale dumni. Żyjemy w cieniu, lecz słońce dostrzegamy. Widzimy wyraźnie, gdzie budowniczy prawdziwy, a gdzie pseudo-budowniczy. Dobrobyt i porządek — to według mnie mogłoby stać się dewizą czasu. Pomiędzy siłami dobra i zła należy zachowywać równowagę, skrajności unikać... Słowem, jak ktoś mówił: nie bądź słodki, bo wyliżą, nie bądź gorzki, bo zaplują.

Dziwny ten Romek. Też z klanu hutniczego, ojciec inżynier, człowiek szanowany w całym wydziale, ale Romcio... „Jakiś ty jesteś taki, jakby cię nie do tej formy wlano" — czasem mówi mu Wieruńka. Chłopak wykształcony, był w Moskwie na kursach z dziedziny maszyn elektronowych. Zakłady go tam wysłały, ale maszyn tych na razie jeszcze nie otrzymano. Romcio przy naczelnym energetyku się urządził. Żyje sobie beztrosko, ale życie traktuje ironicznie, podśmiewa się z poszukiwania przez Mykołę odwiecznych determinant. „My z tobą żyjemy w epoce cynizmu — można niekiedy od niego posłyszeć. — Urodziliśmy się pod krwawym znakiem Zodiaku... Ty myślisz, że to nie wpływa na nasze odczuwanie świata?"

Siedząc na ławce, spostrzegli, jak łuna sama wyplusnęła pod niebem nad Zakładami. Mykole przypomniały się strofki ulubionego poety, więc zadeklamował w zadumie: „I znowu dni rude i bure, takie szczęśliwe i takie smutne..."

— No, cóż, niczego sobie! — pochwalił Romcio. — Trzeba to zapamiętać, zacytuję przy okazji naszej lekarce. Nowo przybyła do zakładowego ambulatorium. Dzisiaj wstąpiłem do niej. „Żuk mi do ucha wlazł — powiadam. — Czy może go pani usunąć?" „Nie jestem otolaryngologiem." „Więc kim pani jest?" „Proszę przeczytać — jest napisane na drzwiach... Z tamtej strony!" Takaś to! Proszę go usunąć, powiadam, albo proszę dać mi zwolnienie. Będę korzystał ze zwolnienia, dopóki żuczek sam nie wylezie mi z ucha... Lecz mimo to nie uwierzyła, że żuczek dostał mi się do ucha.

Mykoła przywykł do takich historyjek Romcia tak samo, jak i do jego obsesyjnej myśli o łodzi motorowej. W ostat-

nich czasach tylko o tym mówi — o łodzi i kolekcjonowaniu płyt patefonowych.

— Trzeba być realistą — poucza Mykołę. — Weź któregokolwiek z naszych robotników. Daj mu telewizor, łódź motorową i na dodatek miejscówkę do sanatorium nad Morzem Czarnym „Czerwony Hutnik", a on ci na bok odrzuci to wszystko, co ty nazywasz strawą duchową. Ty tu przejmujesz się soborem. Myślisz, że on wszystkich tak obchodzi jak ciebie? Szpaczycha przez całe życie przechodzi koło niego i bardzo są jej potrzebne te jego banie? Toż ona nawet nigdy na nie nie spojrzy! Kosze przyginają ją do ziemi, jej tylko pieniążki dawaj! Zaproponuj jej, co woli: sobór czy kryty bazar? Obiema rękami chwyci się za bazar. Jaką wartość w jej życiu przedstawia sobór? Albo dla Fedora-walcownika? Samym duchem, bracie, syty nie będziesz. Najpierw rzeczy materialne.

— Tak chyba są ustosunkowani i ci zjadacze zupy. Te chodzące żołądki...

— Zresztą ludzie długo zaciągali pasa, kartkami żywnościowymi zapychali biedę, a teraz, kiedy dorobili się nowego kultu... no, nazwij go... kultem pieczonego prosiaka z chrzanem... Czyżbyś ich potępiał za to?

— Żołądki mają wszystkie stworzenia. Człowiek pod tym względem nie jest odosobniony. Ale gdy się spojrzy na to sferyczne grono kopuł, które wyłoniło się z mroku wieków... spojrzeć, a potem wznieść je pod niebo jako obraz i dopełnienie nieba... jest właściwe tylko człowiekowi.

— Ach, zapomniałem, że mam przed sobą poetę — ironizował Romek. — Ale ja ci nie zazdroszczę, o wielki, nikomu nie znany poeto Zaczepianki! Wiem, że nie tylko laury czekają cię na twej drodze. Historia uczy, że laury są często poprzedzane przez nielichy kij, przez szpicrutę!

— „I znowu dni, wyrudziałe, bure" — wymknęło się Mykole w odpowiedzi.

A Romek zaczął opowiadać nową historię o jakiejś ładniutkiej z oddziału przerobu żużli wielkopiecowych, z którą tańczył minionej soboty i trochę mocniej przycisnął ją do siebie, a ona, naiwniutka, obraziła się. Słabiutkie stworzenie, ale złe... W takim razie będziemy tańczyli jak pionierzy, powiedziałem jej i prowadziłem ją w tańcu tylko w ten sposób.

— Coś podobnego już słyszałem — powiedział Mykoła.

— Ach, przepraszam — z udanym żalem huknął Orlanczenko. — Dla ciebie nasze Marusie to piękniejsza połowa ludzkości... Madonny niedotykalne... A według mnie, to one same nie lubią, by je idealizować, im bardziej odpowiada, kiedy patrzymy na nie w sposób ziemski... Idealizowanie teraz nie jest modne.

— Pod tym względem do mody się nie dostosowuję — spokojnie powiedział Bagłaj. — Ale à propos, czy zastanawiałeś się nad tym, dlaczego najwięksi poeci wszystkich czasów najczęściej opiewają kobietę? Ze zwykłej ziemskiej kobiety tworzyli swoje niebiańskie madonny...

— A jedną zostawili dla ciebie: u Kartatego grządki podlewa.

— Lepiej tego nie dotykaj.

— Czyżby? — Orlanczenko ze zdziwienia aż gwizdnął.

W tej chwili w oknie pojawiła się obudzona ze snu nie uczesana Wieruńka.

— Tylko mi tu w środku nocy potrzebne są gwizduny — krzyknęła ze złością.

— Wiero Filipowno, mam prawo gwizdać na ulicy? Czy może muszę mieć na to pozwolenie?

— Tych praw masz aż nadto!

— Prawo tylko wtedy się ma, kiedy można z niego korzystać. W przeciwnym razie będzie to tylko fikcja, cień prawa! — I Romcio zaczął szybciutko mówić o nieznośnych ograniczeniach, których czasem doznaje, o tym, jak niemiłe są mu różne pouczenia, które spotyka na każdym kroku, zakończył zaś polskim aforyzmem z *Myśli nieuczesanych:* — „Zawsze się znajdzie Eskimos, który pouczy mieszkańców krajów tropikalnych, jak mają się zachowywać w czasie upałów..."

— Co ty wygadujesz, sceptyku nieszczęsny? — jeszcze niezupełnie rozbudzona i widać nie bardzo rozumiejąca, o co chodzi, Wieruńka krzyknęła na Orlanczenkę: — Kto to jest Eskimos? Co wspólnego z tym mają kraje tropikalne?

— A wasz Iwan gdzie się znajduje? Właśnie przebywa w krajach tropikalnych...

Samo tylko wspomnienie o Iwanie o tej porze, i to w ustach Romka, wydało się Wieruńce czymś obraźliwym, bluźnierczym.

— Jak mam twój bełkot rozumieć? — krzyknęła Wieruńka wysuwając się w całej swej okazałości z okna. — Kto

o mnie choć jedno złe słówko powie Iwanowi? Honoru nie splamiłam, cała Zaczepianka wie! A ty opuść ławkę, wiatrogonie, i jazda stąd, bo wałkiem po plecach dostaniesz!

— Za co, Wiero Filipowno? — Romcio poderwał się na nogi, gdy usłyszał o wałku.

— A za to! Wszystkich ze sobą nie porównuj. Dziś z jedną, jutro z drugą...

— Bo one są nudne i puste jak plaże jesienią.

— Sam jesteś pusty. Wąs ci się już sypie, a rozumu jeszcze nie przybyło... Trafiłbyś do naszej brygady, tam byśmy rozumu cię nauczyli.

— Wiecie, ile na to trzeba czasu? Tysiąc lat! Śmieszą mnie ci, co wierzą, że przez lat dwadzieścia wszyscy się staną egzemplarzami pokazowymi, że znikną egoiści i biurokraci... O nie, na to trzeba tysiąca lat, nie mniej!

— Czemu ty się z nim zadajesz, Mykoło? — już spokojniej spytała Wieruńka Bagłaja. — Jesteś chłopcem poważnym i myśli masz swoje własne, a ten oto pokręcony... Co wy macie ze sobą wspólnego?

Romcio, wcale tym nie dotknięty, posłał Wieruńce uśmieszek.

— Gdyby nie ja, to Mykoła zupełnie by przygasł: z kim by dyskutował na temat wiecznej miłości?

— Co ty tam bzykasz o miłości? — jakby z politowaniem powiedziała Wieruńka. — Co ty tam wiesz o miłości?

— Jeżeli nie uczestnikiem, to sędzią mogę być?

— Prawdziwa miłość sama siebie osądza.

Orlanczenko, pokonany odpowiedzią, trącił Mykołę w ramię:

— Słyszysz, jakie aforyzmy wygłasza Wiera Filipowna? Oto co znaczy być przez dwa lata bez Iwana.

— Ona ma prawo wygłaszać takie aforyzmy — poważnie odrzekł Mykoła.

Wieruńka po chwili milczenia znowu zaatakowała Romcia:

— Ciebie, chłopcze, warto by było wytrzeć dobrym papierem ściernym... Grzywę na czoło sczesał, pierścień na palcu, a jaka z ciebie korzyść w życiu? Mało ty jeszcze naszego kwasu się napiłeś...

W tym wypadku Wieruńka miała na uwadze kwas witaminizowany, którym hutnicy gasili w hucie pragnienie. Orlanczenko zachichotał:

— Znam ten wasz kwas! Tak strzela, że jednemu korkiem oko wybiło...

— Co takie ladaco może mieć na myśli?

Tu Mykoła ujął się za towarzyszem:

— Wieruńko, nie zapominaj, że masz przed sobą robotnika najwyższej klasy. Można powiedzieć — elitę!

— O, właśnie! Zmianę odbębnił i poszedł wiatr ganiać po ulicach. Tylko o tańcach myśli i o komforcie...

— Tacy też są potrzebni — nie obraził się Romcio. — Bez takich jak ja życie byłoby nudne... Bezwartościowe jak woda destylowana.

Wieruńka nie chciała już dalej słuchać:

— Dość już tego! Idźcie, nie tłuczcie się pod oknami. — I przymknąwszy okno, zniknęła w mroku chałupy.

Teraz już chłopcy się pożegnali. Orlanczenko ruszył w swoją stronę, rzuciwszy Mykole na pożegnanie: „Salem!" Mykoła zaś powlókł się uliczką w stronę łachy. Poczuł, że w słowach Romka o jałowości życia jest jakaś prawda, poczuł, że i przemijanie jego zaczepiańskich dni, bez narzekań i wypowiedzi, byłoby jednak mniej ciekawe lub, jak on twierdzi, jałowe... Cynizm i niewybredność Romka niekiedy go raziły, ale jakoś nie widział siebie bez jego wybryków, docinków, sceptycyzmu, bez zjadliwych paradoksów. Było to potrzebne dla organizmu, który wymagał jakiejś odtrutki przeciwko monotonii dnia powszedniego, przed standardowymi tendencjami tych, którzy by chcieli zrobić z ciebie człowieka-cegłę, widzieć w tobie podatny, pozbawiony ducha materiał budowlany... Romcio uważa, że ma prawo na pewne rozchełstanie ducha, bo czemu on właściwie w swoim powodzeniu musi być przystosowany do jakiegoś standardu? Na razie jest trochę połamany, skomplikowany, lecz cóż z tego? Przecież nawet drzewo się wyprostowuje, kiedy rośnie.

Bagłaj błąkał się tej nocy i gdziekolwiek się znalazł, czy to koło łachy, w której kąpał się księżyc, czy na majdanie soborowym, wszędzie szła z nim jego madonna z mocno ogorzałymi rękami, ze smutno zamyśloną twarzą, na której płonie smagłość sarmacka. Tylko raz udało się Mykole ujrzeć dziewczynę z bliska — podlewała grządki koło samego płotu. Stała opryskana wodą, z wężem do polewania, i spode łba patrzyła na Bagłaja; spojrzenie jej było uważne i jakieś nieufne... Mocna opalenizna twarzy uwydatniała zielonkawą

głębinę oczu, zaczajonych, czujnych i zarazem smutnych. Nieufność i smutek głęboki — to najbardziej się uwydatniało. Usta zaciśnięte, a w jej spojrzeniu i w całej postawie była jakaś stanowczość, wyraźnie ujawniająca wewnętrzną siłę natury, namiętność charakteru i pewność siebie. Włosy ciemnoblond były luźno rozrzucone na ramionach, ich końce złociły się w słońcu, jakby były z lekka przypalone innym słońcem, stepowym. Poważna głębia oczu posiadała jakiś odcień zieleni, jaki można podpatrzeć tylko w oczach mew gdzieś na Wilczych Wodach. Tylko na chwilę spotkały się ich oczy; Bagłaj pozdrowił ją, ona odpowiedziała niegłośno: „Witajcie." To była ich cała rozmowa. Od tego spojrzenia nieznajomej Bagłaj i teraz czuje jakiś niepokój w sercu, gdy błąka się niby cień po nocnej Zaczepiance. Nie wiadomo czemu, tej nieznajomej Bagłaj chciałby opowiedzieć o swym życiu, wyjawić całą swą tajemnicę...

Kiedy człowiek niebawem ma skończyć dwadzieścia dwa lata, a sława poety zaledwie mu się marzy, jest nad czym się zamyślić. Dwadzieścia dwa lata, lecz dla nieśmiertelności niczego jeszcze nie zrobiono. Coś w tym rodzaju kiedyś wypowiedział Juliusz Cezar w czasie swej młodości. I choć było to w surowym Rzymie, a nie w tej łagodnej, poetycznej Zaczepiance, lecz nastroje podobne do tych, które już kiedyś kogoś nawiedziły i niepokoiły, przenikają ludzi i po latach tysiącu. I tak naprawdę, co zdążył już zrobić? Co zdziałał w ciągu swoich dwudziestu dwóch lat? Gdzież jest poemat twego życia? „Zbawiciele Tytana" — może tak będzie się nazywać ten poemat? O hutnikach, o tych, co w czasie tańca śmierci potrafili uratować swój czarny mit — żeliwny, z porwanymi okowami Tytana Pracy, którym tak wcześnie i niepowtarzalnie zamknął się nieśmiertelny duch rewolucji. Poemat o takich jak legendarna Maja Papirna z Kolonii, jak jego ojciec Nikodem Bagłaj, który jako ochotnik wstąpił do armii w roku czterdziestym pierwszym, zaraz pierwszego dnia i zniknął bezpowrotnie w zadnieprzańskich burych wichrach... Poemat tragiczny, poemat nieujarzmionego ducha, ale w jakich słowach go zamknąć, w jakich zakarbować? Żeby tak jak ten sobór przeniósł poprzez wieki twój duch czasu zwycięskiego... Tylko czy będzie im potrzebny twój utwór? Ta nowa era jest trzeźwa, czy nie zbagatelizuje ona wypowiedzi poetów? Jakież to będą poematy przyszłości? Poematy abstrakcyjne? Aryt-

miczność zastąpi muzykę słowa? Matematyczne fantazje, być może, zastąpią nam piewców? Jak szaleńczo, z szybkością mary sennej przemija czas! Nie tak już długo będzie panowała sztuka stworzona przez człowieka. Trzydzieści czy czterdzieści tysięcy lat temu nieznany artysta przy odblasku ogniska narysował w swojej pieczarze pierwsze kontury mamutów, na które polował za dnia... Potem była Nefretete, był Partenon, była Mona Liza... A tu oto widzisz współczesny, modernistyczny utwór, w którym bezładnie przemieszały się uszy ludzkie, oczy, nosy, harmonię zaś zastąpił chaos, paletę Rafaela zastąpiła puszka po konserwach oraz małpa z wiechciem. Wynaturzenie? Samozaprzeczenie? Duch ludzki się zużył, wyczerpał? Czy może to tylko kryzys przejściowy, po którym nastąpi w sztuce młodość i wiosna, i harmonia nowych linii i nowych barw?

Mówi się, że poezji przewodzi postęp. Innych życie wystawiało na wielkie próby, a co ciebie czeka w obecnej codzienności, wśród powodzi szarych dni, które niekiedy rzeczywiście wyglądają jak „jesienne plaże"... A jaki jest naprawdę charakter postępu? Czy ten, który zamierza go wprowadzić, ten, co w swojej dalekowzroczności przygotowuje się do tego, czy może bliżej jest prawdy ten, dla kogo postęp jest aktem błyskawicznym, jakby strumieniem światła z reflektora? Może jak wybuch, którego wieczność mieści się w momencie... Jest tam, gdzie idzie się na ryzyko śmiertelne, bez wahania wstępuje się w dwubój ze złem...

Czujesz w sobie powołanie do poezji, ale kto nauczy cię jej czarodziejskich tajemnic? Ten sobór? Dumny poemat stepowo-kozackiego budownictwa, poemat, który raz po raz wzrusza cię, coś ci nawiewa, wchodzi w twoją młodość odblaskiem dalekich dziejów. Nie trzeba tu ruin, słyszycie, wy, geniusze burzenia? Czyżby obojętne wam były zdobycze naszej planety, upewnienie się w ładzie, jaki istnieje w tych dziełach, w ich harmonijności — jest to duch, który jedna ludzkość.

Życie utorowało sobie swoje łożysko poprzez ten sobór, codzienność przemija obok niego nieskończonymi szeregami, nowe pokolenia w tych siołach i osiedlach zdobywają wiedzę w miłości, ulicą Szeroką odnoszą starych hutników na wieczny spoczynek, a półkule kopuł płyną nad Zaczepianką jak obraz nieskończoności, wciąż góruje nad majdanem ta posiwiała skała wieków. Sobór zawsze posiada w sobie pe-

wien nastrój, ale Bagłaj najbardziej lubi go w nocy, w szumiące wiatrami noce, kiedy wiatr wschodni zrywa liście z po nocnemu groźnych drzew, a dokoła jest jasno od światła księżycowego i jest wietrznie, sobór zaś stoi wśród takiej jasnej nocy jakby przepełniony po brzegi, bielejąc fantastycznie jak wiatrem wydęty żagiel... Sobór posiada swą własną plastykę, swój własny rytm, tylko jemu są one właściwe... Ale i w twoim obecnym życiu jest coś takiego. Inne jest, nowe, lecz jest! I ty szukasz tych rytmów. Może Zaczepianka po to cię zrodziła, żebyś znalazł tę swoją Bagłajową muzykę barw, którą może kryją w sobie te oto wybuchy wiecznie żywego nieba fabrycznego, te oto soborowo-białe zaczepiańskie noce...

Księżyc wzbił się wysoko; sady błyszczą, żaden liść nie szeleści; Zaczepianka odpoczywa po całodziennej pracy, oddawszy się w objęcia swoich muślinowych snów.

A „Moskwicz" wciąż stoi pod płotem. Student, do późna błąkając się po ulicy Wesołej, doczekał się wreszcie jednego z pożeraczy zupki rybnej, który zataczając się wyszedł z podwórza Jagorowego i zatrzymał się w cieniu koło „Moskwicza", by załatwić małą potrzebę. Rozkudłany, drobniutki, w pogniecionym kapeluszu. Widać dobrze się nawcinał — nawet księżyca nie poznał. Zadarłszy do góry swą mysią twarz, zdobył się na żart:

— Nie rozumiem, co w tej chwili mamy — dzień czy noc?

W pobliżu majaczyła postać młodzieńca w białej koszuli. I żartu jakby nie słyszał.

— Hej!

Milczenie.

— Hej! — powtórzył jeszcze raz wyzywająco.

Wtedy posłyszał w odpowiedzi spokojne:

— W jakim to języku to „hej"?

— Co tam jest w górze: księżyc czy słońce?

— Nie wiem: jestem nietutejszy.

Tamten podszedł do studenta bliżej, przyjrzał mu się podejrzliwie.

— To czemu tu sterczysz? Samochód oglądasz?

— Wszystko oglądam.

— Widzisz go... Nietutejszy... A skąd jesteś?

— Z dwudziestego pierwszego.

— Co to... numer zakładu? Skrzynka pocztowa?

— Nie, nie skrzynka.

— A co?

— Wiek.

Pytający długo sapał, potem jakoś zrozumiał i zaśmiał się ochryple.

— Patrzcie! A to ci potomek... spadkobierca, znaczy... Z dwudziestego pierwszego wieku... W gości do nas? Na zupkę? No, a jak tam... w tym dwudziestym pierwszym? Całują się jeszcze? Rybki łowią?

— Rybki łowią — odrzekł Bagłaj bardzo poważnie. — Ale darmozjadów jak by było mniej. Z łapówkarzy i biurokratów, proszę sobie wyobrazić... kukły karnawałowe porobili.

— Hm! Kukły karnawałowe — sapał tamten. — My też to potrafimy... Więc powiadasz, że jesteś stamtąd... Harmonijny człowiek. A paszport masz?

— Nawet nie wiem, co to jest ten paszport. Nawet o tym nie słyszałem.

— No, jakiekolwiek dokumenty, które stwierdzają twoją tożsamość?

Bagłaj zrobił krok naprzód i spytał z naciskiem:

— A wy macie?

Jegomość w kapeluszu spochmurniał.

— My wam... nie podlegamy.

— Wy jesteście inspektorem rybołówstwa? Chronicie bogactwa rybne w Dnieprze?

— A choćby... Tylko co ciebie to obchodzi?

— Zaciekawiła mnie wasza osoba.

— Czy nie anonim chcesz napisać? Przyznaj się — anonim?

I tu się dowiedział z satysfakcją, z największą przyjemnością, gdy usłyszał znany aforyzm zaczepiański:

— Na naszej ulicy anonimów się nie pisze!

Jegomość w kapeluszu zdziwił się:

— Wszędzie piszą, a u was co... Ze wszystkiego jesteście zadowoleni?

— Nie, łajdaków nie lubią.

— To o kim ty?

— O tych, co w dzień uczą nas moralności, a w nocy oduczają.

Na to, trzasnąwszy furtką, nadszedł jeszcze jeden amator zupy rybnej, rosły, w rozpiętym prochowcu, z obrzmiałą twarzą, która nienaturalnie bielała w poświacie księżyco-

wej, jakby przyprószona cementem. Głowa wielka, połyskuje łysiną, tylko kępka trzech włosów — daleki prawnuk osełedca kozackiego. Zakaszlał cichutko.

— Słyszę, słyszę głos Bagłajenki — z godnością odezwał się Łoboda-wydwiżeniec, bo to był on we własnej osobie. — Dokładnie wytłumacz temu ciemniakowi, co to jest Zaczepianka... Ona jest ponad anonimy... Ma swój honor!... Dawno już ciebie nie widziałem, Mykoło. Wciąż jesteś taki sam? Z dogmatykami walczycz? Ja też im nie popuszczam... No, a jak tam twoje wychwytywacze dymu? Gdzie je masz?

— Pod suknem.

— Niby u kogo?

— U waszego brata.

— Widzicie go! Wciąż stajesz okoniem. A ja ciebie nosiłem na barana, z Iwanem nosiłem. Biegaliśmy do przejazdu węgiel kraść z platform pociągu w ruchu, żebyś ty tu, pacanie, nie marzł... A ty teraz tak mi się odwdzięczasz, błotem mnie obrzucasz, przezwiska dajesz... Czy to uczciwie? Nam, hutnikom, nie uchodzi drzeć koty. My musimy się trzymać razem, oto co ci powiem. Ja i bez ciebie wrogów mam tyle, że groble nimi mościć, tymi, co po cichutku, w gabinecikach...

— Kiedyś i wuja Jagora do wrogów zaliczałeś, a teraz, jak widzę, jesteście w przyjaźni. Wszystko się zmienia.

— Zmienia! Zupełnie słusznie filozof to powiedział. Płynie, zmienia się, i to jeszcze jak! Teraz na wypracowanych dogmatach daleko nie ujedziesz. Trzeba mózgiem ruszać, żeby nowe wypracować.

— Na przykład — rusztowanie potiomkinowskie...

— No, on znowu! Chłopak z ciebie, Mykoła, dobry, z uczciwej rodziny jesteś, mój ojciec z twoim żyli w nierozłącznej przyjaźni... Obu im towarzysz Sergo ręce ściskał! A sam ty, wybacz, że jestem szczery, zwichnąłeś się na dawno minionej przeszłości... I co ty, młody chłopaku z przedmieścia robotniczego, znalazłeś w tym zmurszałym Jawornickim? Sobory... szable kozackie... kurenie! Wszystko to są rekwizyty historii, rupiecie minionych wieków. Czemuż ty tego nie rozumiesz? Czyż tym mamy się zajmować w epoce rakiet? Główny konstruktor oraz my obaj wiemy, do jakich spraw Zaczepianka ręki dokłada... Więc czas ją odnowić! Wy, młodzi, poprzyjcie mnie, a ja jutro na miejscu tego soboru kawiarnię młodzieżową postawię. Z całym komfor-

tem! Kawiarnię cudo, w całym okręgu gęby rozdziawią! Restaurację z szaszłykami! Czebureki! A obok muszla koncertowa, różne atrakcje, diabelski młyn będzie górował nad całą Zaczepianką... Bawcie się! Nie chcemy! Czyżby nie było zapłonu?

— Nie, nie ma!

— Tacy to jesteście, obecni komsomolcy. Zapału w was nie ma. Trzeba, żeby wokoło was grzmiało, żeby wszystko śpiewało! Więcej pomysłowości! Ty możesz najzwyklej mnie spytać: a co z naszym dziedzictwem narodowym? Myślisz, że ja jestem przeciwny tradycji? Czyżbym był kimś obcym, jakimś włóczęgą bez paszportu? Można wszystko zachować w stylu kozackim, na fasadzie kawiarni może stanąć Zaporożec ze spisą albo Kozak Mamaj może siedzieć z bandurą, w szerokich szarawarach! Kawiarnię nawet można nazwać „Kozak Mamaj" albo „U Kozaka Mamaja". Czy nie byłoby ładnie? Ale tego mi nie ruszajcie! To mój pomysł! Patent zachowuję dla siebie! Właśnie. Trzeba mieć pomyślunek. Myślałeś, że darmo siedzę w kulturze?

I zaśmiawszy się z zadowoleniem, ruszył w stronę samochodu, lecz jeszcze zawrócił i półgłosem powiedział w zaufaniu:

— Ty tu nad tym Jagorem popracuj. Bo przyjdą z zapytaniem o tę historię z Tytanem, a Jagor był wtedy w hucie... Tylko nic na ten temat nie chce mówić, może ma jakiś grzeszek na sumieniu... Ale cóż to był za wyczyn! Ledwie dowiedziano się, że Niemcy zamierzają tego Tytana wziąć na złom, a już tej samej nocy, pod nosem okupantów, Tytan znika. Jacyś nieznani sprawcy załadowali go na platformę i wraz z różnym rupieciem złożyli w jakiejś dziurze, gdzieś w podziemiu i tam przeleżał, póki nasi nie przyszli. Ktoś to potrafił zrobić! Czy to nie heroizm?

— Owszem, heroizm — zgodził się Mykoła.

— No, więc wreszcie doszliśmy do porozumienia. Kłaniaj się matce. Choć jest staruszką surową, lecz sprawiedliwą. Medal by jej dać za to, że bez ojca was wychowała. — I wziąwszy swego zmaltretowanego przyjaciela za ramię, odwrócił go twarzą do Bagłaja. — Spójrz, jakich orłów klasie robotniczej daje Zaczepianka. Na festiwal można go posłać! Uroda i siła, postawa, muskulatura! Zuchy chłopcy! Tutejszych, jeszcze ładniejszych, nie zaczepiaj, lepiej cichutko wymiń. Bo u nas to tak jest: złapią, głowę odwrócą twa-

rzą do tyłu i na dodatek jeszcze powiedzą, że od urodzenia taka była.

Zarechotał, a jego rechot w cichej uliczce poniósł się głośno i pewnie. Czy wobec takiego ostoi się sobór, ten „rupieć historii"... I Bagłaj miał nawet ochotę zapisać w jakiejś kronice zaczepiańskiej: „Nie ma czarniejszej nienawiści, nienawiści bardziej skrajnej i ostatecznej niż nienawiść odstępcy i renegata..."

Wsiedli do samochodu; limuzynka tylko furknęła, podnosząc kurz nad całą uliczką. Czuć było w powietrzu suchy fetor benzyny i kurzu. Latarnie omiotły sobór, ześliznęły się z niego i widać było, że „Moskwicz" czemuś tam się zatrzymał i tych dwóch wyszło z niego; prochowiec Łobody znowu zabielił się w poświacie księżycowej. Czemu oni tam się zatrzymali? Przecież opon nie poprzebijali, choć smarkacze zaczepiańscy nieraz się przechwalali, że im to zrobią, jeżeli nie przestaną staremu Jagorowi podjadać zupki ..

Potem ci dwaj stali przed soborem, przyglądając się w świetle księżyca jego bryle.

— Już mam w wątrobie tę waszą chłodnię — powiedział Łoboda ostrym, rozeźlonym głosem. — Potiomkinowskie rusztowania... Bocian geniuszy wysiaduje... Nienawidzę każdym nerwem! — Podniósł zaciśniętą pięść.

Inspektor rybołówstwa nigdy dotąd nie widział swego przyjaciela w przystępie takiej złości.

— Za... za... zabytek architektury — powiedział, żeby uspokoić przyjaciela.

— Zabytek... Jakiego tam diabła zabytek — syczał z nienawiścią. — Co w nim jest z architektury? Rupiecie historii i tyle! Do tego jeszcze trzeba się dokopać, co chcieli poprzez ten sobór powiedzieć przedpotopowi siczownicy! Jakiemuś Skrypnikowi uderzyło do głowy, że zaliczył to do zabytków i wciągnął do rejestru... A my, niewolnicy papierków, boimy się nawet do niego przybliżyć.

Wytarł spocone czoło i jakby dopiero teraz spostrzegł inspektora rybołówstwa.

— Ile mnie ten niedorzeczny sobór nerwów kosztuje... Każdy tylko stara się wygrać swoją sprawę, przecież słyszałeś! Wymyślił, powiada, potiomkinowską sztuczkę! A z drugiego frontu nie dojedzone przez mole staruszki piszą i piszą do różnych urzędów. Bezprawnie sobór zamknięto, powiadają, uszanujcie naszą starość, bo nasi synowie polegli

na frontach... Z Urzędu Okręgowego telefony z niezadowoleniem: co tam u ciebie się dzieje z tym soborem, czemu ty mu rady nie dajesz?

— To się pośpiesz.

— Jak to — pośpiesz?

— Jesteś władzą — sapał inspektor rybołówstwa. — Wszystko masz w ręku... Czy nie wiesz, jak podejść?

— Wiem. Nie trzeba mnie uczyć, jak to robić. Tylko by go z rejestru... Wtedy saperów poproszę i w ciągu nocy pył się posypie. Pył wieków!

— No, więc o co chodzi? Rób ten proszek...

— A paszport?

— Jaki paszport? — pijany przyjaciel nie mógł zrozumieć i nawet chwycił się za kieszeń.

— Ta metalowa tablica. — Łoboda wskazał na ciemniejącą tablicę metalową, ledwie widoczną na murze soboru. Przyjaciel wyżej podsunął swój zdeformowany kapelusz, wyciągnął szyję, ale nawet z bliska nie mógł odczytać, co tam było napisane.

Złodziei jeszcze w Zaczepiance nie spotykało się, więc zapotrzebowania ani na stróżów, ani na patrole ochotnicze dotąd nie było. Dlatego nikt nie widział, jak dwóch pijanych osobników, dwóch pigmejów nocnych powoli weszło w cień soboru i zbliżyło się do tablicy ochronnej.

Sobór słuchał w milczeniu. Późny księżyc spoglądał z nieba, ze swego posterunku kosmicznego. Osiedla, zmęczone pracą, pogrążyły się we śnie, odpoczywały w ciepłych objęciach nocy.

7

Dyrektor kołchozu, w którym pracowała Jelka, niespodzianie odwiedził Zaczepiankę. Pięciotonowy samochód ciężarowy postawił na majdanie, bo gdyby wjechał w uliczkę, to prawdopodobnie wszystkie płoty by zatrzeszczały. Ruszył pieszo, poważny, nie spiesząc się. Jeśli kogoś ujrzał na podwórzu, pozdrawiał z daleka i zapytywał o jakąś Ołenę Czeczil. Zanim dotarł do chałupy Kartatego, telegraf zaczepiański doniósł już Jelce, co jej zagraża. Tylko mignęła przez sad i ukryła się w burzanach na cmentarzu.

Dyrektor wszedł na podwórze Kartatego, przywitał się

z gospodarzem i spytał, czy może widzieć się z Ołeną Czeczil.

Jagor odpowiedział posępnie, że taka nie figuruje tu w księdze meldunkowej. I na tym chciał zakończyć rozmowę, ale przybyły, choć na oko wyglądał na człowieka łagodnego, nie zdradzał ochoty zakończenia rozmowy i nie zamierzał wracać z niczym. Kto go nakierował na ślad Jelki, o tym przemilczano. Być może, iż dzięki swojej delikatności dyrektor osiągnął to, że Jagor zmiękł i dał się wciągnąć w rozmowę. Poprzednich dyrektorów Kartaty znał, wiedział, jak należy oceniać tych pijaków. Ten zaś spokojny mężczyzna z siwiejącym już wąsem, chociaż rodem był z Wowczugów, i tak wzbudzał zaufanie. Oparłszy się ostrożnie o płot, pochwalił chałupę starego, okiennice, dostrzegł zaszczepione grusze, które rodziły owoce jak rękawice, a które były dumą sadu Jagorowego. To pogłaskało ambicję starego gospodarza i Jagor uprzejmie wyjaśnił gościowi, że owoce te wcale nie mają pestek.

— Ten gatunek nazywa się: grusza beznasienna.

Przybyły potem zaczął opowiadać o kołchozie, o tym, że pszenica u nich dałaby tego roku cetnarów po trzydzieści, gdyby w ostatnich dniach nie przypaliło jej słońce. Przed samym zbiorem powiał gorący wiatr i największy łan pszenicy „trafił pod gorące tchnienie", ziarno się spiekło. Przybyły skarżył się, że trudno o części wymienne i rąk roboczych nie starcza, potem wyraził wdzięczność kierownictwu huty, które przydzieliło do pracy w polu, zdaje się, i Kartatego. Pomogli, mówił, zainstalować rury wodociągowe, pomogli ustawić wiatraczki rozpryskujące wodę w czasie największej spiekoty i tam, gdzie pracuje brygada z miasta, deszcz pada. Potem mówił o Jelce. Złota, powiedział, była robotnica, przyszłość miała przed sobą, ale na nieszczęście zniesławiono ją tam i buchalter zachował się niewłaściwie. Więc należy dziewczynę zrozumieć, a poza tym niejedną dziewczynę ciągnie do miasta, zwłaszcza że we wsi klub mizerniutki, chłopców mało, a kobiety o mężów są zazdrosne. Ale teraz zamierzają zbudować nowy klub. Właśnie w tej sprawie przyjechał do miasta, by wybrać odpowiedni projekt, od Łotyszów chcą wziąć projekt, bo tam u nich ładne kluby budują. Jeszcze jakiś czas porozmawiał, popatrzył na grusze beznasienne i z tym poszedł.

Dopóki rozmawiali, Jelka się denerwowała. Wciąż podej-

rzewała, że dyrektor zjawi się po nią nie inaczej jak tylko z milicjantem, na sznurku powiodą nieszczęsną uchodźczynię z Jagorowego podwórza.

A kiedy jej obawy minęły, poczuła się nawet jakby mile połechtana tymi odwiedzinami: mówcie, co chcecie, ale o niej nie zapomniano, nie wykreślono jej z pamięci. Makar Moisiejewicz dowiadywał się o nią, zaciekawił się jej losem i chociaż nie zostawił zaświadczenia zwalniającego, lecz bądź co bądź imię jej wymienił. Mieszkała tu bowiem jako bezimienna, przybłąkana, a teraz cała ulica Wesoła będzie wiedziała, że mieszka tu w ich osadzie dziewczyna, która ma na imię Jelka — Ołena Czeczil, i że ktoś o nią pytał, że komuś jest potrzebna. Lecz jeżeli chodzi o wuja Jagora, to ta renoma Jelki jakby dla niego nie była istotna, a nawet nie bardzo mu się spodobała. O księdze meldunkowej znowu wspomniano. W Zaczepiance, gdzie wszyscy są swoi, nikt się nie przyczepi, ale w domach przy bulwarze tylko na jedną noc zatrzymaj się bez paszportu, a już dzielnicowy z dozorcą przyjdą i zaczną wypytywać...

Dziewczyna różnie o tym myślała. Tym razem się udało, a dalej? Jak ma się dalej zachowywać? Przecież nie będzie cały wiek gościła u wuja Jagora! On jej wprawdzie nie wygania, mieszkasz sobie, to mieszkaj, nawet nie zameldowana, on jest jakby zadowolony z jej pracy, ale żyć tak na prawach ptasich jest niespokojnie, uciążliwie. A poza tym Kartaty, ze starości czy co, wyraźnie stał się skąpy; kiedy Jelka ma iść po chleb, to on długo miętoli w garści swoje piątaki, a dawniej, powiadają, lubił się zabawić. Jeszcze matka opowiadała Jelce o jednym takim głośnym wypadku, kiedy Jagor, sprzedawszy pewnego razu w mieście truskawki, które tego roku obrodziły, i będąc dobrze pod muchą, wynajął za wszystkie utargowane pieniądze orkiestrę dętą, która grała temu machnowcowi do samej Zaczepianki; wszyscy ci trębacze z orkiestry byli podchmieleni. Jagorycha z krzykiem do hultaja, gdzie podział pieniądze z utargu, a on tylko się śmieje i na orkiestrę wskazuje:

— Pieniądze, babo, poszły na srebrne trąbki... W muzykę się zmieniły!

Wuj jakoś się udobruchał, dał Jelce na zabawę dziesiątkę i pozwolił iść do miasta, do kina. Pobiegła, nóg pod sobą nie czując. Przez osiedle, między zakurzonymi murami zakładów, gdzie wszystko było czarne od sadzy, gdzie bez

ustanku słyszało się gwar i krzątanina trwała bez końca, a słońce z góry paliło tak, jak nigdy w stepie nie pali. A mimo to, gdy weszła na most, odczuła w sercu jakąś lekkość, jakby znowu jej życie nabrało sensu. Dawniej nigdy mostem tym nie szła — cały z żelaza, rozpalony w słońcu, niezmiernie długi, chyba największy w świecie. A w dole połyskiwał Dniepr; tak migocze, że aż oczy bolą nań patrzeć; wyspy się zielenią, żaglówki płyną niby łabędzie białopióre. Daleko na plażach tysiące ludzi, opalone ciała się złocą, z oddali wygląda to, jakby się rumieniły łany pszeniczne. Jelka nawet nie rozumiała, co to być mogło. Zakłady, przystanie, budynki wznoszą się tarasami na wysokim prawym brzegu. Wszystko to było spowite dymem, migotliwością upału południowego; wieża telewizyjna na wzgórzu ledwie majaczyła we mgle oddalenia. Miasto wydało się Jelce czymś jedynym, nieodgadnionym, żywym, mającym duszę, zdawało się, że było ono tu od prawieków, że samo wyrosło z tych wzgórz, jak wszystko na świecie rośnie.

Chodniki centralnego bulwaru rozmiękły od upału, niezliczona ilość obcasów pozostawiła na nich swój ślad. Jelkę cieszyło to, że i ona zostawia tu ślady swych sandałów. Młode mieszkanki miasta, szczególnie te z fioletowymi powiekami, ostrzyżone po chłopięcemu, krytycznie spoglądały na Jelki sandały, przynajmniej tak jej się zdawało, lecz zauważyła również coś innego — błyski kobiecej zazdrości w oczach, kiedy obrzucały spojrzeniem zgrabną figurkę Jelki, dumnie podniesioną głowę, ogorzałą, słońcem umalowaną twarz. Niektóre nie mogły się powstrzymać, by nie obejrzeć się za nią, i to sprawiało jej przyjemność, ożywiało jej miłość własną. Gdzie tylko spotkała ogłoszenie o przyjmowaniu na studia, Jelka zatrzymywała się i wszystko czytała bardzo dokładnie. Tak było koło gmachu uniwersytetu, koło szkoły teatralnej, a najdłużej zatrzymała się koło technikum młynarskiego, lecz i tutaj ogłoszenie kończyło się surowym przypomnieniem, jakie dokumenty musi się złożyć, aby być przyjętym. Komisje egzaminacyjne już rozpoczęły działalność, wszędzie kręciła się młodzież, każdy miał jakieś projekty, a tylko ją jedną życie jakby odrzuciło na bok i pędzi ją gdzieś bez żadnego kierunku.

Znalazła się w parku. Koło kasy kina stało niewiele osób. Jelka wzięła bilet na seans dzienny, na którym było mało widzów. Niewiele stracili ci, którzy nie poszli na ten film;

Jelka też mogła nie tracić nań czasu. Na ekranie tylko palą papierosy, nudzą się, wszyscy są czymś skwaszeni, a kiedy pod koniec filmu ktoś z kimś się pocałuje, to tak jakoś od niechcenia, sennie, byle jak, nie są zdolni nawet po ludzku się pocałować! I to ma być miłość? Zdaniem Jelki, jeśli już miłość, to ognista, bez ociągania się, bez skradania się, niech się dzieje, co ma się dziać... Chciałaby żyć namiętnością, kiedy człowiek spala się w szczęściu, kiedy z miłości poezja się rodzi. I choć się oparzyła, nie zaznawszy miłości, to jednak była pewna, że miłość istnieje, sama kiedyś o takiej miłości marzyła w noc wiosenną... No cóż, nic z tego! „Ale czyżbym nigdy takiej miłości nie miała zaznać? — zastanawiała się Jelka, siedząc w pawilonie nad porcją lodów. Siedziała pod abażurowym daszkiem, skąd widziała odkrywający się przed nią szeroki widok na Dniepr, na wyspy, na dalekie wzgórza samarskie. Miłość to jak ten Dniepr, nad którym wiatr i słońce, żeby i w duszy było słonecznie. Jakżeż by to mogła wszystkim dziewczętom o tym powiedzieć, podzielić się z nimi gorzką, spóźnioną nauką! Czyżby spóźnioną, czyżby beznadziejną? A przecież tamten raz po raz przyjeżdża, komplementami obsypuje, napomyka... Oczy wielkie, po cielęcemu jasne, przebija w nich oddanie. Wprawdzie nos ma zbyt mocno zadarty, na głowie trzy włoski, zaś zamiast brwi tylko jakiś puch, ale choć nie ma brwi, jednak wesoły i energiczny, wciąż ma różne pomysły w głowie. Zwracała uwagę przede wszystkim na jego komplementy, a teraz w swoim odosobnieniu musi cierpieć i nasłuchiwać, lecz mimo to zaczyna do niego się przyzwyczajać, do jego towarzystwa. Wygląda na to, że ma jakieś zamiary, nie traktuje jej byle jak, toteż i wuj Jagor dmucha w jego trąbkę.

— Jak widzisz, Jelko, on wciąż przyjeżdża. Nie jesteś malutka, domyślasz się, po co przyjeżdża. Z tego wszystkiego widać, że zamiary ma poważne. Więc nie bagatelizuj go. Bo co z sobą zrobisz, kiedy mnie już nie będzie? Kto stanie w twojej obronie? A przy nim nie zaznasz biedy.

Niekiedy wpada w taki nastrój, że aż zaczyna wątpić: no co? Na kogo czekasz? W całym świecie nie znajdzie się taki, kto by do ciebie wzdychał.

W pawilonie mało było ludzi. W drugim końcu siedzą nad czarkami z lodami dwie młode zadumane Cyganki; jedna piersią karmi niemowlę, druga łapczywie pali papierosa.

Właśnie przed chwilą wzięła paczkę „Kazbeków". Skąd one są, jak żyją? Ciężar wieków przemawia z ich głębokich, zadumanych oczu... Dwie kobiety pradawnego hinduskiego plemienia. Jak zachowały one dotąd smagłość swych przodków i czarne brwi, i gesty, i śpiew? Dwa obieżyświaty, które zabłąkały się w wichrach dwudziestego wieku... Powróżyć by czy co? Nie, jak ma być, tak będzie!

Po lodach Jelka odwiedziła w tymże parku muzeum kozackie. Napatrzyła się na tę kozaczyznę, wyszła z takim uczuciem, jakby pod pewnym względem stała się bogatsza. Byli kiedyś ludzie w tej twojej Wowczej, w tych namiotach stepowych, a wszyscy jak giganci! Niezupełnie zetlały ich sztandary malinowego koloru, połyskują szable pod szkłem w gablotach, tleją aksamity, nawet kozacka łódka ocalała, olbrzymia, wyciosana z jednej kłody dębowej, tylko że zupełnie poczerniała, jakby była zrobiona z antracytu; wydobyta została z zamulonego dna rzeczki Pidpilnej, rybacy ją wydobyli... Jelka widziała rycerzy zaporoskich jakby żywych, widziała ich stojących na warcie na kurhanach stepowych, migotanie szabel, gdy bili się w kurzawie, pośród krzyku i zgiełku, rżenia koni zroszonych potem i krwią. Walczą do upadłego, odbijając z jasyru swe siostry jakiemuś cuchnącemu chanowi... To byli ludzie, to oni obronili twój kraj i przekazali go tobie jako wieczne wiano, i to niebo, i rozległość stepów, i migotliwość fal Dniepru!

W specjalnym oddziale muzeum ujrzała mnóstwo różnych metalowych wyrobów, rur różnego kalibru, były nawet nie wiadomo po co wystawione w gablocie trzewiki damskie wyprodukowane w miejscowej fabryce obuwia, ale obok tych eksponatów zwiedzający przechodzili prędko, każdy z nich miał na nogach własne obuwie. Jelka również tu się nie zatrzymała, ale koło wagoniku, jednego z tych, którymi posługiwano się niegdyś w hucie, jakiś czas postała, potem znalazła się w grupie pionierów, którzy z zaciekawieniem przyglądali się kolekcji zardzewiałych ostrych kotwiczek, które kiedyś rzucano pod kopyta końskie w czasie wojen kozackich. Teraz młodociani kursanci otoczyli wagonetkę nieznanego ładowacza. W białych koszulach, w krawatach z czerwonego jedwabiu, rozmawiali z zapałem, obchodząc wagonetkę dokoła; jakiś śmieszny pionier, najmłodszy ze wszystkich, z dumą zawołał:

— To chyba wagonetka mego dziadka! Był ładowaczem!

„A może to wagonetka mego wuja Jagora? — pomyślała Jelka. — Może jego praca tak była ważna dla życia, że wagonetkę wstawiono do muzeum dla przyszłych pokoleń?”

Po zwiedzeniu muzeum poczuła się raźniej: może pionierzy swoją radością i gwarem wprawili ją w dobry humor, a może ta malinowego koloru wolna kozaczyzna, nieustraszona, po której takie jasne wrażenia zostały?

Schodziła w dół bulwarem, który był cały w jaskrawych kwiatach wysokich i czerwonych, obficie podlanych, opodal olbrzymich przypylonych akacji, które już przekwitły i znowu czekały na nowe kwitnienie. Jakieś kobiety śmiały się na balkonie, do życia się śmiały, a nie z Jelki. Przypomniała sobie, jak Łoboda przechwalał się, że ma mieszkanie przy tym bulwarze. „Oddzielne — mówił — z balkonem, z łazienką... W nieładzie kawalerskim, to prawda, ale ręce kobiece zrobiłyby z niego bombonierkę.” Które okno, który balkon? Może ten, na którym stoją wędki? I ona mogłaby tu mieszkać? I każdego rana patrzeć na te skąpane w rosie kwietniki, na pałające w słońcu róże... Ale on prawdopodobnie nie wie, że ona dotąd mieszka bez paszportu, nigdzie nie zameldowana, że nawet nie posiada żadnego papierka. Bo gdyby o tym wiedział, to by się wycofał, a może nie, bo on by ze wszystkim sobie poradził. Kiedyś żartem rzucił słowo o urzędzie stanu cywilnego, Jelka stanęła cała w pąsach, bo tam przede wszystkim o paszport by spytali, a ona ma od swoich Wowczugów tylko wilczy bilet, nawet nie pisany, a ustny... I szkoły nie ukończyła, i nawet najzwyklejszego papierka stwierdzającego tożsamość buchalter jej nie dał. „Zwolniona!” A tymczasem mieszka bezprawnie. Jak trudno żyć człowiekowi bez tych różnych papierków! A po co mu one? Czyż wpiszesz w nie duszę człowieczą?

Kartaty kazał jej, by z miasta przyszła wprost do budki, w której przechowywał boje, i powiedział, by się nie spóźniła — robotę tam ma jakąś czy co?

Dniepr nawet w zatokach był niespokojny: wiatr wodę smagał. Koło budki olbrzymia czarna topola, rozrosła nadmiernie, widać ją z daleka. W jej cieniu można się schować nawet w czasie największych upałów, teraz zaś rozłożyło się pod nią całe obozowisko, które widać przybyło tu motorówką. Motorówka miała na burcie napis „Marzenie” — przycumowana w pobliżu. Wuj Jagor wyraźnie był już pod dobrą datą, twarz jego zawsze ogorzała od płomienia pieca

hutniczego teraz była jeszcze bardziej czerwona, zaś nos jak kartofel błyszczał kropelkami potu.

— Lej, lej do pełna, nie obawiaj się! — mówił wuj Jagor, trzymając graniastą szklankę, Łoboda zaś coś lał mu z butelki. — O, tak, po paseczek Marusi... Pełniutko lej... Nie obawiaj się, nie rozleję.

Ręka mu jeszcze nie drżała.

Skrzynka piwa stoi na piasku, a opodal, zdjęte z ogniska, czerwienieje pełniutkie wiadro tylko co ugotowanych raków. Jelkę powitano z nie udanym zachwytem, widać, że czekano tu na nią; coś podścielili, usadowili, zaczęli częstować na wyścigi. Piwa nie chciała, ale z raków nie zrezygnowała i Łoboda postawił wiadro z rakami wprost przed nią, i dopiero gdy ona wzięła, oni też wyciągali raki, w palcach ich trzaskały rozłamywane kleszcze oraz szyjki. Łoboda pokazał Jelce, co należy jeść, a czego nie należy, po czym przedstawił jej swych przyjaciół — młodego inżyniera, czarnego jak żuk, który był, jak się okazało, właścicielem motorówki, oraz drugiego, długowłosego, o szerokim, dobrodusznym uśmiechu, tęgiego blondyna, który widocznie był dla towarzystwa wesołkiem, jego dziecięco-błękitne oczy spoglądały na wszystkich przyjaźnie, duże, grube usta mlaskały smakowicie, a on sam poklepywał się po wydatnym brzuchu, mówiąc:

— My martenowcy, nadmiaru się nie boimy, to jest nasza duma... Beczka kwasu witaminizowanego tu się zmieści...

Inżynier wracając do przerwanej przez przyjście Jelki rozmowy, spytał Łobodę:

— I czym się skończyła historia tego rewidenta?

Łoboda starannie rozłamał szyjkę rakową i powiedział do Jelki:

— Niedawno wykryto u nas jednego takiego. Był studentem medycyny. Po prostu okazał się człowiekiem genialnym. Znawca psychologii, Kafka, można powiedzieć! Spostrzegłszy, z jakimi teczkami chodzą kontrolerzy po restauracjach, zdobył sobie identyczną, solidną, żółtą teczkę i wypuścił się w rajd po punktach handlowych. Wejdzie sobie do jakiegokolwiek magazynu, stanie gdzieś z boku ze swoją teczką i o nic nie prosi, nie pyta, a tylko kącikiem oka obserwuje, jak się odważa czy odmierza. A tam kupujących! Gęby ich jeszcze pokryte puszkiem. I naraz między sobą szu-szu: „Kontroler! Rewident!" Więc go jak najprędzej za

kontuar, żeby go ugłaskać, sadzają i w tej chwili przed nim na beczce butelka, konserwy z kraba, kawior... Chłopak zje sobie śniadanko, ładnie podziękuje i odchodzi. Gdzieś w drugim punkcie handlowym zje sobie obiad, a w jakimś barze w taki sam sposób zje kolację. No i przyczep się do niego! A kiedy został zdemaskowany, wcale się nie speszył: ja, powiada, wcale się nie domagałem, czyż kogokolwiek oszukiwałem, szantażowałem? Częstują mnie ludzie, zapraszają, to czy ja ze swoim studenckim apetytem miałbym odmawiać? A przecież będziesz sądzony, krzyczą, boś ty żaden kontroler, lecz oszust! A on tylko się uśmiecha. Byli, powiada, na Rusi Łże-Dymitrzy i łże-wodzowie, to czemu by nie miał być łże-kontroler? Czym ja zawiniłem w porównaniu z tymi moimi łże-poprzednikami, którzy tyle nabroili?

— Sprytny młodzieniec! — zauważył młody brzuchacz leżący na piasku. — Taki zrobi karierę, że proszę siadać!

Pogmerawszy w wiadrze Łoboda wybrał największego raka i podając go Jelce znowu zaczął mówić:

— Teraz stało się modne wymyślać sobie od karierowiczów. Byle co i od razu — karierowicz! Lecz zastanówmy się, co w tym złego, kiedy ktoś pragnie w sposób uczciwy zrobić karierę? Czy nie jest to bodziec dla naszego brata z ludu? Dlaczego by tylko z trybun i w bajkach ludowych miało być ujawniane zło? Trzeba zdobywać władzę, by karać zło. Siłą władzy i prawa. Zresztą dla kogo w naszym życiu jest otwarta droga do kariery? Dla tego, kto lepiej pracuje, kto jest mądrzejszy, kto posiada więcej inicjatywy, kto więcej zdziałał dla społeczeństwa. Pracuj lepiej, zajdziesz wyżej. Takie jest prawo życia.

— Za piękną karierę! — huknął brzuchacz, który, jak się okazało, obejmował kierownicze stanowisko w zakładowym Pałacu Kultury. — Ważna uwaga, Włodzimierzu Izotowiczu! Nie jest żołnierzem ten, kto nie marzy o zostaniu generałem. Droga do kariery jest tylko przed tym zamknięta, kto do niczego nie jest zdatny. A jeżeli w dodatku masz jeszcze żyłkę artystyczną, poza tym zrozumienie dla śpiewu i tańca... A czy pani wie, jaki my mamy zespół? — z ożywieniem zwrócił się do Jelki. — Ma pani przed sobą twórcę tego zespołu, pierwszego założyciela... Do niedawna sam z kastanietami zjawiał się przed publicznością, lecz obecnie stał się poważny — mam sto dziewięć kilo żywej wagi...

Jakże huczały pode mną deski sceny, proszę nie zważać na to, że spodnie mam zbyt szerokie...

— Jednak twoje spodnie stały się niemodne, towarzyszu założycielu — zażartował Łoboda.

— A ja wcale tym się nie martwię! — zaperzył się przyjaciel. — Zaporożcy nosili jeszcze szersze, a potrafili puścić się w hopaka!... A w ogóle, co to jest moda? Co to znaczy — zasłonić czoło i zadrzeć spódnicę? Weźcie modę, jaka panuje wśród dziewcząt: okulary włożyły. Noszą nawet zwykłe szkła, byleby się wydawało, że są intelektualistkami. Wzrok ponoć straciła, ślęcząc nad książkami. Ja takich do zespołu nie przyjmuję. Zespół nasz szeroko jest znany, jesienią nawet może pojedziemy do Polski. A pani tańczy? — zapytał Jelkę i, nie czekając na odpowiedź, zaczął z zachwytem: — U nas byłaby pani primabaleriną! Co za figura, co za nogi! U nas w osiedlu dziewczęta wcześnie tyją, prawda, świadczy to o dostatku i dobrym klimacie. Spojrzysz — jeszcze młoda, a już w sukience się nie mieści, nawet to im nie szkodzi, że dymem oddychamy i różnymi tam bezwodnikami. A pani i talię ma, i biust... Na pointach będzie pani tańczyć, nauczy się pani, to nic trudnego... Dajcie nam nawet zająca, a my go nauczymy zapałki zapalać! Więc proszę pomyśleć, bardzo chętnie weźmiemy panią do siebie, do naszego zespołu „Chwila Dnieprowa".

Kartaty, gdy to posłyszał, nagle się zmarszczył, a potem, przerywając gadule, zaczął nagle z innych względów wychwalać Jelkę, mówiąc, że ona nie jest jakąś tam wietrznicą, lecz dziewczyną pracowitą, dzielną i dumną. Matka jej też była pracowita, więc dziewczyna od najmłodszych lat, od najwcześniejszych lat jest wdrożona do pracy. Usłyszeć z ust wuja tak szczodrej pochwały Jelka się nie spodziewała, więc poczuła się zażenowana.

— A czy to nie jest pracą — tańczyć całe życie? — wytrzeszczywszy i bez tego wyłupiaste oczy zażartował brzuchacz.

Ale Kartaty na żarcie się nie poznał, z wątku swych myśli nie zrezygnował i dalej ubolewał nad tym, że dziewczyna się znalazła w tak przykrej sytuacji. Wszyscy są zameldowani i mogą spać spokojnie, tylko ta w ciągłym niepokoju, nikt się za nią nie ujmie, nikt się nie zainteresuje...

— Zajmiemy się! — stanowczo powiedział Łoboda i znacząco spojrzał na Jelkę, jakby tylko dla niej w tych sło-

wach krył się jakiś szczególny sens, nie taki jak dla innych. — Bezprawia w naszej społeczności nie ma i nie będzie.

— Ojciec twój potrafił za ludźmi się ująć — z zadumą powiedział Kartaty.

A założyciel zespołu, podchwyciwszy temat, zaczął opowiadać, jak bardzo Włodzimierz Izotowicz napracował się dla swego ojca, jak stary teraz dobrze się czuje w Domu Weteranów Hutników, łowi sobie ryby na „skok". Jest taki sposób, genialnie prosty. Płyniesz sobie w noc księżycową czółnem po jeziorze Skarbnem czy po Wilczym, cisza dokoła, suniesz czółnem przy samym brzegu, a one, szczupaki, jak wiadomo, śpią ogonem zwrócone do brzegu, pyskiem zaś w stronę głębiny, a ty tylko leciusieńko pluśniesz wiosłem po wodzie, śpiąca ryba się przestraszy i hyc z wody, sama wskakuje wprost do czółna, wprost do czółna! Czasem w ciągu nocy tyle jej wskoczy, że nie ma gdzie podziać, całe czólno tych szczupaków wiezie stary Łoboda do domu i kucharki mają co robić!

— I to jakie szczupaki! — zachłystuje się kierownik zespołu. — Na całą szerokość rozpostartych ramion! Więc to się nazywa łowić na „skok".

Kartaty mruknął, że to nieprawda, Łoboda zaś poparł swego przyjaciela, bo ci weterani naprawdę mają tam wspaniałe życie jak u Pana Boga za piecem...

— O, właśnie! A czy nie powinno tak być? — mówił pojednawczo. — Zarobili na to, więc teraz mają. Wszystko dla nich jak dla pionierów, władze dają wszystko. Wszystko im idzie na „skok"... — Po czym dodał, jakby z zakłopotaniem lub z zadumą filozoficzną: — Kiedyś prawdopodobnie i my tam się znajdziemy, w tym pałacu weteranów. Tempo jest takie, że się człowiek nie obejrzy, jak życie upłynie! — I spojrzawszy przyjaźnie na Jelkę, zażartował: — Droga jest jasna: rozpoczynamy od komsomołu, a na opiece społecznej kończymy.

Gdy już raków w wiadrze nie było i puste butelki po piwie poniewierały się na piasku, wuj Jagor wziął się do strugania wiosła, które nie pierwszy dzień strugał, gdy tylko miał wolną chwilę. A goście zaproponowali Jelce przejażdżkę po Dnieprze na prześcigi z wiatrem.

Kartaty powiedział ostrzegawczo, że spod słońca nasuwa się chmura, lecz tamci na to nie zważali, wesoło pochwycili

Jelkę, która nawet się nie spostrzegła, kiedy znalazła się w łódce i zaraz pomknęła po raz pierwszy w życiu po przestrzeniach Dniepru. Łoboda, siedząc naprzeciwko, przyglądał się jej z czułością i zarazem wdzięcznością, i tym spojrzeniem jakby mówił: widzisz, Jelko, wszystko to robimy tylko dla ciebie, tylko dla twego zadowolenia i radości.

— Dokąd? — krótko spytał inżynier, który kierował motorówką, i choć pytanie było skierowane pod adresem Łobody, to jednak ten nie odpowiedział i tylko wymownym, pełnym pokory spojrzeniem mówił do Jelki: Tylko wyraź swoje życzenie, ty tu jesteś rozkazodawczynią. Motorówka i przestrzeń przed nią, i szybkość, i nasza tu obecność — wszystko do twojej dyspozycji. Wszystko tu należy do ciebie, wszystko przed tobą jest otwarte, tylko chciej, komenderuj, rozkazuj!

Równomierny warkot motoru, łagodny powiew wietrzyka w twarz, napotkane łodzie; z niektórych rozlegały się powitalne okrzyki w stronę inżyniera i całego towarzystwa, i znowu przestrzeń Dniepru przedwieczornego z jego rozległym rozjaśnionym roztoczem. Gdybyż tak pomknąć aż do swoich Wowczugów, niechby zobaczyła ją swarliwa żona brygadzisty w takim towarzystwie — zaniemówiłaby ze złości!

W pewnym miejscu zaszła konieczność wyminięcia się z lekkoskrzydłym tabunem ostrodziobych, podobnych do rakiet łodzi. W każdej siedziało po ośmiu wioślarzy, którzy to się zginali, to rozprostowywali rytmicznie w zgodnym rozmachu wioseł. Słychać było zgodny plusk. Pośród tych smagłych, o mokrych plecach i mokrych włosach atletów Jelka spostrzegła jedną znajomą postać... I od razu wszystko jej zabrzmiało słowiczymi trelami, które słyszała nocą w Zaczepiance z taśmy magnetofonowej.

Łodzie przemknęły, oddalając się rytmicznie w rozmachu wioseł, a założyciel zespołu krzyknął basem, pełen zachwytu i entuzjazmu:

— To jest życie! Życie, a nie fikcja! Swemu przyszłemu mężowi, Jelko, postawi pani warunek, by codziennie woził panią łodzią... Żeby miał własny jacht... Pani jest do tego stworzona. Codziennie przez całe lato powinna pani przebywać na plaży! — I niby żartując, a niby niezupełnie żartując, wykrzykiwał dalej, że gdyby jego tak piękna kobieta obdarzyła swymi względami, to otoczyłby ją takim dobro-

bytem, że proszę siadać! Dwa razy do roku jeździłaby do kurortu, nie zadręczałby jej zazdrością, o nic by jej nie pytał, nie jest drobiazgowy.

— Wszystko żonie można poświęcić — Łoboda znowu znacząco spojrzał na Jelkę — żeby tylko okazała się tego warta, żeby była zdolna stworzyć wraz z mężem prawdziwe, zgodne stadło. Ale powinna mieć prawdziwą swobodę. Chcesz się uczyć — ucz się. Odwiedzaj muzea, kina, chodź na koncerty. Chcesz uprawiać turystykę — proszę bardzo, bierz łaskawie pozwolenie na podróż i zwiedzaj Europę, Rzym, piramidy, Wezuwiusz... Ja tak to traktuję: daj żonie całkowitą suwerenność, wszystkie prawa jej daj za to, że ratuje cię przed samotnością i od czasu do czasu przytuli cię do serca, obdarzy pieszczotą. — Głos jego przybierał na szczerości. — Niech ona buduje życie według własnego upodobania, na wszystko należy jej pozwolić, pod jednym tylko warunkiem: niech nie biega ze skargami do komitetu na własnego męża — zażartował z odrobiną smutku. — Bo mam znajomych, gdzie jak tylko dojdzie między nimi do najmniejszego konfliktu — nie tak mąż spojrzał czy coś w tym rodzaju — żona już biegnie do komitetu ze skargą...

Jelka rozumiała dobrze cały podtekst tego, co mówił, i choć poczuła nurtującą w niej nie uświadomioną do końca odpychającą siłę, to było i coś przyjemnego, coś kuszącego w tych jego napomknieniach, w malowanych obrazach, które nie dotyczyły jej bezpośrednio. Lecz górowała tu nad wszystkim i wszystko tu przed nią się korzyło. Czuła, że w tej chwili wzrasta jej wartość, która została przez kogoś dostrzeżona i doceniona, że jest komuś potrzebna... Słowa o niezależności oraz wolności, które zostały tu wypowiedziane, jak również słowa o Dnieprze, na którym można będzie spędzić cały dzień beztrosko, sam na sam ze słońcem, z wolnością i błękitem nieba i wody, znalazły oddźwięk w jej sercu.

Burza rozpętała się niespodzianie. Burze tu raz po raz rozpętują się niespodzianie, burze przedwieczorne na Dnieprze. Z zachodu, spod chmury powiało naraz kurzem, do połowy nieba wszystko przesłoniło się rudą kurzawą i w jednej chwili i zakłady fabryczne, i Dniepr, i mosty zostały spowite jakimś niepokojem, szamotaniem wietrznym... Niebo, które za dnia było zupełnie błękitne, teraz zostało zmącone rudą zawieją oćmy i wichru, i niepokoju. Łódki niczym

drzazgi rozniosło po wodzie, białokore topole na brzegach skudłaczyły się ciemno, straszliwie dalekie i Jelka spostrzegła w oczach Łobody jakby coś niespokojnego, lecz to tylko mignęło. A chmura się rozrastała, ściemniło się dokoła, Dniepr się burzył, łódź motorowa sunęła ciężko, przeorując fale; wicher zderzał fale ze sobą, chlustał wodą. Uniósłszy sukienkę nad kolana, Jelka szła do brzegu, motorówka zaś w tej chwili pomknęła gdzieś do swojej przystani.

Ale dla Kartatego burzy na Dnieprze jakby wcale nie było: siedział sobie pod rozłożystą topolą i spokojnie strugał wiosło. Owiana wiatrem tak, że sukienka zupełnie przylgnęła do ciała, Jelka z uczuciem radości stanęła na brzegu; już nie była wśród fal, lecz na bezpiecznym gruncie i burza jej nie przestraszała, topola śpiewała jej swym szumem, i było w tym coś podniecającego, coś wesołego, gdy łodzie rozbiegały się we wszystkie strony, umykając z Dniepru, wielkie i malutkie, a jedna szalupa z numerem zakładów fabrycznych niedaleko od brzegu przewróciła się do góry dnem i dwóch nagich chłopców, wygrzebawszy się na jej wąską powierzchnię, zaczęło wybijać stopami szalony rytm czeczotki. O, tych by do zespołu tanecznego!

Kartaty jakby nie dostrzegał ich zabawy, twarz jego pozostawała pochmurna. Widać nastrój starego był czymś zepsuty. W towarzystwie tego nie okazywał, lecz teraz był jak chmura gradowa. Pomilczawszy jakiś czas, ujawnił Jelce przyczynę: dzielnicowa dziś przychodziła. Czy może przyjazd kierownika to spowodował, czy może ktoś napomknął o Jelce, dość że naraz przypomniała sobie swe obowiązki. Zaciekawiła się nagle domową książką meldunkową i po sąsiedzku ostrzegła Jagora: albo zameldujecie swą lokatorkę, albo... Trzeba będzie poszukać protekcji w milicji, żeby została zameldowana i objęta prawem przebywania w Zaczepiance.

8

Tablica na soborze została skradziona.

Tam, gdzie wisiała, został tylko prostokątny ślad i miejsce po wkrętach. Prawdopodobnie sam Łoboda-wydwiżeniec, który uważał siebie za znawcę duszy robotniczej i wszystkich jej zakamarków, nie spodziewał się, że taki

nieznaczny fakt jak zniknięcie tablicy, zwykłego kawałka metalu, wywoła w Zaczepiance tyle szumu. Pierwszym, który to spostrzegł, był stryjeczny brat Wołod'ki — Kostek, czołgista niewidomy, ściślej zaś rzecz biorąc, spostrzegła to jego przyjaciółka Natałka, którą on odprowadzał do porannego autobusu, jak to z nimi bywa raz po raz, kiedy się pogodzą po kłótni. Przyjaciele nierzadko potrafią się pojednać po sztormach i burzach, bo przedtem na ich szerokości geograficznej szalał po prostu tajfun... Oboje byli zaproszeni na imieniny do przyjaciółki Natałki w osiedlu Koksochemu. Szli tam, trzymając się pod ramię, w zgodzie i przyjaźni, ale w nocy Natałka dopędziła Kostka koło soboru, z rozbitym akordeonem, za ręce go chwytała, prosząc: „Przebacz! Na dzieci błagam, przebacz! Chcesz, uklęknę przed tobą, bij mnie, depcz, tylko zdejmij ze mnie ten grzech, przebacz, po raz ostatni przebacz!" Nikt nie był świadkiem tej nocnej sceny, a jednak cała Zaczepianka już wiedziała, jak Natałka po przyjęciu imieninowym kajała się i czołgała dokoła Kostka na majdanie, bo znowu, widać, upiła się i „puszczała pawia", jak sama lubiła mówić... Kłótliwa, skora do wypitki Natałka zawarła znajomość z Kostkiem na jakimś weselu, na które zaproszono go, by grał. Sama do niego się przysiadła, rozgrzana, zaczęła głaskać go po rękach. Powiedziała, że on jej się podoba, że on tak ładnie gra, tak nastrojowo, a że jest niewidomy, to... „Ja w tej chwili też jestem oślepiona" — śmiała się wtedy i poderwawszy go oraz zbywając wszystkich żartami, bezwstydnie pociągnęła go na kępę, w tę pościel namiętności, gdzie od dusznego zapachu macierzanki nie można było złapać tchu, gdzie od dławiących zapachów można było oczadzieć na wieki... A teraz, na imieninach przyjaciółki, jak niezamężna zapomniała o Kostku, cały wieczór wytańcowywała z energetykiem zakładowym, tym starym donżuanem, przyśpiewując do niego z zapałem, a potem oboje gdzieś zniknęli. Kostek od razu wyczuł ich nieobecność. Znikli i nie wracali — chyba ten stary lubieżnik poprowadził tę wietrznicę w podobne macierzanki... Kostek przestał grać, rąbnął akordeonem o ziemię, że aż miechy jęknęły. Potem Natałka dopędziła go aż koło soboru. Znowu były usprawiedliwiania się, tłumaczenia, błagała w imię szczęścia dzieci, on zaś, choć kipiał z oburzenia i zazdrości, wiedział, że nie po raz pierwszy wysłucha jej zaklęć, że będą łzy i pieszczoty, zaklęcia, że nie ma

dla niej życia. Wiedział, że nigdy więcej już jej nie ujrzy, że jest to nieustanna męka i ból. Nigdy nie widział uśmiechu Natałki, nie zna jej urody, nie zna oczu, tylko płeć jej jest mu znana, tylko sprężone i rozpalone ciało, pieszczota jej rąk... Poza tym zna słony smak jej łez, łez pokajania...

Przebaczył jej, pogodzili się, a rano odprowadzał ją znowu, tę matkę swoich dzieci, do autobusu. Koło soboru Natałka gwałtownie chwyciła męża za rękę:

— Kostek, co to za znak na murze? Tablicy na soborze nie ma! To dziwne...

Kostek podszedł do muru i w milczeniu obmacał otwory po wkrętach, którymi tablica była przymocowana. Chwilę milczał, potem mruknął przez zaciśnięte zęby:

— Łajdacy!

Wracając do domu, zatrzymał koło furtki Wierkę Bagłajową, która właśnie wyszła z domu do pracy.

— Sprawujesz tu władzę — powiedział ze zdenerwowaniem. — Jesteś członkinią komitetu partyjnego! A może i ty pobłażasz hultajom?

— Co się stało, Kostek? — spytała zdziwiona jego tonem.

— Tablicę ktoś zabrał z soboru. Wisiała tam legalnie? Czy ludzi o to pytano?

Widać, że nawet temu niewidomemu rzecz nie była obojętna. Może on w jakiś tam swój sposób cenił sobór, jako jedyny obiekt, który został z przedwojennego życia? Z czasów dzieciństwa, z czasów młodości, kiedy jeszcze nie wypalone oczy Kostka mogły przekazywać jego duszy ten dziwny zaczepiański świat...

Wieruńka, choć spieszyła do autobusu, poszła na miejsce wydarzenia. Rzeczywiście, tablicy nie ma. Pozbawiono sobór paszportu. I mimo że miała dość kłopotów oraz zajęcia w swoim oddziale przy wykresach, przy sprawach mieszkaniowych i bytowych, sobór zaś niewiele ją obchodził i jakby dla niej nie istniał, to teraz to bezeceństwo ją oburzyło i sobór w jednej chwili nabrał dla niej wartości, jakby ożył. W Komitecie partyjnym mowy nie było o tym, by sobór ogołacać! Na żadnym zebraniu nie powzięto uchwały w sprawie rozbiórki soboru. Bez tej tablicy, którą dawno ktoś na soborze umieścił, stał się bezbronny, skreślony z życia, skazany na złom. Przypomniało się jej opowiadanie, że kiedy

jeszcze była mała, znoszono w ich osiedlu małą, drewnianą cerkiewkę. Nie wiadomo, kiedy i przez kogo była zbudowana, ale budowali ją prawdopodobnie prawdziwi mistrzowie; zbudowana była bez użycia choćby jednego gwoździa. Siekierami i łomami łamano stare, lecz jeszcze mocne, nie stoczone przez korniki drewno. Wtedy tylko i o tym mówiono. Ci, co ponuro rozłamywali i burzyli zabytek, robili to z tłumioną złością. Początkowo zdawało się, że wszystko tam rozsypie się doszczętnie, a tymczasem stara budowla stawiała opór, zdumiewała wszystkich swą mocą. Dopiero następnego dnia sprowadzono traktory, które ją rozwłóczyły, rozłamały. Najstraszniejsze dla Wieruńki było to, że gdy walono szczyt cerkiewki, to z obłoku kurzu w różne strony pierzchały wielkie szare nietoperze, krążąc nad tłumem ludzkim na oślep, bezszelestnie. Więc uwikłana w kłopoty dnia powszedniego Wieruńka zapomniałą o wszystkim, teraz zaś, jakby na nowo spłoszone, wyfruwały z głębiny wspomnień te nietoperze, te nie śpiewające ptaki jej dzieciństwa. Ohydne duchy rujnowania, szorstkie, jakby z zamkniętymi oczami, ślepe na całe życie. Przypomniał się jej jeszcze stos porozrzucanych i przysypanych kurzem przedmiotów cerkiewnych; dzieciarnia szkolna w nich się grzebała, znajdując wśród śmiecia i połamanych szczątków zeschnięte kawałki kory brzozowej z jakimiś niezwykłymi napisami. Długo przyglądali się pociemniałemu płótnu z namalowanym na nim piekłem, z grzesznikami, z ledwie czytelnymi napisami czerwonymi na czarnym tle: „Zima niczym nie ogrzana" (później chłód okupacji będzie dla Wieruńki taką czarną, bez płomyka zimą...). Wtedy i Wieruńka wzięła kawałeczek starej zapisanej kory, z której potem ich nauczyciel komsomolec usiłował rozszyfrować starodawne słowiańskie narzecze, z jakimiś nagłówkami, z zakrętasami i wywijasami. Lecz i tak nie zostało rozszyfrowane to, co kiedyś było napisane przez dawnych pisarzy, a może przez owych majstrów, którzy potrafili budować bez użycia jednego gwoździa.

Teraz i ten sobór ktoś postanowił zmienić w ruinę. Wróci Iwan z Indii i zastanie majdan pusty. Pustkowie! A gdzie sobór? Wieruńko, gdzie się podział nasz sobór, koło którego przechadzaliśmy się w czasach młodości, w nasze noce miłosne? Gdzie jest ten milczący gigant zaczepiański, który lato i zimę odprowadzał nas do pracy i spotykał, gdyśmy

z pracy wracali? Dlaczego na jego miejscu zostało pustkowie?

Przyszło jeszcze kilku mieszkańców osiedla. Oglądali plamę powstałą po tablicy. Semko Dejneka powiedział, że należałoby zawołać milicjanta, by sprowadził psa, który powiódłby po śladach. Mają tam takie psy świetnie wyszkolone, zwęszą najniklejszy ślad.

— Po tym tropie żaden pies nie pójdzie — wykrzyknęła Wieruńka ze złością i pośpieszyła do autobusu, który właśnie nadjechał.

Niby nic się nie stało, ale nawet przy pracy Wieruńce było czemuś nijako, jakby coś przeszkadzało. Postanowiła od razu po pracy wstąpić do Łobody: sobór przecież jest w jego gestii, Wołod'ka sprawiał nad nim nadzór.

Naczelnik był w świetnym roboczym nastroju. Granatowa bluza porozpinana, było bowiem bardzo gorąco. Kto by nie znał szefa biura, mógłby pomyśleć, że ma przed sobą inżyniera metalowca. Jednego z odwiedzających, który prosto z pracy wstąpił do biura i czekając na swego przyjaciela swobodnie rozsiadł się za jego biurkiem. Okno otwarte, widać zakurzoną sadzami akacyjkę, mizerny gazonik, a trochę dalej — czarnoszarą, stuletnią, kurzem pokrytą bramę fabryczną. Widać w biurze nie obawiają się kurzu — pełno go tutaj na pozwijanych w rulony jakichś plakatach czy wykresach, które poniewierają się na masywnej szafie. Również kurzem jest przysypana metalowa statuetka Tytana, który stoi na biurku. Z zakładów fabrycznych dochodzi przez otwarte okno gwar i szum, ale w gabinecie nikt na to nie zważa, przyzwyczaili się do tego. „Spodziewaliście się tu zastać za tym biurkiem zapracowanego urzędniczynę — tak do odwiedzających powinno przemawiać wszystko w tym gabinecie. — Spodziewaliście się zastać tu biurokratę-żółciowca, który odgrodził się od ludzi pracy i spoza papierzysk świata bożego nie widzi. A ja — patrzcie, jaki jestem! Wysunęliście moją kandydaturę, więc siedzę. Z oddziału przyszedłem, lecz jeżeli rozkażą, do oddziału wrócę. Mnie tym się nie zastraszy, biurka nie trzymam się pazurami." Na biurku nic nadzwyczajnego: kalendarz, przybory ebonitowe do pisania i czarna fabrycznego odlewu statuetka — dokładna kopia tego Tytana, który w parku na wysokim cokole gdzieś aż pod niebem stoi, rozpostarłszy ramiona nad Zakładami. Obecność Tytana tu na biurku nie jest przy-

padkowa. Wśród stosów papieru ten miniaturowy intymny Tytan jest znakiem tego, że w gabinecie po wsze czasy o nim pamiętają.

— Siadaj, Wiero Filipowno, z czym przyszłaś? — Łoboda siedzi obok biurka zwyczajnie, z nogą na nodze.

— Tej nocy — zaczęła i naraz umilkła, bo jego oczy, zawsze trochę szelmowskie, zalśniły nieznacznym uśmiechem i Wierce przez moment się zdawało, że Wołod'ka wie już o wszystkim.

— Słucham ciebie, słucham.

— Tablicę w nocy zdjęto z soboru...

— Ach, Wieruńko, a ja myślałem, że przyszłaś ze sprawą nie cierpiącą zwłoki — powiedział z zawodem w głosie. — Też miałaś z czym... Wierz mi, nie tylko sobór mam na głowie... Pozwól, że najpierw tu z towarzyszem z obwodu dokończymy...

Ale towarzysz, który skromnie siedział pod ścianą, mężczyzna szczupły, w ciemnej koszuli i w krawacie, powiedział uprzejmie, że poczeka. On nawet jest tego ciekaw.

Wytrzeszczone, strereoskopowe oczy Wołod'ki znowu mignęły, nieuchwytnie mignęły. Widać było wyraźnie, że chciałby uniknąć rozmowy na ten temat, lecz mimo to w sposób przyjazny powiedział do Wieruńki:

— No, gadaj, co tam?...

Wieruńka krótko opowiedziała, o co chodzi, i zakończyła ze zdenerwowaniem:

— Samowola jakaś. Nikogo nie spytano. Jakby już żadnej władzy nie było!

Łoboda spojrzał z uśmiechem na towarzysza z obwodu, jakby chciał go przeprosić za niewłaściwe zachowanie się Wieruńki: cóż począć, zwykła robotnica, wali bez pardonu...

— Władze, Wiero Filipowno, są — powiedział pouczającym tonem. — W dodatku bardzo konkretne. Właśnie my tu z tobą mamy honor je reprezentować.

„Ty mi baki nie świeć — chciała krzyknąć Bagłajowa. — Lepiej od ciebie wiem, że władza istnieje. Do rady osiedla wybrano mnie nie dla pustego gadania. Więc po co kręcisz? Czy nie widzę tego kręcenia? Toż ja ciebie widzę na wskroś!"

— Nie po tom przyszła, żebyś mnie pouczał — powiedziała stanowczo. — Więc jak jest w rzeczywistości? To bezprawie, inaczej tego nazwać nie można!

— Sza... nie gorączkuj się, Wieruńko. My przecież swoi ludzie, zawsze dojdziemy do porozumienia. To grzech tak napadać na kuma... Lepiej powiedz, czy dobre powitanie przygotowujesz swemu Iwanowi?

To znowu było powiedziane z uśmieszkiem do towarzysza pod ścianą, żeby się wykazać przed nim swoją obowiązkowością nawet w sprawach rodzinnych ludzi fabrycznych. Spostrzegłszy zaciekawienie gościa, Łoboda wyjaśnił mu, że mąż tej tu obecnej Wiery Filipowny właśnie jest tym znanym hutnikiem, Iwanem Bagłajem, który obecnie przebywa w Bhilai i tam wytapia stal. Wkrótce skończy się termin i lada dzień powinien wrócić. Nie uszło to uwagi Wieruńki, że relacjonując to towarzyszowi Łoboda studiował go równocześnie: „geniuszowi" widocznie zależało na tym, by z góry odgadnąć, jak ten się ustosunkuje do sprawy soboru i aby odpowiednio postawić swoje żagle. Ale towarzysz, słuchając Łobody, był nieprzenikniony. Tylko gdy Łoboda skończył, powiedział powściągliwie:

— Co do tej tablicy, to trzeba, żebyście tym się zajęli. Sprawa naprawdę dziwna.

— Prześliznęło się to mimo naszej uwagi, tak, Pawle Antonowiczu — pośpieszył usprawiedliwić się Łoboda. W jego głosie słyszało się niekłamaną szczerość.

A Wieruńka w tym czasie swym bystrym wzrokiem spostrzegła w gabinecie jeszcze jedną rzecz: oto w kącie, za szafą, stało coś w mroku, w dodatku zasłonięte jakimś plakatem... coś, co bardzo przypominało metalową tablicę.

— A to co? — spytała i, nie czekając na odpowiedź, wybiegła z gabinetu, zatrzaskując ze złością drzwi.

Wkrótce potem Wieruńka już siedziała w poczekalni sekretarza Komitetu obwodowego.

9

Zaczepiankę tego dnia jakby gzy pocięły: wielu było złych.

— Jakby ci kto w serce napluł — powiedział Fedor-walcownik. — Och, żebym to złapał tych złodziei...

Na domiar złego tego dnia zepsuła się jego „Kama". I z żoną bez żadnego powodu się pokłócił. Inni też chodzili rozdrażnieni i przygnębieni. Gdyby dziś zjawił się Łoboda-

-wydwiżeniec na ulicy Wesołej ze swoim nie rdzewiejącym optymizmem i najświeższymi kawałami, to bardzo wątpliwe, czy ktoś chciałby słuchać jego „radia wierz mi". A najpewniej nikt by z nim teraz nie usiadł do „zabicia kozła"; chcesz, siadaj i graj sam z sobą!

Tegoż dnia przybyła lotna brygada robotników, którzy swego czasu zainstalowali na soborze śmiechu warte rusztowania, do niczego nie służące oprócz założenia przez bociana gniazda. Ze dwa tygodnie tu przebywali, w soborze nocleg sobie urządzili, wódkę pili i dziewczęta sprowadzali. Taka to była brygada! O jej pracy w Zaczepiance inaczej się nie mówiło jak tylko, że to chałtura. Zjawili się, bo poczuli, że się pożywią. Razem z tablicą ponoć została teraz zdjęta z soboru i jakaś tam ochrona, nienaruszalność, i od tego momentu sobór stał się obiektem niepewnym, i chyba to właśnie było powodem, że zjawili się tu „chałturnicy" (przecież i na burzeniu niekiedy można dobrze zarobić.) Bractwo to w dodatku zaczęło napomykać i o tym, że kiedyś wykonało tu pewne roboty (było tego za kopiejkę), powoływali się na jakąś umowę, którą prawdopodobnie dawno myszy zjadły. Brygadzista tej grupy, szczupły mizerak w berecie, namawiał mieszkańców osiedla do podpisania jakiegoś tam dokumentu i tonem usprawiedliwiającym wyjaśniał na majdanie, dlaczego te prace zostały wtedy przerwane.

— Przecież sami wiecie, jak to jest u nas: to kosztorys nie został zatwierdzony, to smaru do kół nie ma...

— Duszy w tobie nie ma — z pogardą skrzywił się Fedor-walcownik.

— Brygado, nie bij leżącego — dorzucił Szarko, kierowca dalekobieżnych autobusów.

Inny członek przybyłej brygady uskarżał się, że za pracę na wysokim obiekcie dodatku się nie wypłaca. Patrząc świdrującymi oczami na robotników, szukał u nich współczucia.

— Według prawa tym, co pracują na wysokich budowlach, ma być wypłacany specjalny dodatek. A czy ta budowla nie jest wysoka? — I biorąc wszystkich na świadków, wskazywał na środkową najwyższą kopułę, zardzewiałą i ze złuszczoną farbą.

Hutnicy posępnie patrzyli do góry. To była rzeczywiście wysokość. Młoda kobieta w poważnym stanie, synowa hutnika Tkaczenki, też spojrzała do góry, krzywiąc się, jakby

chciała zapytać: „A więc moje dziecko już nie zobaczy tych kopuł i ich ostro zakończonych wierzchołków?”

Niebo nad soborem, dziś jakby bardziej błękitne niż zazwyczaj, pełne było jakiejś niezwykłej delikatności. Nie czuło się wichury, nie widziało się dymów fabrycznych. Śmigały jaskółki — coś im się tu nie podobało. Całe lato fruwały nad kopułami soboru.

W czasie zebrań gromadzkich raz po raz wracano do tablicy: zastanawiano się nad jej pochodzeniem. Starsi próbowali sobie przypomnieć, kiedy i przez kogo została odlana. Wynikało z tego, że tę żeliwną zaczepiańską tablicę odlano na skutek dekretu Lenina.

Nauczyciel Choma Romanowicz, w którego klasie siedziała na ławce legendarna Maja Papirna, stał milczący na tyłach gromady, szczuplutki, siwy, w rozmowach nie brał udziału; jego oczy, spoglądające na sobór, napełniały się łzami. Przeżył on w swoim życiu chyba więcej niż ktokolwiek inny. W związku ze sprawą soboru przebywał w Magadanie, bo ze zbyt wielkim przejęciem i temperamentem opowiadał swoim uczniom dzieje tej świątyni. Wielu spośród hutników, ludzi z różnych pokoleń, też kiedyś siadywało w klasie Chomy Romanowicza. Coś niecoś pamiętali z dziejów i powstania soboru. A to się działo jak w legendzie. Po zburzeniu Siczy, w czasach potiomkinowskich, rozpędzeni Zaporożcy ufundowali klasztor w tym miejscu, na płoniach, które niegdyś należały do kresowych zaporoskich kureni. W tej miejscowości wstępowali do klasztoru i zamiast szabel brali do rąk księgi Pisma świętego. Ubierali się jak skazańcy w codzienne, szare odzienie hreczkosiejów. Czarną żałobą rias zasłaniali agresywną czerwień szarawarów, które nosili rycerze zaporoscy. Wtedy to na ich żałobnej naradzie postanowiono: zbudujemy sobór. Wzniesiemy go, by sięgał nieba nad tymi zalewami pełnymi ryb, nad stepami, na których wypasały się nasze konie, i nasz niezłomny duch będzie żyć w tym świętym przybytku, nasza wola będzie uświęcona w niebie blaskiem niedosiężnych kopuł. Szablę wytrącono nam z ręki, ale z serc nie usunięto ducha wolności i miłości piękna. Nasz nieujarzmiony duch w obliczu tej budowli stanie pośród stepów i po wieki będzie ozdobą Wielkiego Ługu — sięgnie wyżyn... Ale kto zbuduje sobór? Kto potrafi go stworzyć? Odezwał się na to miejscowy młodzieniec, chłopak rozgarnięty, o oczach wiel-

kich jak natchnienie: „Pobłogosławcie!" I znikł wśród łach. Trzy doby go nie było, potem wrócił do gromady, trzymając na dłoni gotowiuteńki sobór, cały wykonany z łęcin szuwaru. Opowiedział potem, że niby to zmorzony snem położył się w pobliżu wody i zasnął. I sobór sam mu się przyśnił w tym śnie. Rada kozacka, obejrzawszy makietę wykonaną z szuwaru, powzięła uchwałę: zbudujemy!

I odtąd zalśniły błękitem baniaste kopuły soboru nad zalewem, nad tym białym światem dnieprowym.

Coś w tym rodzaju opowiadał niegdyś swoim uczniom skory do wielomówności Choma Romanowicz, ale teraz nie, nie opowiada. Milczy o tych legendarnych szuwarach, z których niegdyś zrodził się sobór. Uczy dzieci arytmetyki. Czystej arytmetyki, bez jakichkolwiek dodatków. Najwyżej niekiedy w rozmowie z Bagłajem młodszym ulży swemu sercu. Mykoła należy do jego ulubionych wychowanków; nauczyciel pokłada w nim wiarę, w nim i jego nie napisanych jeszcze poematach. A jeżeli ktoś w to wątpi, odpowiada jakby uroczystym głosem:

— Młodzieniec posiada piękne marzenia i niczym się nie splamił. Kiedyś rozsławi on naszą Zaczepiankę, wspomnicie moje słowa.

W czasie wojny domowej, kiedy różne władze często tu się zmieniały, a nieraz napadała na sobór jeszcze i „władza bezwładna", „hulajpolska" anarchia, komunikująca się bez popa z kielichów cerkiewnych, „hulajpolowcy" upodobali sobie wielki dzwon i postanowili zabrać go do siebie, do Machnogrodu, do stepowej swojej stolicy. Na specjalnym urządzeniu wlekli wołami przez zalew skarbniański stupudowy kozacki spiż, ale gdzieś na grobli wozy załamały się pod wielkim ciężarem, dzwon zapadł w głębinę, w najgłębsze jezioro zalewu i, jak powiadają, siedem dni słyszano jego dzwonienie, póki nie dosięgnął dna. Starzy ludzie dotąd pokazują to miejsce, które teraz już nie jest straszne. Dzieci z hufców fabrycznych kąpią się tam co lata.

I niby to o nic nie chodziło, a jednak ludzie gromadzili się na majdanie przed soborem do późnej nocy. Romcio ostrzył swój język na dowcipach o tym, że projekt baru szaszłykowego wyraźnie bierze górę nad soborem:

— Zburzcie jak najprędzej ten przybytek minionych czasów! Na tym miejscu wzniesiemy olbrzymią wytwórnię sza-

szłyków! Szaszłyki z całych połówek baranich, czebureki *, jazz ze striptisem...

— Powściągnij swój język chociaż ty — jeżąc się warczał na niego czarny jak Cygan walcownik Kaszubienko.

Gdzieś aż z Hupalewszczyzny przywędrowały starusieńkie babiny w czarnych chustkach; źle dosłyszały ten „dzwon" o tablicy i przetłumaczyły to na swój sposób. Według nich było tak, że ktoś niby miał dziś przyjechać z ministerstwa, by sobór otworzyć... Bogu dzięki, jednak wzięto tam pod uwagę nie kończące się podania!

Niebawem nad szmerem głosów hupalewskich babin rozległ się donośny głos Szpaczychy, która po powrocie z targu w mieście zastała swoją gromadę w stanie wielkiego wzburzenia. Zorientowawszy się, o co chodzi, Szpaczycha zaczęła szaleć, rzuciła hasło, aby niezwłocznie wziąć się do napisania anonimu z podpisami wszystkich mieszkańców osiedla. Sama ponoć miała biegać po chałupach i zbierać podpisy pod tym anonimem. Nie będziemy tu przytaczali dokładnych cytat Szpaczychy, nie wszystkie jej powiedzenia były cenzuralne, ale w annałach historii zaczepiańskiej uskrzydlone powiedzonka Szpaczychy niewątpliwie będą zamieszczone, nieraz będzie się wspominać, z jaką energią reagowała, jak zamierzała położyć się na progu soboru i — „tylko po moim trupie..." Szpaczycha prawdopodobnie nie pamięta, kiedy po raz ostatni świeczkę w tym soborze postawiła. Objuczona tobołami nigdy nawet nie spojrzała do góry, na szczyty soboru, a tu nagle tak się przejęła — nie do poznania.

— Przy wszystkich władzach stał! — gardłowała wzorowa dzielnicowa. — Czemu teraz ma być zburzony? Komu stanął kością w gardle?

I spostrzegłszy Ołeksę-mechanika, który właśnie zjawił się na majdanie, podbiegła i do niego:

— A ty wciąż nie możesz rozstać się z tym swoim Bublikiem? A ta samowola ciebie nie obchodzi? Ty przecież jesteś przewodniczącym osiedla, myśmy na ciebie głosowali.

— A cóż ja mogę? — usprawiedliwiał się mechanik.

— Sprawę do sądu na tych burzycieli podawaj.

— Sądzić! Sądzić za to trzeba — ze złością poparł Szpa-

* czebureki — gruzińska potrawa z pieczonego mięsa.

czychę czołgista, który stał w haftowanej hucułce, jak zawsze wystrojony, z ciupagą w ręku. Kijek nieruchomy, głowa podniesiona do góry i miało się wrażenie, że czołgista poprzez swoje nic nie widzące okulary również patrzył na sobór i widział go.

— Toć stał przy wszystkich władzach! — znowu zawodziła oburzona do ostatecznych granic Szpaczycha. — A teraz miałby być zburzony? Pamiątkę kozacką roznieść na kawałki?

Mykoła Bagłaj nie wtrącał się do rozmowy. Nie spodziewał się, że los soboru tak wzburzy Zaczepiankę. Sobór jak dotąd był jakby zupełnie zapomniany i zdawało się, że nikogo nie obchodzi, lecz teraz już nie było kwestii czy ma stać, czy nie, można istnieć bez niego, czy nie można? Podobnie metalowiec nie miał wątpliwości: stawić się na dzisiejszą zmianę, przy piecu martenowskim czy nie? Widocznie omyliłeś się. Myślałeś, że tylko dla ciebie jest zrozumiałe piękno tego arcydzieła architektury, inni zaś są na to głusi. Czy naprawdę byli głusi? Może dopiero teraz ludzie zwrócą uwagę na piękno? Nie ciebie jednego oburza to, że ręka świętokradcy odważy się targnąć na to dzieło sztuki... A w ogóle skąd się wzięło takie rozumowanie tych burzycieli? Kiedy w wirze rewolucji dochodziło do burzenia zabytków w czasie walk ze starym światem, wtedy można to było jakoś zrozumieć — walka ma swe prawa. Żywioł, wybuch odwiecznej nienawiści. Ale wtedy soboru nie zrujnowano, ktoś go ochronił, może zachowała go zdrowa intuicja ludu oraz dekret Leninowski? Obecnie, kiedy życie się ustabilizowało, kiedy sztuka została powołana do uszlachetniania dusz ludzkich, do budzenia pociągu do życia duchowego nawet u tych, co zdążyli już stać się nieczuli na wszystko, w tym czasie przychodzi zaczepiański szary Herostrat, pigmej, przychodzi z buldożerem czy z ładunkiem dynamitu... „Nie, towarzyszu burzycielu, nie takie to teraz proste" — myślał Mykoła. Potrzebny jest sobór, potrzebne jest piękno tak samo, jak potrzebna jest odraza do burzenia. Widocznie zawsze kiełkowało to u tych ludzi, budowniczych z powołania, tylko że dotąd było niedostrzegalne, żyło w głębi dusz, gdzieś głęboko, i było przytłumione, a nawet być może wcale tego w sobie nie czuli, jak Zaczepianka nie odczuwa swoich nocy letnich, dopóki przez kogoś nie zostanie zdopingowana, dopóki dymy fabryczne nie przesłonią zupełnie

nieba. Przyzwyczajasz się, nie przywiązujesz do tego wagi, dopóki to istnieje, uważasz, że to powinno być zawsze, jako znak, symbol wiecznej niewoli czasu, jako nieprzemijające piękno świata. A kiedy nadbiega cień, kiedy nadchodzi niebezpieczeństwo, zaczynasz rozumieć, że istnieją sprawy, bez których dusza zobojętniałaby na wszystko. Dziś ludzie zwrócili uwagę na swój sobór. Dla nich nie może być zburzony, bo stanowi taki sam skarb jak istniejąca od wieków błękitna wstęga Dniepru i łuną pokryty obszar nocnego nieba nad zakładami, i figura odlanego z żeliwa Tytana rewolucji, który dla młodych pokoleń przyszedł gdzieś jakby z wieczności.

10

Wołod'ka Łoboda nie bardzo się przejął sceną, którą Wieruńka zrobiła mu w gabinecie. Wprawdzie kiedy zwróciła uwagę na tę przeklętą tablicę za szafą pancerną, gospodarz gabinetu poczuł się trochę niezręcznie i to tym bardziej, że cała ta scena rozegrała się w obecności towarzysza z góry, co prawda zajmującego niezbyt wysokie stanowisko. A zresztą wszystko się przemiele, kuma się uspokoi, a jaka to tam tablica stała za szafą pancerną, spróbuj udowodnić... Nie taki on naiwny, żeby rozpocząwszy akcję przeciwko soborowi nie zabezpieczył sobie tyłów. Czuje się pewnie, bo ma oparcie. Ten, którego Wołod'ka uważa za ojca chrzestnego, kto wysunął go na kierownicze stanowisko, nie mógł spokojnie słuchać, kiedy mówiło się o soborze. Towarzysz odpowiedzialny, można powiedzieć, sparzył się na tym soborze; jego żona potajemnie dzieci chrzciła. A jeszcze przedtem, jak mówiono powszechnie, paschę co roku święciła, ale pascha to jeszcze pół biedy, natomiast dzieci chrzcić... Skandal! I choć chrzest miał miejsce nie w soborze, ale gdzieś w osiedlu i w tajemnicy, dokonany przez jakiegoś wędrującego popa, mimo to towarzysz odpowiedzialny niechęć swoją skoncentrował właśnie na soborze, pałając doń gniewem nieprzejednanym. W soborze widział głównego winowajcę, powód swych przykrości związanych z tym chrztem; sobór był winien temu, że otrzymał surowe upomnienie i przewidywana kariera wzięła w łeb. Niewiele brakowało, by poleciał był w dół, ale na szczęście udało mu się zatrzymać na

dość wysokim szczeblu. Póki ten towarzysz tam jest, póki posiada wpływy, Wołod'ka Łoboda może temu obdrapanemu obiektowi kultu zadać jeszcze silniejsze uderzenie, a jego zawziętość nie będzie potępiona, lecz przeciwnie: znajdzie poparcie.

Następny dzień był wolny od pracy i Łoboda z samego rana postanowił pojechać na Skarbne. Pojedzie do tej rajskiej miejscowości, wykąpie się, odpocznie, nabierze sił, bo w zdrowym ciele — zdrowy duch! I przy okazji odwiedzi starego ojca w Domu Weteranów. Trzeba okazać staremu szacunek, a poza tym ma do niego sprawę bardzo intymną. Kiedy zamierza się dokonać w życiu decydującego kroku, to nie można się obejść bez porady ojcowskiej... Tak już jest, że gdy ma się wstąpić w związki małżeńskie, syn powinien prosić ojca i matkę o błogosławieństwo, bez niego bowiem ponoć szczęścia nie będzie. A on szczęścia pragnie — do diabła, tylko szczęścia!

Ranek był taki, że chciałoby się pić go haustami, niebo czyste, wróży pogodę, więc jak najprędzej w drogę! Tym razem pojedzie bez towarzyszy, człowiek musi kiedyś się usamodzielnić, pobyć sam na sam z przyrodą, z liryzmem w duszy, pozbierać myśli. Nie potrzeba mu dziś żadnych towarzyszy podróży, wyruszy tak jak stoi, najzwyklej w świecie, tramwajem, jak zwykły śmiertelnik, jak to się mówi. Ale tramwaje nie tak prędko będą jeździły do samego zalewu, więc bądź łaskaw autobusem. To nic, że kolejka na przystanku i przy wsiadaniu tłoczno, tylko śmiało i odważnie, a wsiadający sami cię wniosą do środka. Jak przystało na człowieka kulturalnego, siadasz sobie przy oknie, gdzie jest lepsze powietrze, i siedzisz sobie skromnie jak zwykły, bezimienny pasażer. Ludzie na kierowniczych stanowiskach powinni jak najczęściej jeździć wraz z ludem, współżyć w tłoku, w zaduchu, gdzie nikt cię nie zna, ty zaś jakbyś znał wszystkich; usiadłeś niedostrzeżony i studiujesz ich nastroje, ich potrzeby. Jeździć razem z ludźmi pracy w zatłoczonym autobusie, poddawać swe żebra ciężkim próbom, mając inne możliwości — nie każdy może to zrobić. Rozczuliwszy się tak, Łoboda przyrzekł sobie, że nawet gdy będzie już pracować w tym głównym gmachu, gdzie kroki twoje tłumią grube chodniki, a na biurku cała bateria telefonów, to i wtedy nie będzie korzystać z samochodu osobistego, lecz będzie chodzić do pracy pieszo, żeby nie opowia-

dano, iż Wołod'ka Łoboda, odkąd wzięto go do centrali, stał się zarozumiały.

Autobus jedzie przez stary drewniany most, zbudowany przez oddziały saperskie społeczeństwu na pamiątkę. Na moście ruch olbrzymi, pomost codziennie jest poddawany naprawie i mimo że utyskiwań pasażerów jakoś nie słychać, Łoboda w swej wyobraźni zapewnia ich, że nie dziś to jutro most zastąpi się innym, może nawet podobnym do tego nowego, który właśnie dość dobrze widać przez okno autobusu: połyskuje swymi przęsłami nad Dnieprem i, łącząc ze sobą brzegi, łączy zakłady fabryczne.

Przehurkotawszy przez rozklekotane deski mostu, autobus wpada na szeroką asfaltową drogę, która przebiega w pobliżu zalewu i biegnie gdzieś dalej, by się tam połączyć z główną magistralą. Wzdłuż wyasfaltowanej drogi ciągną się nowe mikrorejony, są to współcześnie zaplanowane osiedla, których nie można przyrównać do powstałej żywiołowo, chaotycznie rozrzuconej Zaczepianki. Budynki jasne, o znacznej powierzchni mieszkalnej, mimo że wyglądają bliźniaczo, według schematu, a sufity w mieszkaniach są niskie jak w pieczarach, jakby obliczone dla karzełków — ileż bowiem trzeba by ich wybudować! Zbudowane są z prefabrykowanych płyt, wznoszą się i wznoszą do góry metodą szybkościową — tydzień nie minie, a już bloku nie poznasz. I wszystkie obiekty wyrosły na piaskach. Tanio i dobrze. Ludzie mówią: standardowe. A czegóż byście chcieli? Jak mogłoby być inaczej przy tak wielkiej ilości mieszkańców na ziemi, więc chcesz czy nie chcesz musisz piąć się w górę, wyrosną nawet drapacze chmur i tam, gdzie obecnie w sadach zaczepiańskich stoją wille, a szczególnie ta, Jagorowa, kryta strzechą... Ale gdyby budowano z myślą nie o statystyce, lecz w sposób przemyślany, z zapałem, to można by było te pudełka w jakiś sposób ożywić, by w nocy, gdy człowiek wraca pod muchą, nie błądził w tym królestwie standardu, lecz by trafił do domu. Czemu by nie przyozdobić jednego bloku według stylu kozackiego, a drugiego według karpackiego, klomby porobić — jeden w arabeski, a drugi z zegarem słonecznym ułożonym z roślin... „Leniwe myślenie, to nas niszczy — rozważał Łoboda-wydwiżeniec, jakby z kimś polemizował. — Ileż to walczymy choćby z osobistym «widzimisię», ileż już usunięto, lecz oni jakby się zmówili i swoje teksty proponują: jeden gorszy od

drugiego. A my jeszcze się dziwimy, że niektóre pracownice zostały w tyle, nawet żony niektórych towarzyszy na stanowiskach kierowniczych paschy święcą albo szukają kumów i w tajemnicy dzieci niosą do chrztu... Chce taka, by jej dziecko było zanurzone w chrzcielnicy, by było pokropione."

Bloki nowego osiedla mieszkaniowego zostały w tyle i od razu zrobiło się przestronniej. Cały kraj widać daleko. Jasno świeci słońce, a gdzieś na krańcu znowu pojawił się sobór. Że też potrafili tak go zbudować! Jak daleko by się nie jechało, wciąż ma się go przed oczami, aż do samego zalewu. Z każdego punktu widać ten sobór, nawet stąd! Od strony Zakładów nie widać go tak dokładnie, spoza budynków i sadów widać tylko wierzchołki połyskujących kopuł. A stąd — jak na dłoni! Jedziesz i jedziesz, a sobór wciąż widać. Dobrze by było, chciałoby się odsunąć go dokądkolwiek z horyzontu, żeby nie męczył oczu... Na jakiejś naradzie było ponoć powiedziane: po co nam dziesiątki zabytków z osiemnastego stulecia? Czemu by nie zostawić po jednym z każdego wieku, a resztę... Może naprawdę panuje tam taki nastrój? Ten, kto będzie przejeżdżał tą trasą i ten, kto ma prawo o to zapytać, spojrzy i powie, i zdziwi się: czyżby jeszcze stał ten sobór chimeryczny? A jak tam u was z propagandą ateistyczną? A jak tam z sektami? Podobno sekty bardzo się rozmnożyły... Udowadniaj wtedy, że sobór nie ma nic wspólnego z sektami i że nabożeństwa są w nim odprawiane chyba przez wróble, które wlatują przez okna...

Ależ to ścierwo piękne!

Z szuwaru coś takiego wybujało. Zabytek w każdym calu, zardzewiałej blachy się nie widzi, została sama poezja! Sobór panuje nad całą okolicą; jego wielkość istnieje tylko po to, by ją było widać. Wobec niego czujesz się zupełnie mały. Jakby naśmiewał się z ciebie i jakby pytał: no co, czy zostanie po tobie coś piękniejszego dla przyszłych wieków? Czy jesteś zdolny tylko do koloryzowania? A co powiesz, jeżeli to jest naprawdę... arcydzieło? Nasze kozackie arcydzieło? Jeżeli ktoś naprawdę tak to oceni? Wtedy kogo pociągnie się do odpowiedzialności — najmniejszego, a więc ciebie. Przynajmniej to jest dobre, że stąd, z szosy asfaltowej oko nie dostrzega, w jakim znajduje się zaniedbaniu, ani rdzy, ani poodpadanego tynku, ani powyrywanych okien nie

widać, tylko sama sylwetka, tylko dzieło twórcy, jakby powiedział Bagłajenko.

Gdzieś tam niedaleko jest Jelka. Prawdopodobnie czyta książkę. W tych dniach zaniósł jej powieść o Sahajdacznym. Wczoraj czytała. Wstąpił tam na chwilę, a ona nawet mówić nie mogła — oczy pełne łez. Co ci się stało? Okazało się, że przeczytała do tego miejsca, kiedy Nastię sprzedano paszy tureckiemu... Jelka to po prostu skarb, dziki, niezwykły twór przyrody. Wprawdzie nie tyle twór, ile materiał. Ale jaki! To nic, że dzika, to nic, że trochę nieociosana, ale może to i lepiej? Sama się uformuje, jeszcze nie za późno. Choć formowanie nie będzie łatwe, trzeba będzie dobrze wystudiować opór materiału. Myślenie o Jelce na różne sposoby sprawiało mu największą przyjemność. Ona cała jest z tej ziemi, z przyrody, płonie tym słońcem, pachnie stepem. A ta jej nieprzystępność... Znajdzie się klucz i do nieprzystępnych. Ty tu sobie jedziesz, a tam Kartaty robi co trzeba, grunt przygotowuje. Stary okazał się postępowy. To nic, że kiedyś, w erze przedhistorycznej, związał się był z machnowcami.

Sobór niebawem znikł za drzewami, które stanowiły ścianę osłaniającą przed wichrami, i znowu się wyłonił. Na trasie ruch, wszystkie pojazdy pędzą tam i z powrotem, a sobór jest jakby pionem, jakby pointą życia całego kraju. Ojciec twój, Izot Łoboda, będąc młodzieńcem śpiewał w tym soborze. Głos, powiadają, miał jak Patorżyński. Jeszcze teraz, gdy wypije kieliszek, może pięknie zaśpiewać. Jeżeli inni dumni są ze swoich ojców, to ty możesz być dumny w dwójnasób. Swego czasu był jednym z najwybitniejszych hutników, imię jego znano na całym Zadnieprzu, konkurował z Makarem Mazajem. W czasie wojny pracował w hucie na Uralu, z nim Wołod'ka rozpoczynał swą robotniczą biografię. Dziecko wojny — tak by mógł o sobie powiedzieć. Na kartkach żywnościowych się wychował, a jako wyrostek stał już przy warsztacie. W czasie silnych mrozów jego palce przymarzały do metalu. Starsi bracia też nie popsuli swej biografii, nie mówiąc już o ojcu. Tylko charakter stary miał ciężki, Wołod'ce było z nim coraz gorzej. Jeszcze w Zakładach, kiedy ojciec przychodził na zebrania, na których Wołod'ka miał występować, synowi od razu psuł się nastrój. I dziwną rzecz zauważył: już sama obecność sta-

rego sprawiała, że jego słowa stawały się jakby nierzeczywiste, puste...

Wołod'ka wychowywał się pod auspicjami dewizy: człowiek jest najcennniejszym kapitałem na świecie. No, czyż nie? Czyżby sława braci, którzy zginęli na froncie, oraz sława ojca nie torowały drogi; czyżby nie zbijał kapitału z ich sławy? Może właśnie za to otrzymał awans społeczny? Ale nie umniejszaj swojej roli, żyjesz nie tylko zasługami rodu — jesteś ceniony i za swoje własne zasługi. Wprawdzie niektórzy twoi rówieśnicy potrafili sięgnąć jeszcze wyżej, ale i ty nie jesteś zapomniany przez los. Nie jesteś jakimś tam dogmatykiem, możesz zajść jeszcze daleko... Małżeństwo ci nie przeszkodzi; nawet Jelka swoimi pieszczotami nie stłumi w tobie potrzeby pięcia się w górę i zdobywania szturmem Elbrusu życia. Od kogoś (czy nie od młodego Orlanczenki?) słyszał pewnego razu: „Tylko znajdę odpowiednią partnerkę — i to już wszystko: zamknę się w życiu osobistym, intymnym." Z nim, Łobodą, to się nie stanie; szczęśliwe małżeństwo tylko doda mu energii... Nieprawda, zauważą, docenią... Tylko jak najwięcej inicjatywy! Nie dawaj folgi staroświecczyźnie! Więcej przestrzeni dla nowych osiągnięć, dla współczesności. Samą zabawą wiele się nie zdziała, nowym małżeństwom potrzebne są ulepszenia, nowo narodzonym potrzebne są kąpiele, parkom robotniczym rozrywki karnawałowe, w maskach, żeby było wesoło, z rozmachem... W instytucji urządzającej odczyty należy załatwić, by prelekcje w parkach były żywsze, by nie zanudzano pogadankami o budowie wszechświata, których, nudząc się na ławkach, słuchają tylko trzej renciści... Prelegent lepiej zadbałby o to, żeby swój suchy wykład przepleść mądrością ludową, ożywić przysłowiami, powiedzonkami... Teraz nie zwracają na to uwagi. Wołod'kę uważają za znawcę mądrości ludowej; nawet władze zwierzchnie niekiedy przy okazji przytaczają jego soczyste powiedzonka. Więc należy to zacytować gdzie trzeba i jeszcze dodać im pikantności... Trzeba będzie znowu poczytać trochę przypowiastek, a rzecz najważniejsza, to tworzyć samemu nowe, współczesne, bo kto ma je tworzyć, jeżeli nie on? Trzeba będzie nasłuchiwać, co mówią ludzie pracy i podchwytywać to; o, oni to potrafią! Powie taki, jakby nigdy nic, a takie to trafne: „Komsomołem zaczynamy — powie — a opieką społeczną kończymy..." Nie grzech i cudze powiedzonko powtórzyć. Na

powiedzonku nie ma znaku autorskiego; nie przychwycono cię, nie jesteś złodziejem... Przypomniało mu się, jak kiedyś, jeszcze w komsomole, wszystkich biorących udział w konferencji rozśmieszył cytując ponoć z Eneidy: „Zeus wtedy żłopał siwuchę i śledziem zagryzał..."

Trzeba poczytać autorów współczesnych, chyba coś tam piszą? Nad czymś się zastanawiają? Łoboda od razu sposępniał: och, znamy tych myślicieli! Socrealizm coś im nie w smak, więcej humanizm ich pociąga... Odwieczne problemy im odpowiadają, odwieczne prawdy. Im by dać ten sobór — wiek by przed nim stali i wiek by się modlili... Chlebem ich nie karm, tylko dawaj im kozaczyznę... Dziwny naród: wszystko mają, własnymi samochodami rozjeżdżają i wciąż czegoś im brak... Sami chyba nie wiedzą, czego mianowicie jeszcze im brakuje. Wciąż spada na nich złoty deszcz nagród, wieńce laurowe, są ulubieńcami narodu... Rozpieściliśmy ich! Innych krytykują, ale sami z dobrobytu nie rezygnują! Chyba nieczęsto się zdarza, żeby taki autobusem pojechał za dziesięć kopiejek. Albo choćby tak jak ten Skoworoda-filozof: plecak na ramiona i pieszo po całej Ukrainie. Dzisiejszy filozof z limuzyny nie wysiada. Jednak, mimo że jeżdżą samochodami, o wszystkim wiedzą, o wszystkim, bestie, słyszą... Dostań się takiemu pod pióro; niechby tylko dotarła do takiego choćby ta historia z tablicą soborową, to i tego by nie pominął... Ależ społeczeństwo! Ależ ludek!

A ich młodzież też w takim samym duchu sprawy traktuje. Jakoś niedawno zetknął się Wołod'ka w redakcji z poetą zakładowym... Chłopak niczego sobie, dobry, ze środowiska robotniczego, organizator komsomolski na oddziale, a wiersze... Jak u tego Bagłajenki, wszystko w wymiarach międzyplanetarnych: Tytan i Anty-Tytan, brama fabryczna, to brama wieku... Spróbował go skrytykować: „Co ty wciąż o jakichś bramach? Dotarłeś do bramy i stop. A ty pójdź dalej, do środka! Jesteś nie tylko poetą, ale i organizatorem komsomolskim! Pokaż proces pracy, pracę w oddziale mi pokaż! Śpiewaj o pracy rąk!" A w jego oczach ironia: „Towarzyszu Łoboda, czyście zapomnieli, że o mojej pracy nie należy mówić?" Taki ci Eluard!

Sobór wciąż jak na dłoni. Gdy się patrzy nań stąd, z perspektywy, to ma w sobie coś z rakiety kosmicznej, szczególnie w środkowej kopule, która stromo wystrzela w górę. To

dziwne: ileż to lejów od bomb powstało w czasie wojny w Zaczepiance, a soboru żadna nie tknęła. Na przekór wszystkim bombom dotąd stoi, jakby jakiś schron przeciwbombowy. Że też potrafili go tak zbudować, jakby w przeczuciu tych czasów... A teraz walcz z nim, lecz czy go pokonasz?

No, dość już tego. Nie myśleć o rzeczach nieprzyjemnych... Na dziś już dość. Dziś jest dzień spokojnego słońca, dzień przyjemnych myśli. (To też jedna ze złotych myśli, warto zapamiętać, przy sposobności powie się młodzieży fabrycznej, tym bezlotkom. Może pochwycą?)

Nareszcie płonie. Skarbne. Wszystko w bujnej zieleni, w rozkwicie lata. Rozpostarło zielone kulisy na spotkanie ludzi z miasta, powiało leśnym oddechem, zdrowiem... Autobusy przyjeżdżają jeden po drugim, pasażerowie wysiadają, idą, zaopatrzeni w spiningi, wędki, obładowani plecakami. Wszyscy znikają w zaroślach. Zielony cień przepleciony słońcem. Rozproszyli się, poznikali, nie ma... Ile ich miasto tu wyrzuca w dni wolne od pracy; płoni wystarcza dla wszystkich, szeroki gest ma przyroda, rozlała się bogactwem dawnych swobód kozackich, nie poskąpiła i dla ludzi dzisiejszych ani cichych wód, ani jasnych zórz, które są liczone przez zakochanych.

Chaszcze, szuwary, gaje i zagajniki, rękawy i rękawki Dniepru z powalonymi w wodę drzewami, ławice piasku, duże i małe, dróżki i ścieżki — człowiek obcy może zabłądzić w tym mateczniku płoni, które zdawałoby się nie mają końca. Rzeczułka płynie meandrami. Na jednym z zakrętów Wołod'ka ma swoje ulubione miejsce z ładną ławicą piaszczystą, z rzadko rosnącymi wiekowymi dębami. To koło „Babiego Kolana", gdzie zjedzono niejedną zupę rybną, niejeden wypito „Ararat". Dziś, gdy dotarł do tego miejsca, tylko oczy wytrzeszczył: O rety! Las pełen warkotu samochodowego, motocyklowego, wszędzie kąpielówki na krzakach, patefony ryczą, woda kipi od kąpiących się, dzieci się pluskają, dorośli się przekomarzają, ciała połyskują, piłki przelatują w powietrzu, koła ratunkowe pomalowane na jaskrawe kolory... Fajerwerki słoneczne, święto barw, bankiet rozkosznego lata... Na wielu samochodach numery prywatne — to jakiś metalowiec, inżynier lub zwykły hutnik zabrał całą swą rodzinę i napchawszy nią „Moskwicza" lub „Zaporożca", przyjechał tu rozkoszować się powietrzem leśnym... Łoboda był pełen dumy: oto gdzie należy studiować

poziom życiowy! Jeżeli chodzi o mleko i mięso, to mimo że jeszcze nie wyprzedzili, mimo że to na razie jest tylko hasłem, ale co za nastrój, jak dokoła rozkwita życie, tylko chwytać na barwną kliszę! Robią takie zdjęcia; znajomy komisarz wojskowy ustawił koło krzaka swego nadmiernie roztyłego babusa w kostiumie kąpielowym, lecz jakoś w żaden sposób nie może ustawić w jej kierunku swojego japońskiego obiektywu...

I Łoboda nie jest tu kimś obcym — to z tej, to z innej grupy rozlegają się wołania:

— Wołod'ka, witaj!

— Włodzimierzu Izotowiczu! Do nas!

To dobrze, kiedy nie jest się uważanym przez ludzi za zero! Do każdego towarzystwa zostaniesz przyjęty, wszędzie jesteś mile widziany, wiedzą bowiem, jak jesteś towarzyski, nawet nieboszczyka potrafisz rozruszać! Zaproponować jakąś grę czy chór zorganizować — zrobisz to z zapałem, którego dotąd nie utraciłeś!... W pobliżu tanecznym krokiem, w panamie na głowie, w mocno opiętych spodniach przeszła dziewczyna, niewysoka, cienka w talii, to zdaje się z tych, co w „Koksochemii" praktykę odbywają. Uśmiechnęła się do Łobody jak do znajomego, aż na duszy przyjemniej się zrobiło. Jak właściwie niewiele człowiekowi trzeba, by odczuł smak szczęścia!

A teraz niewielki problemik — gdzie się rozebrać? Bo swoi, to swoi, ale może się zdarzyć, że ubranie swoje następnego dnia poznasz na bazarze. Do tego dokumenty w kieszeni — z tym nie ma żartów. Postanowił rozebrać się w pobliżu komisarza. Rozbierając się w sąsiedztwie nadmiernie otyłego małżeństwa, Łoboda w dowód wdzięczności opowiedział im zabawną historyjkę o generale, którego okradziono w pociągu, tak że został nawet bez swoich generalskich spodni z lampasami, a potem trudno było biedakowi udowodnić, że jest generałem...

Zostawszy w kąpielówkach, Wołod'ka obejrzał się za siebie. To nieładnie, że skóra jest zbyt biała. A oto w pobliżu baraszkują studenci. Wszyscy już są podobni do Polinezyjczyków, on zaś w codziennych zajęciach, pełno ma kłopotów, więc nawet opalić się nie ma kiedy. Lecz ciało, choć białe, jest krzepkie i zdrowe — zasługa rodowa, kozacka. A teraz kąpać się! Zmyć w Skarbnem codzienny brud!

Z rozpędem wskoczył do wody. Popłynął. Woda go łasko-

tała, dłońmi wzbijał do góry bryzgi. Oślepiające światło spływało na niego z błękitnego nieba.

Wykąpał się, odświeżył, orzeźwił. Skarbne pod tym względem jest znakomite. W pobliżu dziewczęta w mokrych kostiumach kąpielowych, długonogie i dobrze zbudowane. Bawiły się piłką. Dołączył do nich i też trochę pobiegał za piłką. Las, słońce, żarty, zabawa. To jest życie! Prawdopodobnie to się nazywa szczęściem. Zwykłe, ziemskie... jak Jelka. Nie, nie umiemy odpoczywać, nie umiemy, towarzysze, korzystać z dobrodziejstw rodzimej przyrody. Sami siebie gubimy. Przyrzekł sobie, że w przyszłości będzie przyjeżdżać na Skarbne wraz z Jelką. Pojadą na Wowczą, rozbiją namiocik dwuosobowy i będą nocowali w lesie pod gwiazdami. I zimą będą spali w lesie, w śpiworach futrzanych!

— Zresztą szczęście to najważniejszy odpoczynek dla duszy — wesoło powiedział do komisarza. — Nie rozumiem, skąd biorą się na świecie niezadowoleni? Ci, co wciąż narzekają. Znałem jednego wojskowego i, proszę wybaczyć, generał: rentę ma taką, że daj Boże każdemu! Szacunkiem się cieszy, w dostatki opływa, a też narzeka. Ciekawe, czego mu jeszcze brakuje?

Komisarz uśmiechnął się:

— Swobody albo młodej żonki.

— Prędzej tej ostatniej. Bo kto ma większą swobodę niż ten generał...

Łoboda już wysechł, wygrzał się na słońcu i znowu wskoczył do wody. Płynął, nurkował, wynurzał się, z jakimiś dziećmi opryskiwał się wodą.

Potem dał się namówić na małą przekąskę, by żona komisarza nie obraziła się, że nie spróbował jej smakołyków szczodrze rozłożonych na kilimku. Trzeba śmielej i częściej przyjeżdżać do tej bogatej krainy. Niczego ze sobą nie zabieraj, zawsze się przy kimś pożywisz jak oto ci studenci, którzy w pobliżu kaszę czumacką zaczęli warzyć. A to ci spryciarze! Od jednego towarzystwa pożyczyli sagan, od kogoś innego dostali soli, jeszcze od kogoś cebulki, tam znowu — kartofli, a tam jagieł, tylko woda własna — źródlana woda Skarbnego... Po trochu zebrali daninę od wszystkich, skombinowali i kasza czumacka już kipi w saganku. Obsiedli wokoło z łyżkami i czekają, łyżki też pożyczone od sąsiadów, i jeszcze rechoczą: przedhistoryczny las, pralas —

ponoć i ten człowieka żywił, więc czyżby las ucywilizowany, las dobrodziejstw i dostatku nas, głodnych studentów, nie poratował?

Łoboda ze swej strony też dorzucił cytat, naumyślnie tak, żeby studenci posłyszeli:

— Zeus wtedy siwuchę żłopał i śledziem zagryzał!

Żona komisarza była zachwycona. Jej łysemu „Zeusowi" też się podobało. Zaciekawili się nawet, skąd to jest wzięte. Okazało się, że biedaczysko o Kotlarewskim nigdy nie słyszał. Był pono niby to historyk jakiś Kotlarewski, podobno monarchista. Teraz już będzie wiedział, że był taki autor naszej gromowładnej *Eneidy!*

— Jutro — powiada — zdobędę ten poemat i zabiorę się do czytania. Wprawdzie ja jeszcze nie znam waszego języka, ale opanuję — dociekliwość we mnie żołnierska.

Sympatyczny ten komisarz, mimo że rudawy, całe ciało w piegach. Roztył się z braku marszrut, bicepsy zwiotczały, ale widać mocny, przysadzisty. Pomorzanin, z kraju Łomonosowskiego rodem. Z niedźwiedziami polarnymi był kiedyś za pan brat. Przypadł mu do serca ten Zeus, kilka razy to powtórzył, lecz gdy doszło co do czego, to sam wcale nie po zeusowsku się zachował, tylko ręce żałośnie rozłożył. Był już, jak to się mówi, pierwszy dzwonek... Ale gościowi zachęcająco wskazał na butelkę z pięcioma gwiazdkami, która, stojąc pośrodku kilimka, przeświecała bursztynowo...

— Proszę, niech pan korzysta.

— Ale i pan choć odrobinkę...

Lecz ten jeszcze żałośniej rozłożył ręce. Żona go poparła:

— Z sercem ma kłopoty.

— Jej też nie wolno — wątroba.

Latorośl ich, blondyn mlecznobiały, o wypukłym czole, młody architekt, teraz dopiero wyszedł z wody, rzucił niedbale na trawę swe żabie płetwy i jednooką maskę i w slipkach przysiadł koło kilimka. Łoboda spodziewał się, że może pokaże, jaki to z niego kozak, lecz okazało się, że był to słabeusz: ni kropelki! Bo, widzi pan, on usiądzie za kierownicą i w ogóle... Po co w takim razie tę butelkę wieźli do lasu, pytam? Postawili ją tylko tak sobie, żeby było ładniej, na wszelki wypadek, gdyby ktoś się przysiadł, bo sami... asceci jacyć! Samemu zaś brać się do butelki jakoś nie wypada, pomyślą jeszcze, że za bardzo lubi zaglądać do kieliszka.

Skończyło się na lemoniadzie. No, cóż — niech będzie bez picia, niech będzie na sucho. Niech ten dzień będzie jeszcze uważany za Dzień Zdrowej Trzeźwości!

Przy tej okazji Łoboda opowiedział, co mu się przydarzyło jeszcze w komsomole, jak chłopcy go rozgrzali w czasie dyskusji, stawiając na mównicy zamiast wody karafkę z wódką...Nic nie przeczuwając nalał, łyknął w czasie tej dyskusji i nawet się nie skrzywił, doprowadził rzecz do końca. A tu koniak z pięcioma gwiazdkami tak się marnuje, stoi nietknięty, aż przykro patrzeć.

Młody architekt wcinał po kąpieli co się zowie, ale cały czas milczał, rozmowy nie podtrzymywał, choć powinien był wiedzieć, jak należy zachować się w towarzystwie. Tylko od czasu do czasu marszczył swoje brewki i kotlety wcinał. Czemu się chmurzy? Trzeba by go o to zapytać. Czy doznał zawodu w miłości, czy cały czas myślał o swoim Corbusierze? Na Łobodę wcale nie zwracał uwagi, na docinki w żaden sposób nie reaguje. Nawet te wysportowane dziewczęta, które kręcą się ze swą piłką coraz bliżej i biodrami kołyszą, jakby go wcale nie obchodziły. Młody, zdrowy, rumianolicy, toć przecież w takim wieku każda żyłka powinna w tobie grać, a on siedzi i tylko się chmurzy. Czyżby naprawdę nadchodziło pokolenie takich bezuczuciowych sucharów, racjonalistów nie ulegających emocjom? (Łoboda słyszał o takich.)

Pohamowawszy apetyt, architekt zaraz się podniósł, podziękował matce, lecz w stronę Łobody nawet nie spojrzał i poszedł sobie do kaszowarów. Wkrótce stał już tam wśród nich i z ożywieniem o czymś rozmawiał z Mykołą Bagłajem, który też cały mokry i w slipkach skądś się zjawił koło sagana studenckiego, przyciągając uwagę dziewcząt swoją figurą helleńską. Bardzo Łobodę korciło posłuchać ich rozmowy, czym dyszą ci sceptycy-intelektualiści. A kiedy do nich się zbliżył, posłyszał, że mówili o soborze. Włączył się natychmiast do rozmowy:

— Co tam u was się stało, Mykoło? Ktoś, powiadają, zażartował z tablicą? Ale nasz sobór od tego się nie zachwiał.

Bagłaj po prostu zdębiał. Poprzez opaleniznę widać było, że zbladł. Najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale się wstrzymał.

— Czy warto o coś takiego krzyk podnosić? — wesoło cią-

gnął Łoboda. — Znam Zaczepiankę: chlebem jej nie karm, lecz pozwól jej pohałasować. Zresztą tablicę sami odlali, więc jeżeli zajdzie potrzeba, to znowu odleją. Mistrzowie odlewniczy są na miejscu, nie trzeba sprowadzać. Nasza Zaczepianka i diabła potrafi odlać. Czyż nie? — spytał Mykołę.

Lecz spostrzegł, że Mykoła usta miał mocno zaciśnięte i oczy nadmiernie przymrużone.

— Ależ napłodziła epoka typków! — powiedział Bagłaj do architekta i z wyraźną zniewagą odwrócił się od Łobody. Syn komisarza też od razu pokazał plecy na znak pogardy. I zaraz obaj poszli w stronę brzegu, jakby Łobody wcale nie było, jakby tylko cień mignął obok nich, cień nic niewart!

Trzeba było wreszcie pomyśleć o ojcu. Pokonawszy chwilowe zmieszanie, Łoboda wrócił do komisarza, już nie zmieszany i nie skonsternowany, lecz nawet z uśmiechem na ustach. Ubrał się powoli, podziękował gościnnemu małżeństwu, mówiąc, że idzie odwiedzić swego ojca hutnika. Nikt go nie zatrzymywał — zrozumiano, że idzie odwiedzić ojca.

11

A studenci, po zjedzeniu kaszy i zwróceniu pożyczonych łyżek oraz naczyń, postanowili przeprawić się na drugi brzeg. (Po coś musieli się tam dostać.) Wszyscy razem prosili jakiegoś mężczyznę, by przewiózł ich na swej kauczukowej łódce, lecz otrzymawszy odpowiedź odmowną, powiązali swoje odzienie w tobołki, niektórzy zawiesili trzewiki na szyi i jazda wpław. Dziewczęta płynęły z podniesionymi w górę nad głową torebkami sportowymi, chłopcom zaś majtały się na karkach węzełki i trzewiki, namakając wodą. Jednak przeprawa się udała i całe towarzystwo znalazło się na przeciwległym brzegu. Powyżymali odzież śmiejąc się i wołając w stronę tamtego brzegu:

— Dziękujemy ci, lesie! Nie zapomnimy waszej uprzejmości, drogie mastodonty!

Łoboda czemuś się obraził za takie żarty, choć być może w wyobraźni studenckiej las naprawdę przedstawiał się ze swoją pierwobytnością tak jak wtedy, gdy mieszkały tu mamuty, rosły sekwoje i drzewa laurowe, żyły tu mastodonty i przeogromne słonie — dinoterie.

Odświeżywszy się wodą Skarbnego, wygrzawszy się na tamtejszym słońcu, Łoboda ruszył powoli leśną ścieżką, już z góry wyobrażając sobie, jak swą wizytą ucieszy starego, jakie będzie prowadzić z nim rozmowy, kierując do sprawy najważniejszej, do powziętego zamiaru założenia wreszcie rodziny. Może po ożenku warto będzie wziąć starego ojca do siebie? Jelka, rzecz oczywista, temu się nie sprzeciwi. Będzie sobie stary obermajster mieszkać przy nich, będzie miał opiekę, wnuków się doczeka i będzie wyprowadzać je na przechadzkę po bulwarze. Czyjeż to ten brodacz tak piękne wnuki piastuje? A, to stary Łoboda, hutnik zasłużony republice, ojciec tego Łobody, co to teraz tam na górze... No, ale to „tam" nie jest jeszcze pewne, spowite mgłą niewiadomego, możliwe są różne warianty... Ciekawe, jak ojciec zareaguje na wiadomość o zamierzonym małżeństwie? Powściągliwy z natury, lecz w tym wypadku chyba się wzruszy: „Dawno na to czekałem, synu! Bierzesz zwykłą wiejską dziewczynę? Pochwalam! Wiercipięty jużeśmy widzieli... Zgadzam się i błogosławię."

Dom Hutnika stał w malowniczym miejscu pod lasem koło jeziora, z widokiem na dalekie Zakłady dymiące na widnokręgu. A bardziej na prawo, pod nieboskłonem, znowu... sobór! Dawni budowniczowie kozaccy, zakładając tu, na odludnych płoniach swój przybytek, planowali prawdopodobnie z całą świadomością, by cały czas mogli widzieć to, co zbudowali. Po starej świątyni śladu nie zostało, chyba że może jakieś lochy i fundamenty, reszta zaś była całkiem nowa. Niewysoki, wapnem pobielony mur otaczał obszerny dziedziniec, pod lasem zaś w zieleni bieleje ładny trzypiętrowy budynek z kolumnami. Wygląda jak sanatorium w lesie. Budynek ten został wzniesiony kosztem spółdzielni hutników jeszcze w czasach Ordżonikidze. Tu właśnie w dostatku i pod opieką państwową spokojnie dożywają swych dni ci, co uczciwą pracą zasłużyli sobie na względy i opiekę społeczeństwa. Piękne ogrody założono na płoniach, które wyglądają jak zasobne futory, z krowami (codziennie świeże mleko), indykami, kaczkami, sadami, winnicami... Renciści sami wszystkim tym się opiekują. Ale do pracy nikogo tu się nie zmusza: jeśli chcesz — proszę bardzo, zależy to od twojej woli, na zasadach społecznych, jakby mówiono: wybierz sobie zajęcie, jakie ci odpowiada, do czego masz upodobanie. Kto interesuje się winem — ten idzie do pracy

w winnicy, w której sokiem nalewają się grona. Komu odpowiadają pomidory — niech hoduje mięsiste pomidory bułgarskie. Na zasobnych glebach płoni, wzbogaconych iłem w czasie wylewów wiosennych, wszystko rośnie fantastycznie, pędzi tak, jakby to się działo na jakiejś innej planecie, ogrzane innym, życiodajnym słońcem. A może naprawdę działają na płoniach jakieś biostymulatory? Po prostu jakiś gigantyzm. Jeżeli już melon, to taki, że nie podniesiesz. Z jednego krzaka kartoflanego weźmiesz jesienią pełne wiadro ziemniaków. Arbuz rozkroisz — pachnie upałem. Cały pud w nim słońca, iskrzącego się, soczystego... Deser królewski, odświeżający, chłodnawy, hermetycznie zamknięty przez przyrodę we wzorzystej albo szarej łupinie... Rajskie życie!

I w tym raju żyją ludzie. Zwykli nasi ludzie radzieccy. Tacy jak twój ojciec, Izot Iwanowicz, robotnik-weteran, rzeczywisty przedstawiciel jej wysokości klasy robotniczej. Wprawdzie nie obeszło się bez demagogii, chodziły bowiem plotki, że on, Wołod'ka, ojca rodzonego narzucił państwu na utrzymanie. Ale gdyby wszystkich się słuchało... Zresztą państwo — to my. Starość dla nikogo nie jest lekka. Dla tych ludzi wszystko należy do przeszłości. Wspomnieniami żyją, dawniejszymi zasługami się krzepią. Nie to, co u ciebie — przyszłość przed tobą. Twoja przyszłość to złote pole działania — wyborów, awansów. Prawda, przyjdzie przeklęty pośpiech. Dzwonki, wezwania, nawał pracy. Nie tylko o ojcu, ale o sobie nie będzie kiedy pomyśleć. Gdyby któremuś z was, drodzy weterani, zachciało się prócz dostatku, prócz pomocy od swoich, jeszcze i ciepła rodzinnego, to zrozumcie, że życie jest tylko życiem, że posiada swe nieubłagane prawa. Bardzo możliwe, że jakiś stary bolszewik z Barykadnej, uczestnik trzech rewolucji, też jest zmuszony dożywać tu swych dni w samotności. Niech wybaczy, że rzadko tu zaglądamy. Boć przecież ktoś musi obracać to koło życia. My nie możemy zajmować się niańczeniem was, na nas czeka metal, walcownie, stale szlachetne... Przecież wy sami stworzyliście te wszystkie możliwości. Rośnijcie, powiedzieliście, i trzeba nam rosnąć.

Z takimi myślami Łoboda wszedł na dziedziniec. Przed głównym jasnym blokiem — mnóstwo starych ludzi. Jedni wygrzewają się na słońcu, inni siedzą w miejscach zacienionych, nudzą się tak prawdopodobnie codziennie, bo tu

dni roboczych nie ma, do Zakładów spieszyć nie trzeba, tu jest jeden nie kończący się dzień wolny od pracy. Podobnie będzie w przyszłych społeczeństwach.

Ojca nigdzie nie widać.

Dyrektor Zakładu, z ogoloną głową, mężczyzna krzepki, w czesuczowym ubraniu, siedzi w cieniu orzecha i nałożywszy okulary czyta książkę. Człowiek obowiązkowy, nawet w niedzielę na posterunku. Łoboda przedstawił mu się jeszcze wtedy, gdy załatwiał sprawę ojca. Był kadrowym w wojsku, w wysokiej randze. I kto by powiedział, że ten żołnierz jakby z żelaza, żołnierz-służbista, zostanie arcyopiekunem, zapobiegliwym gospodarzem przybytku szczęśliwych rencistów.

Łoboda-junior podszedł do dyrektora, podał mu rękę. Dyrektor nie wiadomo czemu przywitał się bez entuzjazmu, a może był niezadowolony, że ten towarzysz tak długo nie odwiedzał starego ojca. A może po prostu dlatego, że przerwano mu lekturę (w żaden sposób nie można spokojnie poczytać, nawet gdy się ma siedem dni w tygodniu wolnych). Poinformował Łobodę, że jego ojciec cieszy się dobrym zdrowiem i jeżeli trzeba, zaraz go poszukamy. Zawoławszy jednego z młodszych pensjonariuszy, poprosił go, by poszukał w pasiece Izota Łobodę, z ósmej sali. Dopóki to mówił, z jego grubo ciosanej twarzy nie schodził grymas niezadowolenia. Dopiero gdy przybyły zaciekawił się książką, a raczej jej spisem rzeczy, służbista jakby złagodniał. Okazało się, że była to książka o życiu Campanelli. Istniał kiedyś taki działacz. Mnich włoski, wiele lat spędził w więzieniu i tam napisał swe dzieło. O Mieście Słońca napisał. Dzieło poważne, lecz posiada słabe miejsca. Utopia. Właśnie... Dyrektor widać był zagorzałym krytykiem, gdyż nie bił pokłonów przed autorytetami. Z wielką pewnością siebie zaczął krytykować tego Campanellę. To, co on sobie wymarzył w tej książce, było dziełem mnicha i więźnia skazanego na dożywocie. A więc: racjonowane odzienie, środki żywności, wytwór pracy... Przewidywał nawet racjonowanie kobiet.

— Czyżby i kobiet?

— Tak, i kobiet. Nie szłyby za głosem serca, lecz byłyby po prostu przydzielane na skutek akceptacji członków zgromadzenia. Tak sobie wyobrażał przyszłą idealną społeczność. Miasto Słońca. Jednakowe odżywianie, jeden język, jedna-

kowe odzienie noszono by w tym społeczeństwie. Wszystko jednakowe, na kartki, na talony...

Psychologia więźnia dożywotniego, tylko w tych warunkach mogło się zrodzić takie wyobrażenie ideału. Ale spytać o to człowieka współczesnego, choćby nawet mieszkańca dżungli, to i ten powie, że takie kurtyzowane szczęście mu nie wystarczy — powiedział ten skarbniański mędrzec. Wprawdzie okazywał wielkoduszność dla utopisty — życie jego było pełne heroizmu i dlatego wiele można mu wybaczyć. Udowodnił na samym sobie, ile człowiek może wytrzymać, do jakich granic sięga jego wytrwałość.

— Może by jego nauka bardziej się nadawała dla czerńców, którzy kiedyś na Skarbnem w jednakowych riasach chodzili, według jednego statutu żyli, jednakowe modlitwy odmawiali, poddawali się jednakowemu reżimowi. Dla nich filozofia „urawniłowki" byłaby zrozumiała, bo my nie jesteśmy ascetami, dla nas koszary to nie szczyt marzeń... Status koszar niekiedy jest konieczny, lecz tylko na pewnym etapie, ale gdy chodzi o przyszłość, to jest to zjawisko nienormalne i wsteczne... Szczęście ludzkie nie na tym polega, przyszłość nie może strzyc ludzi pod jeden grzebień, jak to sobie wyobrażaliście, towarzyszu Campanello...

Słuchał Łoboda tego mózgowca, tego mądrali, który sam przebywał w różnych koszarach, słuchał jego wywodów o ideałach i tłumił w sobie sceptyczny uśmieszek. Ciekaw był dowiedzieć się, co tam u tego byłego podpułkownika gwardii kryło się pod maską mądrości i rzetelności: „Campanellę czytasz, a ręce dobrze sobie grzejesz przy naszych ojcach. Indyki, winogrona, arbuzy i różne dodatki — dokoła pełna komora i wszystko zależy od twoich zarządzeń, kto ciebie tu skontroluje?"

A ojciec wciąż jeszcze się nie zjawiał. Dyrektor zapewnił gościa, że odnajdą starego, choć to i nieblisko: powlókł się stary z Jarowegą do pasieki, którą prowadzi jego przyjaciel. Mają tam namiot, nie tyle do stróżowania, ile do zbierania się w nim na pogawędki... Entuzjaści pasiecznictwa... Może i po kieliszku przy niedzieli wypiją. Tam wolno, byle nie na terenie Zakładu. Łoboda-junior uśmiechnął się. Tak, jego stary potrafił sobie kiedyś popić. Jak to w świecie robotniczym: według normy kozackiej.

— Mój stary to osiłek. Gdyby nawet pił kuflem, to z nóg go nie zwali...

— Nie, Włodzimierzu Izotowiczu, oni tam według norm aptekarskich — uspokoił go dyrektor. — Wezmą sobie ćwiarteczkę na trzech i jak to staruszkowie...

I rozpogodziwszy się, zaczął wyjaśniać, w jaki sposób popijają. Miodem zaprawiają. Pół szklanki świeżego miodu, a tego... tylko troszeczkę... Można jeszcze dodać młodego orzecha...

„Prawdopodobnie i ty sam nic nie masz przeciwko takiemu koktejlowi — pomyślał Łoboda. — Bo zanadto smakowicie udzielasz wyjaśnień."

Póki ojca szukano, Łoboda-junior postanowił obejrzeć pokój ojca. Ponieważ gość nie był byle kim, dyrektor osobiście tam go zaprowadził. Nic się tu nie zmieniło od czasu, gdy Wołod'ka instalował tu starego. Sala — jak wszystkie inne: czysta, jasna, karnisz nad oknem, firanka bielusieńka, dwie szafki nocne, dwa łóżka. Na łóżku ojca pościel rozrzucona i dyrektor trochę się zmieszał, mówiąc, że w żaden sposób nie może nauczyć mieszkających w tej sali pensjonariuszy zaścielania łóżek — wstanie i pójdzie choćby na cały dzień.

— Po chłopsku — wesoło powiedział Łoboda-junior. — W domu niekiedy dostawało mu się za to od matki. Przyjdzie, bywało, z nocnej zmiany, zwłaszcza kiedy pracował dwie zmiany z rzędu, buchnie się na łóżko tak jak był w ubraniu roboczym i zaśnie.

Nad łóżkiem sąsiada kilka zdjęć amatorskich w starannie wykonanych ramkach — jakaś kobieta i młodzieniec w bluzie z dystynkcjami wojskowymi, kolorowa ilustracja z jakiegoś czasopisma — *Wytop stali...* A nad łóżkiem ojca nic nie było. Może nawet było coś tam przyczepione, lecz odpadło i tylko tkwi w ścianie pluskiewka. Na szafce nocnej jakieś resztki, nad którymi polatuje mucha.

Jeszcze więcej much było w jadalni, do której gość wstąpił — wszędzie brzęczały. Czyżby źle było sprzątane? Łoboda mimochodem poradził, by rozwieszano lepy. Dyrektor wyraźnie skonsternowany powiedział, że lepy wiszą, ale jest upał, kuchnia tuż obok, sam pan rozumie... Najwyraźniej zagadywał, by odwrócić uwagę od nieporządków. Zaproponował nawet barszcz zakładowy, na mięsie kaczym, barszcz bardzo tłusty, lecz gość podziękował, niedawno przekąsił. Łoboda na ogół był zadowolony — stoły dokładnie wymyte, z kuchni dolatywały smakowite zapachy, stosy

czystych talerzy na stołach... Koło okien fikusy w donicach, w oknach na zewnątrz gałęzie zielone, stwarzające w jadalni zielonkawy półmrok...

— Można żyć — powiedział powściągliwie do dyrektora, żeby nie przechwalić.

Zwiedzili również świetlicę. Wszystko tu było jak należy: szachy, warcaby, domino. Graj — nie chce mi się! Gazetka ścienna. Wprawdzie dość stara, bo jeszcze z kwietnia. „Niechętnie piszą" — powiedział dyrektor.

— A jak mój stary? Wykazuje aktywność? — zaciekawił się Łoboda.

— Żadnej aktywności nie wykazuje, odmawia wszystkiego. Nawet w damki nie gra.

— W takim razie wciągnąłby go pan do chóru — poradził syn. — Macie tu chór?

— Zbiera się niekiedy. Ale proszę wziąć pod uwagę, że starzy ludzie to nie młodzież i głosy już nie te.

— No, to nie słyszał pan głosu mego starego — z dumą powiedział Łoboda. — W domu, bywało, jak go weźmie ochota, to tak zaciągnie naszą pradawną pieśń, że Zaczepianka tylko słucha. Młodego zakasuje.

— I tu też czasem przy nocnym połowie ryb tak zaśpiewa, że aż tu słychać. Ale do chóru nikt go nie zapędzi.

— Kozacka dusza miłująca wolność!

— Nie bierzemy mu tego za złe. Bo u nas wszystko bez przymusu. Nie chcesz tutaj — śpiewaj sobie na łonie przyrody, indywidualnie. Las, woda, otwarta przestrzeń — to dla niego zespół śpiewaczy.

Wszystko tu przypominało sanatorium. Gdyby nawet jakiś utopijny socjalista zwiedzał ten szczęśliwy przytułek weteranów pracy, to chyba nawet taki nie zrobiłby żadnego zarzutu. Tak właśnie Łoboda-junior powiedział do dyrektora. Bo rzeczywiście na każdym kroku widać było gospodarską rękę, tylko że na każdym kroku czuć było jakąś stęchliznę, odór starości... W salach, w korytarzach... Źle tu wietrzą czy co?

Ze wszystkiego było widać, że dyrektor traktował starego Łobodę z szacunkiem. Chwalił, udzielał najlepszej opinii, szczególnie gdy szło o pracę. Bardzo pracowity. Uczciwy. Przez okrągły rok ryby do kuchni dostarcza. Z nikim się nie kłóci jak te nasze pensjonariuszki, które niekiedy nawet trzeba rozdzielać.

— I książki sobie czytuje. Niedawno czytał o Dżyngis-chanie. Złościł się. Dla dzikusów i morderców całych narodów nie powinno, powiada, być miejsca w historii. Całą dyskusję mieliśmy z nim na temat postępu...

— O, w tym nikt mu nie da rady!

— Tylko pański staruszek często jest czemuś zasmucony. Wyjdzie za bramę, usiądzie i całymi godzinami siedzi zasmucony...

Dopóki rozmawiali, stojąc przed biblioteką, w kącie sali jakiś mężczyzna, zgarbiwszy się, coś pisał. Bardzo zniszczony człowieczek. Był drobniutki jak grzyb, pomarszczony, twarz miał szarą. Z głową wtuloną w ramiona, nie odrywając wzroku od papieru, cały czas coś skrobał piórem. Tylko od czasu do czasu podnosił głowę na moment, spoglądając na Łobodę złym wzrokiem żółciowca. Nawet na powitanie Łobody nie odpowiedział, kiedy ten, wszedłszy tu, uprzejmie mu się ukłonił. „Kto to jest? Pisze z takim zapałem, bez odpoczynku, jakby się gdzieś spieszył. Dokąd ci, człowiecze, spieszno?" — myślał Łoboda, czując się nieprzyjemnie pod jego złym, spode łba, spojrzeniem. Gdy wyszli na korytarz, cicho spytał dyrektora:

— Kto to jest ten?

— To, to... — zmieszał się dyrektor. — To straszny człowiek. Do wszystkich instytucji pisze.

— Z czegoś niezadowolony?

— Ze wszystkiego na świecie. Wszystkich osądza — od góry do dołu. Obrzydliwy stalinowiec! Stalinowcem, powiada, byłem i stalinowcem umrę. Wszystkiego ode mnie żąda: żebym popiersie wodza wyciągnął ze składziku i ustawił pośrodku klombu... Tam kiedyś stało, ale teraz przecież nie postawię.

Sprawa była śliska i Łoboda, nic nie odpowiedziawszy, podążył na werandę. Zatrzymał się w cieniu między kolumnami. Z lasu dolatywały ledwie dosłyszalne tony muzyki: widocznie tam się bawiono, życie dokoła kipi, wszyscy oddychają świeżym powietrzem, wypoczywają, tylko ten jeden stał się odludkiem, niczym karaluch siedzi w „czerwonym kąciku" i donosy fabrykuje... Są jednak typki!

Wreszcie zjawił się ojciec. Na sto wiorst poznałby go Łoboda-syn, poznałby tego osiłka o wielkiej głowie i szerokim czole, ze zmierzwionymi siwymi włosami. Głos krwi — czy on na pewno istnieje? Bo co nas wzrusza w głębi serca,

kiedy nagle zobaczymy najbliższego i jedynego na świecie człowieka? W samym jego poruszaniu się było coś bliskiego, w spracowanych rękach, w tych siwych, wzburzonych przez wiatr włosach... Stary był w codziennym ubraniu: w spodniach płóciennych, w perkalowej koszuli na pochylonych plecach. Ale synowi wydało się, że koszula była płócienna, zgrzebna, jakie nosili czumacy. Stary obermajster Łoboda szedł w tym codziennym ubraniu przez dziedziniec z godnością. Dawniej do hutnictwa dobierano olbrzymich siłaczy i Łoboda był jednym z nich, o głowę wyższy od tych chłopów, którzy towarzyszyli mu truchcikiem. Wielka jego twarz była obrzękła — może spał w namiocie, a może tak się poprawił na odżywianiu sanatoryjnym? Lekki, bez brzuszka, o szerokiej, lecz zapadłej piersi. Szedł powoli, patrząc wprost przed siebie, podstawiając pod słońce szerokie, mądre czoło. Patriarcha! Król Lear! Prorok Izajasz! Syn był po prostu zdumiony widokiem starego, każdym jego mocnym, pewnym krokiem. Szedł jakby pod wiatr, jakby na przekór burzy, stary obermajster!

Syn przez moment pomyślał: dobrze się chyba zaprawił, że tak mocno stąpa... I aż się przeraził tą ojcowską pewnością siebie.

Stojąc między kolumnami, powitał starego pełnym miłości uśmiechem, patrzył na niego z dumą, stary zaś... jakby go nie poznał. Zatrzymawszy się kilka kroków od werandy i nie patrząc na syna, spytał:

— Pan mnie wołał?

Dyrektor głosem jakby usprawiedliwienia:

— Syn tu do was...

Izot Łoboda dopiero teraz spojrzał na syna. Spojrzał z wyrazem zdziwienia i zarazem niezadowolenia; białka oczu przekrwione. Znak pewny, że nie jakieś tam syropy, lecz mocne miody pito w pasiece... Źdźbła siana sterczały ze zmierzwionych siwych włosów. Chyba odpoczywał stary w namiocie po obiedzie. Lepiej było go nie budzić. W ręku trzymał pęk jakiejś trawy, niczym pas w czasach dzieciństwa syna. Nie okazał żadnych uczuć rodzinnych. Wlepił w niego swe zaczerwienione oczy i milczał.

— Syn tu do was... — powtórzył dyrektor, by rozładować nieprzyjemne milczenie.

Starego te słowa jakby sparzyły.

— Syn? A czy ja mam syna? — Wielka jego twarz jeszcze

bardziej nabrzmiała, poczerwieniała. — Miałem kiedyś synów! Jeden — pod Krzywym Rogiem, drugi — w Berlinie... Więcej nie mam.

— Tato...

— Byłem tatą! — huknął na cały dziedziniec. — Póki na rękach ciebie nosiłem! Póki w kolebce kołysałem! A teraz jaki ja tato? Nie ma taty! Utrzymanek państwowy! Do przytułku go! Do dobroczynności! Starzec bezdzietny, a nie tato...

Stary dalej burczał. Strach ogarniał na widok jego spąsowiałej twarzy. Jeszcze porazi go udar słoneczny, upadnie na środku dziedzińca i wyzionie ducha...

Lecz stary nie upadł, stał jak dąb.

Scena była nieprzyjemna. Ludzie się schodzili, skąd oni się brali, ci świadkowie hańby? Wkrótce sporo już ich stało na dziedzińcu, a nawet pod szopą, stali pod pobielonym wapnem murem ogrodzenia, podobni do idolów scytyjskich przywiezionych przez kogoś ze stepów i bezładnie postawionych na dziedzińcu jakiegoś muzeum. Nie podchodzili blisko, lecz mimo to Łoboda-junior nie mógł znieść ich kłującego wzroku. Szczególnie piekła go spojrzeniem jakaś rozczochrana wiedźma, jakby rodem z Sewilli... Łoboda czuł się tak, jakby znalazł się w potrzasku. To nie był koszmarny sen, to była rzeczywistość: i Skarbne, i upalny dzień, i wybuch nienawiści ojca. Przytułek! Dobroczynność! Przerażające, przerażające!

Nawet dyrektor poczuł się dotknięty tą dobroczynnością.

— Pan pozwoli, jaka dobroczynność?... A poza tym syn wnosi za pana część opłat. Ani razu nie wysłaliśmy upomnienia...

Starego rozsierdziło to jeszcze bardziej. Zmierzwiona broda podskoczyła do góry:

— Dziękuję ci, że przynajmniej opłaty wnosisz na czas! — A do zbiegowiska: — Słyszycie? Opłaty wnosi za rodzonego ojca! Jak składki związkowe! Za ojca! Och! Przez całe swe życie nie spłacisz! — znowu ryknął w stronę syna. Krew znowu uderzyła mu do głowy.

Dyrektor zaniepokojony zaproponował staremu, by nie stał w słońcu, by schował się w cień, żeby nie dostał udaru słonecznego. Lecz stary jakby nie słyszał. W jego gniewie było coś bezsilnego; syn to wykorzystał — poczuł, jak w jego sercu mimo obrazy odezwało się coś, czego doświadcza się bardzo rzadko. Gdyby można było upaść ojcu do nóg,

gdyby tak można było znowu stać się małym chłopcem... Niech by smagał do krwi, ale niech by poprzez to smaganie dał przebaczenie... Ale wygląda na to, że do tego nie dojdzie. Tu stał jakiś obcy, poczerwieniały z nienawiści człowiek, z zaczerwienionymi ze złości oczami, z pękiem suchej trawy w dużej, dygoczącej ręce. Słońce piekło niemiłosiernie, na czoło wystąpił obfity pot. Wszystko było nieznośnie przykre: i ten dzień, i nienawiść człowieka, który jest twoim ojcem, i pot napięcia, pot nienawiści na czole.

Koszula na ojcu była nie pierwszej świeżości, plecy pod nią chude, ręce brudne, węźlaste ręce hutnika, które do końca życia nie wybieleją po hutniczym żarze i sadzy. Tato, czego wam trzeba? Może ubrania? Powiedzcie, tato. Wszystko będziecie mieli, wszystko zdobędę, choćby ptasie mleko.

Nie chce ojciec twego ptasiego mleka. Serce się wzdraga. Gniew go zalewa za to, że z miejscem rodzinnym został rozłączony, pozbawiony towarzystwa druha Jagora... Słońce pali i pali, podsycając w starym chmiel miodu, chmiel gniewu i krzywdy, która nakipiała tu w nim na Skarbnem po całych dniach i nocach.

— Młokosy, młokosy — mruczy stary gdzieś w bok. — Takich tylko dopuścić... Wszystko zaprzepaszczą!

Życzliwy Jarowega uchwycił odpowiedni moment, podszedł do przyjaciela i na jego głowę nałożył kapelusz słomkowy, by słońce go nie poraziło. Zbliżyło się jeszcze kilku pensjonariuszy i zaczęli uspokajać Izota Iwanowicza, odprowadzili go w zacienione miejsce, posadzili na ławce. Ale stary i tam się nie uspokoił. I syn, i dyrektor, i ludzie, którzy się rozchodzili, słyszeli teraz, jak zaczął przeklinać jakichś energetyków, a równocześnie znowu dostaje się temu, co dotąd na nieszczęście starego był uważany za syna. To, powiadają, sobór zbiera się zburzyć, to znowu zamierza płonie zatopić, żeby ojca i stąd na starość wypędzić. To już była najzwyklejsza fantazja, jakieś duby smalone, syn o czymś podobnym nie miał najmniejszego pojęcia. Chciał zaprzeczyć, chciał krzyknąć: „Tato!", ale ojciec tylko syknął, by milczał, i znowu popuścił wodze swym insynuacjom: Syn już ponoć przyłączył się do tych burzycieli z rady gminnej, chce, powiadają, jedną zaporą wodną hałasu narobić. A płonie, a Skarbne, czy cokolwiek ich obchodzą? Tylko patrzeć, jak tu woda zacznie szumieć! Będzie tak jak na Ka-

chowskim, gdzie połowę Ukrainy zajęli pod wodę, chcieli morze zbudować, a zbudowali błoto! Zgnilizna tam kwitnie! Na całą Ukrainę cuchnie! Nawet piloci nosy zatykają, kiedy nad tym przelatują...

Spojrzał ze złością na syna.

— Tego wam jeszcze mało, energetycy zafajdani? Do Skarbnego się skradacie?

— Tato, co wy wygadujecie? Kiedy ja byłem energetykiem?

— Smarkacze, a nie energetycy! Takim tylko pozwolić — wszystko zniszczą! Wszystko przegwiżdżą! I ty też... W jedną dudkę dmuchacie!

— Tato, ktoś na mnie nałgał.

— Milcz! Sam siebie ołgałeś. Doszczętnie się zakłamałeś!

Podeszła kucharka i zaczęła uspokajać starego.

— No i po co się denerwujecie, Izocie Iwanowiczu? Toć przecież syn... Alimenty na was łoży...

Ale lepiej by o tym była nie wspominała. Stary znowu wybuchnął, jakby kłodę zwalił na ziemię:

— A niech one, te alimenty, będą przeklęte! I to wszystko mnie spotyka od rodzonego syna? Jak to takiego nazwać?

I choć z Zaczepianki nikogo tu nie było, nie było nawet ducha tego zbereźnika Bagłajenki, lecz wyraźnie wszyscy słyszeli jakby świst brzytwy, gdy stary syknął: „Sprzedawczyk własnego ojca!"

Syn, zdetonowany, plecami oparł się o kolumnę. Oczy jego błagały: „Tato, co wy ze mną robicie?"

A stary hutnik, jakby chciał go unicestwić, przysuwał się groźny, zmierzwiony:

— Czy ja cię tutaj wzywałem? Nie jestem więcej dla ciebie ojcem! Nie masz już ojca! Teraz i na wieki! Wyrodkiem jesteś! Precz z moich oczu!

I ręką wykonał stanowczy gest, którym rozkazywał synowi iść precz.

„Gest wyklęcia!" — pomyślał Łoboda-junior, ociekając kroplistym potem, i znalazł się za bramą.

Koszula przylepiła mu się do pleców, jakby cały był pokryty lepami. Po co on tu przyjechał? W jaką nieszczęśliwą godzinę strzeliło mu do głowy odwiedzić ojca? Jeszcze w zdenerwowaniu nie mógł przewidzieć, jakie to może mieć następstwa, jak się to odbije na jego przyszłości, lecz rozu-

miał, że może to być katastrofalne, rujnujące, czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg i pewność siebie, i autorytet, i awanse służbowe. Wszystko się zachwiało i wali się w gruzy, zmiażdżone przez ważki osąd ojca w nieprzytomnym uporze. Już lepiej by było być sierotą niż mieć takiego ojca. Inny byłby dumny z twego powodzenia, stanowiska, z tego, że pniesz się w górę, a on? Rodzony ojciec tak go spostponował przy ludziach, o jakichś zaporach wodnych plótł, o zatopieniu Skarbnego. Chociaż na ogół coś w tym jest, warto będzie o tym pomyśleć. Bo jaka korzyść z tych płoni? Tylko komary tu się plenią! Śmiecie, ogryzki po całym lesie... Dniepr przebudujemy, czemu Skarbnego nie mielibyśmy przebudować? Zatopić lub przeciwnie — osuszyć. Ale nad tym trzeba będzie się zastanowić, gdy się uspokoi, nie teraz. Cóż to była za przykra scena! A najprzykrzejsze było to, że wszystko się odbyło publicznie, w obecności tych starych rencistów, którzy cały czas sterczeli nieruchomo na dziedzińcu jak baby scytyjskie, niemi świadkowie twego poniżenia. Nikt się nie wtrącał, ale wszyscy słyszeli, każde słowo przekleństwa ojca docierało do nich, każdziutkie słowo chyba zanotował w swej pamięci ten typek żółciowiec, tam na górze. Chyba i w tej chwili do kogoś tam pisze... Przeklęty dzień! Przeklęta miejscowość! Pchał się w stronę wilka, a trafił na niedźwiedzia — przypomniało mu się zupełnie niedorzeczne przysłowie.

Odetchnął głęboko, przyczesał mokre od potu włosy i ruszył ścieżką w stronę asfaltu.

12

Zakłady zasnuwają dymem całą okolicę. Dymią bez przerwy. Z epickim spokojem dymią dzień i noc. Rozpływająca się sylwetka soboru widnieje na tle nieba. Tkwi nad dalekim horyzontem spowity mlecznoniebieskawą mgiełką odległości. W przestrzeni perspektywicznej kopuły soboru i kominy Zakładów jakby zbliżyły się do siebie, zjednoczyły się w jeden zespół osiągnięć starego i nowego wieku.

Młody architekt siedzi za kierownicą prowadząc samochód po dwukierunkowej szosie. Komisarz z żoną, siedząc z tyłu, czują się bezpiecznie, gdy syn siedzi przy kierownicy i prowadzi samochód pewnie i równo, a nawet chcia-

łoby się powiedzieć: prowadzi elegancko. Komisarz nie po raz pierwszy tędy przejeżdża, nie pierwszy rok mieszka w tej okolicy. Rodem jest z Kraju Sołowieckiego, gdzie surowy archanioł spogląda znad bramy klasztornej, gdzie nad wiecznymi krami lodowymi krzyczą mewy polarne. W podziemiu jednej z wież klasztornych caryca przez dwadzieścia pięć lat więziła zakutego w łańcuchy Kałnyszewskiego, ostatniego koszowego Siczy Zaporoskiej. W łańcuchach, w nieczystościach, paznokcie mu odrosły jak u jakiegoś zwierzęcia. W smutku i nienawiści dożył stu trzynastu lat. Co tego więźnia carycy trzymało przy życiu? Chyba tylko marne posiłki, które mnisi sołowieccy podawali mu do tego dołu jeden raz na dobę. Wyrosłemu na wolności stepowej, pokonanemu i zakutemu może dodawały siły nie zakute w łańcuchy wspomnienia słonecznej przestrzeni ukraińskiej? Bohaterzy tu rośli, kraj ten wychowywał ludzi silnych duchem, ożywionych tamtejszą przyrodą.

I teraz też komisarz ma na kogo popatrzeć, kiedy na oględzinach lekarskich przechodzą obok niego młodzieńcy z przedmieść robotniczych, skąpani w Dnieprze, mocno zbudowani, krzepcy, o stalowych mięśniach. Rzadko którego Komisja Poborowa zdyskwalifikuje, bo to jeden w drugiego, jak wybierani, synowie kraju kozackiego. Siła! Przyszłość narodu! I chyba jest w tym cząstka zasługi Skarbnego, terenów nadrzecznych oraz Dniepru, że mimo zadymienia tych przestrzeni są tak rośli, zdrowi, krzepcy. Ma kto bronić ojczyzny!

A w jaki sposób żegna się tu chłopców, którzy idą do wojska! Każda zaczepianka, która szykuje się do odprowadzenia takiego młodzieńca, przypomina sobie, jak kiedyś Kozak, wyruszając w pole, obiecywał dziewczynie, że przywiezie jej tyle jedwabiu i wstążek, iż kiedy je rozwinie, wystarczy od szpica soboru do samej ziemi... Takie to były pożegnania kozackie. I obecnie taki sam zwyczaj mają odprowadzając poborowych do wojska: w barwnych strojach i wstążkach. O wschodzie słońca wychodzą na ulicę Szeroką wszyscy krewni, wszyscy przyjaciele przyszłego żołnierza, dziewczęta jak kwiaty, a on idzie wśród nich obok harmonisty, prowadzą go pod ręce jak do ślubu, z zawiązaną na ramieniu chustką. I idzie tak wystrojony, tylko od czasu do czasu ze smutkiem człowieka podchmielonego spojrzy z miłością na tę, która prowadzi go pod ramię, jakby już swego, jakby

najbliższego; spojrzy na tę, która będzie czekała na jego powrót niejeden rok. Śpiewają. Ich śpiew jest tak nieśmiertelny, jak śpiew dziewcząt japońskich, które przy śpiewie chóralnym odprowadzają swoich kamikadze przed lotem. Przyszły z młodym hutnikiem poborowym do komendy rejonowej. Jeszcze tu szyby brzęczą od ich pieśni: „O świcie wstali Kozaczkowie..." Wyjdziesz na ganek — chciałoby się żyć wiecznie. Doskonałych żołnierzy dostarczają te Zaczepianki. I nigdy potem młody żołnierz nie zapomni tego pożegnania, wstążek dziewczęcych, procesjonalnej wędrówki, pożegnalnej pieśni. Oto macie obrzęd tradycyjny, powstaje samorzutnie w narodzie, z jego tradycji, z głębi serca. Bo teraz są jakieś zmyślenia, z palca się wysysa bezduszne pseudoobrzędy...

Komisarz walczył tu, w tym kraju. Stąd się wycofywał w zakrwawionej bluzie w czterdziestym pierwszym roku. A potem wypadło tak, że w tym samym miejscu był w ofensywie, pędząc okupanta za Dniepr. Wtedy był młodszy, serce nie dokuczało, dowodził artylerią dywizji gwardii. Za płoniami, w Orłowszczyźnie, stał ze swoimi dalekosiężnymi działami, sobór zaś był widoczny na horyzoncie, stanowił dla niego punkt orientacyjny. Po raz pierwszy ujrzał go rankiem jesiennym, kiedy niebo było już niskie, nabrzmiałe ciężkimi, dżdżystymi chmurami, przytłaczało nimi świat. Dokoła wsie zniszczone, spalone, czarne szkielety bloków fabrycznych ciągnęły się wzdłuż Dniepru. Wśród tego świata ruin, bezdomności i bólu pod nabrzmiałym, ołowianym niebem jesiennym bielał na wzniesieniu nie zburzony sobór kozacki. Poza tym nic więcej — dokoła tylko zniszczenie, pustka. Wśród niej, pod chmurami — sobór. Wznosił się z nie zburzonymi kopułami jak miraż, jak coś nieprawdopodobnego. Poczynając od obszarów podmoskiewskich, ileż to widział rozbitych, nie oszczędzonych przez wojnę, pełnych nieczystości cerkwi i soborów. Lecz tu miał przed sobą nienaruszoną całość, z nie przestrzelonymi kopułami, uratowaną przypadkiem czy przez paniczną ucieczkę barbarzyńców, uratowaną niepowstrzymanym przesuwaniem się frontu. Wspaniały to był punkt obserwacyjny, doskonały cel, ale dowódca stanowczo ostrzegł swoich ogniomistrzów:

— Oszczędzać sobór!

Czemu tak wtedy powiedział? Skąd się wzięła ta chęć oszczędzania? Oczarowany był tym arcydziełem architektu-

ry, powiewem dawnego piękna? Wątpliwe. A raczej nawet nie. Nigdy dotąd nie był estetą, zdecydowania też mu nie brakowało. A może sprawiły to nieszszęścia przeżytych lat, piekąca nienawiść do burzycieli, do niszczycieli, wpłynęła na jego rozwagę i nagle podyktowała: oszczędzić! W młodości sporo widział zabytków starej architektury, pomników jak jasne światła, wzniesionych przez kogoś w minionych wiekach, które rozjaśniały surową, pochmurną Północ. Lecz wtedy jeszcze nie wiedział, co to jest architektura, nie wiedział, że jest to światło myśli twórczej, ten głos nieznanych budowniczych był mu zesłany z zamierzchłej przeszłości, dla jego serca ten głos był przeznaczony. I czy jesteś temu winny, że patrzyłeś na to wszystko oczami, które nie potrafiły ocenić, nie potrafiły docenić, nie rozumiały tego, że mają przed sobą skarby? Tylko wtedy to zrozumiesz, gdy zdasz sobie sprawę z tego, że szedłeś drogami zniszczenia i cierpienia. Bo wtedy, w czasach wielkiego oczadzenia, chyba wypadek cię ustrzegł przed pójściem z takimi, jakim sam byłeś, nienawidzącymi młodzieńcami, do burzenia soborów. Miałbyś się znaleźć wraz z nimi, naiwnymi, na usypiskach ruin tych odwiecznych, sędziwych cerkiewek na Północy? Na twojej drodze znalazłby się również Rublow, więc i Rublowa byś nie oszczędził. Zniszczyłbyś go z poczuciem, że robisz słusznie, zniszczyłbyś w gorączce burzenia, nie podejrzewając, kogo niszczysz. To, że nie wziąłeś wtedy udziału w ślepym zamroczeniu, w bankiecie burzenia, zawdzięczasz tylko przypadkowi: wcześnie poszedłeś do szkoły artyleryjskiej.

Po wojnie zamieszkał tu w tej okolicy. I znowu czysty przypadek — z obowiązku wojskowego. Chociaż nie można powiedzieć, by było to wbrew jego życzeniu. W każdym bądź razie, kiedy został tu przydzielony, w jego wspomnieniach odrodził się widok tego właśnie soboru na wzniesieniu, oszczędzonego kiedyś przez niego w szczęśliwej chwili. Przyjechał tu i odtąd te czerwoną poświatą rozjaśnione noce naddnieprzańskie stały się mu najbliższe. Syna wykształcił na architekta. Po ukończeniu instytutu syn pracuje w innej miejscowości, ale co roku, każdego lata odwiedza rodziców. Z syna komisarz jest zadowolony — rozgarnięty chłopak, wprost zakochany w sztuce. Może nawet zanadto się entuzjazmuje: te święte Zofie, Katedry w Reims, Partenony — to sens i treść jego życia. Sam Partenonu jeszcze nie stwo-

rzył, ale zamysłów, odważnych projektów ma pełną głowę. Zarówno komisarz jak i jego żona już się przyzwyczaili, że w domu mają jakby klub; co wieczór przychodzą jacyś goście i dyskutują całymi godzinami... Syna wtedy trudno poznać — oczy mu płoną, gdy dochodzi do różnicy zdań na temat ośmioboków lub na temat dawnego kozackiego baroku...

W tej chwili syn jest niewesoły i zamyślony. Siedzi za kierownicą. Aby go jakoś rozerwać, komisarz umyślnie zaczął głośno opowiadać żonie różne zabawne historie: zastanawiał się z zadowoleniem nad przyszłością, że nie tak bardzo jest ona pochmurna, że ludzkość się rozwija w dosłownym znaczeniu; uczeni dowodzą, że średni wzrost człowieka w bieżącym stuleciu o ileś tam cali czy centymetrów jest większy, chociaż jemu, jako komisarzowi, potrzebni są niżsi. Tarasa Bulby do kabiny samolotu odrzutowego nie wpakujesz... Żona początkowo nie chciała wierzyć, że ludzie są obecnie wyżsi, ale potem powiedziała do swego grubasa:

— To może jest nadzieja, że i ty mi podrośniesz?

— A jakże! Szczególnie wszerz...

Zaśmiali się. Ale syn nawet nie drgnął. Posępność jego nie znikła. Wprawdzie on nie zawsze jest taki. Nie jest pozbawiony poczucia humoru, ale teraz tylko się chmurzy. Tę pochmurność przywiózł z Karpat. Jeździł niedawno ze swym towarzyszem, by zapoznać się z drewnianą architekturą góralską. Pieszo przeszedł całe Karpaty, obszedł wszystkie góry; w jednej wsi góralskiej widział na własne oczy, jak miejscowi uczniowie ze starszych klas starodawną cerkiew huculską na opał rozbierali. Nauczyciel — ich wychowawca — kierował robotą...

Od czegoś takiego posępność długo nie zejdzie z czoła.

Dziś syn sposępniał jeszcze bardziej, gdy posłyszał od swego towarzysza na Skarbnem, że ponoć i nad tym soborem kozackim burzyciel wzniósł siekierę, samowolnie, po złodziejsku w nocy tablicę ochronną zdjęto... Po tej wiadomości wrócił do rodziców wzburzony, zdenerwowany.

— Lecę. Jutro wylatuję.

Dokąd poleci, do kogo, prawdopodobnie sam jak należy nie wie. Ledwie go uspokoili, ledwie odradzili, by się nie spieszył, nie gorączkował.

— Wszystkiego nie uratujesz — powiedziała matka.

Ale to go jeszcze bardziej wzburzyło.

— Ty chcesz, żebym ja, architekt, stał się uczestnikiem burzenia?

— Co ty mówisz! Niczegoś nigdy nie zburzył — uspokajała go matka.

— Wszyscy burzymy — kipiał syn. — I ja, i ty, i on — wskazał na ojca. — Burzymy tym, że trzymamy się na uboczu... Burzymy swoją obojętnością! Byli tacy, co Dziesięcinną w Kijowie zburzyli. Michajłowski o złotych kopułach na oczach całego miasta burzyli... A teraz sami pomnażamy obojętnych! Hodujemy okrutnych... Sami podburzamy burzycieli! A burzyciel, pigmej urodzony, zawsze chce zrobić coś złego słabszym od niego...

W jego słowach słyszało się, że ci wszyscy nieodpowiedzialni niszczyciele to byli osobiści jego wrogowie. Niczego im nie wybacza. Może z najdrobniejszymi szczegółami opowiedzieć, jak burzono Michajłowski o złotych kopułach, który jeszcze w czasach przedtatarskich jaśniał na wzgórzach kijowskich; jak burzono Dziesięcinną, jak wysadzano dynamitem odwieczne mury. Wszystko dokoła dygotało, jednak mury się nie poddawały... Ale zburzono i te tajemnicze spojenia niezwykle mocnych murów... Młody architekt pała szczególną nienawiścią do tych, którzy posiadając dyplomy architektów z całą gotowością wzięli udział w „oczyszczaniu"' placu, niszczyli zabytki, by zrobić miejsce dla swoich betonowych tumb... Swym nieprzejednaniem nawet ojca zadziwia. Stary żołnierz jakby stawał się lepszy u schyłku swych lat, wyzbywał się autorytatywności w swych sądach, jakby poszukiwał jakiegoś usprawiedliwienia i wytłumaczenia dla przerażających czynów, syn natomiast nie uznawał żadnych kompromisów.

— Tępi mordercy piękna — nie odwracając się od kierownicy cedził przez zaciśnięte zęby. — Trudno, wtedy z nieuctwa oddali się we władzę ducha niszczenia, ale teraz? Skąd się teraz tacy biorą? Wytłumacz mi, dlaczego mnożą się burzyciele i niszczyciele?

Stary żołnierz zaproponował rozejm. Jutro pojedzie do komisariatu wojskowego, do kogoś tam „na świeczniku, stąpającego po dywanie", to w ich dialekcie rodzinnym oznaczało, że ktoś ma dostęp do wysoko postawionych osobistości. Ubierze się w swój paradny mundur ze wszystkimi odznaczeniami bojowymi oraz orderem Bohdana Chmielnickiego i pójdzie. Powie, co myśli o soborze. Chociaż nie wia-

domo, jakie będą następstwa rozmowy z wpływową osobistością.

— A może nie warto? — powiada żona. — Jeden raz już ocaliłeś ten sobór, a kto, kto poczytał ci to za zasługę, kto choćby „dziękuję" ci powiedział?

— Moja droga, historia to osądzi.

Dalej już nie warto było nad tym debatować: powiedział, że pójdzie, to pójdzie.

Poparcie ojca wyraźnie rozładowało niepokój syna, chociaż było widać, że różne myśli o ekscesach wandali go nie opuszczały. Doszukiwał się, co na te ekscesy wpływało i jaki autorytet mógł położyć im kres.

Słońce osiadało w dymach za soborem, za jego kopułami, które baniastymi kształtami płynęły nad osiedlem pod skrzydłami zorzy wieczornej. Świeci czerwoną łuną na samym swym obrzeżu spod brwi chmury wieczornej, po czym ostyga, gaśnie, tonie w niebieskawej mgle. Niczym miraż występuje obraz soboru i bloki Zakładów — przedziwne zestawienie odległych od siebie wieków.

Huk i szum przybliża miasto. Na zachodzie pełno jeszcze światła. Młody księżyc na niebie podobny jest do półksiężyców zdobiących meczety Carogrodu... Ukazują się pojedyncze gwiazdy. Ale niektóre poruszają się na firmamencie. Okazuje się, że są to światła pokładowe wysoko lecących samolotów. Może gdzieś tam w luksusowo wyposażonych samolotach komunikacyjnych podróżuje człowiek... Zagęszcza się granatowy cień; świecąc łagodnie niby gwiazdy, po drugiej stronie kaskad miasta niezliczonymi światłami jaśnieją okna wieżowców.

Z rękami na kierownicy patrzy na nie młody człowiek. Ileż to jeszcze miejsca na naszej planecie, a miliony ludzi gromadzą się w tych mrowiskach, sami siebie zapędzają do katakumb, do tych współczesnych pieczar, z niskimi jak dla garbusów sufitami, pod którymi nie każdy może się wyprostować, nie mówiąc już o przyszłych ludziach, którzy w XXI stuleciu będą wyżsi chyba o dziesięć centymetrów. Niedługo połowę naszego globu zakujemy w pancerz asfaltów, grzebiąc pod nim urodzajne gleby... Na razie w zabudowie panuje żywioł... Ileż to na naszej ziemi jest jasnych brzegów, malowniczych pejzaży, krain jeziorowych, takich jak to bajeczne owiane ożywczym wiatrem Skarbne. Ileż to na świecie jest piękna, jeszcze nie ujarzmionego przez archi-

tektów, a my się tłoczymy w kubłach, dusimy się w klatkach, w bunkrach, w szczelinach kamiennych, przywiązani do sieci wodociągowej, do kanalizacji...

Miasto rośnie w oczach młodego architekta. Miasto nawarstwia się wiekami, w swojej wielogłosowości jest jednym wspólnym tworem, gdzie się widzi pracę rąk, które je wzniosły, czuje się energię tych, co wkładali w nie swą pracę i mienie, tchnęły żywą duszę w bezduszny kamień, cegłę i metal.

Z kozackiego futoru-zimowika powstało i wyrosło do rozmiarów gigantycznych tak, że może niebo przesłonić swoimi dymami. Nie mieści się już na swoim obszarze. I dalej się rozrasta, i nieznana jest granica jego rozwoju. Budowano pompatyczne pałace rozpustnej carycy, wyrywano kamienie na barykady. Jedna z ulic nosi teraz miano Barykadowej. Miasto-barykada i miasto-robotnik wchłonęło w siebie siłę dawniejszego kraju, jego gniew i jego legendy, i jego poezję. Czy wszystko to zachowało w swej duszy? Co zostawi po sobie, jakie projekty przekaże przyszłym pokoleniom, jakie znaki przekaże w rudych chmurzyskach swych dymów?

Pstre, stłoczone, czarne, z powagą dokonuje swej pracy Cyklopa. Poważna epika kryje się w jego oddechu, potęga doby bieżącej kryje się w jego ciemnych ramionach. Całemu światu dostarcza metalu, dźwięczna jego stal wibruje w kosmosie. Pracując po całych dniach i nocach, przekształca samo siebie, poszukuje innej, jakiejś nowej doskonałości. Jaka ona będzie? Struny ze stali i szkła odbijają się w błękicie Dniepru sylwetkami drapaczy chmur. A może jakieś inne niezwykłe konstrukcje to będą? Jaki duch w nich się objawi? Powiadają, że im bardziej urodziwa kobieta, tym bardziej pragnie być jeszcze piękniejsza. Będzie czystość, porządek, nie będzie dymu, będą w wydziałach fabrycznych natryski, zwilżające niby rosa, na dziedzińcach fabryk zakwitną białośnieżne wiśnie... Estetyka przyszłości nie może nie przyjść! Na czym ona będzie polegała? Jakie osiągnięcia życiowe przyniesie, jakie gmachy wybuduje na tych tu brzegach, żeby każdy człowiek mógł wreszcie powiedzieć: „Jest mi dobrze. Jest mi wspaniale. Jestem szczęśliwy, że żyję na naszym globie."

Dusza miasta — jakie ona ma sny? Kiedy ta dusza się ujawnia? Czy w godzinie przedwieczornej, kiedy przestrzeń

się omracza, czy w jasny poranek, kiedy po długiej nieobecności podjeżdża się do tej miejscowości, która nagle odsłania się za Dnieprem, na tych wzgórzach na drugim brzegu odsłania się coś fantastycznego, nie surowego, lecz kipiącego, ciemnego, gwarnego, a jakieś miasto-miraż, miasto pełne delikatności powstaje z tych porannych widoków. Zwiewne i lekkie niby antyczne wiszące ogrody, które się rodzą ze srebrzystej mgiełki świtania, odsłaniając przed słońcem ażurowość wież telewizyjnych, łukowe przęsła mostów, kaskady zabudowań, słupy kominów fabrycznych. Miasto twoich poranków młodzieńczych, które wyrasta przed tobą jako konstrukcja utkana z najdelikatniejszych materiałów przyszłości, jakby olbrzymi statek, zbudowany nie przez małe ziemskie istoty, lecz przez fantastyczne olbrzymy... Niezmiernie obojętne na wszystko co ziemskie, powstaje rankiem na rozjaśnionych światłem wzgórzach i nasłuchuje jakby jakiegoś innego życia, i widzi to, co jest najważniejsze: słońce czerwone, które wschodzi nad płoniami, nad przymglonym Skarbnem.

Potem ujrzysz swe miasto bez liliowej mgiełki, powstanie ono przed twoimi oczami jako piekło wiaduktów, przejazdów, semaforów, piekło sadzy, kipiącej pianą, wrzawy i szumu; opowie ci o sobie dygotem skorupy ziemskiej, nierównością zniszczonego bruku; górami brunatnej rudy oraz aglomeratów razi oko, Pałacami Kultury Metalowców z potwornie ciężkimi kolumnami, które niczego nie podtrzymują, lecz jedynie świadczą o ważkości przebytych czasów...

Ale ty i takim to miasto kochasz. Akceptujesz i kochasz w nim niepodzielnie wszystko.

13

Zaczepianka jeszcze raz mogła się przekonać, że prawda istnieje na świecie: tablica zjawiła się na soborze. Jak zagadkowo znikła, tak zagadkowo wróciła na dawne miejsce.

Tak więc nigdzie nie został wysłany pierwszy w dziejach Zaczepianki „anonim", ten pełen oburzenia „papirus", pod którym zaczęła zbierać podpisy Łesia—frontówka, córka nauczyciela, wykazawszy w związku z tym niezwykłą energię i zapał. Ale co po skargach, kiedy tablica — nie wiado-

mo skąd — wróciła na swe miejsce. Może przynajmniej „radio wierz mi" mogłoby coś na ten temat powiedzieć? Ale nawet rodzonemu ojcu „geniusz-wydwiżeniec" nic by nie powiedział o tym, że został wezwany do sekretariatu komitetu obwodowego. A jeszcze przedtem, zanim to się stało, Wieruńka Bagłajowa sama mu powiedziała, że była u „Pierwszego", wszystko mu wyłożyła, lecz Łoboda nie wiedział, czy jej wierzyć, czy nie. Może tylko chciała napędzić mu strachu. Uwierzył, gdy był do niego telefon i powiedziano mu: zostaliście wezwani. Szedł na rozmowę z uczuciem zaniepokojenia w sercu i bardzo chciał wiedzieć, co go tam czeka. Różnie takie rozmowy się kończą: możesz stracić, ale możesz i zyskać, opuścić gabinet jako pracownik wyższej rangi, tam bowiem w jednej chwili może nastąpić przetworzenie elementów. Loteria zawiera również i szczęśliwe numery!

O „Pierwszym"' Łoboda wiedział, że był to człowiek szorstki, zdolny do decyzji nieoczekiwanych. Przed nim trzeba tak się trzymać, żeby żadne pytanie nie zaskoczyło cię znienacka, żebyś się nie pośliznął. Biografia „Pierwszego" rozpoczynała się w tych samych zakładach metalurgicznych, matka jego dotąd mieszka w Kolonii, brat pracuje w zakładach jako inżynier. Przed wojną, wkrótce po ukończeniu instytutu metalurgicznego, obecny sekretarz był kierownikiem organizacji partyjnej w zakładach, potem awansował do miejskiej, a dalej — do komitetu obwodowego. W czasie wojny na jednym z frontów został generałem. Dotąd wspominają w Kolonii, jak po pierwszym przełamaniu frontu przyjechał do matki z wizytą i jak ten dzielny młody generał tańczył na weselu swojej siostrzenicy w tejże Kolonii. Smagły, przystojny, z lampasami generalskimi, rwał oczy wrażliwych na urodę miejscowych młodych kobiet. W czasach powojennych długo był sekretarzem w sąsiednim przemysłowym okręgu. Potem tu został pierwszym sekretarzem.

W gabinecie Łoboda ujrzał zmęczonego, z posrebrzonymi skroniami mężczyznę. Podpuchnięte, uważnie patrzące oczy, głos twardy, baryton, lecz życzliwy. Poprosił Łobodę, by usiadł i najpierw spytał o ojca.

— Jak tam twój stary?

— Kłopot wielki mam z ojcem — wyrwało mu się mimo woli i, spostrzegłszy zaciekawienie sekretarza, pośpieszył

z wyjaśnieniem: — Nie jest to kłopot natury politycznej. Zbuntował się stary.

I pokrótce opowiedział o tym buncie. W głębi serca chciał, a nawet pragnął zjednać sobie sekretarza. Spodziewał się, że stanie po jego stronie, ale poparcia czemuś się nie doczekał, lecz posłyszał co innego.

— Dzielnego masz ojczulka... Serce nieujarzmione... Monolit.

Przez chwilę chciał zaskoczyć sekretarza pomysłem ojca, który przyjął za swój, a który został przez starego wymyślony po pijanemu. Dotyczył Skarbnego. Niezwykły pomysł! Przekształcić Skarbne — zatopić lub osuszyć! A przynajmniej utworzyć tam zamknięty rejon myśliwski z sarnami, dzikami, by można było na nie polować po męczącym dniu urzędowania, po odpowiedzialnej pracy. Przecież polował tam kiedyś Petro Petrowicz, który z upolowanych zwierząt robił trofea myśliwskie dotąd znajdujące się w soborze. Przynajmniej w ten sposób człowiek chciał się uwiecznić.

Jednak Wołod'ka czemuś tego nie powiedział, pomyślał, że z tym projektem gospodarstwa łowieckiego należy się wstrzymać, jakiś instynkt samozachowawczy podpowiedział mu: Tu ci, bracie, nie kolorowe pocztówki!

A sekretarz znowu zaczął mówić o ojcu, o jego hutniczej sławie, o tym, jaki to był majster w swoim zawodzie. I towarzyszy ojca wspomniał, starą zakładową gwardię: Papirnego, Dowbyszczenkę i nawet Kartatego. Co za ludzie! Toć przecież oni, ci weterani, w decydującym momencie potrafili uratować Tytana przed okupantami. Łoboda był zdumiony: jak to, i Kartaty? Papirnego nie ma i Dowbyszczenki też nie ma, a Jagor? Ileż to koło niego się kręcił i wypytywał, ale niczego nie mógł od niego się dowiedzieć o Tytanie; tu zaś widzicie, co za nowina... Lecz Łoboda niczym się nie zdradził, że nie wie o tej sprawie. Aby nic nie dać po sobie poznać, od razu zaczął mówić o komsomolcach w zakładzie: miotają się cały czas, marzą o jakiejś sławie, a tuż pod bokiem, w ich własnym zakładzie dokonano takiego wyczynu, oni zaś nic o tym nie wiedzą...

Sekretarz uśmiechnął się.

— Wiedzą! Dowiedzieli się w Czechosłowacji. Od jednego Czecha, który będąc w niewoli pracował w czasie okupacji w fabryce. Tam zdobyli dane. Przed śmiercią nagrał swe

oświadczenie na taśmę magnetofonową i podał prawdziwe nazwiska bohaterów...

Potem przeszli do właściwego tematu rozmowy. Tak jak Łoboda się spodziewał, najpierw została poruszona sprawa soboru. Tu właśnie trzeba było mieć się na baczności. Zgadnij, jakie będzie stanowisko szefa? Ty starałeś się postąpić inaczej, a tu może być inaczej. A jeśli rzeczywiście będzie inaczej? Jeżeli i tu, jak na tamtej konferencji, uważa się, że nadszedł czas, by sobór zniknął, gdyż tylko kłuje w oczy i tylko kłopotów przysparza? Łoboda zmobilizował całą nabytą w ciągu lat ostrożność w wypowiadaniu swych myśli, całą intuicję zmobilizował. Było tylko jedno wyjście — nie wypowiadać się przedwcześnie, mówić zaś o kredytach, o trudnościach budżetowych, delikatnie wypowiedzieć się o historycznej wątpliwości zabytku oraz wyjaśnić, że zużytkowanie go do niczego praktycznie się nie nadaje na skutek swego nieprzystosowania. Był tam skład przydziałów, lecz teraz i przydziały stamtąd zabrano... Przebudować na chłodnię? Ale powiadają, że taniej będzie zbudować nową. Nie, nie tak. Trzeba wyraźnie powiedzieć o istnieniu planu generalnego, o przygotowanych projektach nowej zabudowy osiedla. Niech to będzie trochę mgliste, ale... Niczegusieńko nie można było odgadnąć z nieruchomej twarzy sekretarza. Podparł się na dłoni i zamyślił. Patrzył na przybyłego swoimi przymrużonymi oczami długo i uważnie. Wszystko zależało od tego, co tam dojrzewało pod wysokim smagłym czołem. Może powie: co z ciebie za działacz, że dotąd stoi ta starzyzna, nic współczesnego nie wymyśliłeś dla miasta żelaza i stali? Zdawało się, że nikt dotąd nie patrzył na Łobodę tak badawczo i pilnie. Nawet pojawiło się w jego wzroku coś smutnego, coś głębokiego, skierowanego w głąb samego siebie. Zasępiło się czoło nie na widok Łobody, lecz na widok kogoś innego.

— Wszyscy jesteśmy potomkami Kozaków.

I tyle. Potomkowie Kozaków. Zrozum to, jak chcesz. Podniósł się — wysoki, szeroki w barach, więc musisz i ty się podnieść, tak nakazuje etykieta. Rozmowa skończona. Czyżby to było wszystko? Jakie wnioski masz wyciągnąć z tej rozmowy? Patrzysz na posrebrzone skronie, zdezorientowany, patrzysz prawie błagalnie.

— Ludzie z naszych Zakładów postanowili zburzyć gazownię, tę olbrzymią starą tumbę, która tylko blokuje dzie-

dziniec fabryczny. Ona już swoje przeżyła. Lecz jeśli chodzi o sobór, to nie jest to gazownia — stanowczo powiedział sekretarz. — Sobór to dzieło sztuki. On nie tylko do nas należy. Był czas, kiedy i Wasilia Błażennego niektóre mądrale zamierzały zburzyć, plac chcieli poszerzyć, przeszkadzał...

Z tym go pożegnał odprowadzając do drzwi. Nie, tu nie ma czym się chwalić... Zdarzało się, że i tak wysoko postawieni urzędnicy wpadali w niełaskę, gwałtownie spadali w dół, ale na razie, jak się to mówi, kwestia nie została rozstrzygnięta, tylko odłożona, więc tablicę trzeba co prędzej na miejsce...

Tego dnia młody Łoboda był u Kartatego. Zjawił się miły, uprzejmy, choć do rany przyłóż.

— To to taka jest przyjaźń? Czemuż to milczeliście? Przecież kiedy chodziło o ratowanie Tytana, to sami braliście w tym udział...

— No, brałem! — huknął Jagor siedząc pod swoją gruszą. — Ale czy tylko ja jeden?

— Nikomu o tym nie mówiliście ani słowa! Przesadna skromność...

— A co miałem gadać? Brałem udział i to wszystko.

Tego dnia na podwórzu u Kartatego zjawił się dzielnicowy. Przedstawiciel prawa i porządku sprawdził, czy Jelka pozostaje jeszcze wśród żywych, czy nie została skreślona z ich rejestru. Wcale nie przypominał tych powojennych, głodnych milicjantów, których, jako otrzymujących przydziały na kartki żywnościowe, dożywiały, czym tylko mogły, przekupki na bazarze; ten już należał do nowej generacji: tęgi, aż kołnierz trzeszczy, na ustach uśmiech uprzejmości i powagi służbowej. Ale to dziwne, że przyszedł, skoro i Łoboda tu był, smutek Jelki rozpraszał. Przedstawiciel władzy mimochodem skinął Łobodzie głową jak znajomemu, skinął z jakimś nieuchwytnym błyskiem w oczach i niezwłocznie podszedł do Jelki, która przebierała na ganku brzoskwinie. Zaczął wypytywać, kim ona jest, ta Ołena Czeczil, od jakiego czasu tu mieszka i jak się przedstawia sprawa jej zameldowania. Bo w ostatnich czasach, powiedział, często się zdarza, że długo się zaniedbuje zameldowania; kilka rodzin cygańskich osiedliło się nad zalewem i w ogóle żadnej władzy nie uznają. Daj im tylko konia, by węgiel po osiedlu rozwozić, by potem zarobki przy ogniskach przepijać. Na

domiar tego wszystkiego jeszcze swe konie zarażone świerzbem kąpią przy plażach, w miejscach zabronionych. I by podkreślić to, że nie jest jakimś formalistą, lecz że z racji swego stanowiska zmuszony jest zachowywać powagę, o tablicy także wspomniał. Skoro tu się włóczą różni nie zameldowani, to i nie takie rzeczy mogą po nocach ginąć. Jelka, stojąc przed nim, czuła, że twarz jej płonie rumieńcem. Nic przeciwko temu, co mówił milicjant, nie mogła powiedzieć, bo prawdę mówił ten krępy, w nowiutkiej czapce milicjant. A kiedy już nawet o tablicy wspomniał, Jelka poczuła się obrażona. Wypadło to tak, jakby i na nią padało podejrzenie. Tylko tego brakowało, by kradła tablicę z soboru. Milicjant, spostrzegłszy, że przesadził, że nadużył swej władzy, postanowił się poprawić, kończąc w sposób żartobliwy:

— A jeżeli dojdzie do tego, że będzie pani musiała udać się do urzędu stanu cywilnego, to i tam zażądają zameldowania. Paszport należy mieć w porządku...

Łoboda widocznie stracił cierpliwość, więc też postanowił wtrącić się do rozmowy.

— Ten wasz urząd stanu cywilnego po uszy tonie w papierach — powiedział do milicjanta wyniosłym tonem. — Biurokracją pachnie od nich na milę. Siedzi sobie taka fifa malowana, która w żaden sposób nie może złapać sobie męża, i skrobie piórem! Wpisała, odbębniła co trzeba, złożyła głosem urzędowym życzenia szczęścia... Czemu nie poszukacie nowych form? Czemu, powiedzmy, nie zorganizujecie dla młodzieży święta wręczania paszportów? Albo żeby Urząd Stanu Cywilnego przychodził do domów? Hę? Można by, towarzyszu Jakiwiec, czy nie?

— Słusznie, słusznie, Włodzimierzu Izotowiczu — zgodził się Jakiwiec.

— Postawiliby swe biuro na kołach i jeździli z bukietami kwiatów, z uśmiechem oraz wierszem okolicznościowym — coraz bardziej zapalał się Łoboda — do osiedli, do rejonów robotniczych, jak najdalej, do ludzi pracy, do miejsc wielkich wydarzeń! To byłby wyczyn! A dziewczynę, towarzyszu Jakiwiec, zostawcie w spokoju — powiedział ciszej mrugnąwszy znacząco. — Ona jest pod dobrą opieką... Droga jej życia wkrótce się wyjaśni.

Milicjant opuścił podwórze z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Jelkę jego wizyta przygnębiła. Jakby miało się

stać jakieś nieszczęście, jakieś zmartwienie nie do uniknięcia, jakby miała wpaść w jakąś pułapkę. Takie odniosła wrażenie.

Tegoż dnia odbyła jeszcze jedną ważną rozmowę — ze starą Szpaczychą. Przyszła od tyłu podwórza, przez ogród, wywołała Jelkę, zaprowadziła ją w koniec swojej sadyby, w zakątek, który zeszłego roku komisja odcięła, uważając, że baba posiada nadwyżkę powierzchni gruntu. Teraz tam buzują chwasty. Szpaczycha dziś była łagodniutka i trzeźwiutka, nikt by teraz w tej spracowanej i drobniutkiej babinie nie poznał hałaśliwej i zadziornej kobiety, którą słychać było w całej Zaczepiance, gdy sobie popuściła wodze... Usiadły na miedzy i rozpoczęły pertraktacje. Aby zdobyć zaufanie Jelki, Szpaczycha zaczęła opowiadać o sobie różne intymności. Jak w młodości bijał ją mąż, skory do kieliszka, jak nawet w nocy za warkocze ją włóczył po chałupie. Wszystko zniosła, bo chyba naprawdę miała podwójne żebra. Dla dzieci wszystko zniosła. Zamartwiała się, kiedy po wypłacie dniówki gospodarz długo nie wracał. Wtedy wiedziała, dokąd biec. Na Kłynczyk, jak najprędzej! A on tam z kimś albo pił, albo pijany w błocie się poniewierał. Przyprowadzała go do domu, czyściła, buty z niego ściągała i kładła go do czystego łóżka, boć to przecie żywiciel, wciąż przy pracy i chyba raz w miesiącu tak sobie dogadzał w wypróbowywaniu rozkoszy życia. Utracjuszem był, lecz kiedy umarł, to tyle łez wylała — nielekko samej wdowie dzieci wykarmić. O synu mówiła, że Niemcy, młodego jak ten kwiat, gdzieś tam zamordowali. Potem zaczęła mówić o Wołod'ce, który przyjaźnił się z jej synem.

Kiedy zaczęła mówić o Łobodzie, to czemuś głos zniżyła aż do szeptu, jakby się bała spłoszyć szczęście Jelki. Ten Włodzimierz, choć na bulwarze mieszka, to jednak nami, prostymi kobietami, nie pogardza. Choć władzę sprawuje, to gdy spotka babę, to pomoże jej dźwignąć na plecy tobół. Do swego samochodu weźmie, podwiezie, a po drodze nawet jakąś historyjkę opowie. Ot, choćby dziś: żaden on jej krewny, a jednak odwiedził i jeszcze podarunek przyniósł... Szpaczycha aż się zachłystywała. On ciebie, moje dziecko, nawet palcem nigdy nie tknie, nie pozwoli ci się zapracowywać; dziatki przyjdą, to on cię na rękach nosić będzie! Uwijecie gniazdko i szczęśliwa będziesz jak Wieruńka Bagłajowa! To pewne, moje dziecko! Ten, jak cię weźmie, to

na całe życie, do innej nie pójdzie, bo u nich tam za takie rzeczy... karzą! Przy nim możesz żyć i używać. Samochodem na targ i z targu będziesz jeździć, tobołów dźwigać nie będziesz. Nie przebieraj, moje dziecko, nie przebieraj, kiedyś na takiego trafiła, tacy na ulicy nie leżą, takiego szybko poderwie byle wiercipięta, która paznokcie maluje... Pomyśl, córeczko! Na co masz czekać? Panieństwo jest krótkie, nawet się nie obejrzysz, jak starą panną zostaniesz, młodsze bardziej są w cenie... A bez męża nacierpisz się w życiu!...

Jelka słuchała w milczeniu, nie mogła w niczym Szpaczysze zaprzeczyć, choć nie tak wyobrażała sobie szczęście, nie o takim marzyła. Ale czy marzenia jej będą zrozumiałe dla starej kobiety, którą same nieszczęścia uczyły, jak należy kroczyć po cierniach życia?

Po południu Jagor kosił swoje żytko. Komisja, odcinając grunta od sadyby, nie wszystko z jego Wielkiego Ługu odcięła, trochę pod żytko zostało. Obrodziło pięknie. Trochę tylko spóźnił się z koszeniem. Po drugiej stronie zalewu u majstra hutniczego Didenki cepy już łupią po klepisku. A może tam skoszono za wcześnie — chcą młócić jak najprędzej, bo właśnie syn przyjechał na urlop. Zaczepianka do niedawna nie była tak ciasno zabudowana i u niejednego gospodarza można było dostrzec spłachetek posianego zboża. Bo teraz prócz Jagora tylko Didenkowie sieją jeszcze zboże. Kiedy się mieszka w stepie, to i tu, za zalewem, u majstra hutniczego zjawia się ten idylliczny półkopek koło sadu, między drzewkami brzoskwiniowymi. Malutki, niepokaźny się wydaje stojąc w sąsiedztwie gigantów metalurgicznych, ale stoi. Czeka, aż syn Didenki, oficer łodzi podwodnej, przyjedzie z żoną na urlop. (Latem wszystkich coś ciągnie do Zaczepianki, do tych dołów i tego zalewu pełnego żab.) Ów oficer opuści lody arktyczne i na tej tu grzesznej ziemi żyto będzie młócił cepem. Przedziwnym cepem pradziadowskim, który powinien by raczej znaleźć się w muzeum... Zmiana poranna dopiero zbiera się do wyjścia, a oficer łodzi podwodnej już cepem wali, słychać poprzez zalew w całej Zaczepiance. W dzień, gdy słońce przypieka, owiąże głowę chusteczką, jak jakiś Hindus, i młóci snop po snopie, póki wszystkiego nie wymłóci.

Jagor swoje żytko szybko skosił; trzy razy nawrócił i już całe poletko skoszone. Snopy powiązać musiała już Jelka. Z radością wzięła się do tej roboty. Chciało się pogłaskać

kłosy, przytulić do policzka. Tak pięknie snopki powiązała, że Kartaty aż się zdziwił. Powiązała snopy jak na wystawę. Zręczna robotnica! I tu, czego dawniej nie było, stary nagle się rozczulił, odezwało się w nim coś ciepłego, rodzinnego.

— Chciałem z tobą pomówić, Jelko. Pomówić poważnie... Bo ten milicjant przychodził... Trzeba coś zrobić. Decyduj. Ten twój starający się, chociaż jakiś pokręcony, lecz będzie dbać o ciebie... Będzie dla ciebie dobry.

Jagor patrzył gdzieś w bok, kiedy to mówił, jakby się krępował. Ale w jego głosie słyszało się troskę, troskę rodzinną. — Chciałbym, powiedział, jeszcze wnuków zobaczyć. Żeby ród nie wygasł.

— I tej chałupy, i tego sadku... nie zabiorę ze sobą w daleką wędrówkę... Wszystko przepisałbym na ciebie.

Słuchając, Jelka czuła, że zapalało się w niej jakieś uczucie dla wuja Jagora, litowała się nad jego samotnością, nad jego bezpotomną starością. Ale nie wiedziała, w jaki sposób rozwiać smutek, o którym mówił po raz pierwszy. Czy naprawdę dojdzie między nim a nią do zgody? Z sowchozu uciekła, zlękła się pierwszej w życiu trudności; dziewczęta mają tam teraz pełne ręce roboty, ty zaś uznałaś siebie za coś lepszego niż one, wszystko porzuciłaś i jak egoistka poszukałaś sobie drogi lżejszej. No i masz lżejszą! Tylko tędy prowadzi cię ta droga — trzeba wyjść za mąż! Nawet za niekochanego! Zaczerwieniona pochyliła się nad snopem, a kłosy jakby parzyły jej policzki.

Wizyta milicjanta miała dla Jelki i znaczenie pozytywne: okazało się, że może teraz wychodzić z podwórka na ulicę, może się nie kryć, ma prawo iść ulicą Wesołą, przebywa tu legalnie i władze o tym wiedzą. Lecz nie może się tym chwalić.

Pod wieczór ubrała się w czystą sukienkę i wyruszyła bez żadnego celu w stronę soboru. Niezupełnie jednak bez żadnego celu, miała bowiem nadzieję, cień nadziei, że spotka studenta Bagłaja. Tak przypadkiem, wcale nieumyślnie. Może będzie wracać z instytutu czy skądś tam... Nie miała żadnych iluzji co do tego, że do takiego chłopca wszystkie dziewczęta w instytucie wzdychają: jak chcesz, to wybierz sobie najładniejszą. Jelka w takim konkursie nie miałaby żadnych szans. Żadną nadzieją nie mogła się pokrzepić, lecz chciałaby go spotkać... Przechodząc w pobliżu podwórza Bagłajów poczuła, że krew zbiegła jej do serca, bo nawet

nie patrząc w tamtą stronę spostrzegła, że student był na podwórzu i sprzeczał się o coś ze swoim wielkogłowym przyjacielem mechanikiem.

— Nie zostanę! Nie namawiaj! Nie chcę ich widzieć — słyszała zdenerwowany głos Mykoły. Potem, już z majdanu, zdążyła spostrzec, jak Bagłaj z plecakiem na ramionach poszedł przez ogrody do autobusu. W jego okrzykach: „Nie zostanę! Nie chcę widzieć!..” słyszała coś nieprzyjaznego, jakby to jej dotyczyło, jakby to właśnie jej nie chciał widzieć. Zrozumiała, że nie ją miał na myśli, że jej w ogóle nie spostrzegł, bo właśnie w tym czasie wkładał na ramiona plecak. Lecz gorycz została, gdyż jakoś znieważająco spojrzał za siebie przez ten plecak, kiedy ruszył przez ogrody na wprost, nie zatrzymując się.

Koło soboru tego dnia znowu zjawili się ci, którzy otrzymują podwyższoną zapłatę za pracę na wysokiej budowli. W tempie, w jakim się pali mokra słoma, znowu wzięli się do ustawiania rusztowań, przygotowując je prawdopodobnie dla jakiegoś gawrona czy bociana, bo ten, co dotąd miał tu gniazdo, po poprzedniej ich bytności odleciał, zabierając ze sobą swe bocianięta. Pewnie przeniósł się gdzieś na płonie. Robotnicy nie omieszkali zaczepić Jelki, gdy przechodziła w pobliżu. Zapraszali ją do swojej brygady na kucharkę: zbrzydło im, mówili, żywić się suchym prowiantem (właśnie jedli swe owinięte w gazetę śniadania). Wydawało się, że mówią to zupełnie poważnie.

— Weź zwolnienie tam, gdzie pracujesz, i do nas...

— Do was? — Jelka spojrzała na nich przez ramię spokojnie, z jakąś szlachetną dumą, która nie wiadomo skąd od czasu do czasu się w niej pojawiała... — Ależ wam nie płacą za pracę na tych wysokościach.

Szczupły mężczyzna w berecie, brygadzista tych leniwych robotników, próbował jej dociąć:

— A ty co, szukasz miejsc wysokich?

— Szukam.

— Po co ci to?

— Żeby skoczyć jak z wysokiego mostu! — odcięła się i, więcej na nich nie spojrzawszy, poszła dalej, dumnie kołysząc biodrami jak jakaś miejska dziewczyna. Na skraju drogi spojrzała w okna autobusu, który właśnie przejeżdżał. Było w nim pełno pasażerów. Gdzieś tutaj był i ten z plecakiem. Dokąd się wybrał? Może na tereny dziewicze?

Długo teraz nie usłyszy się jego śpiewających słowików! Najbardziej się podobało Jelce, jak ten „nietutejszy" naśladował tamtej nocy inspektora rybołówstwa. Ukryła się wtedy za płotem i wszystko słyszała... Wysoki, o bujnej czuprynie, w białej koszuli z zawiniętymi rękawami, z uśmiechem na smagłej twarzy — tamten przy nim wyglądał w swoim kapeluszu bardzo nieciekawie, po prostu jak Pigmej. Och, rozśmieszył ją wtedy ten student. Są więc tacy, co potrafią innych parodiować tak dokładnie, zabawnie i zarazem poważnie... Potrafią się pokazać. I w dodatku jak on pięknie pewnego dnia ukłonił się Jelce. Zupełnie jakby z głębi serca powiedział: „Dzień dobry!", gdy podlewała bratki. I choć Jelka nawet w myślach niczego sobie nie obiecywała, gdyż student jako zupełnie nieznajomy był dla niej nieosiągalny, to jednak bez niego Zaczepianka jakby posmutniała, czegoś tu będzie brakowało bez jego porannego biegania dokoła zalewu.

Pod wieczór Szpaczycha dała koncert. Na wszystkie regestry. Nieczęsto jej się to zdarza, lecz nigdy bez powodu, zawsze musiał być jakiś tylko jej znany impuls wewnętrzny.

Tego dnia burza osiągnęła siłę huraganową. Córka Szpaczychy, podlewając grządkę z węża, cały czas nasłuchiwała, jak stara w chałupie coś burczy, coś wykrzykuje, lecz córkę jakby to nie obchodziło, niech się wyładuje w chałupie, myślała, byle nie przy ludziach, żeby potem nie wstydzić się przed całym osiedlem. Lecz kiedy awanturującej się kobiecie zrobiło się w chałupie za ciasno, drzwi się otworzyły i na progu zjawiła się stara zupełnie rozczochrana, i choć bełkotała coś nieprzytomnie, można było zrozumieć, że komuś wymyślała, wykrzykując pod czyimś adresem grubiaństwa i obelgi. Wtedy córce, kobiecie spokojnej i niekłótliwej, nie pozostawało nic innego, jak uciec się do ostatecznego i kategorycznego sposobu: nieznacznie skierować wąż w tamtą stronę... Skieruje mocny strumień wody na rozpalony ogień matczyny, żeby wzorowa dzielnicowa, bohaterka czwartego pieca hutniczego nie napytała jakiejś biedy.

Orlanczenkę, jak wiadomo, scena ta ubawiła. Razem z przyjacielem zaśmiewał się na ulicy do rozpuku. Jelce natomiast sprawiło to przykrość.

Późną nocą znowu znalazła się na ulicy Szerokiej. Autobusy już nie kursowały. Przygnębiona i smutna zatrzymała się na skraju ulicy, pod nocnym namiotem drzew, czując,

iż życie znowu zagania ją w ślepy zaułek. Czyżby miało zburzyć w niej całą jej młodość, dumną i upartą? A tak kiedyś zachwycała się życiem, tak potrafiła się śmiać! Ileż to było śmiechu, gdy z innymi dziewczętami w dzień świąteczny jechała do lasu albo kąpać się w Wowczy... Płonie obdarzały ją zielonymi kielichami zarośli, słowiczymi trelami...

Gdzieś z rejonu pędzono bydło do rzeźni miejskiej. Ulica napełniła się ordynarnym pohukiwaniem pastuchów w kapotach z kapturami. Obok Jelki sunęły zmęczone jej dawne znajome stepowe: jałówki, byczki, bezrogie i z rogami, młode i stare krowy, prawdopodobnie wybrakowane. Może były tu i te, które Jelka sama poiła, które garnęły się do niej jako cielęta, liżąc jej ręce szorstkimi językami, domagając się pieszczoty. Może tu w mroku była jej ulubienica, rekordzistka Kniaginia, którą nawet na wystawę wysyłano. Serce Jelki wypełniło się litością dla tych przysypanych kurzem stepowym, dla tych wielkich, bezbronnych zwierząt. Zaledwie wczoraj pasły się spokojnie w jarach, teraz zaś idą zmęczone, wyczerpane, potykając się na wyboistym bruku, ciężko sapiąc, przechodzą koło soboru, przy trzaskaniu batów, obojętnie ponure przechodzą obok Jelki. Jelka czuje ich zapach, ciepło, tupot racic, ich oddechy, w ich oczach połyskują nocne światła miasta. W ich polowym kroku było zmęczenie i rezygnacja. Pohukiwania pastusze nie robiły na nich wrażenia, wcale się ich nie bały, widocznie i tej nocy, i nieznajomej łuny na niebie także. Suną ciężko powłócząc nogami, porykując, niektóre stękając, suną i suną w stronę miasta, w stronę czerwonych dymów, jakby nie zważając na to, co je czeka, jakby z jakąś pogardą idą do rzeźni, by złożyć tam swe życie stepowe.

14

Wieruńka Bagłajowa pamiętała w Zaczepiance jeszcze te czasy, kiedy osiedle co rano budziły syreny fabryczne. Kto choć raz je słyszał, ten nigdy nie zapomni pieśni porannej syren, tej organowej poważnej muzyki, kiedy się wydaje, że całe Zadnieprze zlewa się w jedną symfonię, w której żaden głos się nie zagubi, a każdy śpiewa swoje, zwołując ludzi do zakurzonych bram. I płyną całe osiedla. Mimo iż

syreny zostały obecnie skasowane, że przebrzmiały na zawsze, to Wieruńka i teraz niekiedy je słyszy, bo przecież śpiew syren, który przyprowadził ją do Zaczepianki, towarzyszył jej miłości. Odkąd została żoną Iwana, zaznała pełnego szczęścia po ciężkich latach, po latach niedojadania, kopiejkowych zarobków, sieroctwa...

Życie nie rozpieszczało Wieruńki. Zaraz po wojnie matka pracowała jako sanitariuszka w kołchozowym, źle wyposażonym ambulatorium, gdzie nawet jodyny brakowało. Kiedy ktoś czasem się skaleczył, felczer wysyłał Wieruńkę, by szybko nazbierała babki-podróżnika, który zastępował jodynę. Szerokolistny, kolczasty podróżnik jej dzieciństwa, przez całe lato kwitnący na miedzach niepozornymi kwiatuszkami.

Potem jej życie trochę się poprawiło, zaczęli przyjeżdżać kierownicy z fabryki, pomagali kołchozowi stanąć na nogi. Właśnie wtedy Wieruńka ukończyła naukę i zetknęła się ze swoim Iwanem Bagłajem. Dziewczęta nazywały go rudym i dzikim, Wieruńce zaś po tym spotkaniu wszystko się w nim podobało: i jego zawziętość w pracy, kiedy zacisnąwszy zęby spawał rury, i szczery uśmiech, i nawet czub włosów na głowie, rudych i sztywnych niczym druty. Tego jeszcze lata Iwan przyprowadził ją na ulicę Wesołą. Wesele wyprawiono po tutejszemu: przez trzy dni na dachu tkwił proporzec na znak, że w Zaczepiance ktoś się żeni albo ktoś za mąż wychodzi. W ciągu tych dni pół fabryki tu przebywało, tańczono do upadłego, śpiewano pieśni weselne i obwożono ojca i matkę po ulicach osiedla. Kiedy ulicą ciągną weselnicy, wtedy wszyscy z drogi... Żeby mieć więcej wolnego miejsca, tańczący ciągną na plac przed soborem, tam wystarczy miejsca dla wszystkich! Pod koniec weseliska rodziców państwa młodych wiozą nad zalew i w odzieniu wywracają do wody, by było co wspominać i na szczęście dla młodych. Przebrzmi burza weselna, proporzec zdejmą z chałupy, młodych zostawią w spokoju — cieszcie się życiem!

Wieruńka polubiła Zaczepiankę jeszcze i za to, że ludzie tu tak samo jak w stepie budzą się wcześnie, wschodu słońca nie przesypiają.

Wieruńka żyje z Iwanem w zgodzie i miłości, czuje się przy nim bezpiecznie. Są ludzie, na których zawsze można polegać, i taki jest Iwan. On też bardzo chwali sobie wybór

Wieruńki na żonę, bo nie jest tak łatwo dobrze trafić, a jemu się udało. Więc szanuje i oszczędza żonę, odkąd się pobrali ani razu ręki na Wieruńkę nie podniósł, choć był porywczy i skory do kłótni, przyjaciele mówią, że zapłon w nim następuje już przy półobrocie. Nawet z dyrektorem miewa niekiedy ostre sprzeczki, szczególnie chodzi mu o przeciągi w hali, od których Wieruńka ciągle się przeziębia. Przeciągi i dotąd istnieją, lecz dla niej droższa jest troskliwość Iwana oraz jego słowa: „Szanuj zdrowie, Wieruńko, abyś zachowała je i dla wnuków. Jeszcze ich będziesz musiała piastować."

Pewnego jesiennego poranka Iwan odjeżdżał. Cała uliczka wyległa, by go pożegnać, on zaś, opanowując gorycz rozstania, beztrosko wrzucił kuferek do samochodu, ręką pomachał synom na pożegnanie.

— Wy mi tu uważajcie, bądźcie dzielni!

Chłopcy słodko śpią, żal ich budzić. Naprędce przygotowała dla nich śniadanie, wpadła jeszcze do sąsiadki, Łesi-frontówki, prosząc ją, by zwróciła uwagę na chłopców, bo stara Bagłajowa źle się dziś czuje.

I teraz do fabryki. O dzieci jest spokojna. Będą pod opieką Łesi, skoro się tego podjęła. Łesia jest jej najlepszą przyjaciółką w całej Zaczepiance. Właśnie ona, Łesia Chomowna, która z czasów wojny ma czerwoną bliznę na pół twarzy. Jest surowa, udziela się niełatwo, lecz od chwili poznania wzbudziła w Wieruńce szczerą sympatię. I nie zawiodło Wieruńki to pierwsze wrażenie, myśl, że ma przed sobą kobietę rzetelną, czystą jak kryształ. Jeszcze jako dziewczyna poszła na wojnę i wszyscy w Zaczepiance wiedzieli, że Łesia zakochała się na froncie. Prawdopodobnie doszłoby do ślubu i szczęśliwego pożycia małżeńskiego, ale w ostatnim roku wojny jej ukochany towarzysz broni poległ śmiercią walecznych pod jakimś polskim miasteczkiem. Gdzieś tam istnieje jego mogiła wśród mogił żołnierzy radzieckich. Leży na niej płyta granitowa ze złotym napisem. Łesia nie traci nadziei, że kiedyś pojedzie do Polski odwiedzić znajome miejsca i złożyć kwiaty na mogile swego dowódcy baterii. W życiorysie Łesi ten dowódca figuruje oficjalnie i nie jest to dla nikogo tajemnicą. Cała Zaczepianka przywykła do niego jak do swego człowieka, w jakiś sposób związanego z osiedlem metalowców.

Ale o innym intymnym epizodzie z życia Łesi nie wie

nikt prócz Wieruńki. Powróciła po wojnie do swej rodzinnej Zaczepianki z licznymi orderami na bluzie i z twarzą zeszpeconą przez bliznę, która i teraz jest zaczerwieniona i jakby piekąca. Mimo palącego bólu policzka (a może dzięki niemu?) zwrócił na nią uwagę młody wychowawca ze szkoły rzemieślniczej i pragnął poznać bliżej zasłużoną bojowniczkę. Nawet surowość ani nieprzystępność nie zniechęcały go i nie przeszkadzały zaproponować młodej nauczycielce młodzieńczej przyjaźni. Tą swoją przyjaźnią bynajmniej się nie afiszowali i rozpoczęła się ona poza obrębem Zaczepianki. Ale pewnego jesiennego wieczora młody wychowawca, odprowadzając Łesię na ulicę Wesołą, zaproponował spacer po pustkowiu za osiedlem. Łesia dotąd nie może wybaczyć sobie tego wieczora, który przechowuje w sercu jak jakiś grzech. Jedynie Wieruńce zwierzyła się ze szczegółów tej przechadzki. Wszystko zapamiętała dokładnie: i rozmowę, i niepewną intonację, i nieśmiałą nadzieję... Potem robiła sobie wyrzuty, że tak ślepo poszła wtedy za głosem serca, pełnego jeszcze chęci życia, pełnego młodych sił. To prawda, że serce miała młode, spragnione przyjaźni i ciepła, pociągało je coś innego, nowego, osobistego, jak jakieś marzenie. Wszystko to wiodło Łesię w mrok jesiennego wieczora coraz dalej i coraz głębiej wciągało ją w pustkowia za osiedlem. Nie za jego duszą, lecz za jego ciałem poszła, ale zrozumiała to dopiero po czasie!... Młody mężczyzna czymś ją zachwycił. Podobała się Łesi jego energia, radość życia, zapał i to, czego, jak jej się zdawało, brakowało jej samej, podciętej w zaraniu życia taką stratą. Podobało jej się to, że mimo jej oszpeconej twarzy młodzieniec czuł do niej pociąg, pragnął jej wzajemności, że w swym pragnieniu był wytrwały, stanowczy i nawet pewne prostactwo można mu było wybaczyć za jego gorącą szczerość i młodzieńczą agresywność. A poza tym ten jego młodzieńczy brak taktu. Nietaktowność okazana w formie frywolnego żartu, często stosowanego w tych czasach przez mężczyzn na tyłach frontu, gdy dochodziło do konfliktów z dziewczętami-żołnierzami. Tu chodziło nie tylko o Łesię, tu był znieważony dowódca baterii, jej ukochany z frontu. „Ale chyba nic go nie obchodzi?" (Niby to dowódcę baterii...) Czy ten młodzieniec przynajmniej zrozumiał, czemu ona tak się żachnęła, czemu odepchnęła go od siebie z takim oburzeniem? „Dlaczego? — zdziwił się. — Co ja takiego

powiedziałem?" I znowu powrócił do swego grubiańskiego żartu... „Ach, nie jest ci wszystko jedno gdzie, bo z nim spałaś w ziemiance." — „Spałam! Spałam! I co jeszcze?" — I za każdym razem nad całym pustkowiem rozlegało się klaśnięcie, jakby na Raducie ktoś płoszył ptactwo przelotne, a głośne echo odzywało się w górze, jakby pochwalało te klaśnięcia: dobrze mu tak, i jeszcze, i jeszcze!

A potem wszystko w niej zamarło na tym pustkowiu.

Po latach dopiero Łesia opowiedziała Wieruńce swoją tajemnicę, czując, że zostanie zrozumiana. I tak też się stało.

Po tym wydarzeniu Łesia już nie próbowała szukać dla swego serca radości i nawet uważała, że było to dla niej przestrogą. Od tej pory najdroższym wspomnieniem została dla niej pamięć o frontowej miłości do dowódcy baterii. Wspomnienie to jest świętem jej duszy, a dniem powszednim jej życia stała się szkoła, dzieci, klasa. Nie tak dawno odbyła ze swoimi wychowankami wycieczkę po Dnieprze, podróż do Kaniowa, odwiedziła miejsca szewczenkowskie — wieś Kobzarewo; dzieci wróciły do Zaczepianki zachwycone tym, co widziały. Teraz już słychać, jak hałasując koło zalewu, wykrzykują podchwycone w drodze żartobliwe powiedzonko:

— Dziękujemy Tarasowi za łupek i szosę!

Hutnicy słuchali tego z uśmiechem, było im przyjemnie.

Kiedy Wieruńka wchodzi na teren zakładów, pełen z samego rana huków, stuków i buchających zewsząd dymów, pierś jej rozpiera duma. Oczywiście, że nie dymy wywołują to uczucie, lecz praca ludzka, potężna praca wcielona w te czarne hale przemysłowe, w usypiska rudy, które rosną każdego dnia i każdej nocy, potem zmieniają się w surówkę, następnie w walcowaną stal, która daje Ojczyźnie siłę i moc.

Poranna zmiana nieprzerwanym potokiem wlewa się na teren zakładów. Idą tysiące ludzi, by rozpłynąć się po halach, zająć swe stanowiska robocze i przez całą zmianę pracować w tym gigancie, w żarze pieców hutniczych, przy maszynach, przy tablicach rozdzielczych, wpatrując się w pałające wnętrza, w których kipi metal, w których toczy się proces, dla którego nawet dziś nie wystarcza chłodna kalkulacja, lecz potrzebna jest dusza ludzka oraz oddanie. W czasie całej zmiany ludzie będą skoncentrowani, uważni. Będą się radzili i złościli, bo nie jest im obojętne, jak powstaje

metal, co z piecem, jak został załadowany, jakie są zapasy surowca w zakładzie, ile ton wyprodukuje się ponad plan czy odwrotnie — jaki będzie niedobór; będą się interesowali mnóstwem spraw: planami, diagramami przedstawiającymi ilość i jakość wytopionego metalu, mimo że komuś mogłoby się wydawać, że wcale się tym wszystkim nie przejmują. Ludzie w zakładzie jakby nabierali naraz godności. Gdzieś za bramą ujrzysz go z kuflem piwa koło automatu albo z wędką nad Dnieprem — siedzi sobie taki niepokaźny, niczym się nie wyróżniający, tutaj zaś wiesz, że masz przed sobą majstra, w dodatku może majstra nie byle jakiego, ale wytapiającego stal o wyjątkowej jakości, jaką tylko tu potrafią wyprodukować.

Nikt nie twierdzi, że praca tu jest lekka. Nie każdy wytrzymuje. Przeciągi, żar i niebezpieczeństwo. Nie darmo w halach są rozlepione plakaty z dziecięcymi twarzyczkami, które uśmiechają się i zarazem ostrzegają: „Tato, bądź ostrożny! W domu czeka na ciebie rodzina." I choć tu nie jest lekko, za to droga tu od człowieka do człowieka jest krótsza niż gdziekolwiek indziej, mniej krętactwa i wymigiwania się, i chałturzenia nie ma, robotnicy wyśmieją, nie przyniesie ono powodzenia; niczego tu ukraść nie można, bo komu może być potrzebna stopka surówki? W tych dniach była w zakładzie delegacja z kołchozu, nad którym zakład sprawował opiekę, z tego, w którym pracowała niegdyś Wieruńka. Och, jakże ci jej krajanie się rozglądali! Po całym zakładzie ich oprowadzano, więc na własne oczy, a nie na filmie widzieli pracę hutników. Widzieli ociekających potem znakomitych walcowników, którzy z łopatami i w maskach chodzą w rudawej gęstej kurzawie. Widzieli kobiety pracujące przy obsłudze dźwigów przesuwających się nad dyszącymi żarem piecami. Widzieli jak je liżą płomienie, jak głuchną od nieustającego zgrzytu i huku. Delegaci przyszli też na stanowisko robocze Wieruńki, nie mogli pominąć swej krajanki. Do kabiny dźwigu Wieruńka oczywiście ich nie wpuściła, instrukcja zabrania, ale zeszła do nich na dół, zdjęła maskę z gazy, żeby powitać ich uśmiechem. Spytała, jak im się podoba zakład, a stary Juchim z brygady ogrodniczej podzielił się swymi wrażeniami zupełnie szczerze:

— Ano, choć przed śmiercią piekło zobaczyłem... A gdzie tu główny od tego piekła?

— To chyba on — Wieruńka wskazała na młodego inżyniera, naczelnika swego wydziału.

— Ale rożków nie ma — zaśmiała się Odarka, pracownica farmy ptasiej, uważnie przyjrzawszy się kierownikowi.

Naczelnik kołchozu, który był kiedyś przyjacielem ojca Wieruńki, szczerze się zdziwił:

— Wasi chłopcy wcale ognia się nie boją: metal rozpalony płynie, a on przeskakuje przezeń jakby przez rowek z wodą... Tylko zasłonił się rękawicą i poszedł. W dodatku robi, co do niego należy. Przyzwyczajenie? A może to już taka natura?

Jeszcze jakiś czas porozmawiali, pożegnali się i poszli żelaznymi schodami w dół, Wieruńka zaś wróciła do swego dźwigu. Szyby nigdy się długo w kabinie nie trzymały, ledwo się je wstawi, już wypadają od wstrząsów.

Wieruńce nie brak kłopotów zarówno w zakładzie jak i poza nim. To o czyjeś mieszkanie się kłopocze, to biegnie do sądu, by poprzeć Tkaczychę, u której myszy trzy lata stażu zjadły, to ktoś z pracowników nie może pojechać na delegację, ona zaś jest w dziale kadr, więc ratuj. I biega, ratuje, nie żałuje swego czasu i tylko tu, na stanowisku roboczym musi liczyć się z czasem, nikt jej od pracy oderwać nie może. Jeżeli któraś odejdzie choćby na chwilkę, by wziąć w bufecie butelkę mleka, już biegną, wołają, by prędko wracała i uruchamiała dźwig. Przez siedem godzin nie wychodzisz z kabiny i oddychasz kurzem, choćbyś była asem wśród maszynistów. Oczy zawsze zaczerwienione. Choć ma się okulary, lecz się z nich nie korzysta, bo zachodzą potem, a tu należy uważać, nie wolno się pomylić. Oczy więc są zaczerwienione od kurzu, głos ochrypły od zaziębień, zimą na szychcie psie zimno, szczególnie kiedy wieje od Dniepru. Wtedy są takie przeciągi, że aż gwiżdże, kobiety pracujące na dźwigach najczęściej się zaziębiają, mimo że są ubrane w walonki i fufajki. Ale najgorszy jest kurz i żrący gaz. Przez całą zmianę nie ma nad tobą nieba, zamiast niego dokoła jest tylko żelazo, kłęby kurzu takie, że niekiedy zupełnie nie można pracować, głosu ludzkiego nie słyszysz, wszędzie szczęk i hałas żelastwa, a kiedy ktoś mówi do ciebie z dołu, to tylko z mimiki i gestów możesz zrozumieć, czego od ciebie i twego dźwigu żądają. Złom zbierany przez dzieci w całym kraju dostarczany jest tutaj, całe masy podwozi się pod dźwig. Dostarczany jest z Połtawy,

z Czernihowa, z Baranowicz, z całego kraju. Czekają nań szeregi pustych wagoników, a ty masz zadecydować, kto co dostanie. Przy piekielnym szczęku bierzesz stosy zardzewiałego żelastwa: jakieś połamane koła, zgniecione radiatory, pogięte rury, sprasowaną blachę, zgniecione jakąś nadludzką siłą resztki tego, co kiedyś było lufami, bronią, która strzelała i zabijała ludzi. I poprzez góry brunatnej rudy, poprzez chmury dymu, wypalonych dolomitów, poprzez kurz aglomeratów od czasu do czasu Wieruńka widzi ten najdroższy obraz, który zasmucał jej dzieciństwo, obraz tego, który odszedł ze świata jej dziecięcej miłości w kanonadę przepraw przez Dniepr, by stamtąd nigdy już nie wrócić.

Ojciec wciąż chorował. Późną jesienią matka przyprowadziła go do domu ledwie żywego, wyciągnąwszy go z jakiegoś okropnego dołu, o którym mówiono we wsi gorzej niż o piekle. Niemcy gnoili tam za drutami kolczastymi wiele tysięcy wziętych do niewoli. Trzymali ich w gliniankach pod otwartym niebem, na chłodnych deszczach jesiennych. To był jeden z najokropniejszych obozów. Ale gdzież nie docierały kobiety z ich wsi w te okropne czasy, zwiedzając wszystkie obozy na Ukrainie. Zdarzało się, że tygodniami nie wracały do domu, miały bowiem nadzieję, że jednak odnajdą swoich, że wyproszą ich czy wykupią z obozu za samogon. Tak właśnie matka wykupiła ojca. Przyprowadziła Wieruńce ojca, który padał od powiewu wiatru, nieszczęsny szkielet w owijaczach... Odchuchała go, odkarmiła, podleczyła, z mogiły go wyciągnęła, do tego jest zdolna prawdziwa miłość. Ojciec ciężko chorował przez całą zimę. Wierunia tuliła mu się do kolan, a ojciec głaskał jej dziecięcą główkę. Nieczęsto ręka ojca spoczywała na głowie Wieruńki i choć ta ręka była twarda i szorstka, ileż w niej było pieszczoty!

Potem Niemcy uciekli. Oddziały podpalaczy hasały na motocyklach po wsiach i podpalały strzechy. Żadnej chałupy nie pominęli. Czarni byli jak szatany. Chałupa spłonęła i tylko komin pozostał, nagi, zadymiony, sterczał nad pogorzeliskiem, a na tym kominie pysznił się namalowany kiedyś przez matkę kogut z wielkim ogonem. Wieś spłonęła doszczętnie, wszystko zgorzało i tylko te malowane koguty zostały.

Niebawem na placu młodzi lejtnanci musztrowali ich ojców, zmobilizowanych powtórnie i ubranych po cywil-

nemu. Niektórzy „kurtkami" ich nazywali, niby w żartach, co jednak było krzywdzące. Od rana do wieczora Wieruńka przesiadywała z rówieśnicami na skraju placu, patrząc jak zgrabny młody lejtnant z medalami za Stalingrad ćwiczy ich ojców w maszerowaniu, w robieniu zwrotów, w „prawe ramię naprzód", oraz „marsz w miejscu". Cały czas była sercem przy ojcu, widząc jak nieumiejętnie wykonywał ćwiczenia, mimo że się starał. I coś jakby zmieniło się w ich ojcach w te dni i oczy ich jakby zapadły głębiej, i blade dłonie pobielały jeszcze bardziej, kiedy w czasie odpoczynku ukradkiem głaskali swoje milczące dzieci. Wieruńka zapamiętała sobie każdy krok z tych jego ćwiczeń, każdy zasmucony uśmiech, który ojciec ledwo dostrzegalnie wysyłał jej spod wąsa, przechodząc koło niej w szeregu takich samych jak on ludzi-kurtek. Pamięta ciężki tupot nóg, te nie kończące się „krokiem marsz" i „w miejscu", i to, jak przygarbione plecy usiłowały się wyprostowywać na komendę i jak ojcowie-kurtki podczas odpoczynku częstowali lejtnanta oraz sierżantów swymi wałówkami, troskliwie dostarczanymi przez matki. Kobiety z sąsiednich siół też przychodziły, przynosiły żywność dla swoich zmobilizowanych i wraz z dziećmi długo siedziały gdzieś na uboczu. W napięciu wpatrywały się w swoich, gdy maszerowali i biegali po placu ćwiczeń.

A potem pewnego ranka Wieruńka wybiegła wraz z innymi dziewczynkami na plac, by popatrzeć na ojca, lecz ojców już nie było. Zostały tylko manekiny strzelnicze, które wczoraj kłuto bagnetami. Pusto, nie ma nikogo — wymaszerowali w nocy. Dzieci stały zmartwione. Zmartwione były i kobiety, które przyszły z sąsiednich wiosek — nikogo nie zastały, choć powiedziano im, że tego dnia żołnierze otrzymają mundury, więc żeby kobiety przyszły zabrać cywilne ubrania. Ale okazało się, że nie czekali na umundurowanie i w kurtkach, w swoich ubraniach wyruszyli za Dniepr. W nocy poprowadził ich tam lejtnant. A od strony Dniepru huczało, stękało, niebo dygotało tam cały czas.

Jakże smutny wydawał się plac bez ojców! Smutno się zrobiło dokoła — pogorzeliska i spustoszenia, i te nieme manekiny pokłute bagnetami i szare zachmurzone niebo jesienne. Serce dziecka krajało się z bólu. Tego jeszcze dnia dzieci, a wśród nich i Wieruńka, zmówiwszy się, w tajemnicy przed matkami, postanowiły wyruszyć w ślad za ojcami

za Dniepr. Droga była daleka, przynajmniej tak im się zdawało. Dzieci szły długo, z trudem posuwając nogi w burzanach. Dopiero pod wieczór udało się im pokonać gęste burzany i ujrzały przed sobą niegościnny, jesienny Dniepr... Odgłosów walki już nie słyszały. I nikogo nie widać. Były tylko nieme wzgórza za Dnieprem, które zieleniły się oziminą, a na pochyłościach tych wzgórz, na tle ozimin, wszędzie ciemne plamy, plamy, plamy... Ukryta w zaroślach gromadka zmęczonych dzieci patrzyła na tamtą stronę Dniepru, stropiona i bezradna; dzieci wciąż jeszcze nie mogły zrozumieć, co to za plamy na zielonym tle. Czy były to leje i ślady po minach, ślady po wybuchach pocisków, czy... I naraz aż zadygotały od okropnego domysłu: toż to oni! W kurtkach! Nasi ojcowie!

Głośno biły serca dziecięce pod lichą odzieżą. Świat był milczący. Wśród tego wielkiego milczenia tylko pożółkłe szuwary szeleściły sieroco suchymi kitami i kwiliła jakaś szara ptaszyna kołysząc się na gałązce szuwaru...

Mijają lata, w pamięci nic się nie zaciera, takie to wszystko było ważne: i ołowiana tafla wody, i niskie przedwieczorne chmury nad tymi plamami na zielonym tle.

I tak Wieruńka nigdy już nie zaznała ciepła ojcowskiej ręki. Nie napatrzyła się na ojca w czasie, gdy maszerował. A gdy słyszy słowo „wojna", to wszystko to boleśnie jej się przypomina: i plac ćwiczeń na wsi, i jak dzieci poszły gromadką szukać swych ojców, i jak stały zmartwione nad jesiennym Dnieprem... Kiedy Wieruńka wśród metalicznego szczęku w całym oddziale rozdziela stosy zardzewiałego złomu, słyszy kwilenie ptaszyny, którą dzieci słyszały wtedy, gdy wpatrywały się nie po dziecinnemu za Dniepr, w tę milczącą zieloną krainę śmierci.

15

Jelka idzie przez jakieś wykroty, potem jest wielka woda, która niby w czasie powodzi rozlała się szeroko. Przez tę wodę aż na drugą stronę przerzucona jest kładka. Rozchwiana i nieszczelna, ale można po niej przejść. Przeszła i znowu wykroty, dzikie, piaszczyste, tajemnicze bezludzie i jakiś smutek. Naprzeciwko, z daleka, z tajemniczej oddali,

biegnie owczarek! Podbiegł, chwycił Jelkę zębami za rękę i zacisnął... Ale nie bardzo, tylko tak, żeby nie wyrwała, i dokądś poprowadził. Jelka czuje, że zawiniła, i ten pies, jakby wcielenie kary, chwycił ją swą paszczą i dokądś prowadzi, raz zaciskając kły mocniej, raz trochę lżej, czasem nawet ją poliże, jakby współczuł Jelce, i znowu zaciśnie kły, i prowadzi przed siebie, prowadzi... Jelka idzie, nie wyrywając się, gdyż cały czas jest świadoma swojej przewiny, która legła na sercu ciężkim kamieniem. Wreszcie zrozumiała, że została złapana, że weszła do świata zabronionego, do strefy, gdzie są może jakieś atomowe obiekty, zamaskowane tymi piaszczystymi nieużytkami. Nikt postronny nie ma tu prawa wstępu, ona zaś zabrnęła tu niechcący i zrozumiała dopiero teraz, że zginęła, że w żaden sposób nie potrafi się usprawiedliwić, że sama rozumie swą winę... Gdzieś tutaj jest brama, mimo że jej nie widać. Wartownicy przyczaili się i ze swych kryjówek bacznie wszystko śledzą. Wygląda nawet na to, że wartownicy chcą ją przepuścić, odwołać psa, lecz nie zrobią tego, nie mają prawa, nie wolno. Nie ma dla ciebie drogi powrotnej, skoro już przeszłaś przez tę kładkę i przez zabronione wody, które oddzieliły cię od poprzedniego życia...

Nawet we śnie czuła na sercu ciężar jakiegoś niepokoju. Znaczący sen podczas dnia. Bo nigdy w dzień nie kładła się spać, lecz dziś się położyła i zobaczyła taki koszmar...

Gdzieś z podwórza, od ulicy dochodziły głosy małych Bagłajcząt, które obwieszczały Zaczepiance radosną nowinę:

— List od taty! Niedługo przyjedzie! A nam napisał: „Bądźcie dzielni."

Wieruńkę spotkała dziś prawdziwa przyjemność, gdy wróciła z huty do domu: list od Iwana. Swoim zwyczajem pokazała go Łesi Chomownie, gdyż wspólnie przeżywają każdą radość. Obie zawsze czekają: jedna na męża z Bhilai, druga — na swego dowódcę baterii, ale czeka go stamtąd, skąd się nie wraca.

Odkładały przeczytany list i po chwili znowu do niego wracały. Potem zaczęły mówić o uczuciach ludzkich. I o Jelce mówiły. Już przedtem zastanawiały się nad dziewczyną, która przybyła do Zaczepianki i wplątała się w jakąś kabałę. Jak by jej pomóc? Może urządzić ją w hucie? Ale co ona potrafi? A może ma jakieś inne projekty? A może

chce tu zdobyć męża? Długo zastanawiały się nad przychodzeniem do niej „wydwiżeńca". Ale jeżeli wchodzi tu w grę uczucie, to nie ma się nad czym zastanawiać, bo uczucie między dwojgiem ludzi nie jest rzeczą zwykłą i prostą.

— Ważne jest to, w czym kryje się czyjeś szczęście — w zamyśleniu powiedziała Łesia. — Wiem tylko, że człowiek, który zaznał nieszczęścia, czulszy jest na nieszczęście bliźniego...

Pod wieczór Kartaty obchodził domy zaczepiańskie, zapraszając sąsiadów do siebie na jakąś zagadkową gościnę. — Przyjdźcie wieczorkiem, bądźcie łaskawi! — Nikogo z sąsiadów nie pominął, nawet tych, z którymi nie bardzo się przyjaźnił.

— A z jakiej to okazji wyprawiacie święto w dzień powszedni? — zapytywano go.

Jagor dawał wymijające odpowiedzi. „Rybek — powiada — nałowiłem, i dawnośmy się nie zbierali..." Rybka była taka jakaś, że sąsiedzi wymawiali się: ten na nocną zmianę idzie, tamten na jakąś prywatną robotę, inny znowu rozpoczął jakąś „chałturkę". Odmawiano delikatnie, lecz w słowach wyczuwało się coś nieuchwytnego. Wieruńka, którą Kartaty zapraszał jako jedną z pierwszych, nawet się zdenerwowała: mąż jej, jak wiadomo, jest gdzieś w dalekim świecie, ona zaś bez niego nie zamierza oddawać się uciechom. Łesia Chomowna, którą Jagor również zaprosił, dała odpowiedź odmowną bez wyjaśnienia, i tylko spytała dość ostro:

— Miałabym siedzieć przy stole z waszymi amatorami zupki rybnej?

W innych domach wszyscy jakby się zmówili, wszyscy pytali, co za powód, z jakiej to okazji, lecz Jagor odpowiadał wymijająco. Bez jednego słowa wyjaśnienia przyjęła zaproszenie tylko Szpaczycha oraz Semko Dejneka, którego usunięto z pracy po raz trzeci za „szabaszki". Ale Kartatemu najmniej na nim zależało. Zaprosił, bo akurat spotkał Semka na ulicy. Dzisiaj też wracał z roboty z „szabaszką": idąc prowadził rower, na którym wiózł jakieś deski...

Jagor odwiedził również i Orlanczenków. Gospodarz, z szacunku dla Jagora, z którym kiedyś pracował przy wielkim piecu, obiecał przyjść. A Romcio aż zęby wyszczerzył w uśmiechu: byleby zupka była, a amatorzy się znajdą. Gdy

Jagor poszedł dalej, chłopak huknął przez ulicę do takich samych jak on:

— Pójdziemy, bracia, w gości do Jagora!

— A co tam będzie?

— Zaraz wam powiem, co będzie. — I głośno, żeby i na innych podwórzach było słychać, Romcio zaczął opowiadać: — Odbędą się zupełnie nowoczesne zaręczyny. Dotychczas, jak wiadomo, stary spieniężał ryby złowione nielegalnie, na lewo, dziś natomiast będzie spieniężał całkiem niezwykły połów w postaci dzikawej złotej rybki, która przypłynęła ze stepów sama bez dokumentu. W roli rybaka wystąpi rozsławiony przez Szpaczychę nasz ukochany geniusz, nasz drogi itd., itp. Nie ma tu żadnego zniewalania, szachrowania, wszystko odbędzie się na całkiem dobrowolnych zasadach. Rozdział pierwszy: ona płacze, on się śmieje. Kurtyna zapada. W rozdziale drugim nasza Szpaczycha da koncert, który zakończy się fontanną zimnej wody z węża do polewania...

Dzieciarnia zaczepiańska tłoczyła się koło Jagorowego podwórza, jakby przeczuwała, że zanosi się na coś niedobrego. Umorusane, bosonogie dzieciaki, te same, które dawniej były gotowe ze wszystkich sił bronić starego przed najściem amatorów zupy rybnej, dziś nagle zrezygnowały z udzielenia mu pomocy, a nawet miały ochotę dokuczać staremu. Dzieciaki się dowiedziały, że stary nie wiadomo dlaczego się złości, gdy się zapytać: „Dziadku, piecze?" I oto dziś nawet zupełnie małe dzieciaki, wtykając łepetyny pomiędzy sztachety płotu, pytały: „Dziadku, piecze?"

Więc w końcu trzeba było tę hałastrę przepędzić.

Jelka spała prawie cały dzień i Kartaty jej nie budził. A gdy się ocknęła pod wieczór z bólem głowy po takim śnie i podeszła do okna, ujrzała pod dziadkową gruszą olbrzymi bukiet czerwonych róż, zaś Szpaczycha i jeszcze jakieś nieznajome kobiety w nasuniętych aż na oczy chustkach szybko i jakby z jakąś zawziętością rozstawiały naczynia.

Jelka nie od razu się połapała, na co się zanosi. Dlaczego one robiły to z takim pośpiechem, jakby ukradkiem. Strach ją obleciał, kiedy się wreszcie domyśliła, ogniem oburzenia spłonęły jej policzki na widok wspaniałego bukietu róż. „Co wy robicie? — chciała krzyknąć. — Toć przecież nie dawne czasy! Nie jestem «sprzedaną narzeczoną»! Przecież go nie kocham! Zrozumcie, nie kocham!"

Chwyciła się za głowę, dłońmi ścisnęła skronie.

Na farmę! Do cieląt, do prosiąt, do brygady, dokądkolwiek! Tam jest lepiej! Mimo że były tam brutalne awanturnice, byli również i przyjaciele. Wprawdzie nie doceniała ich, nie poprosiła o radę, byliby ją zrozumieli, poparli, nie pozwoliliby skrzywdzić... Do czegoż to doszło? Tu dokoła ludzie z zespołów hutniczych, tyle przyjaznych twarzy widziała w mieście... Przecież miłość istnieje. Prawdziwe ludzkie stosunki, prawdziwi ludzie, uczciwi, czujący poezję... Tu też młodzież zbiera się wieczorami — śmiech, piosenki, radiola. Czemu nie jesteś z nimi? Czyżbyś była wyobcowana i stara duchem? Czyżby oni cię odtrącili, nie przyjęli do swego grona? A może sama jesteś temu winna? Twoja nieufność do wszystkich, podejrzliwość, twoja skrytość — oni dali ci to poznać. Nie przed nożem, nie przed bandą, ale przed wyswataniem uciekasz jak oparzona. Pośmiewiskiem zostaniesz i tyle. Trzeba było tu nie siedzieć, nie podlewać godzinami truskawek, niech je diabli! Trzeba było od razu do huty, gdzie jest kolektyw. Przy pracy, pracy bez wytchnienia zdobyłabyś szacunek i uznanie. Nie wiadomo dlaczego przypomniały jej się bloki kombinatu, które są zaraz na lewo od grobli, niedaleko Dniepru, za tym kolczastym ogrodzeniem, przez które Semko deski przeciąga. Ona nie potrzebuje żadnych „szabaszek". Niczego nie potrzebuje. Chce żyć uczciwie, chce kochać tego, kogo serce wybierze. Przyczesała się byle jak i zaczęła zbierać swe rzeczy. Nie wolno zwlekać. Przenocuje na cmentarzu w burzanach! Bo inaczej nie wyrwie się stąd. W wielkim pośpiechu byle jak wrzuciła rzeczy do walizki. Siłowała się z wieczkiem zamykając walizkę. Przy tej czynności zastał ją wuj Jagor.

— Jelko, co to ma znaczyć? Goście zaczęli się schodzić, a ty... Chcesz ich obrazić? Chcesz narobić mi wstydu?

Odwróciła się do niego z zaczerwienioną twarzą pełną nienawiści.

— A czy ja prosiłam, żebyście gości spraszali? Chcecie mnie za mąż wydać? Ja już zaznałam tej rozkoszy! Słyszycie? Zaznałam! I więcej nie chcę.

— Ależ, Jelko... — bąkał Jagor. — To mają być zrękowiny czy jak one tam... Zbierzemy się, posiedzimy, pogadamy...

Jelka siedziała koło walizki, objęła głowę rękami i utkwiła otępiały wzrok w podłodze. W jej przygarbionych ple-

cach i w żałosnym wyglądzie było coś takiego, co nawet Jagora wzruszyło. Może odezwał się w niej jakiś dawny ból? Usiadł obok niej i uspokajająco pogłaskał ją po ramieniu.

— Przecież nie jestem dla ciebie kimś obcym, Jelko... Nikogo z rodziny nie mam... Kiedy umrę, weźmiesz i ten ogród, i tę chałupę. Ale czy to wystarczy ci do życia? Trudno, Jelko, trudno żyć człowiekowi samotnemu...

Jelka rozpłakała się. Ramiona jej drgały. Żal jej było siebie i wuja Jagora także. Bo czyż on życzy jej źle?

— Połóż się... Poleżysz... uspokoisz się...

Jagor podniósł się ostrożnie i cichutko, jak od chorej, ruszył w stronę drzwi. Wyszedł, ostrożnie zamykając drzwi za sobą.

Jelka poczuła całkowitą obojętność na wszystko. Zdarza się, że nie chce się człowiekowi żyć, ale i umierać jeszcze za wcześnie.

A kiedy goście usiedli do stołu pod gruszą, Jelka, już uczesana i nie zapłakana, siedziała między gośćmi, przed nią zaś stał bukiet róż, spryskany przez kobiety, by nie zwiądł.

16

Łoboda Włodzimierz Izotowicz siedział obok niej niezbyt blisko, obawiał się przytulić i tylko od czasu do czasu wyciągał głowę w jej stronę i cichym głosem pytał troskliwie:

— Jelu, może ci coś podać?

Ta troskliwość trochę go peszyła, bo wszyscy widzieli jego służalczość w stosunku do pięknej dziewczyny. Ale czy nie jest warta tego, by jej służyć i dogadzać we wszystkim? Uzbrojona w zewnętrzny spokój i chłodną obojętność Jelka wydawała się Łobodzie nieosiągalna i jeszcze ładniejsza. Pretendentowi do ręki sprawiało przyjemność to, że z czasem ta urodziwa dziewczyna będzie należała do niego. Lecz równocześnie opanowywał go lęk przed Jelką i przed dającymi się dostrzec jej prawdziwymi uczuciami, ukrywanymi w napięciu pod maską spokoju, ale mimo wszystko wyczuwalnymi. To właśnie najbardziej niepokoiło Łobodę. Rozumiał, że wystarczy najmniejsze uchybienie z jego strony, jedno niezgrabne słówko i opanowanie Jelki eksploduje,

rozleci się w drzazgi i dla wszystkich od razu stanie się oczywisty jej skandaliczny sprzeciw, jej brak zgody na te zaręczyny. Wszyscy poznają ukrywane przez nią uczucia, które pod maską spokoju — Łoboda wyraźnie to czuje — są w Jelce obecne przez cały czas, dając jej nad nim przewagę.

Potrzebny tu był nie byle jaki takt, oddaniem i troskliwością należało spowijać zaciętą dziewczęcą duszę. I dlatego przez cały czas słyszało się od niego „Jelu" i „Jelu". Lecz ona nie odpowiadała mu ani słówkiem, nie odwracała głowy w jego stronę, najmniejszym znakiem nie ujawniała swych życzeń.

Jakoś posępnie wyglądały te zaręczyny. Goście nie prowadzili przy kolacji interesujących rozmów. Szpaczycha, która jeszcze wczoraj wykazywała nadmiar energii, siedziała teraz wystrojona, ale cichutka jak jakaś święta. Dziś tylko kieliszek przytknęła do ust, dotknęła zasznurowanymi wargami i natychmiast odstawiła daleko od siebie — nie pije. Włodzimierz Izotowicz tylko niekiedy zamieniał słowo z Semkiem, który w jakiś niezbyt jasny sposób znalazł się w jego sąsiedztwie, coś jakby drużba weselny, mimo że nikt go do tej roli nie zapraszał. Synowie Władyczychy, Władyka Musij i Ładymir Władyka, bardzo dokładnie zmiatali wszystko, co było na talerzach. Obaj przyszli wprost z roboty w walcowni i nawet nie zdążyli się przebrać. Przyszli tu wprost z huty, żeby najzwyklej w świecie zjeść kolację — żony w domu będą miały mniej roboty. Zaręczyny czy rozwód, czy diabli wiedzą co tam jeszcze, a kolację po pracy w walcowni zjeść trzeba, więc wcinali w milczeniu wszystko, co było na stole. Jeden z nich, kiedy dobrze sobie podjadł, oświadczył, że karmią tu nie gorzej niż w stołówce fabrycznej.

Romcio Orlanczenko, który nie wiadomo dlaczego przyszedł na kolację w ciemnych okularach, jakby go słońce oślepiało, strojąc miny posługiwał się widelcem i nożem siedząc na szarym końcu stołu, wśród swoich kudłatych przyjaciół, których nikt nie zapraszał. Romcio z własnej inicjatywy zaprosił ich na tę tajemniczą kolację. Nie zdejmując i przy stole ciemnych okularów gangsterskich, Romcio od czasu do czasu rzucał swoim koleżkom krótkie, jednowyrazowe uwagi, oni zaś, nie przestrzegając konwenansów, chichotali zasłaniając dłonią usta. Romcio przechwalał się

z wielkim zadowoleniem, że został w swoim zakładzie przodownikiem pracy i może osiągnąć nawet to, że otrzyma premię w postaci podróży turystycznej do któregoś z zaprzyjaźnionych krajów. Opowiadał, jak jeden z ich pracowników zwiedzał Pragę jako turysta i co za przygoda go tam spotkała! Tak jak był przyzwyczajony w domu, przeszedł przez jezdnię w miejscu niedozwolonym i dał nurka w tłum uliczny. Lecz milicjant i tam go znalazł i wlepił mu porcję pałek gumowych, tak że szanowny turysta aż przysiadł z bólu, patrząc ze zdumieniem na milicjanta, bo nie wiedział, za co go bije. Stróż tamtejszego porządku publicznego dopiero teraz się domyślił, że ma przed sobą gościa, zdjął uprzejmie czapkę i powiedział: przepraszam. Człowiek ten wrócił do domu z odruchem warunkowym: „Jeszcze teraz — powiada — kiedy przechodzę przez ulicę, ciarki przebiegają mi po plecach." Ta historia była zupełnie nie à propos i nie wiadomo po co Orlanczenko ją opowiedział. Mimo to wysłuchano go. Ale koledzy Orlanczenki nie zjawili się. Nie przyszedł niewidomy czołgista, z którym Kartaty jeszcze w dzień się umówił, i który obiecał, że przyjdzie ze swoim akordeonem. Przyszła natomiast jego żona, Natałka. Najwyraźniej na poczekaniu zmyśliła, że Kostia nie przyszedł, bo akordeon się zepsuł. (Kiedy Kartaty zapraszał muzykanta, ten nic nie mówił, że akordeon jest zepsuty.) Natomiast Natałka znalazła się za stołem i Wołod'ka na powitanie skinął jej głową mówiąc z lekkim wyrzutem:

— To niedobrze, Natałko, że bez męża... Niby słomiana wdowa.

„Słomiana wdowa" zapewniła go, że wśród takich kawalerów tęsknić za mężem nie będzie, lecz mimo to źle się czuła w tym milczącym towarzystwie.

Było nudnawo. Goście, zajęci tylko jedzeniem, pobrzękiwali widelcami. Słyszało się, jak niektórzy pochrapywali w ogródku, wychodząc na „nocne łowy". Ale nic się nie działo, nikt się nie bawił, po prostu trudno było usiedzieć w tej gniotącej nudzie. Żeby choć jakaś muzyczka rozproszyła skrępowanie i nastrój niepewności na tych zaręczynach czy diabli wiedzą na czym.

Wyczuwając nastrój gości Łoboda poprosił Romcia, by zorganizował coś w rodzaju muzyki. Bo pan domu radioli nie posiada, tranzystorami się nie zabawia. Romcio chętnie przyjął propozycję, wstał od stołu i podciągnąwszy swe

opięte i wytarte na pośladkach „teksasy", zataczając się, poszedł w stronę furtki. Za nim od razu poszli jego towarzysze, nie ostrzyżeni wałkonie, którzy zamiast pójść do restauracji, postanowili skorzystać z dzisiejszej gratki i podjeść sobie u starego dziada. Na ulicy zgodnie i ochoczo zarżeli.

Póki czekano na muzykę, było jeszcze nudniej. I nie piło się, i nie jadło. Ale wstać i wyjść, jak ci wałkonie, też nie wypadało, byłoby nieładnie. Należy przestrzegać obyczajów. Kobiety miały ochotę porozmawiać z Jelką, ale przez delikatność tylko przyglądały się jej z daleka, zerkały ukradkiem na wybrankę Łobody, na jej smagłą i naprawdę ładną owalną twarzyczkę o równym nosie i jędrnych usteczkach. Ale ta zadumana twarzyczka była nieprzenikniona, nie zdradzała, co działo się w sercu Jelki. Ani razu nie pojawiły się śliczne dołeczki na jej wyraźnie pobladłych policzkach. Siedziała wyprostowana, z jakąś chłodną pogardą, na nikogo nie patrzyła. Zdawało się, że swój nieruchomy wzrok utkwiła gdzieś w przestrzeni, niedostępnej dla innych.

Po pewnym czasie zamiast Orlanczenki trzasnął furtką jeden z jego koleżków. Wrócił bez żadnej muzyki, podszedł do Jelki i pochyliwszy się nad jej ramieniem powiedział:

— Ktoś panią prosi.

Jelka żachnęła się niespokojnie.

— Kto?

— Pewien znajomy.

Łoboda zmarszczył brwi.

— Co za jeden? — spytał patrząc spode łba na natrętnego posłańca. — Jeżeli czegoś potrzebuje, niech przyjdzie, tu sami swoi.

Chłopak nie zdążył jeszcze wyjść, gdy furtka znowu głośno trzasnęła i na progu chałupy starego stanął niezwykle blady, ubrany w sportową kurtkę Mykoła Bagłaj. Można by było przypuszczać, że chłopak sobie podpił, gdyby w Zaczepiance nie wiedziano, że nie pił. Był bardzo blady, a tę bladość wzmagało jeszcze mocne światło elektryczne; brwi miał groźnie zmarszczone, czarne i gęste brwi Bagłajów.

Jelka patrzyła na niego błagalnie, a w jej zielonkawych oczach zastygł lęk i oczekiwanie.

Bagłaj przez chwilę patrzył na nią, nie odrywając wzroku.

— Czy można prosić panią na chwilkę?

Jelka podniosła się natychmiast. Podniosła się zbyt skwapliwie wprowadzając tym niektórych w zdziwienie. W milczeniu podeszła do Bagłaja, a potem, gdy poszła z nim w stronę furtki, nie obejrzawszy się ani razu, wszyscy zrozumieli, że ta ich „chwilka" przeciągnie się na całe życie.

Wszyscy milczeli w zakłopotaniu.

— A to ci przedstawienie! — powiedziała Szpaczycha przerywając ciszę pełną napięcia.

Łoboda, któremu twarz od razu mocno nabrzmiała, posłał jej zabójcze spojrzenie, widocznie o coś podejrzewał starą intrygantkę. Trochę jeszcze posiedział, zasępiony jak chmura, potem wstał od stołu i w ponurym nastroju powlókł się w mrok Jagorowego ogrodu.

Muzyki nie było. Orlanczenko jakoś się nie zjawiał ze swoim szerokozakresowym tranzystorem, mimo wszystko dopiero teraz można by było dobrze się zabawić.

Szpaczycha, krzyknąwszy piskliwym głosikiem, z pijacką determinacją wychyliła duży graniasty kieliszek. Towarzyszył jej Semko-szabasznik, który wyciągnął rękę w stronę Natałki, by trącić się z nią kieliszkiem. Nie opuścili towarzystwa i bracia Władyki. Nawet Kartaty wypił i jakby mu ulżyło.

— I oto macie szaszłykarnię! — krzyknęła Szpaczycha za odchodzącym do ogrodu Łobodą. — Oto masz powitanie ludzi pracy!

I dopiero teraz, nie ukrywając szczegółów, zaczęła opowiadać, jak Łoboda prosił ją, by odpowiednio „urobiła" Jelkę, jak ją, „wzorową dzielnicową", obdarzał podarunkami, jak wzięła na swoją duszę grzech, namawiając dziewczynę, a potem, gdy wróciła do domu, to — czy dacie wiarę — aż się rozpłakała.

— Więc jak to tak, za prezent sumienie bym sprzedała? To ci dzielnicowa! To ci matka syna-bohatera! A ponadto bohaterka czwartego pieca. Życiowy staż zdobyłaś uczciwie, a tu tak się zhańbić... — I znowu wykrzykiwała w stronę ogródka: — Nie chowaj się tam w krzakach, Włodzimierzu, przed sprawiedliwą krytyką nie uciekniesz! Matka nie żyje, to przynajmniej my w jej zastępstwie ci powiemy... Przypomnimy ci, jak cię niańczyła, jak kochała ciebie, najmłodszego... Chciała, żebyś był jej sokołem, przecież mogłeś tak

jak starsi bracia. A ty? Gdzie masz sumienie? W sercu czy w schowku ukryłeś?

Jedni słuchali, co mówiła Szpaczycha, inni nie. Teraz wszyscy jakby dokładnie zrozumieli, że miało się tu stać coś niedobrego, że oni w tym mieli wziąć udział i przed chwilą uniknęli hańby, zniewolenia, oszustwa, ciężaru nieprawdy. Bracia Władykowie, zapomniawszy, że czas zbierać się do domu, zaczęli śpiewać na dwa głosy. Obaj pięknie śpiewali. Niespodziewanie przyłączyła się do nich Natałka, podchwyciła głosem wysokim i zaraz jakby na zawołanie zjawił się na podwórzu jej ślubny małżonek Kostek-czołgista, po junacku rozciągający na całą szerokość miech swojego zupełnie nie popsutego akordeonu. Kompania Orlanczenki również wróciła, i sam Romcio się zjawił, grzeczniutki, z niewinnie ironicznym uśmiechem, jak gdyby w niczym nie brał udziału.

Tylko tych dwojga, którzy odeszli „na chwilę", wciąż nie było.

Ale o nich jakby już i nie myślano. Melodia śpiewanej pieśni, wzbiwszy się wysoko w górę, zwoływała również tych, którzy początkowo dawali odpowiedzi odmowne, bojkotując te nieprzyjemne pseudozaręczyny. Zaczepianka ożyła: jeden po drugim zaczęli się schodzić ludzie pracy, którzy przepracowawszy swą zmianę szykowali się do odpoczynku. Przybiegła i Wieruńka Bagłajowa, krągłolica, pełniutka. w czystej kosynce. Kartaty nie chował do nikogo urazy za poprzednią odmowę, częstował szczodrze, tak jak kiedyś potrafiono to robić. Ugaszczając Wieruńkę, krzyknął do niej dobrze już podchmielony:

— Rżnij gęsi, Wieruńko! Weź nóż i rżnij je, przeklęte; gęgają tam pod chlewem!

I patrząc ze złością w gąszcz ogródka, spytał:

— A gdzież ten... izuit?

— Jezuita — skromnie poprawił go Romcio.

— Izuit! — jeszcze głośniej wykrzykiwał Kartaty.

Zaczepianka dawno tak się nie bawiła. Już i ci, co mieli nocną zmianę, przemknęli koło soboru na rowerach, a stąd nikt jeszcze nie odchodził. A to ci ulica Wesoła! Bawią się, gdy już się zeszli! Ludzie się cieszyli, że wszystko wzięło taki obrót, cieszyli się pieśnią, która ich połączyła; cieszyło ich tych dwoje, którzy dotąd nie powrócili. To tak po zaczepiańsku! Tak należy żyć — jeżeli przypadła do serca, pod-

chodzisz, bierzesz za rękę i prowadzisz... Bez miłości nic nie będzie! Tylko miłość jedna serca!

— No, śpiewajmy! — Wieruńka zachęcała Romcia i jego kompanów, którzy kryli się jeden za drugiego, bo śpiewać nie umieli. — Ech, wy, diabły bezgłose! Przeszliście na muzykę mechaniczną. Struny głosowe straciliście zupełnie.

Już było po północy, a śpiewy nie ustawały. Zaczepianka tej nocy nie kłopotała się nadchodzącym dniem, nie spieszyła do snu, była mocno podchmielona, rozbawiona tymi gąseczkami, które szły na wodę, tymi wojakami, którzy w nocy zagwizdali do wymarszu...

Pod koniec Szpaczycha wzięła się do taczek, boć przecież tradycja nakazywała zawieźć gospodarza do zalewu i tam go wykąpać. Zawiozą starego walcownika na żelaznej jednokółce, która zwie się taczkami. Całą gromadą, całym rozbawionym towarzystwem powiozą go ze śpiewem i pokrzykiwaniem do łachy, do ulubionej swej wody i w odzieniu wywalą wprost do wody z takim rozmachem, że aż rozpierzchną się gwiazdy w głębi zalewu, tak jak i karasie pierzchną spłoszone. Powiozą, potoczą gospodarza, on zaś będzie się bronić, bo tak nakazuje zwyczaj zaczepiański, i w nadmiarze szczodrości będzie pohukiwać z taczek: „Rżnijcie, rżnijcie wszystkie moje gąski!" I tu dopiero rozpoznają w starym dawniejszego Kartatego. „Niemijajkarczma", szeroka natura, przy której nawet bezpestkie gruszki mogły w jednej chwili zmienić się w orkiestrę.

17

Nawet w najciemniejsze bezksiężycowe noce Dniepr w pobliżu zakładów metalurgicznych nie gaśnie. Nie gaśnie również zalew ni Raduta Wielka — jezioro porośnięte szuwarami, leżące wśród nieużytków. Rudawe niebo użycza im swej barwy, płomiennoatłasowego połysku. Noce barwią te ciche wody, jakby płonęła zorza poranna. Ciemnności spowijają nieużytki, zaciemniając całkowicie step, a czerwonawe lustra wody na jeziorach przydnieprowych posyłają swe światła pilotom, ptakom, zapóźnionym rybakom, i w tej różowości wyraźnie rysują się ciemne komysze, każde źdźbło szuwaru.

Gdy jakaś zabłąkana para znajdzie się nad brzegiem, to sylwetki wyraźnie rysują się w różowym zwierciadle.

Na brzegu Raduty, na wzgórzu, bieleje oświetlone światłami zakładów stanowisko działowe. Jest to jeden z bastionów odległego już czterdziestego pierwszego roku. Jak dawno Bagłaj sięga pamięcią, wciąż przypomina mu się to stanowisko nad Radutą. Nieraz zapuszczał się z chłopakami do środka. Podsadzali jeden drugiego do otworu strzelnicy, wdrapywali się na sam szczyt poszczerbionej ruiny, która już nie odstraszała ich bryłami żelbetonowymi, rozbitymi na strzępy potężnymi eksplozjami. Kto i kiedy wysadził ten bunkier? A tego lata ktoś pobielił bunkier wapnem. Kiedy nad hutą jaśnieje jaskrawe słońce, to i bunkier jaśnieje oślepiającą bielą, jakby był pokryty śniegiem. Dokoła stanowiska działowego — ogrodzenie z rur i bariera zamykająca dostęp kozom. „Ogrodzenie to jest rzeczą dobrą, ale pobielenie wapnem... To chyba pomysł «wydwiżeńca»... To w jego stylu" — pomyślał student z uśmiechem. A może pionierzy w swojej dziecięcej naiwności przyozdobili wapnem pamiątkę historyczną? Tym, co bunkier pobielili, nie przyszło do głowy, że w tej ciemnobrunatnej ruinie, z zaciekami wilgoci, spatynowanej przez niepogody i spalonej przez słońce, znikł duch grozy, który tu żył, duch czynów nieznanych ludzi.

Student z Jelką obeszli i obejrzeli ruinę.

— Macosza epoka sporo zostawiła nam tego rodzaju pamiątek — z zadumą i ironią powiedział Bagłaj.

„A czy my oboje nie jesteśmy takimi pamiątkami? — przemknęło przez głowę Jelki. — Oboje jesteśmy pamiątkami wojny! Tobie twój ojciec przynajmniej nazwisko zostawił, a mnie? Córkę samotnej matce! Jakby z Ducha Świętego poczęła... Może nawet i nazwę wsi zapomniał?"

Cień frontu w szarym szynelu przeszedł zjesienniałymi stepami, przenocował i nigdy nawet się nie odezwał. A może w ostatniej chwili rozstania z życiem przypomniała mu się przelotna, jedną noc trwająca miłość gdzieś w stepowej wiosce ukraińskiej? Czy przypadkiem nie tu gdzieś, w tych wykrotach złożył głowę? Poległ śmiercią bohaterską, nie wiedząc o tym, że umiera jako ojciec, że jego córka będzie się chowała na ciężkim wdowim chlebie, w dodatku nie będzie jakimś tam chuchrem, do diabła, ale śliczną dziewczyną. Bo przecież, gdyby było inaczej, nie zająłby się nią

taki młodzieniec jak ten oto, wymarzony przez nią student, który w noce bezsenne błąkał się po swojej Zaczepiance.

Przyszedł dziś i w sposób stanowczy zabrał ją od stołu i wyprowadził z chałupy. Co dało mu pewność, że Jelka wstanie od stołu i bez najmniejszego wahania pójdzie za nim? Czy coś w niej dostrzegł? Czy wydała mu się łatwo dostępna? Czyżby na taką wyglądała?

Kiedy znalazła się za furtką, Bagłaj mocno chwycił ją za rękę, jakby się obawiał, by nie wróciła do tamtych. Nie wypuszczając jej ręki, spytał ciepło:

— Dokąd pójdziemy?

— Choćby na koniec świata — po raz pierwszy tego wieczora uśmiechnęła się Jelka.

I noc lipcowa poprowadziła ich na koniec świata zaczepiańskiego, który kończył się bunkrem. Jeziora świecą im i niebo fabryczne kwitnie nad nimi purpurowo. Posiedzą na bunkrze. Pochodzą po zadnieprzu, gdzie chodzono przed nimi i po nich będzie się chodziło, i wszystkim niebo będzie przyświecało. Jak lekko, jak swobodnie czuła się z nim Jelka! Kiedy mieli ochotę rozmawiać — rozmawiali; kiedy woleli milczeć — milczeli, nie zważając na to, że tak nie wypada.

Śpiewy zaczepiańskie dolatywały aż tutaj. Tam wciąż jeszcze się bawiono, wciąż budzono osiedle okrzykami. Młodzieniec, siedząc obok niej na bunkrze, słuchał tych pieśni z jakimś niepokojem, lecz słyszał je tak samo, jak słyszał duszę swego narodu, i tak je rozumiał. Jakaż odwieczna poezja może być wyczarowana ze słowa, z rzeczy zwykłych i powszednich.

— Gąseczki... Ogóreczki... Wiadereczko płynie... Jakże to dużo mówi. — Po czym spytał: — Pani śpiewa, Jelko?

Odrzekła, że kiedyś śpiewała.

— W naszej wsi ładnie śpiewają. Nie wszystkie piosenki zapomniano przy kukurydzy i silosach.

Przepełniało ją szczęście, oddychała nie powietrzem, lecz jasnością nieba, ciszą jeziora. Skąd to się wzięło? Wszystko dokoła jaśniało, wszystko odczuwało się inaczej. Cóż to takiego, to tajemnicze, potężne, co tak niespodzianie budzi się w człowieku i czego najwięksi mędrcy nie mogą zrozumieć? Ileż to razy chodziła przez te wykroty w stronę bunkra? Kozie pastwisko tu było i tyle, i tylko była niezadowolona, kiedy w jej stopy wbijały się kolce. Lecz te-

raz... z oczu jakby łuski opadły, jakby zdjęto przykrycie, wszystko ukazało się w innych barwach, napełniło się pięknem. I student, który do niedawna był niedosięgły, teraz siedzi obok niej, recytując wiersze poety hiszpańskiego. Zlewają się one z turkotem pociągu na moście, który daleko huczał w ciszy nocnej. I w tym też była poezja. Bagłaj jakby obdarzał Jelkę bogactwem swej duszy. Czegokolwiek dotykał, wszystko natychmiast stawało się niecodzienne: i łuny nad zakładami, które spowijają Tytana, i te pustkowia, na których w jego wizji już wyrastają gmachy niezwykłej architektury, jakieś miasto słoneczne dla ludzi, dla ludzi, a nie dla tramwajów. Nawet ten pęd szuwaru, który odbija swój cień w jasności jeziora, stawał się czymś niezwykłym, stawał się dziełem sztuki, jedną z tych łęcin szuwaru, z którego kiedyś wykonano pierwowzór soboru, jego pierwszą miniaturową makietę wielkości dłoni... Noc ta była nocą subtelnych uczuć. Kiedy do bucika Jelki nasypało się piasku i dziewczyna pochyliła się, by go wytrząsnąć, Mykoła ją podtrzymywał, żeby nie upadła, Jelka słyszała jego przyspieszony oddech, czuła delikatną mowę ręki, podtrzymując ją tak, jakby była kruchym tworem, z którym należy obchodzić się ostrożnie i trzymać w ręku uważnie. Potem szli, cały czas trzymając się za ręce, jakby się obawiali zgubić jedno drugie.

Tak sobie idą. I on będzie się szczerze śmiał, kiedy Jelka opowie, jak wtedy jakby przed nią uciekał, biegnąc z plecakiem do autobusu... Śmieje się! Powód jego śmiechu był zupełnie inny: nie przed nią uciekał, lecz przed swoim przyjacielem mechanikiem, nie chciał bowiem iść na spotkanie z biurokratami i przepychać swoje filtry przeciwdymowe... A wtedy właśnie pojechał na zawody sportowe w sąsiednim mieście metalowców. Brał udział w regatach akademickich i walczył o pierwszą lokatę. Jelka w tej chwili wyobraziła sobie, jak po Dnieprze niczym złota strzała prując gładką powierzchnię ostro mknie łódź, długa jak ryba-miecz. Więc Mykoła na takiej łodzi brał udział w zawodach? Czy zwyciężył?

— Ente miejsce — zażartował Mykoła. — W ekipie godnej pożałowania... Wiosłowałem zawzięcie, ale, jak mówią w takich wypadkach bracia Rosjanie: „Niestety!"

Widać było, że nie martwił się tym, i to również Jelce się podobało.

Koło tamy, która stanowi zaporę dla ścieków fabrycznych, szlaka zgrzyta pod nogami, w dole ciemnieją zarośla łozy. Więc i te zarośla, jak wszystko dokoła, przemawiają do Bagłaja. Powiedział Jelce, że dawniej również i tu było jeziorko, nie, raczej łacha, i dzieciarnia łowiła tu karasie. Gdzieś tam w tym jeziorku źródło przebiło sobie ujście i woda bulgotała w łasze przez szereg dni. Zarząd Zakładów z obawy czy z innego powodu zatopił w jeziorku sto worków piasku i żużlu.

— Zablokowali źródło i wody już nie ma... Tylko durnie zostali — zażartował z zadumą.

Spytał, co Jelka czyta. Zaczął wyśmiewać różne tak zwane „kołchozówki" i powieści z życia robotniczego, które dzielą bohaterów z surowością kastową — jedni pochodzą z terenu od farmy Szczelugowskiej do soboru, a drudzy — od soboru, gdzie rozpoczyna się granica osiedla, aż do samej huty. Inny bohater wejść tu nie może.

— A ludzie wszędzie są ludźmi — rozważał głośno. — I praca wszędzie jest pracą, o ile jest czymś pożytecznym, a nie bezpłodnym miotaniem się. Bo istnieją i takie, bywają prace tylko na pozór, a w gruncie rzeczy jest to tylko oszukiwanie siebie. Och, ileż energii pochłania u nas takie miotanie się — hałaśliwe, bałaganiarskie, które naprawdę pożytku nikomu nie przynosi i w istocie rzeczy jest bezcelowe. A jeżeli człowiek ma pracę pożyteczną to nawet ktoś taki jak Szpaczycha posiada swoją filozofię i swój sens...

A noc płynie, niebo jaśnieje coraz bardziej.

Będą potem stali pod słupami wysokiego napięcia, pod jednym z tych, które biegną przez pustkowia aż za Dniepr — jedne w kształcie wideł, drugie w kształcie nosideł na ramieniu, a inne znowu jak widły... Postoją, posłuchają ich huczenia. One też żyją w napięciu, żyją swoim naelektryzowaniem, swoim żelastwem. Stojąc obok siebie, słuchali huczenia wieży wysokiego napięcia, patrzyli na wirowanie burych dymów nad Zakładami. Jelka czuła na swym ramieniu nieśmiałe dotknięcie ręki młodzieńca. Bała się, by jej nie cofnął. Czuła, że upajanie się szczęściem nie mijało.

Cóż to za uczucie, to, które w pieśniach zwie się miłością? Spójnia duchowa? Zbliżenie, w którym nagle zaczynasz odczuwać pełną swą wartość? Czy jest to wybuch wzajemnej czułości, która jak źródło, ujawniając się niespodzianie, bije z głębiny, podąża do słońca, kipi nieujarzmio-

na... Czy jest to coś więcej? Tak, na pewno! Jelce objawiło się to jako odkrycie, o którym mogłaby powiedzieć wszystkim ludziom: wiem, teraz już wiem: miłość to delikatność uczuć i czystość! Uczucie mocniejsze niż śmierć.

Nie chciała znać żadnych tajemnic młodzieńca, natomiast opowiedziałaby mu wszystko o swoich ciężkich przeżyciach, o tych, których doznała jej dusza, zanim znalazła się tej nocy na wykrotach. Lecz gdy tylko zaczęła dotykać obolałych miejsc, Mykoła przerwał jej, jakby sam odczuwał ból jakiejś jeszcze nie zagojonej rany serca.

— Nie trzeba nic o tym mówić.

I Jelka poczuła, że rzeczywiście nie trzeba.

Najkrótsze na świecie są noce zakochanych. Nie spostrzeżesz, jak taka noc tylko mignie, odpłynie na zorzy porannej, zarumieni się wybuchem światła za Dnieprem. Zamigocze srebrzystą mgiełką nad zalewem, a sady zaczepiańskie zaczną na wskroś prześwitywać i być coraz lepiej widoczne. I ci, co w Zaczepiance budzą się najwcześniej, ujrzą, jak dwoje ludzi, trzymając się za ręce, wyłania się z nocy. Taki człowiek przypomni sobie i swoje noce, i srebrzyste mgiełki tych najszczęśliwszych świtów, które zakochani spotykali gdzieś koło furtki, kiedy czas już najwyższy, lecz rozstać się nie mają siły, bo jeszcze nie wszystko powiedzieli, bo on jeszcze nie napatrzył się na nią, ona zaś na niego...

Zatrzymają się koło soboru, potem powoli obejdą go wokoło, sobór zaś po wieki będzie się przed nimi obracał dokoła swej osi, ukazując wciąż coraz to inne kopuły, to większe, to mniejsze, jakby miał ich bez liku. Tak jest ustawiony, że nigdy nie zliczysz, ile ich jest naprawdę. Rozwidnia się coraz bardziej i niebo na wschodzie staje się seledynowe, wznosi nad płoniami swe olbrzymie skrzydła, do Jelki zaś, jakby gdzieś z daleka, dolatują słowa Bagłaja o soborze, o tym, jak jest unikalny, że we wszystkich katalogach zabytków można znaleźć jego dzieje, jego sylwetkę, zwraca się uwagę na opływowość jego linii i idealne proporcje, na ażurowe prześwity, piękną linię framug okiennych, gzymsów, pisze się o duchu jego potęgi, który został weń wcielony przez budowniczych kozackich. Jeszcze teraz czuje się, jak go wznoszono, jak go potem konserwowano... Lecz to wszystko dolatywało do Jelki jakby gdzieś z daleka, twarz jej pałała innym już wzruszeniem: Tu! Wszystko stało się tutaj. Tam stał samochód ciężarowy... A stamtąd brali

przydziały... I ta noc, najciemniejsza, brutalna. To przecież tutaj spętała ją grubymi, zwierzęcymi objęciami...

— Co z tobą, Jelko?

Jelka, westchnąwszy, milczała.

„Nie jestem ja ciebie godna — musiałaby powiedzieć. — Ty nawet nie podejrzewasz, jak jestem niegodna. Święta, myślisz, lecz gdybyś wiedział, jaka ja jestem wobec ciebie święta! Ty opowiadasz o liniach pionowych i arkadach, a przed tobą stoi kobieta, która się na tym nie zna, która nie rozumie tych wzniosłości. Pożąda tylko twoich uścisków, pragnie, żebyś ją przytulił, chciałaby przypaść piersią do piersi, zapomnieć się, umrzeć... Czym mogłaby zmyć swą hańbę, przez jaki czyściec musiałaby przejść, żeby mogła wyjść odnowiona, godna twojej miłości, twego zaufania i czystości?

Już pierwszy autobus przyjechał z miasta do osiedla. Ludzie z porannej zmiany ciągnęli na przystanek. Wschód się rozjaśniał, na niebie barwy poranne. Z koszykiem w ręku spieszy gdzieś i Choma Romanowicz, ten szczupły nauczyciel arytmetyki. „Zaraz nasz Romanowicz coś wymyśli, opowie o klasyce we wzniosłym stylu" — z uśmiechem pomyślał Bagłaj. I rzeczywiście nauczyciel zbliżył się, rozejrzał się dokoła i choć na majdanie prócz Jelki i Mykoły nikogo w tym czasie nie było, ściszonym i tajemniczym głosem powiedział do młodej pary:

— Przyjaciele, strzeżcie soborów swych dusz... Soborów dusz... — Przeszywszy Jelkę swym przenikliwym wzrokiem, drobnym truchcikiem pobiegł dalej.

Wyglądało na to, że trzeba już było się pożegnać. Mykoła powiedział, że przez pewien czas się nie zobaczą. Ma jechać na wieś z kolegami z instytutu, by pomóc ludziom z kołchozu w sprzęcie zbóż... Jelka spytała, czy daleko ich wysyłają, on zaś odpowiedział jakby wesoło:

— Do jakichś tam przez Boga zapomnianych Wowczugów.

Jelka zachwiała się jakby uderzona, twarz zasłoniła ręką. „Do Wowczugów!... Do Wowczugów!... — aż do omroczenia kołatało w jej głowie.

Bagłaj widocznie wytłumaczył sobie na swój sposób jej przestrach i zmieszanie: tak wzruszyła ją rozłąka, to, że ich spotkanie prędko nie nastąpi... i Mykoła zrobił ruch, by przyciągnąć ją do siebie. Ostrożnie dotknął ręką jej jasnego

loku, lecz ledwo wykonał ten ruch, Jelka z jakąś rozpaczą chwyciła go w objęcia i namiętnie pocałowała w usta.

— Dobrze się stało, że teraz mam przy sobie wszystkie dokumenty — zaśmiała się patrząc na Bagłaja, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Bagłaj patrzył na nią jak na świętą, jak na madonnę, oczu nie odrywał od pomizerniałej w ciągu nocy jej pałającej twarzy. Pociągła, o wysokim czole, z oczami pełnymi łez, przykuwała do siebie jego duszę i jasnością łez, i tajemniczością, i bolesnym smutkiem we wzroku. Nie smutek rozstania najbardziej zaniepokoił Bagłaja, zaniepokoiło go coś innego, to mianowicie, że w oczach Jelki, w zielonkawej ich głębi, zamigotało coś pożegnalnego, niezrozumiały promyczek osamotnienia.

Autobus podjechał do przystanku i Jelka pobiegła, wskoczyła do środka, tylko jej spódniczka furknęła. Znikła w tłumie jakby na wieki, na wieki. Potem podeszła do okna, i oparłszy się czołem o szybę, uśmiechnęła się do Mykoły takim samym smutnym uśmiechem. Uśmiechając się, zmuszała i jego do uśmiechu, lecz sama była już gdzieś daleko, gdzieś w niedościgłej oddali. Bezpowrotna jak chwilka. Zaczęła się oddalać z tym swoim czułym uśmiechem, który posyłała mu przez szybę autobusu — smutnym i pożegnalnym. Czyżby ona się uśmiechała? Czyżby nie było to iluzją uśmiechu, mirażem, cieniem? Cały świat mu odmieniła, duszę olśniła i odpłynęła, odleciała, jakby na wieki, na wieki.

O jakich to dokumentach mówiła?

Gdyby Mykoła był o to spytał, Jelka rzuciłaby mu z autobusu jedno tylko słowo:

— Miłość!

18

Kartaty wysypiał się przez cały dzień niby chłopak po nieprzespanej nocy swej młodości. Ale o obowiązku swym nie zapomniał: gdy trzeba było zaświecić lampy na bojach, Jagor był na miejscu.

Tego wieczora na pniu brzozy migotało do późna światło samotnego ogniska koło nadbrzeżnej budki. Tlił się w nim wysuszony nawóz, zebrany na nieużytkach, a wraz z nim dopalały się i Jagorowe przybory rybackie. Wybielone w Dnieprze, wysuszone na słońcu zmieniały się w popiół

wszystkie te zmyślone przybory, które potrafiły obrócić się przeciwko innym rybakom, niekiedy nawet sprawowały nadzór nad tymi, co naruszali prawa rzeczne. Tego wieczora ryby śmiały się w Dnieprze. Cieszyły się tak, że aż wyskakiwały z głębin, na których łowił Jagor. Wyskakując z wody, widziały na brzegu spokojne ognisko swego nielitościwego łowcy.

Kartaty siedział zgarbiony przed ogniskiem na starej rosochatej kłodzie, wyrzuconej na brzeg przez fale. Siedział nieruchomo, zamyślony i jakby niewidzącymi oczami wpatrywał się w dogasające ognisko.

CZARNE OGNISKO

Swoboda — jak ona wygląda? Jak step? Jak koń strzynożony? Czy jak jastrząb pod niebem nad Hulajpolem? Jagor wyrostkiem był, kiedy poderwał go wicher hulajpolski. Bo żebyś nawet nic nie znaczył w świecie, to jednak skorci cię zakosztować swobody. Dokoła wszyscy byli pijani swobodą. Bujne to słowo zrodziło się na majdanie i nawet dorośli nim się upili, a co dopiero mówić o podrostku, gamoniu blumentalskim, pastuchu, którego biorą do pasienia gęsi na całe lato za pół darmo albo do bisurmańskiej trzody kolonii Blumentala.

Po raz pierwszy Jagor posłyszał o swobodzie na stacji pełnej nawozu końskiego i pokrytych kurzem taczanek stepowych. Niebo płonęło, wydawało się białe od żaru. Wysoko się piął mur magazynu z czerwonej cegły i stąd gdzieś jak spod nieba przemawiał do tłumu kudłaty mężczyzna we frenczu, opasany szerokim pasem wojskowym oraz koalicyjką. Okazało się, że były różne swobody, ale istnieje jeszcze swoboda „absolutna", „bezkresna"...

Swoboda i tyle!

Chłopak chwytał każde słowo, omdlewał z zachwytu w tym tłoku między końskimi ogonami, między końskimi pyskami z poruszającymi się czujnie uszami (bo i konie tu słuchały o swobodzie, i one miały na nią ochotę!) Więc wygląda na to, że swoboda ma zapach potu końskiego, że jest tłumem ludzkim, jego gorącymi oddechami i nawozem końskim. Swoboda jest kudłata, głowa jej nie myta, a najczęściej ma wygląd gniewnie wzniesionych i mocno za-

ciśniętych pięści... Grzywy zmierzwione, kulomioty na taczankach, oślepiająca pełnia swobody stanowi kąpiel dla ogorzałych, nie ogolonych twarzy... I czyż można było dalej być świniopasem u posępnych, naburmuszonych kolonistów?! Lepiej już noce spędzać na bazarach, pod gołym niebem, żywić się resztkami nie dojedzonymi przez wojsko i za to być... jak to tam? Powstańcem ducha, rozkutym stepowym Prometeuszem.

Potem znowu się znalazł przy trzodzie Blumentala. Wkrótce jednak jechali przez step ci sami na taczankach, ze śpiewem, z pohukiwaniami. Nie kończący się sznur taczanek ciągnął się w kurzu aż po horyzont. A na czele, na koniu, w poskrzypującym siodle — ten sam kudłacz. Spomiędzy pastusząt, które wybiegły na trakt, nie wiadomo dlaczego tylko na Jagorze zatrzymał on swoje przenikliwe spojrzenie. Może dlatego, że był wśród pastuszków najbardziej rudy, najbardziej zaniedbany, długie, nie strzyżone włosy, zgarnięte za uszy, nogi pokaleczone na ściernisku we krwi, w strupach.

— Jak się nazywasz?

— Jagor.

— Czyje pasiesz?

— Kolonisty Henryka.

— Ojca masz?

— Nie. Na wojnie gazami otruty.

— A jego dziadka żandarmy hetmańskie zamordowały — dorzucił jeden z chłopaków.

Jagorka stał nieruchomo, w gardle czuł łzy. Bo tak było. Hajdamacy pobili dziadka tak, że niedługo zmarł. Zemścili się ludzie hetmańscy na chłopach za to, że chodzili dobro obszarnicze rozciągać...

— Jagor, a chciałbyś do mnie na koniowoda? Na taczankę chciałbyś? My tym hetmańskim bebechy wyprujemy.

I tak wprost od trzody, ze ścierniska — na taczankę, przy której piękne siwe konie całe w „jabłkach" tańcują. Takie bywają powroty do życia.

— Domyślamy się, bat'ku, czym ten chłopak zasłużył na twoją łaskę — mędrkował tego dnia na postoju jeden z nieodłącznych teoretyków Machny, przygarbiony, zaniedbany człowiek w pince-nez. — Dostrzegłeś w nim swoje dzieciństwo! Wyczułeś w nim pokrewieństwo ze swoim sieroctwem. Twoja droga do wielkich wydarzeń historycznych również

zaczynała się od pastuszka, który pasł gęsi kolonistom. Tam wychyliłeś kielich bezprawia i poniżenia... A teraz w nim ujrzałeś swój ból, swoje stopy poranione na cudzych ścierniskach. Kto teraz mógłby powiedzieć, że Machno nie jest zdolny do współczucia? Że jest zdolny tylko do okrucieństwa?

— Powiadają, że Szamil też kochał dzieci — odezwał się ktoś z tłumu powstańców. Teoretyk natychmiast to podchwycił:

— Ty u nas, bat'ku, jesteś Szamilem Ukrainy! Współczesny Szamil stepowy!... Tylko że tamten chciał zbudować życie społeczne na zasadach islamu, ty natomiast — na wolnościowych naukach apostołów anarchizmu...

— Jeżeli jestem Szamilem, to gdzie jest mój najwyższy auł? — zaśmiał się Machno.

— W Hulajpolu znajduje się twój najwyższy auł! Wszystkie drogi prowadzą do sławetnego Machnogrodu.

W Hulajpolu dzieci bawią się w wojnę, walczą na majdanie pałkami ze słoneczników; nauczycielki skarżyły się przed Machnem, że jednego chłopaka, któremu przypadło być „oficerem", niemal na śmierć udusili, wieszając go na huśtawce... Weseli się Hulajpole, sprawia miesiąc miodowy swojej swobody. Chłopcy pławią konie w sadzawkach, całą kompanią siadają do obiadu, z naganów strzelają Panu Bogu w okna. Wszędzie grają harmonie, wywodząc „Jabłoczko" na różne sposoby. Dziewczęta, całe we wstążkach, tańczą z czubatymi powstańcami. I pytają ich:

— Dokąd idziecie?

— Więzienia idziemy burzyć, cerkwie... Dzwony pozwozimy ze wszystkich stepów do Hulajpola... I jak zadzwonimy! Cała Ukraina posłyszy.

Piraci stepowi, kudłaci synowie anarchii, synowie wolności światowej. Jakżeż oni słuchali swego kudłatego watażki, jak byli mu oddani! „Rodzonego ojca i matkę zamordują, jeżeli ataman rozkaże." Takich zbierał, takimi stawali się pod jego komendą. Terrorysta od powijaków, którego tylko niepełnoletność uratowała przed szubienicą, katorżnik,któremu rewolucja przywróciła wolność; od taczek katorżniczych wprost na hulajpolskie rozłogi; zjawił się na stepach w aureoli legendy. Czubate, rozchełstane wojsko widziało w nim swoje bożyszcze. Jagor z taczanki też pod tym względem nie był wyjątkiem. Chłopak jak jakiś diabeł trzymał

się taczanki, pęd mu dech zapierał, lejce napięte jak struny, gdy Jagor czuł za plecami niezwykłego pasażera — samego Nestora Iwanowicza... Rozgadawszy się przy kieliszku, ataman wesoło wypytywał swoich doradców-teoretyków o niesamowitego profesora Jawornickiego, który okowity nie pozwolił napić się carowi! Profesor cały step obszedł pieszo, przez porohy na Dnieprze co roku się przeprawia, ręce i nogi na skałach chortyckich połamał, wciąż kozaczyzny poszukuje. Wszystkie Czertomeliki i Kapuliwki rozkopuje, każdą mogiłę stepową obszedł Jawornicki, niesłychane skarby do swego muzeum zdobył, a w tej liczbie i butelkę okowity. Znalazł ją pod czaszką jakiegoś Kozaka, widać towarzysze położyli mu pod głowę, by sobie podchmielił na tamtym świecie. Wieki tam przeleżała i stała się zawiesista jak miód. Car, zwiedzając swego czasu to muzeum, miał ochotę spróbować gorzałki kozackiej, ale Jawornicki powiedział despocie: nie dla ciebie, carze, ten napój.

Machno lubił słuchać takich historii. Nieczęsto się spotyka w życiu takich Jawornickich! Wskrzeszają sławę minionych wieków. Jawornicki tylko tym żyje, ślubował opowiedzieć całemu światu o rycerskiej republice kozackiej. Tomy o kozaczyźnie napisał, wszystkie podania o charakternikach pozbierał i sam stał się charakternikiem. Niczego, powiadają, się nie boi — ni diabła, ni śmierci. I swoją posturą, wąsami, przypomina Zaporożca.

— A czy mnie dałby tej okowity choć jeden łyk? — słodko zamyślił się Machno.

— O, tobie, bat'ku, dałby ze szczerego serca — zapewnił go ktoś. — Tobie i buławę hetmańską odda ze swoich skarbów zaporoskich. Bo jesteś największym hetmanem naszej swobody!

Zmęczeni przeprawą i znowu pijani machnowcy tłumnie okrążyli swego watażkę na płoniach naddnieprzańskich.

— Bat'ku, natchnij nas swą siłą!

Ale on wcale się z nimi nie liczy i pozwala sobie tak do nich przemawiać:

— Wy, bandziochy z szablami! Bandziochy i tyle! Ja wam stworzyłem ideę! Dałem dynamit duchowy! Ze mną wzniesiecie się na wichrze powstania, jako rycerze stepowi się wzniesiecie, by zbudować pierwszą w dziejach społeczność bezpaństwową, by ustanowić władzę bez władzy...

— Natchnij nas, bat'ku, natchnij!

— Ale najpierw dam wam swobodę, byście się nią upili! Przede wszystkim trzeba zniszczyć wszystko stare! No, jazda, wstrząsnąć nim! — I Machno trzonkiem nahajki wskazał w stronę płoni, na sobór przesłonięty mgiełką na horyzoncie.

— Hajda, na sobór! Wziąć go szturmem! — Tak nakazała nahajka atamana, ozdobiona chwaścikiem.

I już na bruku przedmieścia swoboda dudni kopytami; już drzwi soboru na oścież; konie koło soboru z pustymi już siodłami, dymią potem. A ci miotają się wewnątrz — rozwarli carskie wrota, ciągną szaty liturgiczne, kielichy, różne przedmioty kultu religijnego, pokrowce, haftowane ręczniki hafciarek petrykowskich... Olbrzymi hulajpolec przysiadł, ściągnął z nóg buty i nożyska swe owija jedwabnym pokrowcem; towarzysze przebiegają obok niego, zęby ich błyskają w rechocie.

— W onucach jedwabnych będziesz teraz chodził?

— A co? „Będziem, bracie, z purpury onuce robili..." Tak właśnie robię.

Koło ołtarza też rechot: tam porubstwo przyjmuje komunię, piją, zbrodniarze, wino z kielichów złotych... Lecz popa nie ma w pobliżu, nie biegnie swoich skarbów ratować, umiera gdzieś ze strachu, gdyż słyszał, jak ci mołojcy pewnego popa, podejrzanego o uprawianie szpiegostwa dla „białych", pochwycili i na Symelnikowie żywcem do paleniska w parowozie wepchnęli. Z rechotem wpychali, bo pop był otyły, z wielkim brzuchem i w palenisku się nie mieścił. Sprzeciwiał się, by łój z niego wytopiono, wyrywał się z łap, stawy trzeszczały w tej szarpaninie i pop rzucał w twarz Machny tylko jedno słowo:

— Satana... satana...

Gwizdy rozlegają się w całym soborze. Bo oto plutonowy Szterewera wyszedł zza ołtarza w kudłatej czapie, w ryzie w narzutkę, i gwizdnął ostro, by okazać swą siłę i nieustraszoność. A gdzieś z boku, z mroku, ktoś rozkazująco huknął:

— Nie gwiżdż!

Krępy charakternik, siwowąsy Jawornicki zjawił się jakby spod ziemi. Wielu machnowców znało go z widzenia.

— Czego chcesz, dziadu? — groźnie spytał Szterewera.

— Nie należy gwizdać w domu. Powinieneś znać obyczaj ojców.

— Toż to nie dom!

— Tym bardziej. Świątynia! Świątynia piękna, historii, świątynia budownictwa kozackiego... A wy jak w stajni...

— Milcz, dziadu! Bo u nas za takie słowa... raz!... i kiszki wypłyną albo na słup telegraficzny! Widzisz szablę? Jeden ruch i duszę z ciebie wypuszczę!

— Moja dusza, chłopie, wcale się ciebie nie boi.

— Eheee!... — Szterewera ujął się pod boki, stał przed profesorem zdziwiony. — Jesteś nieśmiertelny? Żadna kula się ciebie nie ima? A może, pozwól, spróbuję...

— Ty mnie nie strasz szablą... Słyszysz, porohy za Dnieprem ryczą? I kurhany gadają, i wichry huczą! Moje dzieło będzie trwało wieki! Repin mnie malował, a ty, smarkaczu, chcesz mnie rąbnąć? — głos Jawornickiego rozbrzmiewał w soborze mocno, władczo. Zupełnie jakby się nie obawiał zbrojnej watahy.

Jednemu machnowcowi, co wziął się do krzesania ognia krzesiwem, by zapalić papierosa, Jawornicki wyrwał z rąk krzemień i hubkę, odrzucił ze złością, butem zadeptał.

— Paliwody! Zbereźniki! Łajdaki! Precz z soboru!

— Oj, tatuńciu, bo będziemy strzelali! — zagroził machnowiec, podnosząc krzemień z posadzki, dziwiąc się swojej powściągliwości.

— Jak masz pustą makutrę na karku, to strzelaj! — krzyknął profesor. — Po twojej stronie siła, po mojej prawda. Siła się rozwieje, lecz prawda zostanie.

Głos jego dudnił w całym soborze, aż na dworze słyszano, toteż ktoś stamtąd huknął:

— Prowadźcie profesora tutaj! Sam Nestor Iwanowicz będzie z nim rozmawiać.

I oto stoją obaj przed soborem. Ten — naukowiec, z plecami przygarbionymi i z wąsami zaporoskimi; tamten — obwieszony bronią, o kościstej twarzy, z przetłuszczonymi włosami spadającymi na ramiona, władca żywiołu. Machno wpatruje się świdrującym wzrokiem w Kozaka, a tamten spogląda na niego spokojnie, mierzy go od góry do dołu.

— Czemuś to, profesorze, pokłócił się z moimi mołojcami?

— Z powodu ognia. Nie krzesz, powiadam, a on krzesze. Widzicie go, Herostrat się znalazł z futoru Gołopupy... Dla niego to nic sobór spalić... A tyś go zbudował?

„Co go ośmiela w ten sposób wyrażać się przy mnie o moich orłach? — Machno uważnie przyglądał się profeso-

rowi. — I po co ja go słucham? Dlaczego toleruję? Jaką on siłę reprezentuje? Czy dokoła już się rozlewa morze komuny? Czy on naprawdę śmierci się nie boi? Taka to odwaga zaporoska jest w tym wąsaczu?"

— Profesorze, tobie się nie podoba moje wojsko czy moja idea?

— To nie idea, do której się idzie po ruinach i trupach. Duch niszczenia, żywioł burzenia — to nie mój żywioł...

— Bat'ku, po co my z nim w dyskusję się wdajemy! Od razu widać, że przeciwnik, wróg powstania... W kozacką koszulę się wystroił, a w domu chyba futra burżujskie mole zjadają.

Spochmurniał Machno. Złe, wąskie wargi zacisnęły się, zrobiły się jeszcze węższe. „Cóż to się ze mną dzieje? Dawniej byś mi nawet nie pisnął, starcze. Za samo tylko takie spojrzenie ja bym cię... A teraz antyfony zawodzę... Czegoś tam w sobie nasłuchuję. Chcę coś posłyszeć. Ale co posłyszę? Twoje nieprzejednanie? Ryczenie porohów, które za tobą ryczą?... Cara-ś się nie uląkł, ale ja stoję wyżej niż car!"

— Dawać tu mego ciurę! Jagora!

Na luty okrzyk Machna w otaczającą gromadę wepchnięto chłopaka z batem w ręku. Machno wetknął mu do ręki nagan.

— Masz! Trzaśnij go! — wskazał na Jawornickiego. — On obraził całe nasze wojsko.

— Celuj! Celuj mu w kiszki! — podjudzano z tłumu. — Naciśnij spust. Pal!...

Nogi pod chłopcem się ugięły, w oczach pociemniało. Nagan wyśliznął mu się z ręki, upadł na ziemię.

— Nie będę!

— Czemu?

— Nie będę... i basta!

Machno zarżał śmiechem mrożącym krew w żyłach.

— O, to lubię! Udał mi się chłopak. Mój charakter! Za to cię lubię — zachłysnął się własną wielkodusznością i zwrócił się do Jawornickiego: — Daruję ci życie! Za to, żeś okowity carowi nie dał. A mnie byś poczęstował?

— Daleko to stąd. — Jawornicki uśmiechnął się niewyraźnie. — Muzeum jest w mieście, a miasto nie twoje, drużyny robotnicze je mają.

— Za łyk okowity miasto zdobędę — z przechwałką w

głosie powiedział Machno. — I muzeum twoje zwiedzę. Mam tu przy sobie szablę emira bucharskiego, chcesz, zostawię w muzeum na pamiątkę?

— Moje muzeum jest zaporoskie — bąknął Jawornicki. — Zbieram przede wszystkim to, co zbrojownie zaporoskie dawały. Zbieram opromienione sławą...

— I co jeszcze?

— ...radło chłopskie biorę, lemiesze od dawnych pługów... — Spojrzał na chłopca, jakby tylko do niego mówił. — Czółno kozackie. Warsztat tkacki. A do tego jeszcze i ożóg hutnika, który za Dnieprem zbudował pierwszy piec... Tylko takie rzeczy zbieram.

Mówiąc to Jawornicki spostrzegł, że chłopak, który miał go zastrzelić, słucha go uważnie. I jakby tylko jemu jednemu profesor tłumaczył, jak wielkie, jak cenne dla człowieka są takie skarby.

— Metal wytopić, to nie zupę ugotować, chłopcy... Kiszki wypruwać byle głupiec potrafi. A tajemnica mistrzów, tajemnica, dajmy na to, stali damasceńskiej... Kto z was coś o niej wie?

I spojrzał z zadumą na Machnę. „Ty jesteś człowiekiem-legendą, dlaczego twoja działalność jest taka ciemna? Czemu w tobie tkwi żądza niszczenia? Czy świat podąża w tym kierunku? Jak to jest, że na scenę wchodzi tylko Burzyciel, a nie Budowniczy?... Ale powinieneś pamiętać o tym, że ten, co burzy, zostanie zdegradowany..."

Ubrany w złote ryzy Szterewera wysunął się naprzód z siwym dzbanem w ręku. Widocznie miał ochotę pobłaznować przed atamanem.

— Dziadu, a dla mnie w twoim muzeum miejsce się znajdzie? Przydam się historii?

— Coś i po tobie zostanie. Może wesz na grzebieniu, a może samogonu dzban. Bo cóż poza tym?

— O, z ciebie kawalarz, dziadu. — Seniuta spojrzał spode łba, skory był bowiem do rozprawy. — Spuścić by ci portki i wsypać za takie żarty.

Wszyscy spojrzeli na Machnę: być może rozkaże. To nie w jego guście długo się z takimi certolić. Może tylko brew zmarszczy lub zrobi nieznaczny ruch palcem do braci Zadowych, a oni od razu wezmą starego pod ramiona — i chodźmy, dziadu, troszkę się przejść, ot, do tych tam akacji, a tam lufa do potylicy i twarzą o ziem, czy jesteś history-

kiem, czy prehistorykiem... Lecz bat'ko Machno postanowił inaczej.

— Ty tu, panie Jawornicki, w całej guberni wsławiłeś się swoimi odczytami o kozaczyźnie, o zwykłych ludziach, nawet kupcom je wygłaszałeś, żeby te hamany pieniądze na rozkopy dawały. Więc teraz oświeć moich mołojców, opowiedz o tym tu soborze... żeby wiedzieli, skąd ich, tych bohaterów powstańczych, wypędziłeś.

I Jawornicki jakoś tym ujęty, uspokojony, udobruchany, od razu zwrócił się do gromady i naprawdę zaczął mówić o soborze. Dawno temu, jeszcze za czasów książąt, sobory budowano najczęściej na pamiątkę zwycięstw, a ten został zbudowany przez Kozaków dla upamiętnienia pożegnania się z bronią, z Siczą. Kamień węgielny położono tego roku, kiedy caryca-suka Sicz rozgromiła. Jej kochanek, Potiomkin, co sam do Kozaków się zaciągnął i Hryćkiem Nieczesą się nazywał, nauką zdrady szukał, ten skurwiony orderonosiec. I wtedy carowa podstępem wdarła się na nasze szańce, zabrała armaty i sztandary, i pieczęć wojskową, a my, choć dokonaliśmy zniszczenia, to sobór święty zbudujemy, dusze swe niebu polecimy, a sobór po wieki będzie uświęcać stepy...

— Ładnie łże stary! — warknął z tłumu ospowaty machnowiec w kudłatej papasze, a Jawornicki spojrzał na niego karcącym wzrokiem.

— Ty swą czapę baranią zdejmij przed tym dziełem! Zdejmij ją przed architektami kozackimi, którzy ten sobór dla ciebie, ladaco, zbudowali... Zobaczymy, co ty zbudujesz.

Machno przyjął to jako aluzję do niego osobiście skierowaną. Wywołał z tłumu Barona, jednego z najbardziej wygadanych swoich teoretyków.

— Powiedz mu — palcem wskazał w stronę Jawornickiego — o naszym ruchu. Odczyty wygłasza, a sam ciemny...

I Baron zaczął przed starym łgać jak najęty, zwijał się jak klown na dywaniku. Zaczął mu mówić o eksperymencie władzy bez władzy, o tym, że dokonają tej próby hulajpolskiej, że będzie to nowa prawda dla całej ludzkości, że będzie to carstwo wyzwolonego indywidualizmu... Znowu wspomniał o całkowitej swobodzie, o wieczystym absolucie, od którego profesor aż się skrzywił jak od czegoś gorzkiego. „Ty mi o absolutnej swobodzie, a ja cię pytam, czy

w ogóle jest ona możliwa?" — powiedział. Baron myślał, że położył starego na obie łopatki, położył i jeszcze mu na dodatek przyłożył Bakunina i Kropotkina. A te sobory to nic innego jak tylko obłuda, czad kadzidła, które stanowią przeszkodę dla rozwoju wolnego człowieka. Dlatego dzwony trzeba z nich ściągnąć i na bindugach zaprzężonych w woły odwieźć do Hulajpola. A co zrobić z soborem, niech sam bat'ko powie.

— No, jak? — zadowolony z wielosłowia zwariowanego rozbójnika Machno spojrzał na Jawornickiego.

— A niczego sobie — odrzekł Jawornicki. — Tylko szablisko, widzę, nie do jego wzrostu... Do czego to dalej dojdzie. Kabury do kolana, szable do pięt... Broń coraz większa, a ludzie coraz mniejsi. Kiedyś, powiadają, ludzie byli tacy, że po lesie jak po trawie chodzili, a teraz... Drobnica. Jak tak dalej pójdzie, to staną się tak mali jak myszy: dwudziestu pięciu będzie cepami młóciło na piecu.

— Och, dziadu, nie zapominaj, że jesteśmy anarchistami.

— Już milczę. Bo wiem, że od anarchii do monarchii niedaleko.

Machnowi żart się spodobał. Chlasnął nahajką po sztylpach, poprawił swe szablisko tak długie, że chwilami aż ziemię orało.

— A więc, Jawornicki, ty myślisz, że jesteś mądry, że cała najprawdziwsza prawda jest otwarta tylko przed tobą, a ja ci powiem, że teraz nadszedł taki czas, iż cała prawda jest tu, na ostrzu mojej szabli.

— Być może, być może — Jawornicki pojednawczo pokiwał głową. — U was na ostrzu szabli, a u mnie o tam, na szczycie soboru, na samym wierzchołku.

Wszyscy podnieśli głowy do góry i patrzyli na wierzchołek soboru. Zapatrzyli się i na jakiś czas umilkli.

Po chwili milczenia Machno znowu zwrócił się do Jawornickiego:

— Powiadają, że o Zaporożcach wszystko zbierasz i zapisujesz, każdą kropelkę sławy zbierasz. A kto naszą sławą się zajmie? Przecież ona na tych tu stepach wyrasta i historia do niej swój wzrok przykuwa.

Czoło Jawornickiego zasępiło się; profesor patrzył ponad głowami machnowców gdzieś na południe, a jego myśli unosiły się być może nad tymi słonecznymi stepami, nad stepami jego młodości, sławnej przeszłości i przyszłości.

A Machno mówił dalej:

— Przeszłość kozacka: niech ona zrobi trochę miejsca wolnego, a ty powiedz, co o nas się mówi. Czy słyszysz?

— Co?... A owszem, słyszałem. Na bazarach ludzie gadają, że niby to banknoty wypuściłeś z napisem, który brzmi: „Hop, kumo, nie żuryś, u Machna hroszy zawełyś..." W Hulajpolu ponoć przyjmują, bo na naszych bazarach nie chcą brać.

— Nałgali, ale ładnie — rechotał Machno. I całe jego wojsko rechotało. — No i co jeszcze? — zaciekawił się Machno jeszcze bardziej. — Jakie piosenki o nas się śpiewa?

— A nie pogniewasz się?

— Skoro pozwoliłem, gadaj.

— Czy chodzi ci o tę?

Och, jabłuszko,
dokąd toczysz się?
Dostaniesz się w ręce nam
I nie wrócisz się...

Machnie mięśnie zadrgały pod skórą policzków, czoło się zmarszczyło — znak, że niebezpieczeństwo bliskie.

Halina Machno z twarzą znużoną od bezsennych nocy i pijatyk, wyrwawszy się z rąk rozbójników mężowskich, lekko dotknęła ramienia Machny, jakby chciała powiedzieć, by nie spieszył do porywania się za szablę emira bucharskiego, bo przecież dał słowo staremu.

— Dać by ci, dziadu, w czapę za takie piosenki... — Podziękuj mi, bo sam szanuję wolność myśli. Dużo jeszcze będzie o mnie pieśni i legend, żebyś tylko zdążył spisywać...

— A tę zapisałeś? — Teoretyk błysnął szkłami okularów w stronę Jawornickiego:

Ech, jabłuszko z listeczkami,
Idzie bat'ko Machno z syneczkami!

Jawornicki nic nie odpowiedział, tylko zaczął zamykać ciężkie drzwi soboru. Zamknąwszy, zasunął rygle i jak pełnoprawny gospodarz znowu odwrócił się z wąsem opadłym ze złości w stronę Machna i jego kompanów. A więc widzicie, mówił jego wzrok, że jednak to do mnie należy, nie do was, i ja tu pełnię wartę. Trupem legnę, lecz was tu nie wpuszczę z waszymi gwizdami, rżeniem i bezeceństwem... W przymrużonych oczach Machny już inaczej złe iskry błysnęły: „Może naprawdę byłoby dobrze oddzielić głowę pro-

fesorską od karku? Chlasnąć szablą emirską po szyi tak, żeby krew trysnęła z żył, potem chwycić za siwy oseledec i nad tłumem witeziów połowieckich wznieść do góry, niech zobaczą, czym się skończy bat'ka „wieczny absolutyzm"...

Halina znowu błagalnym wzrokiem spojrzała na Machnę, on zaś ostro smagnął nahajem.

— Dobrze, nie osierocę twego sławnego muzeum. — Po czym krzyknął w stronę Jawornickiego: — Zjeżdżaj! Nie, zaczekaj jeszcze... A nasze wolne czuby znajdą się w muzeum? — potrząsnął swymi przetłuszczonymi kudłami. — A tupot kopyt naszych rumaków? A gwizd wichrów, które nam w stepie huczały?

Jawornicki bezradnie rozłożył ręce; plecy jego jeszcze bardziej się przygarbiły. Nie wiadomo, czy chciał w ten sposób wyrazić, że wichry może będą?...

Tego wieczora na płoniach paliło się mnóstwo ognisk. Konie rżały, odwracając się od mołojców machnowskich. Machno spił się tej nocy doszczętnie. Jakiś ciężar gniótł jego serce. Nie wiadomo czemu wydawało mu się, że żegna się na zawsze z lasem skarbniańskim. Las, w którym Kozacy podobno zakopywali kiedyś swe skarby, a w którym i on zamierzał cichcem przed swoim wojskiem zakopać beczki ze złotem... Jakoś za bardzo pachnie mu tu jesienią, za bardzo niespokojnie. A przecież to właśnie tu, w tym lesie, w czasie oślepiającego lata rozpoczął swą walkę z hajdamaczyzną i tu proklamowano go „bat'ką"... Mocno się spił. I jak to zwykle bywa w takich wypadkach, na różne sposoby wyrażał pogardę dla swoich wszawych teoretyków. Twierdził, że kiedy razem z nimi jechał taczanką, właśnie od tych teoretyków dostał wszy. I umyślnie czochrał się przy wojsku, wszystkim zaś teoretykom na czele z Baronem kazał usiąść dokoła ogniska i pozdejmować koszule.

— Bo wy i im daliście swobodę: czochracie się i tylko je rozprowadzacie... Lepiej je wyłapujcie i bijcie!

— Kogo, bat'ku?

— Swoje trzódki.

— Mówisz o robactwie?

— Nie o robactwie! O wszach! Swobody nie kazałem im dawać! Uważniej przyglądajcie się im przez swoje lornetki. — Tak się wyraził o ich pince-nez.

A potem rozkazał teoretykom, by poszli do łaźni, wymyli się i odskrobali na Skarbnem.

Obrażeni teoretycy, wydymając i bez tego obwisłe wargi, przeglądali swe koszule. Baron ze złości aż sapał. I to jego, starego zapyziałego rewolucjonistę, który przesycony jest anarchią od Zeonona do czasów współczesnej rebelii, zmusza się do załatwiania tak nieestetycznej czynności, która nie przyniesie żadnej korzyści. Jednak rozłożył na kolanach swe brudne szmaty i przez pince-nez śledzi swych kąśliwych przeciwników, których koniecznie należy niszczyć.

— Ty ich wywabiaj, wywabiaj z zaszewek na wolną przestrzeń — doradzał mu ktoś z sotni sztabowej, która jak w cyrku ze śmiechem i uciechą towarzyszy zajęciu mizernych teoretyków, zajęciu, które ich spotkało na progu cesarstwa wiecznej swobody.

Prócz chłodnej pogardy niczego więcej nie czuł dla tych swoich wszawych słowolejów, mimo że oni dokładali wszelkich starań, by przyoblec swego atamana w szaty wielkości... Ty jesteś pierwszy, ty jesteś pomazańcem historii, jesteś gladiatorem na arenie stepów... A tak naprawdę, kim jest na tej arenie? Gladiatorem czy klownem? Władcą i sternikiem żywiołów czy błaznem jej wielkości historii, komediantem jarmarcznym? Swoboda, wieczysty absolutyzm — to tylko słyszysz od swoich wszawych teoretyków, a sami się czołgają jak płazy, cierpną na samo tylko twoje spojrzenie... Wieczysty absolut! A dlaczego krew tryska od twoich taczanek na całą Ukrainę?... Huczą i szumią nad tobą czarne dęby. Przed siebie nie spojrzysz, widnokrąg pociemniał, dusi, zaciska. A jaka to przyszłość rysowała się przed tobą, kiedy ty, młody katorżnik, po raz pierwszy zjawiłeś się na hulajpolskich wolnych wichrach, mając za uzbrojenie tylko mizerną mrzonkę, zrodzoną przez idealistów minionych wieków... Pozbawię was wszelkiej władzy, skasuję ucisk i będziecie moimi wiernymi bojownikami, synami anarchii, synami wolności światowej. Nasza stepowa republika nie zazna żadnej władzy, żadnej przemocy dyktatorskiej. A sam nawet dyktatury syfilisu i rozboju nie pokonałeś. Jedynie w drodze wyjątku pozwoliłeś sobie na luksus miłosierdzia... Czemuś na to pozwolił, czemuś nie uciekł? Do ideału po trupach — tak instruujesz swe wojsko... Duch burzenia — to twoja siła i twój sztandar...

Las pełen jest gwaru pijanego wojska, gwizdy przeszywają nieprzeniknione ciemności, ciemności śmierci, a przy

ogniskach twoje „gołoworezy" tańczą z prostytutkami, chrypną od śpiewów, huków:

Za matkę Halinę,
Za bat'ka Machna!
Hura! Hura! Hura!

Na ustach „hura", a sami tylko czekają, by w odpowiedniej chwili związać swego atamana i oddać Władzy Radzieckiej za trzydzieści srebrników...

W tych dniach opuchlizna rozniosła mu policzek, fluksja się wdała, nic sobie nie robiąc z włodarza żywiołu... Ból palił taki, że tylko krzyczeć, trzeba było się udać do szeptuchy, by zamówiła. Siedział pokornie nad polewaną misą, a to ścierwo, szamanka, pchała go jak kota spuchniętą gębą do wody, coś wyczyniała na tej szczęce kościstymi palcami... „Skądeś się wzięło, skądeś przylazło? — szeptała ze złością spędzając chorobę. — Ja cię przeganiam, wyklinam, przeklinam! Idź precz, na mchy, na oczerety! Na stepy szerokie, na suche lasy!..." I wciąż wpychała go w misę ze złością, władczo, jakby nie chorobę, lecz jego samego popędzała gdzieś na czakłuńskie stepy szerokie, na suche lasy... Tak to teraz wygląda ta twoja Machnowia i nie wiadomo, czy gdzieś jeszcze oddycha wczesna, młodzieńcza mrzonka, którą zamierzał wprowadzić w życie grubymi, okrwawionymi rękami, ponieść przez stepy, którymi niegdyś jeździli wojacy zaporoscy... Pod malinowym sztandarem chodzili i dusza w nich była malinowa, a jaka jest twoja?

Tej nocy Machno zawołał młodego koniwoda Jagora na spytki:

— Czemuś go z życiem wypuścił? Czy ciebie zaczarował ten diabeł Jawornicki?

— Nie wiem! — szepnął wystraszony chłopak.

— Ożogami hutniczymi? Zaporożcy, hreczkosieje, hutnicy zakopceni — ci są coś warci. A my, zanosi się na to, jesteśmy tylko darmozjadami i burzycielami?

To mówiąc, wpatrywał się w Jagora swym przenikliwym wzrokiem.

— Nie wiem! Nic nie wiem! — z uporem twierdził chłopak.

— On ci się spodobał? Mnie porzucisz? Przejdziesz na jego stronę? — Machno dopytywał się z zazdrością. — Bę-

dziesz z nim łyżki i pociski szrapnelowe odlewał? — Po czym rozkazał Jagorowi: — Na mnie patrz! Bo dokoła widzę tylko ślepia pijackie, mętne, i krwią nalane. Dawno nie widziałem czystych, jasnych oczu. Tylko dzieci takie mają!

Ocknąwszy się cokolwiek, ruszył przez ciemne płonie w stronę soboru, klnąc i mrucząc z przechwałką w głosie:

— Dzwony z ciebie ściągnę, a ciebie spalę.

Być może, w tej chwili zdawało mu się, że na tle drzwi soboru ujrzał potężną postać Jawornickiego, który szeroko rozłożył ręce w geście obronnym: „Nie dam!", bo znowu rzucał w mrok pogróżki:

— Spalę, spalę... Kiedy nadejdzie ostatnia chwila, kiedy coś będzie nakłaniać mnie do modlitwy, wtedy zapalę tę ostatnią świecę, by płomieniem buchnęła do nieba. Zapalę stepom świecę swobody!...

Bełkotał po pijanemu, siedząc skulony na pniu, głowa opadła na piersi, lecz znowu ją podniósł, wsłuchując się w ciemne zarośla, jakby mu coś stamtąd zagrażało.

Ciemne obrazy nocnych hulajpolskich smutków. Może już wtedy przepowiadały mu krach? Może przepowiadały mu Paryż, gdzie po ostatnim rajdzie, po pełnym goryczy błąkaniu się po obcych krajach posępny i zbiedzony wstępował niekiedy do poselstwa radzieckiego i skulony, gdzieś w kącie sali kinowej, zwierzęcym wzrokiem spoglądał stamtąd na ekran swego życia, przeżywając swe dawne krwawe czyny. Widział katastrofę swej ostatniej przeprawy, słyszał turkot taczanek naładowanych rozmaitym rupieciem, słyszał nawoływania ludzkie i chrapanie koni duszących się w zmąconej wodzie, w poplątanej uprzęży; widział hańbę ucieczki, widział wychodzące na brzeg konie i jeźdźców, którzy w panice przecinają postronki, i płynącą po wodzie czyjąś kudłatą papachę, i nadętą minę pogranicznika rumuńskiego. I tryumfalne powiewanie podniesionych do góry czerwonych proporczyków na tamtym brzegu, już na zawsze dla niego zamkniętym. Bez złota, bez skarbów, jedynie wszami hulajpolskimi przyjmuje go obcy brzeg na wieczną poniewierkę. Przyjmuje, by nową hańbą okryć wygnańca i wszystkie jego szatańskie zamysły, by gdzieś w rozpalonych pustkowiach Sahary pod najemnymi sztandarami legionu cudzoziemskiego odbywały się ostatnie rajdy jego taczanki, z wypłowiałymi malunkami, zabłoconymi grząską ziemią stepowych ukraińskich dróg...

Stepy... W świadomości dzieci z robotniczego przedmiecia utrwaliły się od najmłodszych lat. W wąwozach stepowych, zarośniętych bodiakami, kryły się one wraz z matkami przed Niemcami. Przez przedmieście przejeżdżają samochody ciężarowe pełne kawonów o pstrej, cętkowanej łupinie. Stąd też pod koniec lata wiatr pędzi tumany kurzu, który się miesza z dymami fabrycznymi, i wtedy całe niebo jest przesłonięte. Mykoła Bagłaj pamiętał jeszcze stepy profesora Jawornickiego — stepy spalonych przez słońce kurhanów, w których drzemią dzieła mistrzów greckich, scytyjskich i sarmackie ozdoby. Znał je jako porośnięte piołunem zakamarki historii kozackiej, gdzie głęboko pod ziemią rdzewieje zbroja witeziów wraz z ich nie rdzewiejącą sławą.

I oto ukazały się Bagłajowi w pełni lata, w żywiołowym blasku słońca stepy obfitości, bezgraniczne, jasne stepy pod błękitnym dachem nieba... Jelczyne stepy! Słoneczność barw, złoto stogów, smagłość ciał na gumnach, błyski uśmiechów, rytm pracy, piękno i płynność ruchów przy pracy, pełnia sił i zdrowie kobiet pracujących na gumnach — wszystko to łączyło się dla niego z Jelką, tu i przy tym wszystkim ją poznawał. Czerwone sterty pszenicy uśmiechały się do niego smagłością rumieńców, nawet pochłaniały mu pokryte kurzem drogi Jelczyne. Z nieba namiętnie całowało go upalne, gorące słońce Jelczyne! Na tych wolnych przestrzeniach nieodstępnie towarzyszyła mu dusza Jelki.

Odprowadzając studentów jadących na roboty polne, dziekan wydziału ostrzegał ich, a szczególnie Bagłaja, jako starostę kursu, by wracali bez żadnych tam historii, by nie było potrzeby wydawania nakazów i dla nich, jak to się działo ubiegłego lata... Bo było tak: kilku jego studentów, wysłanych na zbiory kukurydzy, coś tam sobie ubrdało, dla zabawy przyczepili na grabisku jakąś wziętą od brygady traktorowej wyszmelcowaną szmatę i pod tym czarnym hulajpolskim sztandarem hasali po stepie, zaś miejscowy milicjant uganiał się potem za nimi po wszystkich ścierniskach i polach kukurydzianych... W takim wypadku i po takim wyczynie dziekan musiał oczywiście zastosować sankcje. Bagłaj zapewnił dziekana, że jeżeli nawet podniosą

sztandar, to będzie to sztandar barwy Dniepru oraz błękitny sztandar miłości...

I niech to diabli — taki właśnie sztandar rozwinął Bagłaj na całe niebo: na elewator z nim, i z elewatora, jeno wiatr w uszach gwizdał. Dokoła ocean słońca, przestrzeni, która pachnie wiekami, stepowe Hylaje, opisane przez Herodota, gdzie Scytowie-rolnicy hodowali znakomite białe konie, zwane carskimi, które ceniono w całym świecie antycznym. Tabuny tych białych rumaków niekiedy i w czasach dzisiejszych przebiegają z tętentem obok Bagłaja, przegania je jego bujna wyobraźnia.

Studenci szuflują zboże na gumnach, kąpią się w suchej, szeleszczącej pszenicy. Rozebrani do pasa przyszli inżynierowie i doktorzy nauk, ogorzali herkulesi w okularach lub bez okularów, pracują wspólnie, każdym mięśniem doświadczając pożytecznej dla zdrowia pracy, społecznie pożytecznej, dla nich zaś przyjemnej i dla stypendystów pożądanej — masz możność jeszcze raz się przekonać, że ta „uświadomiona konieczność" jest jedną z pierwszych zasad życia. Studenci szybko się dogadali z miejscowymi pracownikami, zdobyli sobie ich uznanie jako weseli, pracowici chłopcy. Twarze mocno ogorzałe, włosy pełne kurzu, ale to nic! Naładują pełny samochód ciężarowy ziarna, położą się na wierzchu — i na trakt, w kurzawę, która ciągnie się kilometrami. Gdzieś wpół drogi do elewatora, kiedy wjeżdżają na wzniesienie, daleko na widnokręgu widać sobór. Błyszczy w słońcu swymi baniastymi kopułami. Owiewa go suche stepowe powietrze, spływa po nim, co sprawia, że sobór wydaje się mirażem. Śpiewny sobór! — tak Bagłaj miałby ochotę o nim powiedzieć, tak chciałby określić harmonijność jego kopuł, wyższych i niższych, znieruchomiałych w odwiecznym tańcu.

Kolega Bagłaja, Giennadij, z wydziału zimnej obróbki metalu, przez swoje zakurzone okulary nie bardzo widział sobór, ale niezbyt go on obchodził. Prymitywny człowiek! W gmachu tym widzi coś mało oryginalnego, wyczuwa w nim naśladownictwo katedry Świętego Piotra w Rzymie, naśladownictwo dzieła Bramantego. Ale tak mógł myśleć tylko człowiek godny pożałowania, wychowany na „wpływologii", a nie współczesny intelektualista — denerwował się Bagłaj. Jak można nie odczuwać, że ma się przed sobą niezależne dzieło architektury, wystarczy przecież tylko

spojrzeć na narastanie jego brył,, na kopuły, ujęte u dołu i jakby mocno ściągnięte pasem kozackim! A samo rozmieszczenie kopuł — wszystkie dziewięć „makówek" ukazuje się jakby w ruchu. W jaki sposób to osiągnięto? Jeżeli jest to element baroku zachodniego, to polega on na malowniczości, na strzelistości konstrukcji. A poza tym przecież wiadomo, że architekt kozacki istniał rzeczywiście, co zostało poświadczone przez historię, zapisane w kronikach: młodzieńcowi na płoniach we śnie się objawił obraz tego soboru. W spiekocie dnia letniego miraże często występują, więc i taki obraz objawił się młodemu geniuszowi w czasie krótkiej drzemki. Zrodził się w jego poetyckim widzeniu od razu jako dzieło jedyne i skończone w swej doskonałości... Bagłaj zapala się coraz mocniej, gdy jest mowa o powstaniu soboru oraz o związanych z nim przekazach, powołuje się, jak zawsze, na świadectwo profesora Jawornickiego. Giennadij zaś słucha z uśmiechem, nawet o coś pyta, a na jego spękanych wargach błąka się ironiczny uśmieszek.

— Ty przecież jesteś człowiekiem współczesnym, Mykoło, jesteś prymusem na kursie fizyki teoretycznej, i po prostu dziwię się, jak możesz zachwycać się anachronizmem, jak możesz ulegać złudzeniom, mirażom.

— Bez miraży nie byłoby obrazów. Tak, myślę, że na to mógłby dać odpowiedź ten, kto się zna na prawach aerodynamiki. A sobór to nie miraż, to najwyższa poezja; myśl ludzka bez ustanku pragnie się zmaterializować i kiedyś to się tu stało. Spójrz, jak płynie pod błękitem! Czy naprawdę ci się nie podoba?

— No, nie, niczego sobie... Ale czemu on tak płynie? Może dla dawniejszego człowieka miało to jakieś znaczenie, ale dziś, roku pańskiego sześćdziesiątego trzeciego? Wszystko podlega procesowi starzenia się. Jak ci wiadomo, starzeje się nawet metal.

— A to się nie starzeje! Tylko sztuce, być może, dana jest tajemnica wiecznej młodości... Musisz zgodzić się z tym, że w naturze ludzkiej istnieje pociąg do idealnych harmonii — świadectwem tego jest choćby matematyka, logika, muzyka... I w tym oto dziele połączyło się to wszystko, wszystko się zlało i powstała wielka, wieczysta poezja. Czy naprawdę nie czujesz tego, że w gronie kopuł soborowych żyje dumny, nie zamierający duch tego stepu? Żyje w nich za-

duma-marzenie, duch narodu, jego najprawdziwszy ideał... Nie będzie nas, ale ten dziewięciogłowy będzie stał, powinien stać!

— Po co? Wytłumacz!

— A po co ja kocham? Po co ty kochasz?

— Moim zdaniem jest to śmiałe przypuszczenie...

— Taki sobór nie należy ani do ciebie, ani do mnie, ściślej zaś biorąc należy nie tylko do nas. I nie tylko do narodu, który go stworzył, należy do całej ludzkości na ziemi.

— Oho!

— Istnieje jakaś świadomość kolektywna w narodzie oraz w całej ludzkości i dlatego powinna być przekazywana z pokolenia na pokolenie. Powinna być przechowywana w pamięci dla przyszłości. Były tu dzikie stepy, a na nich białe konie; były tu dzikie wody Wowczy, ciemne chaszcze Skarbnego pełne były zwierza... Rozłożyste dęby stały nad wodą jak świątynie. I oto przybył tu wielki budowniczy i mocą swego ducha, swoimi dziełami ożywił puste przestrzenie. Nie wiem jak kto, ale ja nie wyobrażam sobie tych stepów bez tej sylwety dziewięciogłowego soboru. Ci, co go zbudowali, myśleli o wieczności. Właściwością człowieka jest pragnienie wieczności, znajdowanie dla siebie celu oraz natchnienia... Wątpię, by w ogóle było coś wznioślejszego niż doskonalenie ducha, uwiecznianie się w pracy, w budowaniu swych dzieł. Czy według ciebie to też miraże?

— A bez tego nie można być zwykłym prostym człowiekiem, nie można przeżyć?

— Czemu nie, można. Można przeżyć bez soboru i bez pieśni, i bez Rafaela. Można bez tego wszystkiego, na czym zawieszono tablice ochronne i na czym nie zawieszono. *Annę Kareninę* można czytać w streszczeniu, na półtorej stroniczki tekstu. Ale czy przetrwalibyśmy w pełnym tego słowa znaczeniu jako ludzie? Czy bylibyśmy tylko najzwyklejszymi zjadaczami chleba, pożeraczami szaszłyków? Ciężarem dla historii?

— Zapominasz, przyjacielu, o jednej rzeczy: wiek nasz nie przywdziewa zbroi rycerskiej. Wiek nasz nakłada hełm przeciwatomowy i na to trzeba zwrócić uwagę.

— Wiem. Rozumiem. Myślisz o finale międzyplanetarnym. Ale jego może wcale nie być. Zamiast tego stadium istnienia, poeci biblijni nazwali to sądnym dniem, może człowiek dojdzie do nieśmiertelności, do nieskończoności?

— Nieśmiertelność, jakiego ona jest koloru? Jak ją można zrozumieć?

— Jest koloru nieba! A zrozumieć ją można jako swobodę! — W ten sposób Bagłaj woli to określać, leżąc na pszenicy. Niebo nad nim — błękitna kopuła soboru planetarnego, bez rdzy, bez chmurki, jedynie gdzieś na krańcach tej niebieskiej kopuły przecina ją smuga spalin z samolotu odrzutowego. — Skoro już mowa o nieśmiertelności, to sztuce do niej najbliżej.

— Zaraz posłyszę, że człowiek to wielka...

— Nie zawsze jest wielki, lecz bywa wielki, to prawda.

— Czy nie jest sekretem, kiedy bywa wielki?

— Wtedy jest wielki, kiedy pracuje, kiedy buduje świat szczęścia ludzkiego, kiedy tworzy...

— W twórczości kryje się cały sens?

— A choćby! Mistrzowie antyczni, budowniczowie wieków późniejszych... Czyż oni nie usprawiedliwiali swego istnienia na ziemi? Człowiekowi właściwa jest celowość życia, odczuwanie nieskończoności. Człowiek pragnie docierać jak najdalej w przyszłość. Czy to nie jest naturalne? Wszystko, co żyje, pragnie tego. Nawet kwiat zakwita po to, by zostawić po sobie nasienie, żeby w przyszłości znowu zakwitły kwiaty... Nawet ten, co dziki wypychał i wystawiał w soborze, przynajmniej tak... przynajmniej tym chciał się uwiecznić. Jest to oczywiście kazuistyka, rzecz śmiechu warta, chodzi tu tylko o dążenie, o potrzebę pozostawienia śladu... A twórczość jest niezniszczalnym śladem człowieczeństwa; jego wzloty, jego szczyty, na których panuje duch pokonywania śmierci, duch niezniszczalności...

— Przyszłemu człowiekowi nawet zęby nie będą potrzebne. Będzie się odżywiał z tubek kaszką jak niemowlę. Serce nie będzie znać zawałów, lecz jako pompa mechaniczna będzie tłoczyło krew do żył. Wieczne serce. Ale czy będzie zdolne do tworzenia dzieł sztuki? Nawet obecnie... Dlaczego tak dużo jest patologii w dzisiejszej sztuce? Uczucie osierocenia człowieka współczesnego jest faktem. Ależ namnożyło się kudłaczów!... Tych „ludzi nijakich", jak ze smutkiem wyraża się o nich nasz mądry agronom... Co ich jednoczy? Czy nie uczucie osierocenia, chłód przyszłych zim?... Śpieszą się ogrzać tym jeszcze rzeczywistym słońcem... W dodatku jedynym... A mogłoby być tych słońc na naszym niebie, powiedzmy, dwa czy trzy. Lecz czemuś

jest tylko jedno, zapasowego dysku nie ma i to jedyne słońce również, jak wiadomo, kiedyś się wyczerpie... I my, zdając sobie z tego sprawę, pragniemy uniknąć chłodu, który grozi w przyszłości. A na razie wszystko to twoje... Kielichy słodyczy twórczej... A może to tylko napój zapomnienia?

— Nie, nie napój zapomnienia. Pragnienie, potrzeba. Samo powietrze, którego domaga się dusza, jej niezniszczalne pożądanie piękna... Czyżbyś myślał naprawdę, że człowiek nie pokona chłodu przyszyłch zim? Że dusza usycha i z czasem pozostaną tylko szkielety intelektu? Nie od ciebie pierwszego słyszę, że świętości z życia znikają, a na ich miejsce coraz więcej wdziera się cynizmu...

— W takim razie powiedz mi, skąd się biorą kłusownicy? Kłusownicy rozmaitego autoramentu i w różnych sferach. Czy nie są oni zbyt wyraźnym symbolem czasu? Kłusownik zmusza do liczenia się z nim.

— Ja wierzę w budowniczych. Wierzę w przemiany. Burzyciel i wandal już jest przez nas wyklęty i będzie przeklinany przez przyszłe pokolenia. Wyobraź sobie, że z tej platformy samochodu ciężarowego zostałeś nagle przeniesiony gdzieś w daleką przyszłość, tam, gdzie trudno by ci było uwierzyć, że kiedyś żyłeś tam w czasach, zanim zjawili się Kolumbowie kosmosu. Kiedyś musiałeś krztusić się cuchnącymi dymami i czadem fabrycznym uważając, że jest to rzecz zwykła. Widziałeś w życiu budowniczego i pseudobudowniczego... I byłeś współuczestnikiem biurokratycznych nonsensów, ziemnowodnych płazów, karierowiczostwa, widziałeś na własne oczy różnych kłusowników. Otóż w tym życiu, gdzie już nie będzie żadnego kłusownika ani małego, ani wielkiego, gdzie nie zobaczysz Pigmejów z tobołkami, lecz kwitnących zdrowiem atletów, ludzi pięknych duszą i ciałem, tych, dla których poczucie szczęścia jest zasadą istnienia... Wyobraź to sobie! Jaki stamtąd będzie ci się wydawał ten nasz sobór i freski świętej Zofii, i madonny Rafaelowskie... Stamtąd spójrz na to wszystko. Stamtąd spróbuj ocenić. Czy nie takimi oczami patrzymy obecnie na arcydzieła Hellenów, Etrusków, mistrzów starego Egiptu... Czas staje się coraz bardziej skondensowany, wieki się starzeją, a dzieła sztuki wiecznie są młode. Tak to, mój drogi technokrato!

Technokrata sądzi, że z Bagłaja mógłby być całkiem do-

rzeczny inżynier, lecz, by tak się stało, powinien mniej przenosić się do różnych epok, mniej się zajmować bezprzedmiotowymi wizjami, które raczej nie mogą wpłynąć na polepszenie w przyszłości stali. Bagłajowi natomiast zdawało się, że jego towarzysz naumyślnie przesadza w swojej praktyczności, bo chyba z natury rzeczy człowiek pragnie zajrzeć poza obręb wieków, pragnie sobie wyobrazić, jakiego wzruszenia dozna spadkobierca na widok kurhanu stepowego i dalekiego horyzontu płoni, i wiosennych trelów słowiczych na Skarbnem... Jak można przypuszczać, że tam już tego wszystkiego nie będzie? Co w takim razie będzie? Pieśni robotów? Malarstwo Rafaelów elektronowych? A co będzie z tym, co stworzyła kultura każdego narodu? Co z soborem, z tradycjami narodowymi, z nieocenionymi znaleziskami Jawornickiego?

Giennadij sądzi, że to jest tylko „malowanym workiem", w którym wszystko się zmieści.

— Ty chcesz, żebym ja się tym wszystkim zachwycał? Żebym był wdzięczny wszystkim moim współplemieńcom, którzy wymyślili obyczaj całowania rąk oraz filozofię pokornego cielęcia, które ssie dwie matki, jak również mądrość „moja chata z kraju"? Chcesz, żebym odkrywał na każdym rogu lokal z pierogami, gdzie nie ma pierogów jadalnych? — Okulary oponenta już połyskiwały złością. — Może jestem komuś potrzebny jako dekoracja, ale ja nie chcę być dekoracją. Siedząc na grochowinach, mimo wszystko udało mi się piec białe chleby, by nimi i solą witać gości. To jest to, co muszę brać ze sobą na drogę życia? Nie, pięknie dziękuję za takie zdobycze. W pas się kłaniam czy, jak ten nasz rytuał nakazuje, do ziemi się kłaniam! Kiedy słucham radia, to dostaję mdłości od tych „ukłonów". Rozumiesz? „Do samej ziemi pani się kłaniam, droga królowo Kukurydzo! Do samej ziemi kłaniam się panu, carze Grochu! Palanice pszenne mi zbrzydły, wolimy przejść na papki grochowe."

Bagłaj rechotał, tarzając się po pszenicy. Uspokoiwszy się, usiadł i uścisnąwszy weredyka za ramiona, powiedział:

— Dobrześ to sformułował... Ale dlaczego bierzesz tylko tę ostateczność i „chatę z kraju" oraz pokorne cielątka? Przecież przez ciebie samego w tej chwili przemawia nie niepokorne cielątko, lecz co najmniej wieprz nowej epoki...

Jakiś czas znowu milczeli. Giennadij przecierał zakurzone okulary, żeby mógł lepiej widzieć.

— Czy człowiek współczesny wzbogaca się duchowo? A jeżeli się wzbogaca, to w jaki sposób i czym? Co mianowicie zdobywa? A co traci?

— Nad tym właśnie mieliśmy się zastanowić.

— My obaj?

— Jeżeli nie my, to kto? Ty tu cały czas oponowałeś przeciwko, twoim zdaniem, gorszym stronom, przeciwko „unikom", które i dla mnie są niemiłe, szczególnie gdy się przystrajają we współczesne grochowiny... Ale była mowa nie tylko o tym. Były nie tylko formuły zacofanego chłopstwa, było i coś innego, z czego bierzemy swój rodowód.

— „Ja, syn narodu, który podąża w górę"?

— Przestań ironizować! Właśnie o to chodzi.

— Jesteśmy najwspanialsi?

— Nie najwspanialsi, ale i nie gorsi od innych. Jesteśmy synami narodu, który burzył stary, niewolniczy świat przy pomocy pancernych pojazdów naszej nienawiści; matki przekazywały nam w spadku nie pyszałkowatość, nie pychę i zachłanność, lecz poczucie honoru i umiłowanie swobody. To przecież jest coś warte! Jesteśmy synami Barykadowanych Ulic, Gniewu Szewczenki, jesteśmy synami Kibalczycza. Te sobory to metalurgiczne cytadele tamtej epoki... Tytana rewolucji wznieść nad nimi... O, przyjacielu, to nie owoc niskich do samej ziemi ukłonów!

— Niech będzie i tak, ale jaki to ma związek z twoim soborem oraz ze skałkowymi piszczelami Jawornickiego?

— Bezpośredni. Nie tylko z powodu piszczeli jest mi drogi ten niespożyty dziadyga. Bo nie tylko piszczele i okowitę wykopywał z mogił, on wydobywał z zapomnienia samego ducha republiki kozackiej, wdeptanej milczeniem, tak samo jak zapomniano o ocenie Marksa. A dla nas jest drogi duch wolności i patriotyzmu, który żył szeroko i wesoło, właśnie za tym zatęskniliśmy. Może tej witaminy i tobie samemu brakuje, może on uwiądł w integrałach, spadkobierco kozacki? Jeśli duch będzie zdrowy, to i ciało będzie zdrowe. Bo spójrz na siebie, słabowite dziecko wieku: do czegoś ty doszło na głodowych racjach refleksji, na niepożywnej diecie pesymizmu! Mięśnie dziecięce, szkła na jasnych oczętach... Twój praszczur sokoła trafiał w locie, nieżyt nie walił go z nóg. A o czym oni mówili?! Jaki duch panował

w tych ich rozmowach! „Ja, panie koszowy, gardłem swym ręczę, na kawałki każcie mnie porąbać, jeżeli wyrzeknę się prawdy i moich towarzyszy!" W tym stylu kiedyś przemawiali twoi chortyccy przodkowie. Ludzie byli ze spiżu. My, oczywiście, też jesteśmy ze spiżu. Obaj to jeszcze pokażemy — zapełnimy elewator pszenicą po brzegi, że hej! Głowa do góry, towarzyszu przodowniku pracy!

Milczy przodownik pracy, płatami schodzi z niego cienka inteligencka skóra, osmolona gorącym słońcem.

W drodze powrotnej od elewatora technokrata też milczał, spoglądając przez okulary na łyse kurhany, na sobór, na potężne wiatraki nawadniające, które w kołchozowych ogrodach strzelają strumieniami wody i w tych rozpryskach tworzy się tęcza... Dziewczęta pracują. Jedna z daleka powiewa im białą chusteczką. Bagłaj aż się podniósł: czyżby Jelka? Czyżby rzeczywiście ona tam była?

Bagłaja nie przestaje dziwić to, co zaszło między nimi. Czy nie są dziwne te intymne zbliżenia dwojga ludzi? Nie wyjaśnione są drogi rodzenia się uczucia, które z taką siłą nagle odezwie się w sercu i objawi się takie właśnie, a nie inne. Znaleziona zostaje wzajemność dwojga ludzi i jest przyjmowana jako ważne odkrycie, jako szczęście... Dlaczego, mimo że tyle spotykało się dziewcząt i nawet ładnych, żadna nie zburzyła równowagi, a to dziewczynisko zielonookie, wcale nie kokietka, wydało się czarodziejką, jasnością napełniło twą duszę, przypięło ci skrzydła, napoiło radością, rozwinęło twoje życie. Raz po raz widzi ją w swej wyobraźni, widzi jej zielonkawe oczy, przymrużone w zadumie i trochę w nieufności; widzi jej ręce, w których trzyma gumowego węża do polewania, i zgrabne, zroszone nogi, pewnie stojące nad grządkami truskawek, które są podlane tak obficie, że krople na nich są wielkie jak owoce... I ten pocałunek koło soboru. Jakżeż on go sparzył!... A uśmiech posłany mu z autobusu, w uśmiechu tym było tyle, tyle jakby matczynej pieszczotliwości, tyle czułości, że aż poczuł ból. Jeden raz się tylko spotkali, a ile to w nim obudziło, jak radośnie poruszyło jego duszę, cały świat mu się rozjaśnił. Pijesz jego upajające piękno i wciąż nie masz dość.

Zakochanego człowieka zauważysz od razu, zakochanie z niego promieniuje — w gorącym spojrzeniu, w nieśmiałych uśmiechach, którymi mimo woli obdarza każdego. Ko-

biety na gumnie podżartowują sobie z Bagłaja: od razu widać, powiadają, że jest bezgranicznie zakochany... Obfity urodzaj zwołał na gumno wszystkich — są tu pracownicy kołchozu i urzędnicy, i medycy, i nauczyciele... Kobiety tu oko mają spostrzegawcze: tylko patrzcie, dokąd pójdzie ten atletycznie zbudowany student, który pracuje przy odwożeniu ziarna; gdzie tylko przysiądzie, tam zaraz zjawia się nasza „Angielka". I rzeczywiście: gdy tylko w czasie przerwy obiadowej położy się z Giennadiem na złotych snopach świeżej, pachnącej słomy, by odpocząć po pracy, już i ona tu jest — Tałka, młoda nauczycielka angielskiego, która poruszając się po gumnie tak kołysze biodrami, jakby szła chodnikiem po bulwarze. Przysiądzie się do Bagłaja, potrąci go familiarnie swą delikatną rączką:

— Niech pan nie będzie milczkiem. Proszę powiedzieć, co tam u was nowego: kto na występy pojechał? Co teraz się tańczy?

Zachowuje się tak, jakby przebywała gdzieś na biegunie północnym. I wciąż siada tak, by pokazać nogi i zwrócić uwagę na biust.

Bagłaj nie bawi się z nią w ceremonie:

— Niech pani nie przesadza! Można by pomyśleć, że znajduje się pani gdzieś na krze w Arktyce, Tałko. Albo w dżungli Kalimontana. Niech pani nie komplikuje sytuacji. Kilka godzin porządnego trzęsienia się na ciężarówce i już jest pani na bulwarze pod wieczornymi neonami. Chociaż i tu, w stepach, nic strasznego nie widzę. Można żyć. Zupełnie dobrze!

— To panu tylko tak się wydaje. Jest pan tu czasowo. Ale jak ja... Przez całe życie słuchać w nieskończoność: „Dzień dobry!" Ktokolwiek idzie ulicą, zawsze tylko: „Dzień dobry!" i „Dzień dobry!" Przyjdę do szkoły, a tam szum, gwar, dzieci nieposłuszne, z dyrektorem nieporozumienia...

— Szkoda, że nie jestem pani dyrektorem.

— Pan byłby wobec mnie uprzejmiejszy?

— Tak. Zamiast w nieskończoność „Dzień dobry", jeden raz powiedziałbym: „Żegnam!"

Siedziała nadąsana. Jej palce o czerwonych paznokietkach z odpryśniętym miejscami lakierem jakby w zapamiętaniu łamały źdźbło słomy.

— Proszę nie zapominać, Mykoło, że jestem kobietą cywilizowaną, że wychowałam się w mieście.

„Twoja cywilizacja, wybacz mi, gołąbeczko, jest na koniuszkach twych paznokci... W dodatku też się złuszcza" — pomyślał Bagłaj. Nie chciał psuć jej humoru, tylko powiedział:

— Wszystko zależy od pani samej. A poza tym od słońca.

— Dlaczego od słońca?

— Czy pani nie wie, że samopoczucie człowieka, nawet jego nastrój, zależą od wybuchów na słońcu?

— Nie wiedziałam o tym. A miłość, pana zdaniem? Czy też jest związana ze słońcem?

— Niewątpliwie. Reakcje na słońcu są najmocniejsze, zapewniam panią.

Technokrata się ocknął; we włosach pełno słomy, bąkał coś o snach, które go dręczyły w czasie drzemki, a potem oboje z Tałką zastanawiali się, jak słowo „drzemka" będzie brzmiało w języku angielskim.

Bagłaj leżał na słomie z zamkniętymi oczami. „Ołenia... Jelcia... Helena... Cudowne imię! Achajowie prowadzili o Helenę wojnę z Troją przez dziesięć lat... A ja o ciebie jestem gotów walczyć całe życie."

Nawet pod zamkniętymi powiekami miał obraz Jelki. Największą radość sprawiało mu, gdy widział ją na jawie, gdy widział jej uśmiech, drżenie ust, gdy słyszał jej głęboki głos, pieszczotliwy... To się uśmiechnie, to nagle jakby cień się przesunął i niezrozumiały smutek ją ogarnął... Czemu nie jesteś wesoła? Jak ci się teraz powodzi w naszej Zaczepiance? Złotą kolasą zaprzężoną w białe konie chciałbym mknąć do ciebie przez stepy, przez mosty żelazne przefrunąć na białogrzywych koniach, byle tylko rozwiać twój smutek... Już widział ten dzień, kiedy przepełniony miłością, bez żadnych obrzędowych ceremonii, bez zapisu w Urzędzie Stanu Cywilnego przyprowadzi Jelkę do starego obejścia Bagłajowskiego. „Mamo! — krzyknie w stronę sadu — można mamę prosić na chwilkę?" „Znowu na chwilkę" — zaśmieje się matka i idąc im na spotkanie będzie wycierać ręce w fartuch. A on, wskazując na onieśmieloną Jelkę, powie: „Mamo, ta dziewczyna będzie u nas mieszkała. Jest synową mamy, a moją żoną!" Matka spojrzy uważnie: „Skoroście się pokochali, to mieszkajcie. Kiedyś i mnie twój ojciec tak samo z Kodaków przyprowadził i tyle lat przeżyliśmy ze sobą w miłości. A ty, dziewczyno, nie bardzo mu pobłażaj... Bagłajowie, prawdę mówiąc, są trochę dzicy.

Wydaje się, że jest normalny, ale jak coś wytnie, to ręce opadają..."

„Mamo, kiedyś o kobiety toczono wojny. Były tego godne. A teraz o co toczyć? Zdaje się, że za swe języczki warte byłyby pogardy... A ta, mamo, to moja Helena Przepiękna! To ta, co z syna mamy zrobiła człowieka szczęśliwego... Nikt inny nie mógłby obdarzyć go większą radością, jedynie ona, żadna inna kobieta na świecie..."

O jednym tylko Bagłaj nie wiedział: kiedy się pożegnali koło autobusu, Jelka nie wróciła do Zaczepianki. Jagorowe poszukiwania na nic się nie przydały. Stary się niepokoił, niedobre myśli przychodziły mu do głowy, bo po takich zaciętych, w dodatku bałamutkach, wszystkiego można się spodziewać — mosty na Dnieprze są wysokie...

20

Iwanowi Bagłajowi nie chce się wierzyć, że samolot pasażerski zaledwie kilka dni temu przeniósł go nad najwyższymi górami świata; szczyty ich i grzbiety bez końca oślepiały swym blaskiem, a w dole ciemniały bezdenne przepaście. Samolot płynął na tych wysokościach, gdzie w nadziemskim spokoju odwiecznie panuje oślepiający ocean światła, ocean podniebnej białej wieczności.

I oto znowu pod nogami twarda powierzchnia terenów fabrycznych, akacje go witają, ociężałe od warstw sadzy i kurzu, odsłania się na spotkanie metalowa figura Tytana z żeliwną pochodnią w wyciągniętej ręce. Ze słonecznych przestrzeni znowu powraca do codzienności, do spraw zwykłych, do szumu i hałasu cechów. Był przed chwilą w dyrekcji, w komitecie partii, przywitał się ze wszystkimi, odpowiedział wszystkim na pytania: „No, jak tam?" Jeszcze w Indiach postanowił, że gdy wróci, od razu zabierze Wieruńkę i jazda oboje do kurortu nad Morze Czarne czy gdzie tam. Lecz życie dokonuje swojej korektury tych planów. W cechu gorączka, brak złomu, dyrektor niezadowolony.

— Jak tylko trochę uporam się z planem, wtedy weźmiesz urlop...

A czy Bagłaj nie mógłby od poniedziałku stanąć przy martenie? Bo właśnie uruchamiają nowe konwertory, więc

niektórych hutników tam trzeba było posłać, a przy tej olbrzymiej gruszce do wytopu stali, to rzecz wiadoma, że łatwo próbki się nie weźmie, do wąskiego gardła piecowego się nie zajrzy, trzeba dodawać do wytopu rudy czy złomu według własnego rozeznania, jak ci podpowie twoja hutnicza intuicja. Nie każdy to potrafi. Wyczuć, jaka będzie stal, odgadnąć, jak się odbywa proces wytopu, to jak w twórczości — potrzebny jest talent. Więc bierz, Bagłaju, swoje rękawice, znowu od poniedziałku wkładaj swe kapeluszysko z szerokim rondem i niebieskie okulary... Obiecałeś, więc trzeba pomóc.

Pozałatwiał sprawy i formalności, gdzie należało, i teraz czeka na Wieruńkę, która zatrzymała się w oddziale. Umówili się, że będzie na nią czekać tu, w parku fabrycznym, koło Filimona. Nie ma już Filimona-stalingradczyka, zamiast niego są tu teraz automaty z piwem. Pomalowane na czerwono jak stacje benzynowe „Shell". W czasie nieobecności Bagłaja poważnie rozwinęła się automatyka. A jednak z Filimonem było weselej. Filimona zainstalowała tu kontrola robotnicza; na tak śliskim posterunku potrzebny był człowiek uczciwy. Nie szkodziło mu to, że stracił rękę na froncie, i z jedną sobie radził, robota kipiała: sam piwo pompuje, sam nalewa, jednemu resztę wydaje, z drugim żartami się przerzuca, a jeszcze na kogoś tam spojrzy czy nie przebrał miarki, czy nie czas ci, przyjacielu, do domu. W sztabie uważano Filimona za pozaetatowego członka. Bagłaj bardzo go szanował, bo mimo iż był inwalidą i zdrowie miał nie najlepsze, to najwięksi pijacy, tak starzy jak i młodzi, na jego widok natychmiast się uspokajali. Uczciwość przydaje człowiekowi autorytetu. Jeżeli któremuś z piwoszów Filimon powie „Dość!", to ten już nie śmie więcej kufla podstawić, a tym, co się zagadali w kompanii i o pracy na swej zmianie zapomnieli, to i wyjść pomoże. I nikt na niego nigdy się nie obraził, bo swój chłop, na pianie piwnej majątku nie zbijał.

Teraz, zamiast Filimona, wirtuoza pracy, automaty zaprawiają robotników „Żygulowskim". Ledwie zmiana się kończy, a przy automatach już się tłoczą hutnicy, piwo piją, złym słowem carów wspominają:

— Tyrany przeklęte! Trzysta lat panowali, ale nie zdążyli dla nas choćby tej najpodlejszej wołby nasuszyć. Choć dymem zagryzaj...

Ledwie zabrał się Bagłaj pragnienie ugasić, gdy za jego plecami rozległ się znajomy głos:

— Kogo ja widzę! Gość z Indii!

Wołod'ka Łoboda otworzył ramiona na powitanie. Czub jak wiecha, policzki jak jabłuszka, z rumieńczykiem dziecięcym, żadnego zmęczenia, utył jeszcze bardziej, brzuszek się pojawił. Potrząsa Bagłajem w uśmiechu, mimo wszystko przyjaciel, więc Bagłaj przy tej spontanicznej radości pomyślał sobie, że matka nie wiadomo czemu nie lubi Wołod'ki. Zdaje się, że to po tym wypadku... Kiedy byli jeszcze chłopakami i Wołod'ka po powrocie z Uralu, z ewakuacji, przyszedł odwiedzić Iwana, w taki sposób sobie zażartował: „No, jak ci się tu żyło, okupancie?" Nawet w żartach był wyniosły. „Czym się zajmowałeś, co robiłeś dla narodu?" Iwan poczuł się nieprzyjemnie. „Żarna robiłem" — bąknął w odpowiedzi. „Jakie żarna?" „A takie, co huczą, że aż w Berlinie słychać" — powiedziała obrażona matka Bagłaja, po czym pokazała mu te żarna, mizerny wynalazek okupacyjny. Fakt był bagatelny, ale matka Bagłaja jeszcze i teraz wspomina te żarna, gdy złości się na Wołod'kę. A zresztą to drobiazg. Wołod'ka z nie udawaną radością przygląda się swemu dawnemu towarzyszowi: no, czyś nie za bardzo zmizerniał na wikcie hinduskim? I widocznie był zadowolony z oględzin: nawet w tropikach nie zmieni się ten muskularny hutnik zaczepiański; oczy z takim samym wytrzeszczem, jak były, na głowie jakby zwój drutu miedzianego, wyraz twarzy stanowczy. Lecz coś nieuchwytnego w niej się pojawiło, jakaś powściągliwość, można by powiedzieć, że wyszlachetniała.

— No, jak tam? Czy są wielkie kontrasty?

— Wielkie.

I jakby chciał dodać: „Widziałem takie kontrasty, o jakich tobie, bracie, nawet się nie śniło." Ale nie powiedział.

Twarz Wołod'ki o zadartym nosie promieniała.

— Tak wygląda teraz nasza Zaczepianka! Do dżungli za równikiem naszych przodowników pracy zapraszają: przyjeżdżajcie nas nauczyć, drodzy metalowcy ukraińscy. Przekażcie nam swe doświadczenia. Nauczyłeś ich? Ile z pieca spuszczają stali?

Iwan nie spieszył się z odpowiedzią. Spytał o ojca Wołod'ki. To przecież jego nauczyciel, to od niego Bagłaj nauczył się sztuki hutniczej. Żegnając go, gdy jechał do Indii,

stary Łoboda powiedział z powagą: „Pamiętaj, Iwanie, o honorze hutnika. Żeby o majstrach znad Dniepru i tam dobra sława się rozchodziła."

— Jak się powodzi Izotowi Iwanowiczowi?

— Czy nic ci nie mówiono? Stary żyje sobie w Domu Metalowca. I chyba tam jest równie dzielny — mówił Wołod'ka, a jego czoło przesłoniła chmura; mówił o tym, że lata płyną i swoje robią, a usposobienie starego staje się coraz gorsze. Stary już jest, a zachowuje się jak dziecko, trzeba mu dogadzać, a cóż może zrobić nieszczęsny kawaler i bez tego przeciążony obowiązkami? Nawał pracy i pośpiech go zabija. Wprawdzie próbował założyć rodzinę, wtedy może by zabrał starego do siebie, lecz twój braciszek stanął na mej drodze...

Iwan coś niecoś już słyszał o zaczepiańskich zaręczynach z niespodziewanym happy endem... Narzeczona okazała się nie byle jaka i dwóch takich orłów rozpoczęło o nią walkę, lecz żaden z nich nie zwyciężył, ona zaś, jak powiadają, umknęła na ziemie dziewicze... Dla Iwana w całej tej historii jest coś zabawnego, lecz dla Wołod'ki był to cios, teraz ze smutkiem się skarży, że ten chuligański wyczyn zburzył wszystkie jego plany. Lecz jego skargi jakoś Iwana nie wzruszyły, wolałby co innego wyjaśnić do końca. „Jak to się stało, gołąbku, żeś rodzonego ojca, weterana pracy, na utrzymanie państwowe oddał? Tego, który życiem cię obdarzył, który walczył o obecny ustrój i dzięki któremu sam się wybiłeś... A teraz ojciec stał się dla ciebie ciężarem?"

— Nie jestem mściwy, ale Mykole tego nie daruję, otwarcie ci to mówię... On jeszcze poczuje, na kogo się zamierzył...

— Zdaje się, że obaj dostaliście kosza, więc powinniście się pogodzić — uśmiechnął się Iwan i znowu powrócił do sprawy starego Łobody.

— Ja twego starego nieraz w Indiach wspominałem. Jak tylko było coś trudnego, to natychmiast: a jakby to zrobił Izot Iwanowicz?

— Wiem, żeście się bardzo przyjaźnili. Kiedy stary dostał od ciebie kartkę, tę z falami morskimi i palmami... cieszył się jak dziecko. Zdaje się, że dotąd nosi ją przy sobie. Bo my, hutnicy, kiedy już się przyjaźnimy, to ta przyjaźń jest mocniejsza niż stal. Tylko że jesteśmy skromni, i to nam przeszkadza w życiu. Cichutcy jesteśmy, milkliwi.

Wołod'ka, zapalając się coraz bardziej, zaczął opowiadać o tych, którzy w czasie okupacji przechowywali Tytana fabrycznego. Teraz już wiadomo kto, a wśród nich, wyobraź sobie, figuruje Kartaty. Taki on jest! W gruncie rzeczy to bohater, a milczał jak ryba. Inni też. A mogli w swoim czasie zarejestrować się, przejść weryfikację i jeszcze by dokumenty partyzanckie otrzymali...

— No to teraz to naprawimy, wyciągniemy tych skromnych na świat boży. Jeszcze będą prezydowali na naszych zebraniach!

— A tobie jak się powodzi? — spytał Bagłaj.

— Tak sobie... Awansują mnie po trochu. To mnie wysuwają, to odsuwają. Ale coś z tego mam: żegnałem cię jako instruktor, a teraz sam ganiam instruktorów — uśmiechnął się Wołod'ka. Lecz po chwili sposępniał. — Ty przecież wiesz, jakie jest to nasze życie: sto razy dogodzisz, a jeden raz nie udało się właściwie zareagować i wszystkie twoje wysiłki diabli wzięli. Otrzymasz wezwanie, zmyją ci głowę, a spróbujesz się nie dać, to jeszcze przepędzą, a potem udowadniaj, że nie jesteś wielbłądem.

Spostrzegłszy, że Bagłaj słucha jego utyskiwań bez większego zaciekawienia, Łoboda zmienił ton i powiedział dziarsko:

— Teraz chyba będziesz tu przychodził od czasu do czasu, żeby odetchnąć naszym robotniczym powietrzem i kufelek piwa z kim bądź wychylić...

Inni, jak to się mówi, w gabinetach i przy telefonach siedzą, lecz on nie z takich, w nim jest charakter zaczepiański. Kiedyś, gdy był jeszcze tutaj Filimon, zwykł był na miejscu studiować nastroje mas. Tu z robotnikami się porozmawia z całym zaufaniem, coś ciekawego im się podrzuci... Pomysłów mnóstwo! I zaczął z zapałem mówić o kolekturach, o izbach szczęścia i o projektach nowych obrzędów.

Bagłaj, który zawsze trochę ironicznie traktował jego przesadne i fantastyczne pomysły, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wołod'ka od razu ostygł.

— Widzę, że tego nie pochwalasz. Uważasz, że się nie uda? — I chciwie pociągnął z kufla łyk piwa.

— Nie o to chodzi. Ja myślę o samej istocie pracy. Jeżeli już coś robić, to żeby z tego coś było.

Bagłaj umilkł. Łoboda, ściskając kufel w ręku, patrzył na niego spode łba. Dwuletni pobyt gdzieś tam w obcym

kraju widocznie odbił się na towarzyszu, może nawet niekorzystnie, to było jasne dla Łobody, gdy Bagłaj znowu zaczął mówić. Każde istnienie jest cierpieniem, tak twierdzą mędrcy Wschodu. Nirwana, powiadają. Powiadają, że trzeba osiągnąć stan nirwany. To według naszych pojęć pełnia szczęścia. Ale żeby ją osiągnąć, trzeba wyrzec się wszystkiego, co ziemskie, pokonać w sobie żądzę życia, nie przywiązywać znaczenia do pracy, oddać się całkowicie sennej kontemplacji... A jego, Bagłaja, filozofia jest inna: praca i praca. Oczywiście nie pojmowana w sposób zwierzęcy. Nie tylko ze względu na żołądek. I nie bezcelowa, rzecz oczywista, nie na luźnych obrotach. Praca jest potrzebna ludziom i samemu człowiekowi daje zadowolenie. Praca, która duszę wznosi do wyższych regionów. Oto gdzie ludzie powinni szukać dla siebie nirwany.

Łoboda w zamyśleniu postukał palcem w stolik.

— Kiedy cię słucham, myślicielu, to moja praca nic nie jest warta. Wszystkie pomysły, inicjatywa, to tylko na pokaz, tak przynajmniej to wygląda. Miotanie się bez celu? Nie, przepraszam: nigdzie nikomu baki nie świeciłem, nigdy nikomu oczu nie mydliłem.

— Mieliśmy już Potiomkina, z którym nie możesz się równać — uśmiechnął się Bagłaj. — To jest pierwszy, co bakę świecił. Geniusz pozorów...

„Wydwiżeniec" stał nad swym kuflem z opuszczoną głową. Ależ przysporzył mu problemów ten nowo upieczony myśliciel zaczepiański. Znałby się lepiej na swojej stali, ale nie: lezie w jakieś nirwany... Nikt dotąd nie podawał w wątpliwość działania Włodzimierza Łobody. Przeciwnie — doceniano go, popierano. Jeżeli niekiedy nawet krytykowano, to nie wpadano w ostateczność. Wszyscy widzieli, z jakim poświęceniem pracował, jak nie oszczędzał siebie... A teraz wygląda na to, że wszystko na próżno? Według Bagłaja to przypadek sprawił, iż pracuje na niwie kulturalnej, że wszystkie jego wysiłki to bańki mydlane. Umrzesz i żaden pies po tobie nie zaskomli.

— Ależ naopowiadałeś mi, Iwanie, naopowiadałeś! Mam teraz o czym myśleć, a zwłaszcza o tych twoich nirwanach — westchnął Łoboda ze smutkiem.

W tym właśnie momencie w oddali pojawiła się Wieruńka. Już stamtąd uśmiech jej jaśniał i dumnie niosła swe piersi mocno opięte nylonową bluzeczką. Widać było, że

wyszła spod prysznicu odświeżona, uczesana, białe jej ciało przeświecało przez przezroczysty nylon, przyciągało uwagę. Ale Wieruńka jest taka zawsze, teraz zaś jest tylko odrobinę dumna — niech wszyscy wiedzą, co mąż przywiózł jej z Indii. A jeżeli znajdzie się kiedy na bazarze, to modnisiom miejskim pokaże zęby w uśmiechu: patrzcie, patrzcie, ta nie dająca się ująć pod strychulec kobieta przynajmniej o trzy lata wyprzedziła je swoim nylonem. Ale Wieruńka nie przywiązuje do tego znaczenia, jest ponad to, niech sobie gadają, a jej się podoba i tyle. Niech nawet w czymś tam brakuje jej gustu, jeśli chodzi o elegancję, za to jej rękom nie brakuje siły i umiejętności, gdy kieruje swym dźwigiem.

— Czym tam mu dosoliłeś? — spytała Wieruńka, skinąwszy głową w stronę Łobody; zorientowała się w jednej chwili w nastroju ich obu. — Ledwoście się spotkali, a już obaj jesteście nadęci jak puchacze.

— Rozmawialiśmy na różne tematy — weselej już odrzekł Iwan.

Wieruńka też zażądała kufla piwa. Toć przecież przyjemnie postać ze swoim ślubnym przy stoliku nad kuflem, zdmuchując piankę: od razu widać, że nie jest to jakaś niezamężna, lecz szanowana przez małżonka pracownica fabryki, która odpoczywając po pracy przyszła tu na piwo.

— Wieruńka też biegała do Komitetu obwodowego ze skargą na mnie — powiedział Łoboda do Iwana. — I to moja kuma! Z jakiego powodu skarżyła? Z powodu tego nieszczęsnego soboru!

Opowiedział pokrótce historię starcia. Dopiero teraz się przyznał, że była mowa „na górze" i że z tego powodu stracił trochę w oczach zwierzchnictwa, lecz mimo to dotąd obstaje przy swojej racji.

— A czym to się skończy — czas pokaże. — W głosie jego słychać było ton urzędowy. — Bo nad wyższą instancją stoi jeszcze wyższa, która podejmie decyzję właściwą. Za wcześnie nad tym debatować, ale sobór i dziś znajduje się pod wielkim znakiem zapytania.

— A komu on tak stoi na drodze? — zdziwił się Bagłaj. — Przeciwnie, należałoby go pokazywać przyjezdnym jako tutejszy Tadż Mahal. Kiedy te dziwa oglądałem w Indii,

to przypominały mi się nasze cuda... I myśmy mieli mistrzów! I myśmy mieli cudotwórców.

Łoboda spojrzał na zegar i powiedział, że ma jeszcze coś do załatwienia, po czym powściągliwie i chłodno pożegnał się z Bagłajem. Wieruńka odprowadziła go nieżyczliwym spojrzeniem.

— A to ci kum!... Taki teraz towarzyski, ze wszystkimi za pan brat, nawet z prostym człowiekiem pogada... Na zewnątrz żarty, kawały... kosze Szpaczysze pomaga dźwigać... Uprzejmiaczek. A wiesz, jaki potrafi być zły? — I żeby nie było pod tym względem żadnych wątpliwości, dodała energicznie: — Gorszego chyba w całej Zaczepiance nie ma. A myśmy go jeszcze na kuma zaprosili...

I opowiedziała, jak przypadkowo była świadkiem pewnej sceny. (Było to wtedy, gdy podniesiono krzyk z powodu tablicy zdjętej z soboru.) Stała kiedyś w ogródku i widziała, jak na ulicy Wesołej ten „wydwiżeniec" twarzą w twarz spotkał się z Chomą Romanowiczem — uczeń ze swoim dawnym nauczycielem.

— „Widzę, że masz jakieś zmartwienie", powiedział nauczyciel do Wołod'ki, i żebyś widział, jaką wtedy Wołod'ka miał minę. Po prostu jak rozzłoszczony wieprzek! Wytrzeszczył oczy i syknął na starego: „Teraz widzę, że za wcześnie pana zrehabilitowano! Za wcześnie! Oto prosty rachunek, który proszę sobie zanotować, jeżeli nie chce pan po raz drugi powędrować do tundry!" Taki ci przyjemniaczek! Gdyby miał władzę, to chyba już jutro wyprawiłby starego z powrotem do tundry. Nie bez powodu wystrzegają się go nasi z komitetu zakładowego: straszny, podstępny i mściwy typ! Przed niczym się nie zawaha...

— Niech sobie będzie straszny, nikt się go nie boi, nie ma czego się bać — Iwan zapewnił Wieruńkę, która się z tym zgodziła: tak, nie te czasy, żeby się bać.

— I za kuma go więcej nie uważaj.

— Zdegradowałaś go? Zdymisjonowałaś?

— Tak! I od dymisji nie ma odwołania — powiedziała Wieruńka stanowczo.

Iwan machnął ręką.

— Mąciciel! Działacz fałszywy.

Ładnie teraz wygląda pawilon. Chłodnawy wietrzyk ciągnie od Dniepru, orzeźwiając spracowanych hutników, którzy zeszli ze zmiany. W parku ludzi jeszcze niewiele, kil-

ku samotnych rencistów nudzi się na ławkach przed estradą, diabelski młyn stoi nieruchomo; na barwnych wózkach karuzeli jakaś wesoła parka znalazła sobie schronienie — żołnierz i dziewczyna, śmieją się, gryzą obwarzanki, częstując się nawzajem i odgryzając po kawałeczku — raz on, raz ona, drugi zaś obwarzanek dziewczyna trzyma w ręku na zapas.

Tłum młodzieży fabrycznej spieszy do przystani rzecznej, a wśród młodych ludzi dwóch pomocników Bagłaja, z którymi już dziś się widział. Chłopcy wesoło pomachali swemu majstrowi ręką i znowu o czymś rozmawiają; śmieją się głośno, jednego z nich słychać aż tutaj. Jest to Lońka Babicz, chłopak o nadmiernie długiej szyi.

— O, ależ to była heca! Ależ heca!

— Młodzieńcy widocznie zjedli na obiad coś rozśmieszającego — powiedziała Wieruńka i po chwili milczenia podzieliła się z Iwanem jednym ze swoich kłopotów, który co prawda bardziej dotyczył Marii z ósmego dźwigu. Dziś była komisja u jej męża, który stracił rękę na froncie. Maria cały dzień się martwiła, co nawet udzieliło się metalowym rączkom dźwigu. Bo jak ona ma być spokojna? Wieruńka chciałaby wiedzieć, chciałaby kogoś zapytać, po co co roku wzywa się na komisję tych bezrękich i beznogich. Czyżby przypuszczali, że któremuś z nich ręka lub noga odrosła?

W alei zjawiło się jeszcze jakichś trzech mężczyzn w granatowych kombinezonach, zatrzymali się koło gazetki satyrycznej „Walcowanie na gorąco". Jeden z nich, szeroki w barach i z mocnym karkiem, bardzo kogoś przypominał... O, przecież to Taratuta!

Bagłaj pozdrowił go z daleka:

— Jak się masz, Semen!

Taratuta odwrócił szarą, nie ogoloną twarz i spostrzegłszy Bagłaja oraz jego żonę, powoli ruszył w ich stronę, coś przedtem powiedziawszy do swego towarzysza.

— Jaksiemasz, jaksiemasz, Bagłaj... Hindi-Rusie, *bay-bay*... Co, postanowiłeś zabawić się za rupie? No to w takim razie funduj. Bo mnie nie daliście zarobić.

Iwan sam napełnił dwa kufle i przysunął w jego stronę: pij na zdrowie... W tej chwili nie miał ochoty wracać do tej nieprzyjemnej historii. Taratuta też jakiś czas przebywał w Bhilai. Był tam, ale nie do końca... Ręka Taratuty bez zwykłych zaprosin wyciągnęła się po kufel — ręka ciężka,

obrzękła, ze srebrną obrączką, która ciasno obejmowała gruby palec.

Wieruńka zapatrzyła się na tę obrączkę.

— Na obrączkę patrzysz? — usta Taratuty wykrzywiły się w cierpkim uśmiechu, w przygasłych zaś oczach mignął drapieżny chłód. — To jedyna pamiątka z Bhilai. Wiesz, jakie tam w Związku rozliczenia ze mną zrobiono? Miałem zamiar kupić „Wołgę", ale moja „Wołga" się rozpłynęła. Niepotrzebnie robiłem prawo jazdy.

— Gdzie teraz pracujesz?

— Byłem w zakładach konstrukcji metalowych. I znowu wróciłem do walcowni... Więc jak widzisz, z butelką w ręku mnie wywalcowano. I jeszcze jakiś napis dali: Hulajgęba. Ale ja się nie obrażam. Niech się nabijają... Choćby i ze swego człowieka... I tak schodzi życie. Rozmieniamy je na drobne...

W ciągu tego czasu, odkąd się nie widzieli, Taratuta bardzo się zmienił: pod oczami worki, twarz obrzękła, wyraźnie widać na niej zmęczenie.

— Z żoną pogodziłeś się, Semen?

— Z którą? — spojrzał chytrze i spode łba najpierw na Iwana, potem na Wieruńkę.

— Ślubną mam na uwadze.

— Rozbiliśmy garnek ostatecznie... Rodzina rozpoczęła ze mną wojnę. Taratuta był potrzebny, póki rekordy ustanawiał. Póki premie przynosił. Wtedy i naczalstwo nie wstydziło się kumać z Taratutą, na zięcia wzięło, do Bhilai wysłało. — Swoje skargi kierował bardziej pod adresem Wieruńki, która słuchała go ze współczuciem. — A kiedy wrócił bez laurów zwycięskich... Ale co tam gadać! — Taratuta jednym haustem osuszył kufel i sięgnął po drugi. — Życie sobie na mnie użyło. A teraz i swoje chłopy grożą, że z brygady wywalą. Widzisz, oni prześcignęli Taratutę, on już przynosi im hańbę...

A więc widać, że niełatwo żyje się temu ich hutnikowi. Ostrzyżona na jeża głowa Semena jest zroszona potem, dawno nie myta, zaniedbana. Po pracy nawet pod prysznic nie poszedł — cały jest czymś poplamiony. Patrząc na Taratutę, opuszczonego, zaniedbanego, Bagłaj poczuł dla towarzysza szczery żal. Wystarczy czasem jednego tylko spojrzenia, jednej jakiejś nutki w głosie i już się przebacza, już serce jest przepełnione dobrocią przebaczenia.

— Czy chciałbyś, Semenie, przyłączyć się do mojej brygady? Przenieś się, przyjmę cię.

— Do martena? Do przetopów? U was też gorąco. Gdyby tak gdzieś na stację wodną — tam klimat byłby dla mnie odpowiedni.

— Amatorów na to jest wielu — z niezadowoleniem powiedziała Wieruńka. — A kto będzie metal dostarczać? Może kobiety mają już stanąć przy martenie?

Taratuta pociągnął z drugiego kufla.

— Ludzie zabijają się o metal. Kiedyś walczono o żółty, u nas o czarny. Gdzie wyciekają z człowieka ostatnie siły jak nie w hucie? Ile by się nie dostarczyło, wciąż za mało, znowu dawaj, znowu współzawodnictwo. Normę dasz, dawaj dwie, a kiedy żyć będziemy?

— Co kto uważa za życie — powiedział Bagłaj. — Dla mnie to jest życiem.

— No tak, dla ciebie życie metalowca to duma, szacunek, zdjęcia w gazetach, bo jeśli o mnie chodzi, to lepiej już na bazarze drozdami spod poły handlować... Albo łódek fabrycznych pilnować. Wycisną z człowieka ostatnie siły i jeszcze w gazetce satyrycznej go pokażą, żeby wszyscy się śmieli. Hulajgębą nazywają. A co oni o mnie wiedzą? — Taratuta skrzywił się z niesmakiem. — A może we mnie jest człowiek? A może ja nie chcę żyć według wykresów?

— Dały ci się we znaki te wykresy — Bagłaj opanował śmiech.

— Wiem, że dla ciebie są one prawem. Ty dla wykresów dasz się zabić... Honor pokolenia i tak dalej...

— A co? — obraziła się Wieruńka. — Przecież to Bagłajowie! Hutnicy z dziada pradziada! Swój honor mają. Sława darmo nie przychodzi.

— Ja żadnej sławy nie mam i nie mam się o co trząść — kompan pochylił swą nie mytą głowę. — Chyba że o jakieś hulajpolskie draństwo. Gdziekolwiek coś się stanie, od razu podejrzenie pada na mnie. Pod wiaduktem kogoś zamordowano, może słyszeliście? Śladów nie znaleziono, ale nie zapomniano spytać Taratuty: gdzieżeś był tej nocy? A ja całą noc w fabryce broiłem.

Dwóch przyjaciół, którzy czekali w pobliżu, podeszło do stolika. Jeden z nich, podrostek, unikając wzrokiem Bagłaja, spytał Taratuty:

— On wszystkich tu częstuje?

— Kto on? — Bagłaj, obrażony pytaniem, zmarszczył brwi.

— No, ty. W Bhilai dobrze ci płacili.

Wieruńka, śledząc wzrokiem Iwana, wiedziała, że lada chwila wybuchnie. Iwan zbladł, zacisnął zęby; jeszcze słowo — i stanie się: zacznie bić, jak dawniej nieraz to się zdarzało. Czyżby ten smarkacz nie zdawał sobie sprawy, że ma przed sobą osiłka ze stalowymi mięśniami, w dodatku skorego do bójki; zapłon u niego następuje w pół obrotu... Ale smarkacz dalej swoje:

— Postaw, postaw, nie żałuj dewiz...

„Zaraz postawi" — Wieruńka ze strachem czekała na wybuch. Ale Iwan panował nad sobą: mięśnie na skroniach zamarły pod skórą. Zacisnąwszy zęby, patrzył na wyrostka jakby ze smutkiem.

— Przecież do ojczyzny powrócił — prowokującym tonem dorzucił drugi kompan.

— Do ojczyzny, nie do was, chamy! — Iwan zbladł jeszcze bardziej i ślady po ospie wystąpiły na policzkach jeszcze mocniej. — Wy dla mnie nie jesteście ojczyzną, zrozumiano?

Wieruńka wzięła męża pod ramię i szybko, zdenerwowanego, poprowadziła ku wyjściu z pawilonu.

— Myślałam, że go uderzysz — powiedziała Wieruńka, gdy wyszli z sali. Dopiero teraz trochę się uspokoiła.

— Ręka świerzbiła — przyznał się Iwan. — Ale uderzyć, to nie jest wyjście... Zastanawiam się, dlaczego u nas tak dużo jest chamstwa? Pierwsze kroki z lotniska... Jak tylko przyleciałem i poszedłem po bagaż, już jakaś ciekawska zepsuła mi całą radość powrotu. Chłopcy do niej łagodnie, a ona z krzykiem, lamentem, od chamów zwymyślała za nic. I to na służbie. A w tramwajach... Po prostu nadziwić się nie można, dlaczego u nas ludzie są tak źli? Skąd ta złość, pochopność do znieważania człowieka, wrogość wobec innych? Pochopność do obrażania, poniżania człowieka, swego bliźniego — to największa patologia, ale dlaczego tak powszechna? Nie, tu nie jednorazowa profilaktyka jest potrzebna.

— Profilaktyką nic się nie zdziała — powiedziała Wieruńka. — Są tu pałace zdrowia, to prawda... Powiozą takiego autobusem, przenocuje, odpocznie... W komisjach orzekających roboty jest coraz więcej...

Poszli aleją w dół, dotarli do Dniepru. Wieruńka była

już spokojna, jej wrodzona godność wróciła. Ten wyraz był dla niej najwłaściwszy i to sprawiło, że i Iwan szybciej wrócił do równowagi duchowej. Nie chciał już myśleć o scysji z natrętami; przed nim na całej przestrzeni migotała przepiękna rzeka rodzinna. Patrząc na nią Bagłaj czuł, że serce jego przepełnia wzruszenie. Nie Ganges to, a jest dla niego tak samo święta jak Ganges dla ludzi tamtego kraju. Wolny, zalany światłem słonecznym Dniepr jest głębszy niż niebo, świeci na całej swej przestrzeni. Po oślepiająco jasnej powierzchni wody śmigają kajaki, ostro zakończone, podobne do szczupaków; płyną łodzie sportowców fabrycznych, mkną niedawno przywiezione tu kanu, terkocą motorówki, śmigają wiosłami, płyną czwórki, ósemki, ogorzałe torsy wioślarzy pochylają się rytmicznie, wiosła uderzają o wodę zgodnie i znowu wznoszą się w górę, pomalowane na czerwono, żółto, pomarańczowo...

Dniepr dla tych ludzi jest cząstką życia. Iwan po ślubie z Wieruńką zakończył wesele na Dnieprze. Młody hutnik płynął z Wieruńką wtedy po raz pierwszy po Sławucie na łodzi żaglowej. Wesela młodych hutników często kończą się takimi przejażdżkami.

— Stęskniłeś się za Dnieprem? — uśmiechając się spytała Wieruńka.

Włosy Iwana jeszcze bardziej wyrudziały, on sam zaś jest poważny, wyprostowany.

— Wierzyć się nie chce, że tak daleko byłem od niego. Jakże daleko te Indie! Oto — myślę — jechałem tam... Czy dlatego, że tam mnie wysłano? Ciekawość pędziła? A kiedy wróciłem stamtąd, to się przekonałem, że ta nasza misja nie była rzeczą prostą. Nie pojechałem tam jak jakiś podrzutek, lecz była to sprawa życiowa. Niesiemy prawdziwy postęp do wszystkich zakątków świata... Jeżeli świat się wzbogaci, to i nasza cząsteczka w tym będzie. I dlatego na kraj świata się machniesz.

Ludziom będziemy pomagać w wytopie metalu, i sami niejednego się nauczymy.

Koło głównej przystani dużo młodzieży; siedzą, stoją na pontonach, przygotowują się widocznie do jakichś zawodów. Jeden z nich z daleka jest bardzo podobny do Mykoły. Iwan pomyślał, że brat może naprawdę wrócił. Opalony jak diabeł, smukłonogi, brodzi po wodzie, wynosi na rękach swe nieciężkie kanu. Położył je na brzegu, potem pomógł dziew-

czynie przyciągnąć do brzegu jej łódkę. Zatrzymali się, coś mówią, śmieją się. Wykapany Mykoła! Iwan poczuł, że ogarnia go ciepłe uczucie dla brata, uczucie jakby ojcowskie. Nosił go na rękach, gdy ten był mały, ukrywał się z matką i z nim po okopach i ogrodach. Wcześnie Iwan odczuł swoje starszeństwo w rodzinie, wziął na siebie obowiązki, które spadły na jego barki, gdy ojca już nie było. I żarna robił, i łyżki z kabla odlewał, chodził z kobietami na handel wymienny. Po głębokich śniegach, po zasypanych wojennych drogach... Pewnego razu zmarzniętego i ledwo żywego znaleźli go ludzie z fabryki pod lasem i przyprowadzili do matki. Gdyby nie oni, zamarzłby w śniegu, mając przy sobie torebkę jęczmienia... Później poszedł do szkoły przyzakładowej, żeby prędzej dostać się do cechu i otrzymać kartki żywnościowe dla rodziny. Życie tak mu się ułożyło, że nie mógł studiować w instytucie, za to przynajmniej Mykoła został teraz studentem, będzie pierwszym inżynierem w rodzinie. Bywa uparty, przykry, ale charakter ma piękny, czysty... Lecz pociągają go wiersze i różne fantazje, debaty na temat sensu istnienia humanizmu... A ty mi, bracie, powiedz, jak tu być humanistą z tymi, co chamstwem i brudem zapaskudzają i zatruwają ludziom życie? Jak usunąć zło z ich dusz?

— Bagłaj, do nas! Na Skarbne! — jakiś głos rozlega się na zalewie.

Tam między kutrami coś dymi, terkocze, to motor jakiś zaskoczy, to zamilknie; łódź jest przycumowana do szerokiej barki naczelnika cechu hutniczego. Motor nie zapala; sam właściciel łodzi, otyłe chłopisko w koszulce sportowej, siedzi koło motoru, spocony, i ze złością raz po raz szarpie za sznurek, usiłując zapalić motor. Koło niego tłum hutników z wędkami, z szarpakami czeka cierpliwie na łut szczęścia, który spowoduje zapłon, żeby łódź wreszcie ruszyła w drogę.

— Trzeba będzie i nam się wybrać — powiada Wieruńka. — Dzieci zostawimy przy mamie. Bo ani razu w czasie twojej nieobecności nie byłam na wyspach. Wciąż brakło czasu. Wciąż kłopoty. Nam się wydaje, że wiecznie będziemy żyli, że wystarczy nam czasu na wszystko...

Iwan rozumie nastrój Wieruńki. Cały dzień przy pracy w zakładzie, cały dzień w klatce-kabinie dźwigu, skąd widzi się tylko zwały złomu, wciąż wsady do pieca hutniczego,

wciąż w chmurach kurzu, potem koniecznie chce się odetchnąć czystym powietrzem, zobaczyć niebo, patrzeć na migotliwe błyski na wodzie, cieszyć się widokiem zielonego drzewa... Czy nie to w tej chwili wszystkich tych ludzi pędzi na dalekie łęgi, na pastwę komarów?

Po wytrwałym szarpaniu nieposłuszny motor wreszcie się ukorzył, zawarczał głośno, sznurek został porzucony i całe towarzystwo odbija od brzegu, krzycząc głośno dokądś odpływa, może na całą noc.

— Na szczupaki! Na karasie!

Czarna, szeroka barka z motorem odpływa coraz dalej i dalej. Wyrwała się na szeroką wodę, przybiera na szybkości, dziób ma wysoko podniesiony nad wodą...

„Na szczupaki? Czy tylko na nie?" — patrząc na oddalającą się łódź myśli Bagłaj. — Nie chodzi o szczupaki, lecz o to, że człowiek chce odnaleźć samego siebie, szuka przyjaźni z przyrodą, harmonijnego pojednania z wodą, z niebem, z przestrzenią. Człowiek dopóty jest człowiekiem, dopóki nie utracił zdolności dostrzegania prócz potworności życia również i jego piękna. Ten, kto to widzi, może nie będzie tak się męczył, pytając z goryczą, kim jest, po co i skąd się wziął i dokąd podąża.

Słońce przed zachodem czerwienieje za mostem. Wielkie, rozpalone. Wciąż staje się większe i większe. Malutkie niczym myszy samochody suną po moście, migoczą na tle zachodzącego słońca, cały czas przepływają przez ten olbrzymi, rozpalony dysk.

21

Biały metal słońca nad miastem.

Żeliwna figura Tytana w parku górnym nad Zakładami. Zakurzona jest do tego stopnia, że wydaje się szara (dawno nie było deszczu).

Niżej, naprzeciwko Tytana, budynek zarządu huty i brama fabryczna. Zakurzona, stara, z tablicą z pociemniałej miedzi, która świadczy, że kiedyś wychodziły stąd czerwonogwardyjskie oddziały.

Machnowskie konie rżały koło tej bramy. Kiedy rżały i biły kopytami w ziemię na zewnątrz muru, w środku mon-

towano pociągi pancerne. Moc wielka tam powstała, gdzie zrodziła się legenda.

Machno wołał do hutników:

— Otwórzcie bramę, chłopcy, i chodźcie do mnie, do bat'ki Machny! Pohulamy w stepie. Czy to jest życie — sadze kuć cały wiek? U was dyscyplina, u mnie swoboda U was sadze, a dla nas Ukraina makami kwitnie.

Otwarto bramę i do Machny wyszedł przedstawiciel czarnego hutniczego ludu. Ręce jakby wykute z żelaza. Idzie palacz między końmi, by wybrać dla siebie długogrzywego. Którego za kark chwyci, ten pada na ziemię. Wszystkie tak wypróbował i żaden nie ustał na nogach.

— Widzisz, bat'ku Machno, nie ma u ciebie konia, który byłby dla mnie odpowiedni...

I od tego czasu wyruszały stąd, z tych zakładów, pociągi pancerne, by hulać po całej Ukrainie. Na jednym z nich jeździł stary partyzant Żeleźniak. A na innym, może drugim z kolei, palacz Bagłaj, którego synowie dotąd w Zaczepiance mieszkają.

Tego dnia, z samego rana, Jelka przyglądała się bramie, bramie, która co rano wpuszczała Bagłajów na teren huty. Wpuszczała również i Mykołę. Potem z tej bramy droga wiodła do instytutu. Student-stypendysta, który po otrzymaniu dyplomu wróci tu, przejdzie przez portiernię zakładową, ubierze się w kombinezon inżynierski — i zostanie chyba już na całe życie.

By zrealizować poprzednio przemyślany plan, Jelka tego rana poszła do administracji zakładów, nerwowo zapukała w okienko, w które i przed nią wielu pukało, tak że dolna część jego framugi mocno jest wytarta łokciami, i ujrzała w okienku łysą czaszkę oraz szare oczy...

— Chciałam się zaangażować... Do najcięższej roboty! Niech będzie praca w masce przeciwgazowej, niech będzie na wagonetkach... Dokumentów nie mam, ale ja nikogo nie zabiłam, nikogo nie okradłam... Ukończyłam dziewięć klas... Przyjmijcie mnie!

Prośby jej wysłuchano uważnie. Potem posłyszała spokojną odpowiedź:

— Mamy, dziewczyno, dwadzieścia pięć tysięcy robotników. Ale ani jednego wprost z ulicy. Sprawa musi być załatwiona jak należy.

Zawstydzona odeszła od okienka z takim uczuciem, jakby

chciała kogoś oszukać. To ci się należy. Za twój niecierpliwy charakter, za omyłki, za nieprzemyślane kroki... Skoro nie odważyłaś się powiedzieć prawdy kochanemu, to obcy mogą posądzać cię o kłamstwo. Nie otworzy się przed tobą żadna brama na świecie...

Przez teren fabryczny w stronę Dniepru prowadzi wysoki wiadukt. Jelka nań weszła. Cały olbrzymi teren zakładów rozciągał się przed nią w dole, z piecami hutniczymi, martenami, aglomerownią, z usypiskami rudy na brzegu Dniepru. Jeszcze dalej, w górnej części miasta zakłady azotowe wymachują rudymi lisimi kitami dymów zatruwając niebo. Może by tam spróbować? Powiadają, że kiedy pada deszcz, to rude dymy wiążą się z deszczówką i tworzą kwas azotowy, i taki deszcz warzy liście na drzewach. Jelki nie straszą żadne trucizny; najbardziej boi się okienka oddziału kadr. To, co usłyszała tutaj, można usłyszeć i tam... W dole, pod wiaduktem, cała sieć szyn, wciąż manewrują parowozy fabryczne, wioząc rudę, platformy z metalem. Te parowozy bez ustanku buchają czarnym dymem, który pół nieba przesłania. Tajemniczy świat pracy, która nigdy nie ustaje, świat pewny swego, obojętny na los Jelki. Jeden parowóz buchnął dymem pod wiaduktem, strzelił w górę czarnym, gorzkim obłokiem, który otoczył Jelkę; płatek sadzy spadł na białą bluzeczkę. Żal ogarnął dziewczynę z powodu tej bluzeczki. Przecież dotykał jej Mykoła... Ale więcej już nie dotknie... Krótki moment szczęścia — biała plama straty, poczucie zbędności — wszystko to zalęgło się w jej duszy i sprawiało ból. Chciała odejść stąd, ale jakoś nie mogła. Patrzyła zmartwiona na lśniące szyny w dole. Gdyby te parowozy spostrzegły na szynach pod wiaduktem zmiażdżone ciało dziewczyny, to czy bardzo by się zmartwiły?

Gdzieś od miejskiego dworca kolejowego słychać daleko muzykę orkiestry dętej. Dlaczego tam grają? Kogo witają? Ruszyła w tamtą stronę zmęczonym krokiem. Na peronie pełno młodzieży: żegnają studentów odjeżdżających na ziemie dziewicze. Muzyka, plecaki, dowcipy... Mimo iż wiedziała, że Mykoły tu być nie może, to jednak mimo woli szukała go wzrokiem w ciżbie. Było jakieś przemówienie oficjalne na zaimprowizowanej trybunie. Uściski nie były oficjalne. I oto już z okien wagonów wyglądają młode beztroskie twarze. Śpiewają. Może byś pojechała? W nieznane! Tam, gdzie nikt by cię nie znał, gdzie nie dopędziłyby cię żadne plotki, żad-

ne pomówienia... Zniknąć, zginąć! Jak najdalej od tych ozorów, które może i dziś obgadują Jelkę przed jej ukochanym. Poczuła palący wstyd i rozpacz, gdy sobie przypomniała, jak to tam jest w tych Wowczugach, jak ją przeklina przed Mykołą rozwścieczona żona brygadzisty, jak nie zostawia na niej suchej nitki, on zaś stoi ogłuszony, rozbity nad ruinami swojej miłości. Utopią ją w plotkach, w ordynarnościach. Nikt nie będzie w stanie powstrzymać potoku obelg — ani kierownik, ani sekretarz partii. Zostanie zhańbiona w jego oczach, zostanie najgorsza w całej wsi... A potem (mowy nie ma o spotkaniu z nim) miałaby mieć nadzieję, że się z nim spotka? Pod ziemię by się zapadła pod jego karzącym wzrokiem... „A więc to taka jesteś? I mam ci jeszcze wierzyć?" Bo on jest uczciwy, prawdomówny, otwarty — serce na dłoni! Taki jest i taką wyobrażał sobie Jelkę, ona zaś jest skryta, zła! Został oszukany przez nią, oszołomiony, wyśmiany przez plotkary; gdy będzie stał gdzieś w Wowczugach koło kancelarii i będzie tego wszystkiego słuchał, odczuje być może tylko ból krzywdy, ból rozczarowania. I któż by, usłyszawszy to wszystko, uwierzył w szczerość jej uczucia do niego? Kto by nie poczuł goryczy z powodu takiego zawodu?... Serce jej ściskało się z bólu. Oszalała wyobraźnia malowała Jelce sceny potworniejsze jedna od drugiej. Nawet nie pomyślała, że wszystko to mogło być tylko wytworem jej wyobraźni. Sama nie wiedziała o tym, że należy do natur egzaltowanych, dla których urojenia mają niekiedy większe znaczenie niż wydarzenia rzeczywiste.

Potem znowu była na skwerku, gdzie stare kobiety woziły w wózeczkach swoje wnuki na spacer.

Na jednej ławce nudzi się samotny mężczyzna. Podszedł do niego posterunkowy i już wybuchł między nimi konflikt.

— Obywatelu, nie śpijcie.

— Ja nie spałem.

— Spaliście.

— Nie spałem. Tylko oczy przymknąłem. Cóż to, nie mam prawa przymknąć oczu? Słońce razi...

— Nie zaprzeczajcie. Jaki niedotykalski. Spać można w hotelu, a tu tylko się odpoczywa.

— Powiadam, że nie spałem.

— A czemuście się kiwali? Rozwalił się... A tu obywatelki z dziećmi...

— Obywatelki, czy ja was obraziłem?

Kobiety (chóralnie):

— Nie!

— To czemu on się czepia? Może ja się zamyśliłem i dlatego przymknąłem oczy...

— Zamyślił się! Tu wielu się zamyśla. A kiedy chuchnie, to jak z beczki po winie...

— Dlaczego mnie obrażacie? Obywatele!...

I długo tak było. Długo i o nic, dopóki kobiety się nie wtrąciły, rozdzielając zwaśnionych. W ten sposób konflikt został zlikwidowany. Ale humory obaj sobie popsuli. „Jeszcze do mnie się przyczepi" — pomyślała Jelka i usiadła bliżej kobiet, na samym brzeżku ławki, jakby nie miała prawa zająć więcej miejsca.

Również jakby ukradkiem i naruszając prawo słuchała powolnych rozmów leciwych kobiet. Rozmawiały o wszystkim: o chlebie z domieszką grochu, o zarobkach robotników fabrycznych, które mają być podniesione. Zgadały się i o jakiejś dziewczynie, że ponoć gdzieś na Skarbnem zeszłego tygodnia utopiła się z powodu nieszczęśliwej miłości. Popłynęli tam oboje weseli, nagle coś się stało, no i proszę — tragedia gotowa... Potem najstarsza kobieta zaczęła opowiadać, jak w młodości pewien student w niej się zakochał. Był to prostak nieokrzesany, ona zaś pochodziła z domu, w którym konwenanse oraz dobry styl były przestrzegane. A on nie potrafił zjednać sobie jej rodziny, zresztą inni mieli większe szanse. I oto upłynęło wiele lat, ona miała już dorosłych synów, inżynierów. Na urodziny otrzymuje mnóstwo tortów, różnych herbatników, napoleonek, wszystko to teraz połączyło się jej w jeden olbrzymi tort... Zestarzała się, życie przekwitło i nie wiadomo dlaczego nagle spośród dawnych jej wielbicieli wyłania się w pamięci właśnie on, ten nieokrzesany chłopek-poeta, który nie znał się na dobrych manierach. Przypomina się coraz częściej. Pamięta, że kiedyś w dniu jej urodzin powiedział: „No cóż, ja, student bezbarwny, mogę pani podarować? Daruję pani o, tamtą gwiazdę!" I stojąc na balkonie wskazał na jedną z gwiazd. A kiedy w czasie okupacji cierpiała głód, nieszczęście, niedostatki, to przypominały jej się tamte szczęśliwe lata, nocami zaś próbowała odnaleźć na niebie gwiazdę, którą kiedyś w dniu urodzin podarował jej student.

Jelka odczuła dojmujący ból słuchając spowiedzi starej

kobiety, jej późniejszego żalu za czymś, co mogło być, lecz przeszło bokiem jak daleki letni deszcz...

Koło zaniedbanej fontanny, bez wody, dzieci karmiły gołębie. Dzikie, bezpańskie ptaki żywiły się okruszkami... Jelce przypomniały się inne gołębie, śmigające w porannym słońcu, te, co niezmordowanie windowały do góry sobór, trzepocząc skrzydłami i zataczając koła w chmurach dymu, wzbijały się coraz wyżej i wyżej. Zdawało się, że i sobór wznosi się wraz z nimi, że rośnie... Zgasły prawdopodobnie na zawsze te migocące w przestrzeni gołębie jej krótkiego szczęścia.

Ciężko. W piersi jakby wąż ssie. Nikogo nie winiła, tylko siebie. Któż temu winien, że nosisz w sobie coś niedobrego; gdzie tylko stąpniesz, wciąż niewłaściwie, czego tylko dotkniesz — mimo woli wszystko burzysz... Ileż to ta noc Bagłajowa tobie obiecywała, noc znajomości, zaufania, zjednania duchowego, cudowna noc miłości... A co zostało?

Była koło instytutu, w którym Mykoła studiował. Nowy olbrzymi gmach w górnej części miasta. Na fasadzie wmurowano zgrabną jakąś sentencję, jakieś niezrozumiałe dla Jelki równania i wzór — prawdopodobnie symbol atomu. W tym okrągłym wzorze i w tajemniczych znakach równania było jakby coś z drwiny, zrozumiałe to było tylko dla wybranych, którzy odseparowali się od zwykłych ludzi tajemniczymi formułami. Koło instytutu — nikogo.

Potem przechadzała się jeszcze po bulwarze. Miała wrażenie, że fryzjerzy przez okna i sprzedawczynie ze straganów spoglądają na nią podejrzliwie. Wszyscy pracują, ona zaś włóczy się bez zajęcia... Łazęga widać, łatwego chleba szuka... Właśnie otwarto restaurację, do której wchodziło jakieś towarzystwo.

— Prosimy z nami! — zaproponowano Jelce. — Wypijemy bruderszaft... Z jednego kieliszka!

Tak została przez nich potraktowana. Byli pewni, że jest z tych, co z jednego kieliszka piją z pierwszym lepszym, z tych, które można obrażać, które w restauracjach sadza się sobie na kolana...

Spojrzawszy na nich z nienawiścią, przyśpieszyła kroku, na przystanku wskoczyła do autobusu. Do pierwszego lepszego, mimo że przed chwilą nigdzie jechać nie zamierzała. Autobus był chyba pusty. Jelka usiadła, skuliła się w kącie.

Konduktorka, nie wiadomo czemu, spojrzała na nią nieżyczliwie, mówiąc że autobus jedzie na Skarbne.

Długowłosy i siwy jak Sabaoth stary hutnik siedzi koło bramy swego raju. Sabaoth w wypłowiałym roboczym ubraniu. Wyjdzie i usiądzie sobie, nie obawiając się słońca. Starczy, załzawiony wzrok długo błąka się po dalekiej przestrzeni, po znajomych okolicach. Sobór wyłonił się z mgły. Zakłady dymią. Dzień i noc buchają w niebo dymem, sadzami, kurzem. Cóż jest bardziej bliskiego na świecie? W murach fabrycznych minęło jego życie. Wszystko z siebie dał. Jak tam się im powodzi bez niego? W oddziałach, powiadają, zebrało się tyle sadzy, że można zgarniać łopatami, odrzucać jak śnieg. Zdarzało się, że dachy się waliły pod tym czarnym ciężarem.

Patrzy stary na dalekie zakłady. Na ekranie nieba powoli przesuwa się film jego młodości, jego życia. Człowiek się starzeje, więc na co jeszcze czeka? Kto na niego zawoła z tamtych odległości, z tamtych burz przeszumiałych, od ogni hutniczych, gdzie od stu lat wytapia się metal, kto zawoła na niego z tych, co kiedyś byli mu bliscy? Siedzi, jakby na kogoś czekał.

W dnie wolne od pracy las rozbrzmiewał muzyką i głosami ludzkimi. Ale teraz jest cichy. Stary wsłuchuje się w tę ciszę. Słyszy nawoływania wieków, głosy spoza mgły. Dzwony kozactwa mu huczą. Dęby rewolucji szumią.

Stary ma tu przyjaciela, Jarowega się nazywa. Też hutnik, walczył na barykadach, kiedyś, gdy byli jeszcze młodzi, chodzili do Domu Ludowego na bulwarach, by słuchać odczytów Jawornickiego... Tylko on, Jarowega, wie, na kogo tak długo czeka przy bramie stary Łoboda: oczy zachodzą łzami, lecz on wciąż wypatruje swego niedobrego syna. Zaklinał się, że nie chce więcej go widzieć, lecz w gruncie rzeczy czeka, spodziewa się go. Chciałby jeszcze zobaczyć swych wnuków. Może syn przyjdzie kiedyś z wnukami i stary przygarnie je do siebie, one zaś go pokochają. Może jednak kiedyś tego się doczeka.

W dzień powszedni nie ma najazdu na Skarbne, wszyscy są przy pracy. Dębowy las dociera do samego raju hutników; dęby są olbrzymie, rozrośnięte, stoją tu od wieków. Po nocach cienie przeszłości nawiedzają uroczyska Skarbne-

go. Tylko z nimi ma teraz styczność rybak nocny Łoboda Izot. Wąsaci Zaporożcy sprzed trzystu lat rozpalają gdzieś ogniska, leżą, lulki kurzą, przyglądają się puszkom po konserwach. Któryś z kureniowych wąsa podkręci i powiada: „Co oni z tych blaszanek konsumują? I jak oni, ci dzisiejsi, wyglądają? Czy są wśród nich rycerze? Czy sami hreczkosieje? Nie może być, by żyli sami tylko służalcy, urzędnicy, krętacze i tchórze. Bo co może być gorszego niż to, że siedzi w człowieku dusza zajęcza, dusza niewolnicza!"

Stary czuje, jak te myśli rozdmuchują w nim nienawiść do kogoś, burząc nie ostygłą jeszcze krew. Pewnego dnia przyjechało trzech osobników samochodem. Wydobyli z bagażnika narzędzia kłusownicze, wzięli łopatki saperskie i zaczęli nimi kopać przy brzegu. Każdy z nich zrobił zagłębienie w ziemi, by usiąść w nim, jakby w fotelu gabinetowym, z wędką w ręku. Podszedł do nich i zaczął się przyglądać. „Po co ziemię rozkopujecie? Brzeg się obsunie." Odpowiedzieli mu ordynarnościami. Niedługo już tak będzie na tym Skarbnem. Osuszy się je, przekształci, pójdzie wszystko pod rozbudowę miasta. Pod bokiem miasta przemysłowego nie ma miejsca na podobne obszary. Co za jarzyny tu będą! Kiedy powstanie ta gospodarka podmiejska — bazy owocowe zasypiemy bakłażanami... Ale nie zastanowią się nad tym, że kiedy wody nie będzie, nic tu nie urośnie... Zaczął ich pędzić od brzegu. Odgryzali się, jeden nawet podniósł łopatkę, nie wstydził się zelżyć starego. Mimo że był sam jeden przeciwko trzem, odpędził od brzegu tych kłusowników. Jego racja odniosła zwycięstwo.

Tacy właśnie tu przyjeżdżają. Jeżeli tak dalej będzie, to wkrótce i żurawie nie będą przelatywały nad naszą piękną Ukrainą... Strzeli któremuś do głowy: jeszcze jedna zapora wodna — i masz zaporę, i już wyrębują łęgi, a zamiast nich cuchnie teraz gnijące morze, gęste jak kisiel, pochłania miliony, dobierają się już i do kopalni manganu... Czy naprawdę dostaną w swe ręce Skarbne? Jeżeli je osuszą, nic tu już nie będzie! Mgieł nie będzie! Słyszycie? Nie będzie porannych mgieł! — wykrzykiwał do kogoś w myślach.

Przed nim wzdłuż Domu Metalowca wije się ścieżka, jedna z tych, co od szosy w głąb lasu wydeptali wycieczkowicze miejscy. W dzień wolny od pracy, w niedzielę z samego rana tłumy ludzkie podążają z miasta na łono przyrody. Zdarza się, że i swoich znajomych w tych tłumach zobaczy: całymi

rodzinami ciągną, witają z szacunkiem starego mistrza. Lecz zdarza się również, że przychodzi tu gromada hałastry, krzyczy na cały las, z odbiornikami w rękach, antenami kłują starego w oczy. Jeszcze sobie podżartowują. Młodzi, całkiem młodzi, a takie to już nieposkromione. Co z takimi począć? Skąd się w nich bierze ten brak szacunku dla wszystkich, nawet dla siwowłosego człowieka pracy? Spróbuj takiemu tylko zwrócić uwagę, a od razu ci odpowie: „A co, nie mam prawa?" Przejdą ze swoimi sterczącymi antenami, a stary długo jeszcze patrzy za odchodzącymi. Bez złości, raczej z bólem, jakby wnuki rodzone odchodziły. „Czemu jesteście tacy? Czemu nie macie szacunku dla ludzi, czemu jesteście ponurzy, drażliwi? Czemu piosenek nie śpiewacie, lecz słuchacie tylko gotowych ze swych pudełek? Dlaczego nawet śmiech wasz nie jest takim śmiechem, jakim się śmiało kozactwo? Żal mi was. Chciałbym wam pomóc, ale jak?"

Siedząc tu, stary zastanawia się nad wielu sprawami. Jeszcze podrostkiem był, kiedy stanął przy piecu hutniczym. Potem pół życia spędził przy martenach. Wytapiał nie tylko stal... I synom bramę otworzył, przyprowadził ich ze sobą do zakładu. Jeszcze raz popatrzył na zdjęcia zaginionych synów. Rozległy ocean niebieski, a na brzegu palmy, Ocean Indyjski. Jakże daleko dotarła jego nauka metalowca! Wszędzie, gdzie tylko są pokłady rudy, dotrze twoja nauka...

Była już pora obiadowa, kiedy na ścieżce zjawiła się jakaś dziewczyna. Z opuszczoną na pierś głową kierowała się w stronę lasu. Mijając starego, spojrzała posępnym wzrokiem, smagła, Cyganka czy co? Cyganów teraz sporo się pojawiło, zajęto się ich osiedlaniem, komuś tam stoją na drodze... Lecz ta nie ma na sobie jaskrawej spódnicy, tylko zwyczajną, i jest w bielutkiej bluzeczce. Gdy spojrzała na niego, usta jej same się poruszyły mówiąc: „Dzień dobry", widać wiejska dziewczyna. A w oczach taki smutek, taka niema rozpacz, że dna nie widać. Nie z rozkoszy tacy ludzie tu przychodzą, skracając sobie czas, jak lunatycy ciągną do lasu, do ciemnych wykrotów skarbniańskich...

Już go minęła, kiedy się ocknął, poczuwszy w sobie coś niewyraźnego, i krzyknął:

— Moje dziecko, a wróć no tu do mnie.

Dziewczyna posłusznie wróciła, zatrzymała się przed nim z tak samo opuszczoną głową, z rozpaczą i smutkiem w oczach, w których nawet i wola życia już zgasła. Spytał

ją, skąd i dokąd, ona zaś jakby dopiero teraz go dostrzegła, a w jego tonie wyczuła współczucie.

Jak włóczęga — nikomu niepotrzebna, przez wszystkich odrzucona, stała przed starym. Odniosła wrażenie, że jeszcze nigdy nie widziała tak mądrych oczu, które być może przejęte własnym bólem, goryczą samotności, nabyły zdolności patrzenia z taką przenikliwością w duszę innego człowieka. Nie znał jej, lecz spostrzegł, w jakim jest nastroju. Przywołał ją do siebie, wypytał łagodnie, nawet nie wiedząc, kim ona jest i czy warta jest jego współczucia. Dwoje ludzi zupełnie sobie obcych, spotkało się przypadkowo i proszę... O matkę, o ojca jeszcze zapytał. Gdzie pracowała. Słuchał skąpych jej słów, a jego wielka siwa głowa cały czas życzliwie potakiwała, jakby bez żadnej krytyki traktował życiowe zrywy dziewczyny, jej omyłki i żal rozumiał, wciąż odczytując powikłaną księgę życia Jelki...

Jelka wyraźnie poczuła, że topnieje w niej bryła lodowa złości do samej siebie i do wszystkich ludzi; poczuła, jak powoli wraca do czegoś ludzkiego, co było już jakby na zawsze utracone. Potem już sama zapytała starego, co on tutaj robi? Stróżuje czy co?

Stary wyjaśnił jej, co to za budynek. Dom patronalny dla starych hutników, dla ludzi samotnych.

— Rajski przybytek — dodał z niewesołym uśmiechem.

— Czyżbyście nie... Ani synów, ani córek? — spytała Jelka, i w tej chwili pomyślała, że nie należało o to pytać.

Twarz starego w jednej chwili się zmieniła, odbił się na niej cały ból, pochylił się nisko, a jego ramiona zatrzęsły się, starcze, kościste, z piersi wyrwało się szlochanie, powstrzymywane z wysiłkiem. Człowiek płacze! Stary mężczyzna i... Zrobiło to takie wrażenie na Jelce, że gotowa była krzyczeć z bólu, tak było jej przykro. Nie ma nic przykrzejszego niż widok płaczącego starego człowieka. Widać, jak ta jesiennie spokojna i zahartowana przeżyciami twarz nagle się zmienia pod wpływem cierpienia. Po chwili stary się uspokoił, podniósł głowę, oczy były już suche, ramiona już się nie trzęsły, był jakby zupełnie już spokojny. Lecz duszę Jelki wprost palił ból, przejmujący, taki, że tylko krzyczeć. Nie mogła sobie darować swej niezręczności, robiła sobie wyrzuty, że nieostrożnym pytaniem uraziła starego, widać dotknęła najboleśniejszej rany jego życia. Jelka znała nieszczęście, widziała, jaki ból sprawiła człowiekowi,

jakże wielkie musi być nieszczęście starego, skoro przy najmniejszym dotknięciu jego głęboko ukrytej tajemnicy wywołało ten spazmatyczny płacz bez łez. Czy stary się spodziewał, że ukoronowaniem jego starości stanie się ból nieutulony, doznawany codziennie i codziennie tłumiony? Taki olbrzym, a w tej chwili był zupełnie nieporadny wobec nieszczęścia. Gdyby można było znaleźć słowo pocieszenia, chciałoby się tę ciemną i dużą rękę pocałować, rękę starego człowieka, który kogoś stracił, a może został przez kogoś ciężko skrzywdzony.

Stary czuł się zakłopotany, że okazał swą słabość przed nieznajomą dziewczyną, słabość trwającą nawet tak krótko. I znowu jak poprzednio dobrymi, spokojnymi oczami spojrzał na Jelkę.

— Nie głodnaś?

Podniósł się i każąc iść za sobą, poprowadził ją do swego rajskiego przybytku.

22

Jeden z zakładów spuścił brudną, zatrutą wodę do Dniepru i ryby posnęły. Zrobiła się wielka awantura. Przyjechała odpowiednia komisja. Sekretarz komitetu obwodowego zwołał z całego okręgu dyrektorów fabryk, sekretarzy partii i przewodniczących związków zawodowych. Sekretarz krzyczał ze złością:

— Jak długo będziemy zatruwali Dniepr? Jak długo będziemy zatruwali powietrze? Rząd daje pieniądze na instalacje oczyszczające, a wy z roku na rok tylko kary płacicie z tych państwowych pieniędzy. A związki zawodowe? Jakie są wasze obowiązki, zapomnieliście?

W związku z tą sprawą przypomniano sobie o oryginalnym systemie oczyszczania, który proponował mechanik zakładowy Ołeksa Artemenko oraz student metalurgii Mykoła Bagłaj. Sekretarz komitetu obwodowego wyraził życzenie poznania racjonalizatorów. Tego samego dnia zadzwoniono do rejonu i powiadomiono Bagłaja, że jest pilnie wezwany do miasta. Powiedziano mu również, w jakiej sprawie go wzywają. Obaj projektanci byli u dyrektora ze swoimi projektami. Nic wtedy z tego nie wyszło. Wysłuchał ich w biegu i tylko machnął ręką.

— Teraz nie mam dla was czasu: plan zawalony; ministra się spodziewamy!

Ołeksa i po tej rozmowie nie stracił nadziei, ciągnął Bagłaja jeszcze dokądś, lecz student stracił cierpliwość. Myślał, że głową muru się nie przebije...

Potem pojechał do prac żniwnych. Dopiero teraz się okazało, że ich pomysł znowu ożył, że zainteresowano się nim.

Bagłaj jechał do miasta autostopem. Słoneczniki już kwitły, całe morze słoneczników złotogłowych rozlało się po całym stepie, tarczami zwrócone w stronę swego niebieskiego pierwowzoru. Jechał z radosną nadzieją w sercu, że zobaczy się z Jelką, że spotka się w Zaczepiance z nieznajomymi, którzy staną się jego wspólnikami w walce o jasne, nie zabrudzone niebo kraju rodzinnego. Kraj postępu powinien być pozbawiony szkodliwych dymów! Jest to dewiza Bagłaja. Już w drodze układał w myśli argumenty nie do odparcia, które wyłoży przed tymi, z którymi już w drodze prowadził namiętną, nieustępliwą dyskusję. Wyśmieje w niemiłosierny sposób jakiegoś „bieda-mi-racjonalizatora", który zaproponował, by wszystkie kominy połączyć w jeden olbrzymi komin i dym gdzieś odprowadzać... Innych też położy na łopatki. Rzecz oczywista, że pewną rację mają zwolennicy oczyszczania suchego, lecz nie wszędzie istnieją dostateczne rezerwy wody dla przemysłu. Wiele krajów przechodzi na filtry suche. Na Zachodzie stosowane są nawet filtry workowe lub rękawowe ze specjalnego materiału, który musi być wyjątkowo mocny i ognioodporny, gdyż temperatura uchodzących z kominów spalin jest bardzo wysoka. Produkty oczyszczania suchego mogą być prefabrykowane, można z nich robić brykiety, to też ma pewne znaczenie. Ale zanim nastąpi oczyszczanie, gazy należy ostudzić, obniżyć ich temperaturę, a to już jest problem. Może by zastosować zwykłe odsysanie? Ale ludzie patrzą na to niechętnie, obawiają się, by nie odbiło się to niekorzystnie na procesie technologicznym. Dym z kominów, gorący gaz z nie spalonymi cząsteczkami, niewidocznymi dla oka — to wróg najgorszy! Dopiero przy powiększeniu czterystapięćdziesięciokrotnym zaczyna się widzieć te drobinki, stanowiące miniaturowe cząsteczki metalu. Dlatego łatwo unoszą się w powietrzu i łatwo przenikają do organizmu. Istnieje dopuszczalna norma zapylania atmosfery, lecz kto tego przestrzega? Atmosfera nad wszystkimi zakładami metalurgicz-

nymi jest zanieczyszczona, różne inspekcje sanitarne też oddychają tymi zanieczyszczeniami. W każdym zakładzie istnieją laboratoria wentylacyjne, które z roku na rok jedynie odnotowują naruszanie norm sanitarnych... Czy nie jest to samookłamywaniem się?

Bagłaj nigdy nie mógł myśleć o tym spokojnie. Zapylenie szczególnie zwiększyło się po zainstalowaniu w martenach dmuchaw tlenowych. Nie dym, lecz żelazo, czystą rudę zasobniejszą niż z kopalń wydmuchuje się z komina, a wiatry dzień i noc roznoszą ją nad miastem... Każdej doby czterysta ton pyłu, co stanowi trzysta ton czystego żelaza, pod postacią rudych dymów unosi się w powietrzu! A dyrektorzy? Każdy z nich posiada odpowiednie kredyty na opłacanie kar za zanieczyszczenie. I płaci, bo nie ma czasu pomyśleć o filtrach, bo — widzicie — plan ma zawalony... Kredyty na budowę instalacji oczyszczających otrzymują co roku — masz, bierz, buduj — lecz kto te kredyty wykorzystuje w sposób właściwy? Kto naprawdę interesuje się szkoleniem odpowiednich fachowców? Dawniej gdzieś na Kaukazie istniało specjalne technikum, które przygotowywało takich fachowców, lecz potem technikum zostało zamknięte. Do czasu zastosowania tlenu, póki marteny dymiły po cichutku, można było ustosunkować się do tego pozytywnie, lecz teraz, przy intensyfikacji procesów, nad zakładami jakby pożar buzował! Rude chmury przesłaniają niebo, problem oczyszczania staje się zasadniczy... Bagłaj żałuje, że nie ma dawniejszego ich dyrektora Batury, umarł na raka, był laureatem, ten by od razu wziął się do zainstalowania urządzeń oczyszczających! Oczyszczanie na mokro, które proponują z Ołeksą również jest rzeczą trudną i kłopotliwą, gdyż potrzebna by była olbrzymia ilość wody, koniecznie trzeba by zbudować wielkie osadniki, nowe instalacje, a każda o powierzchni całego oddziału... Lecz trzeba będzie się kiedyś do tego zabrać! Dziś niech to nawet będzie dla was, towarzyszu dyrektorze, niewygodne, gdyż to nie pracuje na plan, ale powietrze dla ludzi zdobędzie się czyste, niebo nad zakładami będzie się uśmiechało błękitem — czy nie jest to warte największych zachodów?

Na ulicy Wesołej dzieciarnia z hałaśliwą radością powitała swego ulubieńca. Bagłajęta i syn sąsiada — wszystkie były umorusane czekoladą po uszy. Był to pewny znak, że Iwan wrócił z Indii. Słoneczniki kwitły i na Wesołej. My-

koła dopiero teraz przypomniał sobie, że dziś jest dzień jego urodzin. Z czasów swego dzieciństwa zapamiętał sobie słowa matczyne, że kiedy się urodził, była wojna, pociski wybuchały w ogródkach; wtedy właśnie kwitły słoneczniki.

On oczywiście zapomniał o swoich urodzinach. Lecz matka nie zapomniała: upiekła pieróg z wiśniami. Wprawdzie gości nie zapraszano, a poza tym jutro był dzień wolny od pracy i wielu już dziś pojechało na Skarbne. Iwan z Wieruńką i obaj Władykowie, i Fedor-walcownik do nich dołączył, i inżynier cechu, w którym Iwan pracował... Zapraszali również Mykołę: jeżeli przyjdzie, niech zaraz ich dogania. Matka — córka locmana, prawdziwa dnieprzanka: wysoka, czarnobrewa, chociaż już w latach. Zazwyczaj miała surowo nasępione brwi, dziś jednak wyglądała łagodniej, widać wyraźnie, że serce matki nareszcie pozbyło się obaw: i starszy syn wrócił, i młodszy jest w domu... Nawet się uśmiechała, kiedy pokazywała, jaki to szal Iwan przywiózł jej w podarunku. Jakoś nie wypada jej niby młódce zarzucić go na ramiona... Mykoła w żartach zaczął ją zapewniać, że szal hinduski posiada właściwości lecznicze. Potem zapytał:

— A jak się ma przyszła synowa, mamo?

Twarz matki sposępniała: synowa znikła. Jak pojechała wtedy do miasta, tak więcej nie wróciła.

Wiadomość ta poraziła Mykołę jak piorun z jasnego nieba. Oszołomiony stał bez słowa i ze zmarszczonymi brwiami pośrodku podwórza. Potem przytłumionym głosem gorzko powiedział:

— Czemu to mama jej nie ustrzegła?

— To ty, synu, powinieneś był jej strzec — poważnie odrzekła matka.

Nalała synowi wody, by mógł umyć się po podróży. Wrócił ze stepu opalony, skóra na ramionach i piersi się łuszczyła. Kiedy wycierał ręcznikiem muskularne ciało, Bagłaicha cały czas mu się przyglądała: wyrósł taki urodziwy, przystojny! Starszy był rudy, wyłupiastooki, nawet oczy były rudawe, a ten ma oczy jak niebo, błękitem strzelają spod czarnych, gęstych jak i u ojca, brwi. Tylko to niebo niekiedy zaciąga się smutkiem... Nos prosty, nozdrza cienkie, też jak u ojca, raz po raz poruszają się nerwowo, kiedy syn czymś się przejmuje. Wszystko ma jak ojciec: i oczy, i brwi, i postawę. Jakże ojciec by się cieszył... Ale nie zobaczy

syna... Zginął bez wieści... Tylko dla niej nigdy nie będzie zaginiony bez wieści... A gdzie ten żołnierz, co pierwszy posłyszał, kiedy to nowo narodzone zakwiliło w wykopanym schronie? Żyje czy leży gdzieś we wspólnej mogile?

Zasmuconego niepomyślną wiadomością Mykołę matka nakłoniła jednak, by usiadł do stołu i coś zjadł, zanim będzie obiad.

Aby w jakiś sposób pocieszyć swego ulubieńca, powiedziała, że już cała Zaczepianka wie, po co go wezwano. Nie na darmo, przekomarzając się z Ołeksą, kreślił swoje rysunki — coś jednak są warte te ich projekty.

— Nie bardzo w to wierzę, mamo... Łatwiej mur przebić — mruknął syn.

Bagłaicha aż się rozzłościła.

— A ty myślałeś, że łatwo ci pójdzie? — zapytała surowo. — Byle co i od razu nos na kwintę? Weź no się w garść! Nic w życiu łatwo nie przychodzi, czas, żebyś o tym wiedział.

Dała mu nauczkę, taki miała charakter.

— Dziękuję za poparcie moralne — posępnie uśmiechnął się syn.

Zjadł trochę barszczu, skubnął pieroga i zaraz wyszedł z domu.

Poszycie słomiane na Jagorowej chałupie było już mocno zbite i stanowiło jedną ziemistą masę. Na podwórzu nikogo, tylko grusza samotna, a na niej wielkie owoce wiszą jakby nikomu niepotrzebne. Postał jeszcze nad zalewem: dzieciarnia taplała się na płytkich miejscach. Po zalanej słońcem głębinie płynął hinduski słonik gumowy z dzwoneczkami... Na brzegu skaczą małe żabki, to skarlałe potomstwo dawnych olbrzymów. Jeszcze dalej wszedł na wydmę, by stamtąd popatrzeć. Nigdzie jej nie ma! Pusto dookoła. „I ścieżka, którą chodziłeś, tarniną porosła..." Wydmy płyną w migoczącym powietrzu; mlecze, których nawet kozy nie jedzą, już żółkną... Kominy fabryczne dymią potężnie, sprawiając, że niebo stało się kudłate, buropomarańczowe... Czarne sylwety pieców hutniczych, górna część miasta z wieżami... Duch tajemniczy tu panuje. Samoloty warczą gdzieś bardzo wysoko... I znowu myśli opanowały Bagłaja, dawno go takie nie nawiedzały: ten jakiś niepokój świata, ta jego wielopłaszczyznowość... Nawet tu w oślepiającym świetle słonecznym wyczuwało się coś niepokojącego... Mi-

mo woli przychodziło na myśl, co z nami będzie? Z ludźmi, fabrykami, soborami? Co stanie się z tobą, zrudziały mleczu?

Wstąpił potem do Ołeksy. Jeszcze nie wrócił z pracy, gdzieś się zatrzymał.

Poszedł do Orlanczenki. Romcio wybiera się w podróż. Podobno jednak dają mu kartę turystyczną. Pojedzie i popatrzy, jak gdzie indziej dbają o swoje sobory. Może gdzieś posłucha muzyki organowej, w katedrach, powiadają, organy brzmią wspaniale!

— A wiesz, jak Bułgarzy nazywają hutników? „Ogniari", zdaje się! Mocno powiedziane.

Romcio w rozmowie nic nie powiedział o Jelce — mimo wszystko okazał się taktowny. W milczeniu rozegrali partię szachów. W tym czasie i Ołeksa wrócił. Ujrzawszy Mykołę na podwórzu u Orlanczenków, wstąpił tu, fanatyk jednouchy. Był na wojnie i uszu nie stracił, a w oddziale hutniczym kawałek rozpalonego metalu odciął mu ucho, niewiele brakowało, by i oczy był wypalił. Po tym wypadku został mechanikiem, razem z Mykołą głowili się nad wynalezieniem idealnego sposobu oczyszczania spalin. Mechanik był w dobrym humorze. Łysą czaszkę miał zaczerwienioną, jakby spaloną na słońcu, ocalałe ucho płonęło.

— Dobra nasza! — radośnie wykrzyknął do Bagłaja. — Nie my za dyrektorami, ale oni za nami teraz będą biegali. Bo filtry zainstalowano nad jednym piecem, a inne niech sobie dymią. I nikt się nie skarży. W Lipiecku, jeśli wypuszczą żółty dym, to podobno stos skarg wpływa do rady miejskiej. A u nas przyzwyczaili się i milczą. No, ale teraz, towarzyszu studencie, sprawa przyjmie inny obrót. W poniedziałek mamy się udać z naszymi planami do zakładów.

Romcio na swój sposób to skomentował:

— Ja dawno ci tłumaczyłem, Ołekso: na każdego Bublika potrzebny jest antybublik. Na krętactwo — jeszcze silniejsze antykrętactwo... Krętactwo — to cała nauka, potężne umysły ją rozwijają, udoskonalają, nauka ta nie stoi w miejscu... Ho-ho! Z przeciwnikiem należy się spotykać w całkowitym uzbrojeniu! On zakręca, ty odkręcaj. On odkręca, ty zakręcaj. Wojna narodów. Rozwikływanie. Tylko tym można ich pokonać.

Mechanik zaczął mu tłumaczyć, że nie w tym tkwi sedno

rzeczy. Sekretarz komitetu obwodowego, towarzysz Dibrowny, się zajął tym i dlatego się rozruszali.

Na Orlanczence nie zrobiło to wrażenia.

— Wydarzenie pomyślne, zwykła rzecz, są przecież na świecie sekretarze pozytywni, postęp jest sprawdzalny — rzekł filozoficznie. — Nie każdy zwróciłby uwagę na wątpliwy pomysł, powstały w mózgach dwóch zaczepiańskich dziwaków. A przedtem jeden z nich nawet stanął w obronie soboru... Dobrym sekretarzem jest towarzysz Dibrowny, nie można zaprzeczyć. Lecz mnie ciekawi co innego: dlaczego los tego soboru, los pomnika architektury narodowej, ma zależeć od nastroju i osobistego widzimisię pewnej osoby, choćby nawet pozytywnej? Uważacie, że to jest normalne? Może by ułożyć długachny anonim za jakieś dwudzieste trzecie stulecie? Jak się żyło? W jaki sposób rozstrzygano u nas takie sprawy... Jak wiele zależy od tego, którą nogą towarzysz rano wstał z łóżka... Dobrze, że nasz sekretarz nie okazał się zacofańcem, lecz przeciwnie, bardzo postępowym, wrażliwym, wzruszająco dobrym człowiekiem... Bo gdyby trafił się podły?

Mechanik Ołeksa potarł łysą czaszkę, pogroził palcem i zabawnie poruszył brwią.

— Podłych sekretarzy nie ma, zapamiętaj to sobie. Zapamiętaj i więcej nie pyskuj na ten temat, jeżeli chcesz jeździć jako turysta... — I bez cienia żartu dodał: — Nasz sekretarz leży w szpitalu z zawałem serca. Miał w okręgu jakieś nieprzyjemności (oczywiście nie za sobór) i ledwo wrócił, wprost z samolotu do szpitala...

Romcio zacisnął zęby.

Na propozycję Mykoły, by pojechali na Skarbne, Orlanczenko odpowiedział odmownie, natomiast mechanik Ołeksa zgodził się skwapliwie i wkrótce jego motocyklem obaj z Bagłajem już tam mknęli.

23

W życiu Jelki rozpoczął się nowy etap. Stało się to dzięki staraniom starego hutnika, starego Neczujwitra, jak go wszyscy nazywają, bo nie zwraca uwagi na to, skąd aktualnie wiatr wieje i postępuje według własnego rozeznania. Izot Iwanowicz sam przyprowadził Jelkę do dyrektora, który, jak się okazało, znał Wowczugi, gdzie przebywała Jelka,

i z przewodniczącym kołchozu miał jakieś sprawy gospodarcze. To, że dokumentów na razie przy sobie nie miała, wcale nie stanowiło dla niego przeszkody, lecz przeciwnie: popracuje u nich jako kelnerka i dokumenty otrzyma.

Tego jeszcze dnia Jelka chodziła w idealnie białym koronkowym czepeczku na głowie, roznosząc starym pensjonariuszom kolację. Gdy tylko podała kolację, nawet słońce jeszcze nie zaszło, już była wolna. Potem starzy ludzie otoczyli Jelkę na ganku i z zaciekawieniem wypytywali o wszystko. Opowiadała o sobie, czasem wesoło, czasem żartobliwie.

— Podopiecznymi nas nazywają. I naprawdę jesteśmy pod opieką państwa oraz klasy robotniczej. Dawniej ginęlibyśmy pod płotem. A teraz w dożywotnim sanatorium.

— Kto nas tu kieruje? Samotność. Lecz zdarza się niekiedy, że pakują nas do tego raju rodzeni synowie, a najczęściej drogie synowe, by nie miały z nami kłopotu. Za pobyt tutaj rodziców dopłacają, a który z hutników rentę ma wysoką, to za takiego się nie dopłaca.

— Rozmaici są tu wśród nas. Z pancernika „Potiomkina" był tylko jeden, ale zeszłego roku go pochowaliśmy... Był Gorbenko, który z Czubarem pracował...

Jedna podopieczna przechwalała się:

— Bardzo dbamy o czystość. Pomagamy, jak tylko możemy. W naszej sali kwiaty są najpiękniejsze, dyrektor w sprawozdaniu z porządku dnia to podkreślił... Nie lenię się mimo mego wieku! Stołeczek postawię na stole, wgramolę się i abażur wytrę — przechwalała się z zadowoleniem babusia.

Hutnicy z takich czystości podżartowują:

— A nie prowadzicie walki o pokój w waszej sali? — Do Jelki zaś: — Między nami, chłopami, niewiele jest kłótni, ale kobiety rzadko kiedy żyją w zgodzie. Ta chce otworzyć radio, a ta nie; ta chce, by lufcik był zamknięty, a ta — żeby był otwarty.

I wszyscy razem zaczęli pokpiwać sobie z najniesforniejszego podopiecznego, który nalega, by dyrektor wydobył ze składziku popiersie wodza i ustawił pośrodku klombu na dziedzińcu...

— Bo bez tego popiersia biedaczysko zasnąć nie może.

I tak oto żyją. Mają tu chór, orkiestrę, jest również brygada rybaków...

Jednej z podopiecznych Jelka tak się spodobała, że nawet podarowała dziewczynie ładną sukienkę. Była to sukienka jej córki i jakimś sposobem znalazła się u niej.

Jelka ma tu dużo czasu dla siebie. Zrobi, co do niej należy, i jeżeli chce, to czyta, jeżeli chce — idzie do lasu. Po bezczynności i zagubieniu się w wirach życia od razu tu się oswoiła, poczuła się swobodnie, poczuła swą niezależność. W wolnych chwilach lubi błąkać się po łęgach. Zdejmuje pantofle i bosymi stopami wyczuwa miękkość ziemi, jej ciepło — tu można chodzić na bosaka. Gdyby tak w mieście przeszła się po asfalcie, to by ją palcami wytykano, patrzcie: wyskoczyła jak Filip z konopi! A tu, na Skarbnem, można sobie stawać nawet na głowie — nikt nie zwróci uwagi, nikt nie wyśmieje. Może by tak całe życie tu spędzić? Matka życie spędziła samotnie wśród kłopotów dnia powszedniego, dopóki, biedaczce, nie skończył się ten świat w gliniance... Może i tobie samotność swą przekazała? Będziesz niańką starych ludzi, ludzi spokojnego zmierzchu. Bo przecież zostali ludźmi i tutaj, w tym przybytku smutku i starości. I jacyż to ludzie — byli sławni w zakładach, w pociągach pancernych, na barykadach... Takim nie ciężko Jelce podawać w jadalni talerze (niegdyś był tu refektarz). A kiedyś i ona sama zgaśnie. Z prochuś powstała i w proch się obrócisz. Czas wszystko pochłonie, wieczność wszystko pożera. Pyłkiem zostaniesz w chłodnej anonimowości materii. A może na tym właśnie polega ludzkie życie? Może cała mądrość polega na tym, że dwoje ludzi zbliżyło się do siebie, zapłonęło na chwilę, by potem się rozejść, zgasnąć w nieskończonym locie...

Spóźnione ptaki koczują na Skarbnem. W dzień, gdy idzie się lasem, tylko coś zaszeleści w gałęziach. Pobiegnie się wzrokiem za tym ptakiem — jak on wygląda? To znowu pojawiły się jakieś dziwne ptaki o jasnoniebieskim upierzeniu, jakby przyleciały tu z tropików, by zobaczyć, jak wygląda życie na Ukrainie. Leciały wysoko. Niezwykły był widok tych błękitnie upierzonych ptaków, które błękitem mignęły nad wodą Skarbnego. Czasem zagłębisz się w takie miejsca, gdzie panuje zupełna cisza, strumyk jakiś szemrze, brzegi pełne są odsłoniętych korzeni... Głębiny wodne ciemnieją, lecz woda jest czysta. Jakby nie płynęła, a płynie. Kąpać się tu można tak jak cię Pan Bóg stworzył. Nikt nie płoszy, nikt nie podpatruje, jedynie wiekowe dęby na

brzegu patrzą na urodę dziewczęcą... Zagłębisz się dalej w ciszę odwieczną i nie wiesz, w jakim wieku żyjesz. Dęby rozłożyste — zielone sobory Skarbnego, wyraźnie odbijają w wodzie swój obraz. Jelka nieraz się zatrzymuje i spogląda w zadumie na sobory leśne z zielonymi kopułami koron. Zaczęła dostrzegać płynność linii, o których po raz pierwszy wtedy od niego słyszała. Niebo pełne jest łaski. Spokój i cisza. Czego jeszcze człowiekowi trzeba? Wolę posiada, a miłość... Widać nie sądzone. Matka w samotności życie spędziła, chyba to samo czeka i córkę. Wyobraźnia raz po raz przypomina tamtą fantastyczną noc, noc najdelikatniejszych uczuć i poezji. O czymkolwiek wtedy mówił: czy o wieku atomowym, czy recytował utwory Lorki, czy jeszcze coś innego, Jelka odnosiła wrażenie, że właśnie na to czekała i jakby już dawno to przeczuwała, wymarzyła na jawie, widziała we snach. Teraz na nowo się zastanawiała nad całą prehistorią ich spotkania: jak rodziło się uczucie i jak w atmosferze zaczepiańskiej istniały jakby jakieś bioprądy nieprzemijającej miłości. Kiedy leżał w hamaku pod morwą, obłożony książkami i zagłębiony w swoich problemach, ona nawet wtedy przeczuwała ze smutkiem nieodwracalność tego, że stanie się dla niej bliski, na odległość wyczuwała strumień rodzącej się wzajemności. Nie wiadomo dlaczego pomyślała w tym lesie o przypadkiem posłyszanych z ust obcej kobiety słowach: „Daruję pani gwiazdę." On zaś nie gwiazdę, lecz słońce jej podarował. Słońce swojej ufności, miłości, czystości. Chyba nic piękniejszego już jej nie spotka niż ta podobna do pięknego snu noc spędzona z Bagłajem, noc odbitych szuwarów w wodzie rozjaśnionego jeziora, nic piękniejszego od srebrzystego świtu... On spotka w swoim życiu inną kobietę, najładniejsza ze studentek będzie dla niego najodpowiedniejsza, a nie Jelka z jej haniebną przeszłością. Miał nadzieję, że znajdzie w niej niezwykłą poetycką naturę, ona zaś okazała się najzwyklejszą dziewczyną, z całym bagażem błędów życiowych i konfliktów. Więc nie mogła w to wszystko go wciągać, sama przyczyniać się do jego rozczarowań. No cóż — trudno. Za tamtą noc oraz za najpiękniejszy poranek w jej życiu, za to właśnie, póki żyć będzie, zostanie Bagłajowi wdzięczna. Póki żyć będzie... Lecz czy można bez miłości przebyć wyznaczony czas na ziemi? A może i tego będzie człowiekowi dość, może niczego więcej nie trzeba, prócz skrawka nieba nad głową i tego szumu

leśnego, który skłania do zadumy? Słowiki na wiosnę będą tu się zachłystywały swoimi trelami, wszystko będzie skąpane w rosie. Ale i teraz jest tu ładnie, kiedy las jest cichy i zadumany. Człowiek czuje, jak dusza mu się uspokaja. Jakież to jest to serce ludzkie! Żebyś je zranił do bólu serdecznego, znowu odżyje, znowu staje się dobre i czułe. Jelka myślała, że nigdy nie odżyje, lecz oto znowu poczuła, jak życie powiało na nią ożywczym prądem, teraz znowu czuje, że serce jej żyje, że nie jest skaleczone, skoro cieszy ją i ten las, i czyjaś ścieżka, i lustro wody między szuwarami.

W sobotę, kiedy w lesie robi się luźno i gwarno, najlepiej przeprawić się po wiatrołomach przez wodę i znaleźć się na otwartych dzikich terenach, gdzie rozpoczynają się właściwe łęgi. Z dala od gwaru i tłoku na rzece, gdzie śmiałkowie chodzą nadzy w poszukiwaniu trampolin i z dzikim wrzaskiem rzucają się z pochyłych drzew głową do wody, w ciemne tonie rzeki; gwar stamtąd ledwo dolatuje, tu zaś jest cicho, przestrzeń rozległa, błękitną dal widać aż po horyzont, dalekie jeziora połyskują w słońcu swoimi wodami. Mur szuwarów, czuje się zapach wody nagrzanej w ciągu dnia, na płyciznach kwitnie rzęsa...

Ścieżka wije się między szuwarami i prowadzi Jelkę, gdzie sama chce — na łęgi bezludne, w ciszę nadrzeczną. Czapla cienkonoga przyczaiła się pod szuwarami, nie od razu można ją spostrzec... Nenufary bieleją wśród rzęsy swoimi porcelanowymi kielichami... Jaki ten świat jet harmonijny, nie wszystko w nim jest tylko sprzecznością i chaosem. Jest pełen piękna jak to niebo błękitne, tylko trzeba umieć to dostrzegać, nawet gdy jest ci gorzko i czujesz ból w sercu.

Już ruszyła z powrotem, gdy daleko na ścieżce spostrzegła sylwetkę młodego mężczyzny. Prawdopodobnie to jeden z tych Tarzanów, którzy z drzew skaczą do wody, a potem przechodzą na ten brzeg rzeki, by osuszyć się na słońcu. Szedł w jej kierunku, opalony, mocno zbudowany, ciało jego błyszczało, mokre od wody. Pierwszą jej myślą było schować się gdzieś, bo jeszcze zacznie zaczepiać, lecz mimo to szła dalej. To wcale jej się nie śniło, wcale nie było przywidzeniem, lecz była to rzeczywistość: zbliżał się Mykoła Bagłaj. Już go poznała i serce w niej zamarło. Szedł posępny, zamyślony, patrzył pod nogi. A gdy spojrzał na nią, i to spojrzał jakoś dziko, jakby nie chciał jej poznać, poprzez strach strzeliła jej myśl: Był! Z Wowczugów wrócił!

I wszystko, czego się tam o niej dowiedział, teraz niesie przy sobie...

Wszystkie słowa radości, szczęścia i powitania uwięzły Bagłajowi w gardle, gdy Jelka stanęła przed nim. Zbliżywszy się, stała tuż naprzeciwko niego i była jakaś jakby daleka, obca, niemal nieznajoma. Nie powitała go uśmiechem, lecz tylko kącikiem ust jakby się skrzywiła, jakby uśmiechnęła się do niego. Obrzuciła go wzrokiem nieżyczliwym, obojętnym, jakby spotkała kogoś przypadkiem, kto zaraz zacznie ją zagadywać na tej ścieżce bezludnej. Stali oboje wśród tych mocno nasłonecznionych łęgów. I to jest ona, Jelka, która tak badawczo patrzyła na niego przymrużonymi oczami, tak chłodno? W jej oczach mignęło tylko zwykłe zaciekawienie, kiedy mimo woli prześliznęła się wzrokiem po smukłej postaci napotkanego młodzieńca z kroplami wody na ramionach. Ale ta ciekawość nie była Jelce właściwą. Coś nawet jakby ironicznego zjawiło się w jej wzroku: ofiara sportu? Tors egipski, ramiona szerokie, tacy przy wiosłach całe lato spędzają... Dziewczęta niewiele mają z takich korzyści, gdyż oni prócz sportu niczego więcej nie widzą... Znamy was, wielu takich włóczy się po Skarbnem z tranzystorami... „No, co, zaczniesz zagadywać, zaczniesz zaczepiać?" — pytała wzrokiem. I to miała być Jelka? Gdzież się podziała ta, co oczarowała go kwiatem swej duszy, gdzie jest ta bliska, szczera? Krzyknąć by jej coś, co by ją ogłuszyło, co by strząsnęło z niej niewidoczny pancerz obcości, ironicznej wyniosłości, obojętności... Gdzie jesteś, Jelko? Jelko nocy rozśpiewanej, tego pocałunku, którym sparzyłaś mi usta tam, koło soboru? Głos twój brzmiał Bagłajowi i w stepach, głos najmilszy, drżący z przejęcia. A teraz nie słychać go...

— Jelko!... — Zbliżywszy się do niej, Bagłaj ostro i stanowczo zapytał: — Gdzieś ty była? Czemu tak wyglądasz?

Słowa jego wydały się jej obraźliwe.

— Chciałbyś posłyszeć, gdzie byłam? Tam już o mnie słyszałeś!... Mogę jeszcze dodać!

I zaczęła mówić. Słowa wybuchały wulgarne, burzące, padały jakby nie z jej ust. Mówiła o jakichś przydziałach pobieranych w soborze; mówiła o jakimś zdeptaniu, dlatego, że tak wcześnie pokochała, będąc jeszcze podlotkiem... I cóż w tym dziwnego? Jest dzieckiem nieślubnym! Czy z takiego dziecka może być coś dobrego? Z takich tylko biorą się

wietrznice! Pojedziesz, mówiono jej, nauczysz się palić, będziesz chodziła po restauracjach. Owszem, chodziła, a ty co myślałeś? Teraz też wraca z restauracji. Ani wstydu, ani hańby się nie boi. Dusza w niej stanęła dęba, stała się podobna do skóry klaczy w kołchozie — żadnego bólu nie odczuwa.

— Przestań! — Bagłaj mocno ścisnął jej ręce. — Ani słowa więcej.

Jasne było, że ona umyślnie siebie oczerniała, znajdując w tym jakieś sadystyczne zadowolenie, umyślnie przedstawiała siebie w niekorzystnym świetle, że wszystko poznała, wszystkiego doświadczyła.

— Nie chcę tego słuchać, rozumiesz? Nie jesteś taka! Lepiej cię znam niż ty sama, nie jesteś... — Ale tego słowa nie wypowiedział.

Jelka umilkła, stała przed nim z opuszczoną głową. — Bezwiednie deptała koński szczaw. Potem, westchnąwszy, obrzuciła wzrokiem łęgi:

— Dlaczego w przyrodzie wszystko jest takie piękne: niebo... woda... szuwary... A w życiu ludzkim?...

Bagłaj delikatnie ujął ją za obie ręce, patrząc na linię jej ramion, odsłoniętych bardziej niż zazwyczaj, na opuszczone powieki o długich i trochę wypłowiałych rzęsach, na bolesny grymas warg... Nic więcej! Ukoronowanie tego życia. I radość życia, że oto spotkał tę od dnia dzisiejszego najdroższą kobietę.

— Ty byłeś w... naszych Wowczugach?

Tak, był w Wowczugach! I wie o niej wszystko, wszystkiego się dowiedział od ludzi o życiu Jelki — ludzkie, dobre słowa o niej słyszał...

Wzroku od niej nie odrywał. Święta i czysta jak słońce! Nic z tego, coś powiedziała przed chwilą, nie słyszałem. Wszystko to nieprawda, zmyślone — to nie ty. Jeżeli nawet wyobraźnia coś mu podpowiadała, to odrzucał to od siebie.

Jelka patrzyła gdzieś na dalekie lustro wody, które odblaskiem słońca raziło wzrok. Za jeziorami znowu jeziora — jeziora białych nenufarów, wielkich dzikich kaczek, nie płoszonych, lotnych.

— Jest coś smutnego w tych przestrzeniach — powiedziała po chwili milczenia.

— Nie potrzeba smutku — odrzekł Bagłaj, lecz też się zamyślił. — Przestrzenie zawsze mają w sobie jakiś smu-

tek. Bezbrzeżność stepów, również oceanów... Tak samo jest jakiś smutek i żal we wzroku zakochanych; piękno często kryje w sobie smutek...

— Ktoś kiedyś powiedział, że wciąż poszukuję wolności. Powiedział to w formie nagany... Tak, to prawda, poszukuję. — W głosie jej brzmiała ironia i gorycz. — I znalazłam! Bo miłość to chyba jest największa wolność.

— Jak to się stało, żeśmy się spotkali? Jeżyny czepliwe, szuwary, ścieżka bezludna... i nagle ty. Po prostu mistycyzm jakiś!

Jelka spojrzała na niego.

— Umarłabym, gdybyśmy się nie spotkali.

I wzrok jej stał się głęboki jak wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzał ją poprzez płot Jagora przy ulicy Wesołej. We wzroku tym nie było już tego, co przedtem, gdy mówiła o sobie, naumyślnie mówiła, jakby dla własnej obrony... Teraz było zupełnie inaczej: w oczach jej dostrzegł utajone bolesne pragnienie czystości i miłości. Troskliwym gestem spędziła z jego ramienia komara i nie zdjęła już ręki. Oddaniem i miłością pałały jej zielonkawe oczy, zmieniwszy się w bezdenne krynice. Znowu mignęły w nich łzy jak tam, koło soboru.

— Kochany mój...

„Sam nie wiesz, coś ty ze mną zrobił — mogłaby mu powiedzieć. — Przy tobie się odradzam, przy tobie znowu staję się człowiekiem!"

Zamroczony własnym uczuciem Mykoła przygarnął ją do siebie i objął.

Czapla w pobliżu, rozpostarłszy szeroko skrzydła, wzniosła się nad szuwarami ku słońcu.

A oni objęci stali w milczeniu.

Będziecie jeszcze mieli noce księżycowe na Skarbnem; będziecie jeszcze mieli mleczne mgły i rosę po pas! Ucieszą was rusałczane pluski na głębinach; cienie w zaroślach nakażą wam milczenie. Ujrzycie swe Skarbne w błękitnych światłach nieba nieważkiego, kiedy cała przestrzeń od nich zamigocze, a naelektryzowany firmament odetchnie burzą letnią i do najdalszych głębin otworzą się szczeliny między chmurami. Rozpęta się letnia burza, drzewa będą szumiały, wyolbrzymione przez noc...

I poranki będą piękne po burzy, gdy chimery nocne przeminą, włochate cienie, nie będzie tajemniczych wybuchów,

przywidzeń; cienkonogie owady śmigają po wodzie; woda podmywa korzenie i dziewczyna, przygotowawszy się do kąpieli, stoi zamyślona między rzadko rosnącymi przybrzeżnymi dębami; i młode słońce będzie całowało piersi dziewczęce... Tak będzie: migotliwe odblaski słoneczne biegną po wodzie Skarbnego, ledwie poruszone przez wietrzyk; zajączki świetlne, odbiwszy się od wody, biegną brzegiem, po odsłoniętych korzeniach, falami cienia i światła biegną po uszczęśliwionych twarzach zakochanych, po mocno spękanej korze wiekowych dębów...

24

Nawet ci, w duszach których żyje poezja urbanizmu, marzą, by choć jeden dzień wolny od pracy spędzić za miastem, przenocować na Skarbnem. Uciekają tu od parkietów tanecznych, od radioli, od zaduchu asfaltów i dymów fabrycznych, uciekają do żabich koncertów, do plusku fal i brzęczenia komarów.

Komary są tu największe na świecie. Ale mieszkaniec miasta nie ustępuje nawet przed komarami; radość mu sprawia samo zbieranie się w drogę, kiedy hutnicy schodzą się gromadnie, jakby na jakąś daleką wyprawę, kiedy rozlega się energiczny głos przywódcy wyprawy:

— Cóż, bracia, ruszamy? Pojedziemy na łęgi-mitręgi komarze, będziemy hodowali komary niczym niedźwiedzie.

Wśród takich powiedzonek zaporoskich z plecakami na ramionach jeden za drugim ruszają do autobusu.

I jeszcze nie nadszedł wieczór, kiedy na urwistym, przeplecionym korzeniami i wiatrołomami brzegu Skarbnego, gdzie kiedyś zbierali się ludzie pierwotni (uczniowie nieraz znajdowali tu na wymytych brzegach kły mamuta i kamienne narzędzia naszych praszczurów), przy każdym zakręcie rzeki postój sobie urządza człowiek dwudziestego wieku. Postoje takie pełne są radosnych okrzyków, ustawia się trójnogi, wydobywa się garnki, będą tu gotowali kasze-sałamachy czumackie, zupy rybne, podwójne i potrójne, będą rozmowy do późnej nocy...

I oto na wysokim brzegu, między dębami już jaśnieją ogniska, trzaskają płomienie, liżą saganki; w szuwarach szemrze bąk; mrok obejmuje łęgi. Z wieczora niebo straszyło ludzi burzą; poprzez ciemne korony drzew kilka razy

zamigotały błyskawice, niezbyt groźne, zamigotały niebieskawo i znikły, ściągając chmury gdzieś za Dniepr. Znowu zapanowała ciepła noc, zagadkowa, pełna ciepła łęgów, ciepła stepowego lata. Na toniach, na głuchych wirach, gdzie sumy i szczupaki z wieczora z pluskiem wyskakiwały z wody, teraz wielkogłowe wodnice ukazują się wśród grążeli, z gęstwin na drugim brzegu, spośród wiatrołomów mewy z zaciekawieniem spoglądają na ludzi zebranych wokół ognisk. I mewy, i wodnice są tak ciekawe ludzkich rozmów.

— Nigdzie nie jest piękniej niż na naszej ziemi. Ziemia to nasza Zaczepianka! I nie chciałbym zamienić dębów kozackich na palmy Indii, na żużle innych planet...

— To już nie ta ziemia, co wydała ród ludzki, naruszona została na niej równowaga życiowa. Człowiek ją naruszył, wniósł dysharmonię. Wiedza praktyczna poprzedziła rozwój duchowy ludzkości — stąd wszystkie nieszczęścia. W czasie gdy intelekt dokonuje odkryć duchowych, namiętności pozostają na poziomie naszego kudłatego praszczura.

— Towarzyszu inżynierze, nie wiedziałem, że jesteście sceptykiem. A może jesteście również dogmatykiem? Lepiej zaśpiewajmy... „Mgły w wąwozach, mgły w dolinie" — rozpoczyna kobiecy wysoki głos i przez nikogo nie podchwycony, gaśnie.

— Świat emocji irracjonalnych — tam zagnieździła się bestia. Stamtąd pochodzą wszystkie złe czyny, kulty, wojny, stamtąd prawdopodobnie przyjdzie i to, co dzieło naszych rąk zmieni w atomową szlakę... Stamtąd by się dokopać do tych tajemniczych głębi! Lecz nie poszerzy się władza zdrowego rozsądku na ciemne pieczary instynktów, tam barbarzyńca mieszka do dziś... Pod jego uderzeniami ziemia niekiedy dygocze...

— Co tam! Komisja do walki z nadużyciami i spekulacją wciąż pracuje. Zakochani jak byli, tak są... Ziemia żyje, zieleni się, nie zeszła z orbity.

— Grożą, że zejdzie.

— Czcze pogróżki... Nieraz już ludzkości się zdawało, że świat jutro stanie się jedną wielką kupą złomu. Różne bezbożne sekty prorokowały dzień i godzinę Sądu Ostatecznego. Teraz pod starą piosenkę podłożono nową melodię... Rodzaj ludzki skończy się samozagładą, po eksplozjach zostaną tylko myszy i skorpiony... A tymczasem nasza Ziemia istnieje i rozkwita jeszcze piękniej, rodzaj ludzki wydaje wiel-

kich uczonych, poetów, filozofów. Nowe rodzaje kwiatów, nowe rodzaje owoców wyhodowali genetycy. Tylko człowiekowi choremu na wątrobę może się zdawać, że jutro będzie Pompeja. Nie, nie będzie Pompei.

— Złe moce jeszcze pokażą, co potrafią...

I znowu posępne rozważania przerwał wysoki kobiecy głos:

Spoooza mgły niczeeegooo nie widać, spoza mgłyyy...

— Znowu swoje. Pewnego razu dzwonię od dyrektora do Związku, a słuchawkę podniosła ta krzykliwa. Co tam, pytam. I słyszę odpowiedź: spoza mgły niczego nie widać. Ponoć taki dym i kurzawa w hali fabrycznej...

— Dopóki na świecie będą zakochani, nie ma czego się martwić.

Słuchają wodnice nad ciemnymi głębiami, wysuwają swe głowy spośród grążeli; słuchają nimfy zakochane w ludzkiej mowie, słyszą głos dziewczyny, która stoi koło tego pogańskiego ogniska, głos pieszczotliwy, pełen zaufania:

— Mykoło, jakże tu pięknie!... Jaki ten las wszędzie czysty... I noc taka cudowna...

Chłopak pochyla się nad jej głową, jeszcze mokrą po niedawnej kąpieli, włosy jej tak przyjemnie pachną liliami wodnymi.

Czyście słyszeli, jak nasza Jelka śpiewa? Bagłajowie lubią, kiedy dziewczyna ładnie śpiewa. No, zaczynaj, przyszła synowo!...

Tylko widać dąbrowę zieloną,
Tylko widać chłopca młodego...

Z młodej piersi popłynęła pieśń. Pełnym głosem, szeroko, aż echo się odbija od brzegów. Łęgi ucichły, noc się zasłuchała.

Znad brzegu dołączył inny głos. Dolatywał jakby z głębiny wodnej. Łódź przybiła do brzegu i wychodzi z niej ze spisą w ręku, w kapeluszu obszernym mężczyzna barczysty, silny, jakby olbrzym naszych czasów. Siwy wąs w świetle ogniska błyszczy srebrzyście; uśmiecha się na powitanie, czy może jest to drwina. Zaporożec! Z kurenia! Ze snów, z przywidzeń Wielkiego Ługu przybył wprost do nich, do ich jasnego ogniska. „Kurinnyj" albo buńczuk noszący, któ-

ry trzysta lat przeleżał pod wyłysiałym na słońcu kurhanem na stepach samarskich. Lecz czemuż to zamiast spisy ma zwykłe wiosło w ręku? Dlaczego w cudackim kapeluszu — w kapeluszu hutniczym?

Już z daleka zapachniało mu ognisko i, przybliżając się głęboko wciągnął w płuca ten zapach.

— Nie jestem wodnikiem, nie obawiajcie się... Posłyszałem naszą pieśń zaczepiańską, więc zawróciłem. A ta pieśń tak mnie tu wiodła prościutko, jak prościutko biegnie strumień spuszczonej surówki...

Poznano go: był to ojciec wszystkich hutników, Łoboda-weteran.

— Izocie Iwanowiczu, od wczoraj na was czekamy! Już i do przytułku waszego chodziliśmy.

— Gratuluję ci powrotu, Iwanie...

Dwóch mężczyzn spotkało się koło ogniska. Pocałowali się jak ojciec z synem.

— Teraz wiem, kogo nam brakowało: Izota Iwanowicza!

Hutnik powiesił kapeluszysko na gałęzi. Kapelusz spadł, lecz jego właściciel nie pobiegł, by go podnieść, tylko spojrzał nań z ukosa.

— Zabił się.

I znowu wszyscy siedzą wokół ogniska, uprzejmie goszczą starego hutnika.

— Powiadam wam, żem na pieśń popłynął... Jak tylko posłyszę śpiew, zaraz tam płynę... O, tam też nasi zaciągają, gdzieś za Babskim Kolanem, na Żurawianem.

— Podzielcie się z nami doświadczeniem życiowym w raju...

— No cóż, panuję. Skarbnego bronię przed kłusownikami. Widzieliście tablice przy wejściu do lasu: „Kto zasadzi drzewo, tego i wnuki będą pamiętały. Kto złamie, tego i dzieci przeklną." Sam to ułożyłem.

— Nie nudzi się wam tu, Izocie Iwanowiczu?

— Czemu miałbym się nudzić? Więcierze mam, opieka jest i kino bezpłatne... Zaporożcy wieku dożywali w monastyrach. Młodość na koniu, a przyjdzie czas, żegnaj, towarzyszu, trzy dni hula i pije w Kijowie, na Podolu, a potem aż do Międzygórza w prysiudach szarawarami ulicę zamiata. Zabawił się po raz ostatni — i do widzenia, życie ziemskie, żegnajcie smutki, troski i odtąd Kozak tylko w niebo spogląda. No, a ja spoglądam na swoje dymy fabryczne.

— Dziękuję, żeście w trudnej chwili zaopiekowali się naszą Jelką i zajęcie dali. Jeszcze tam pracuje, a później zabierzemy ją do naszego Związku, uzupełni klasę robotniczą. Nauczy się, fach zdobędzie i zasiądzie przy elekronowej maszynie!

Stary hutnik wyjął lulkę, napchał tytoniem, zakurzył.

— Ma człowiek w sobie coś takiego, co nakłania go do tego, by postępował dobrze... Kiedy zrobi komuś choćby malutkie dobro, to czuje, że na duszy mu lekko i czysto. Mówiono kiedyś — ciągnął stary — że człowiekowi na ramieniu prawym i lewym siedzi niewiadome... Towarzysz Duch, tak go nazwiemy. Jeden siedzi i podpowiada: rób dobrze, a drugi do drugiego ucha naszeptuje i namawia do złego... Myślicie, że teraz ich nie ma? — Zdawało się, że się uśmiechał. — I teraz nosimy. Każdemu z nas siedzą na ramionach — i na lewym, i na prawym... Którego lepiej będziesz słuchał...

W niezwykłą noc, zmieniającą cienie, wydawało się, że na ramionach starego naprawdę siedziały te istoty, przyczaiły się pod skrzydłami kapeluszyska, napuszone, włochate.

— Źle jest tylko wtedy, kiedy towarzysz Duch się zdrzemnie... Bo tego mu nie wolno... Choćby w czapce milicyjnej każdy powinien czuwać tuż koło samego ucha; na warcie spać nie wolno. Tu, powiadamy, więcej tłuszczu i mięsa na osobę. Wiadomo, że tak jest dobrze. Bez tego się nie przeżyje. No, ale kiedy na człowieka przypada po pudzie sadła, kiedy tłuszczem obrośnie, to już jest tego szczęścia nadmiar. Żadnego bólu nie odczuwa. Prócz tego sadła niczego mu więcej nie trzeba.

Wypalił lulkę i spytał starszego Bagłaja:

— A jak tam w świecie? Jak tam z wytopem metalu?

BHILAJSKIE OGNISKO

— Wszędziem był, wszystkiegom się napatrzył, ale powiem wam, że nie ma piękniejszej dziedziny niż prawda. A zaczęło się zwyczajnie. Zawołali i pytają:

— Towarzyszu Bagłaj, polecisz?

— Dokąd?

— Do krainy cudów...

Miałbym nie lecieć!

W Moskwie, póki trwały przygotowania do podróży, odwiedziliśmy Mauzoleum, sobory kremlowskie obejrzeliśmy. Wspaniałe!

Z rzeczy zimowych kierownictwo radziło niczego nie brać i my — na świecie szalała zamieć — zjawiliśmy się jak latem, w samych tylko garniturkach, w leciutkich pantoflach, boć przecież lecimy do krainy wiecznej wiosny, wiecznego lata! Mróz trzaskający, wiatr przewiewa na wskroś, lecz my w dobrych nastrojach wbiegliśmy po trapie; motory ryknęły i — żegnaj, ziemio, żegnaj biała zimo! Na trasie lądowaliśmy tylko jeden raz, lecz zima i tam nas dopadła. Wylądowaliśmy: noc, zawierucha. Nie pozwolono nam zostać w samolocie, biegnijcie do hotelu, do tego, co z daleka mruga światłami. Pobiegliśmy i w ten sposób trochę się rozgrzaliśmy. I z powrotem. Lecimy dalej. Znowu maraton przez całe lotnisko do samolotu. Ale wsiąść nie pozwalają, drzwi zamknięte, pilotów nie ma.

Z nami, hutnikami, leciała jeszcze grupa nafciarzy, gdzieś z Baszkirii, z rodzinami, z dziećmi, a dzieci ledwo w co ubrane, bo przecież lecą do kraju tropikalnego... Zatrzymaliśmy się całą gromadą pod skrzydłem samolotu w naszych kurtkach, by choć trochę osłonić maluchów przed wichrem; przytupujemy i swoim zwyczajem wychwalamy nasze rodzime porządki. Kiedy indziej chyba zapalenie płuc by się przyczepiło, a tu się skończyło tylko na dreszczach, nikt nawet kataru nie dostał. Oto co znaczy podróżować samolotem i trzymać nerwy na wodzy.

Słowem, lecimy już przez Himalaje. Rozsłonecznione śniegi, oślepiające niebo, czyste powietrze.

Żegnajcie wszyscy: i ty, żoneczko, i wy, dziateczki, i wy, chłopcy z martena, drogie moje „marteny". Do zobaczenia, biurokraci, nieprędko się z wami zobaczymy... Lecimy tam, gdzie was nie będzie, gdzie naprawdę jest jak na innej planecie, tylko pokłady rudy w kopalniach są takie same, wszystko inne zaś trzeba rozpoczynać od nowa.

Cośmy wiedzieli o Indiach? Jest to kraj do zwiedzania, lecz dla nas ma się stać krajem działania, wytężonej pracy, pierwszych najważniejszych wytopów...

Nocleg w Delhi; na balkonie całą noc dusząco pachną róże; rano orkiestra na ulicach, dobosze w skórach leopardzich (była to defilada z okazji jakiegoś święta), ciężka pie-

chota na słoniach bojowych... A potem dalej w drogę! Wreszcie tropiki. Słodkawy zapach kwiatów tropikalnych, nie znanych nam dotąd, cykady trzeszczą jak karabiny maszynowe; naga, czarnooka dzieciarnia na każdym kroku:

— Bakszysz! Bakszysz!...

Miejscowość była pustynna; na równinie palmy niczym w kinie, a na tle palm — on, olbrzym metalurgiczny. W domu u nas jeszcze zima, a tu duszno jak w piecu. Wsiadasz do autobusu, nie dotykaj przedmiotów metalowych, bo się sparzysz!

Zaczęliśmy życie na rudej, prawie czerwonej ziemi, w samym sercu najbardziej suchego ich regionu. Należałoby opowiedzieć, jak w swojej nieświadomości próbowaliśmy widelcami jeść płatki kukurydziane albo jak zadziwialiśmy ich swoimi szerokimi spodniami roboczymi. Ale i oni niejednym nas zadziwiali. Pierwsze zdziwienie: zakłady ich są odsłonięte i dostępne na wszystkie podmuchy wiatrów, zupełnie nie ogrodzone! Uzgodniliśmy, że trzeba je ogrodzić, zrobiliśmy portiernię jak u nas. Tuż koło martenów na placu hutniczym — bazar! Coś gotują, smażą, można kupić groch i banany, wszyscy coś jedzą, jakieś liście żują... Krowy błąkają się między ludźmi — to u nich na każdym kroku... I kastowość, oczywiście. Kiedy ktoś jest naczelnikiem, to żadnego narzędzia do ręki nie weźmie, od tego są niżej postawieni w hierarchii. Dostawca-kontraktor to u nich ważna osobistość, sam podpisuje kontrakty na pracę, ludzi sam werbuje, bez oddziału kadr. Wykonali robotę — po rupii w zęby, a wielkie sumy odkłada dla siebie. Tania jest praca ludzka tam u nich. Zdarza się, że maszyny stoją bezczynnie, a kobiety ziemię noszą koszami na głowie... No i to, że wszyscy się modlą. Zanim przyjdzie na swoją zmianę, najpierw bije pokłony, do słońca się modli. Wszystko to są drobiazgi życiowe. Najważniejsze było, że pewnie wzięliśmy się do roboty i szybkośmy się zaprzyjaźnili z ludźmi.

Miałem pomocnika, na imię mu było Rangar; żonaty, starsza córka miała osiem lat; ojciec cały czas ją wychwalał. Razu pewnego powiadam do niego żartem:

— Rangar, ty masz córkę, a ja syna w tym samym wieku... Może ich poswatamy?

— Dobrze, mister Iwan! Moja córka jest tak samo biała jak wasze.

I zaprasza mnie w gości. Mieszka sobie zwyczajnie,

skromnie, bez luksusów; wielu z nich ma takie mieszkania: cztery kołki i mata z wierzchu... Wciąż kawą mnie częstował i córkę wystawiał na oględziny. Ładna, słowa nie można powiedzieć, ale gdzie ona tam biała? Jak Cyganka!

— Zgoda, powiadam. Piękna będzie synowa. Spokrewnimy się.

Potem naprawdę traktował mnie jak krewnego: całkowite zaufanie, szczerość, otwartość.

Ale Taratucie z jakiegoś powodu to się nie spodobało.

— Czemu ty wciąż zadajesz się z tymi czarnowłosymi? — spytał mnie, kiedy wróciłem od Rangara.

Ubodło mnie to pytanie, bo skąd mu się to wzięło? Ale zmilczałem. Dopiero przed snem, kiedy wiatraczek swój włączyliśmy na noc (zawieszony pod sufitem taki wentylator, który ratował nas od duszności), Taratuta pyta:

— Obraziłeś się za nich? Daj sobie z nimi spokój, Iwanie. Jak można się przyjaźnić z wyłudzaczami bakszyszu?

— Oni do mnie po ludzku, więc i ja do nich po ludzku.

— Czy oni rozumieją po ludzku? Anglicy nauczyli ich rozumieć tylko jedno: pięść... Bo nas oni tylko cyganią na każdym kroku.

Anglicy naprawdę się z nimi nie cackali, do ich kin ludność miejscowa nie miała wstępu: za wysokie progi. A w naszym kinie Hindusi nawet nie płacą za wstęp i choć nic nie rozumieją, to jednak idą, i to całymi rodzinami, zabierają ze sobą nawet niemowlęta. Kobiety noszą je na plecach jak tobołki.

— Głuchy ty jesteś, Semenie, kiedy chodzi o sprawy ludzkie — powiadam.

— Więc chodź tam do nich, brataj się z nimi.

— I będę się bratać.

— A ja — powiada — nie cierpię samego zapachu, którym od nich zalatuje.

Dotyczyło to tego, że Hindusi mają zwyczaj smarować włosy olejem kokosowym. A upały są takie, że niekiedy i olej ulega rozkładowi... Szampon nie dla każdego jest tam jeszcze dostępny.

— Pożyłbyś — powiadam — w ich warunkach, Taratuto, a wtedy zobaczyłbyś, czym by od ciebie zalatywało. Oni zaprosili tu ciebie jak człowieka i w dodatku płacą ci więcej niż swoim...

— Mnie Związek płaci — mruknął Taratuta. — Nie po-

dejmowałem się bratania z nimi. Jestem niedobry? Wcale nie mam zamiaru dla wszystkich być dobrym. Człowiek jest dobry tylko dla samego siebie.

Nie doszliśmy do porozumienia. Lecz gdy nadszedł dzień urodzin Taratuty, postanowiliśmy z chłopcami dzień ten uczcić. Hutnicy ofiarowali solenizantowi lampę na stół z postumentem w kształcie Tadż Mahala, piękną, z białego nefrytu, pięknie wykonaną. Mają tam majstrów doskonałych do takich rzeczy. Ofiarowaliśmy podarunek, zabawiliśmy się. A po kilku dniach ujrzeliśmy tę lampę Tadż Mahal... u sąsiada Hindusa! Oczom swoim nie chcieliśmy wierzyć. Spytaliśmy, skąd ma? Okazało się, że solenizant mu sprzedał. Obraziło nas to. Tu człowiek na „Wołgę" odkłada, chce wracając do Związku „Wołgę" eksportową nabyć, ale nie powodzi się tak... Jeśli idzie o mnie, to diabli tam z nią, z tą „Wołgą", skoro tyle kosztuje!

— Słuchaj, Semen — powiadam do niego, kiedy wracaliśmy ze zmiany do domu — po coś ty nad Himalajami przelatywał?

— Po to, po co i ty, rupie zarobić.

— Ja nie po to — powiadam.

— No, ty, rzecz jasna, udzielasz bratniej pomocy, rękę podajesz... A ja cię pytam: za jakie to podziękowanie będziemy im budowali ten kombinat metalurgiczny? Tym kombinat, tamtym Asuan... Cóż to, w domu nic do roboty nie mamy? Dziurami nie świecimy? Jak długo mamy być białymi Murzynami? Ty najpierw mnie wyposaż w jakiś tam dżip, a potem okazuj swą szczodrość innym na mój rachunek...

— A ja — powiadam — miarkuję inaczej: dlatego pomoc nasza jest droga, że nie z nadmiaru dobrobytu naszego płynie, nie ze zbytku...

Doszło wreszcie do tej lampy, która tak nam Taratutę oświetliła. Taratuta nawet nie przeczył: tak, oddał Hindusowi w komis, żeby odsprzedał.

— Dla mnie każda rupia teraz jest droga. Widzisz, kurzę teraz tylko „Czaar-minar". „Czaar-minar" to znaczy „Cztery minarety" — są to najtańsze ich papierosy — a wy do mnie ze swoim Tadż Mahalem. Po co mi on? Lepiej go zamienię na walutę.

— Tanio — powiadam — przehandlowałeś naszą przyjaźń i honor hutnika.

W komisie ujrzeliśmy naszego Taratutę. Nieładnie wypadła cała ta historia z lampą, kiedy wyjaśniła się po nitce do kłębka. Związał się nasz Taratuta z tymi, co biorą bakszysz, w tajemnicy prowadzi z nimi różne handelki. Dziś okpi takiego kupczyka, a jutro tamten go okpi, i nawet częściej, ale handlują, że proszę siadać. A w takich sprawach, wiadoma rzecz, przyjaźni się nie zdobywa.

Uchwaliliśmy, żeby w ciągu dwudziestu czterech godzin nawet jego ducha tu nie było. Żeby kombinator nie bezcześcił kolonii specjalistów radzieckich.

I tego jeszcze dnia pożegnaliśmy się z nim.

Razem z braćmi Hindusami w ciągu kilku dni rozpaliliśmy nowy piec. Kiedy spuszczono wytopiony metal, ciężko było bardzo, żar nas zamęczał. Każdy pracował cały czas mokry jak pluszcz, brakowało tchu, trzeba było pracować w maskach tlenowych.

Wreszcie następuje pierwszy spust, wszyscy się cieszą. Płynie nie widziany tu metal, a tuż obok lawy, wprost przez cech przechodzą włóczące się święte krowy... Z królewską powagą, niczego się nie bojąc, przechodzą obok rozpalonych wagonetek-wywrotek, aż czerwonych od nalanego w nie metalu. Przeszły, uświęciły i poszły gdzieś dalej. Nie wolno ich pędzić, Hindusi prosili, żeby ich nie ruszać... Mnóstwo ludzi się zeszło — nie dziwota — pierwszy marten; malcy aż do samego pieca podchodzą, trzeba odpędzać: piec nowy, czad się wydziela, więc żeby nasze Hindusięta nie zaczadziały...

Stoimy z Rangarem, patrzymy na lawę ognistą, która leje się w tygle dwoma potokami.

Rangar miał oczy pełne łez. Wzruszony pyta, jak zgadnąć, gdzie jest szlaka, a gdzie czysty metal... Bo przecież oba potoki jakby jednakowe.

— Tam, gdzie szlaka, Rangar, nie ma iskier. Tylko czysty metal w czasie spustu sypie iskrami... Szlaka iskier nie daje, rozumiesz?

Bardzo mu się to spodobało.

— Dobrze to sobie zapamiętam, mister Iwan: szlaka iskier nie daje. Tylko czysty metal sypie iskrami.

Z lasów i gór zjechały się plemiona z wyrobami rękodzielniczymi. Mężczyźni z jakimiś rogami, kobiety w barwnych strojach... Później i myśmy jeździli do nich, a oni urządzali tańce tuż koło autobusu... Postęp wkraczał w ży-

cie. Najważniejsze zostało dokonane: płynął hinduski metal! Wstajesz rano, przychodzisz do pracy, obejrzysz piece, obejrzysz tygle, sprawdzisz szychty, obecność w tyglach szlaki... Słowem, zrobisz wszystko, co do ciebie należy, jako do eksperta. Bo ja, choć przyjechałem jako zwykły hutnik, to pełniłem funkcję kierownika szychty. Wszystko, czegoście nas kiedyś nauczyli, Izocie Iwanowiczu, teraz się przydało. Nie wystarczyło opowiedzieć o tym, trzeba było w praktyce pokazać, tak to już jest w hutnictwie. I, mówiąc prawdę, nie ma u nas żadnej kastowości, chłopcy nie wyrzekali się żadnej roboty. Za to wszyscy szanowali naszych hutników. Gdy ukraińscy hutnicy wchodzą na zmianę, można być spokojnym. Kiedy trzeba, sam dokona spustu wytopu, trzeba, to i dyszę sam zamknie, weźmie ożóg i sam otwór przebije. Niekiedy robi to, co do podręcznego należy, sam kiedyś był podręcznym.

Nigdy siebie nie oszczędzałem. Czasem ledwie wróciłem z roboty, umyłem się i usiadłem z chłopcami zagrać w domino albo książkę poczytać, a tu już dżip i posłaniec wręcza mi kartkę: „Mister Iwan, prosimy o niezwłoczne przybycie do cechu." Chwytasz swą hutniczą czapkę z okularami i w drogę... Niekiedy się zdarzało, że po osiemnaście godzin nie wychodziliśmy z cechu. Zdrowie nie zawodziło, upały znosiliśmy może dlatego, że organizm naszego brata hutnika jest odporny na wysokie temperatury, do każdej jest przyzwyczajony. Bo przecież i w naszych cechach zdarza się taka temperatura, że można smażyć jajecznicę.

Przyzwyczaiłem się i do słońca w zenicie. Idziesz w dzień w upale tropikalnym i wcale cień od ciebie nie pada, takie tam słońce. Odpowiednio przypieka, dopóki nie nadejdzie pora monsunów, to jest pora takich deszczów, że z nieba leje się jak z konwi. W czasie monsunów zupełnie wyraźnie widzisz te ich kontrasty: jeden nagi, nagusieńki, w samych kąpielówkach zapycha, a drugi z parasolką nad głową, a jeszcze zamożniejszy w płaszczu nylonowym.

W domu Rangara tymczasem żonka dla mojego Piotrusia rośnie. Spojrzę na nią i od razu mam przed oczami całą ojczyznę. Dniepr błękitem połyskuje, nasza Zaczepianka czerwieni się wiśniami i słoneczniki kwitnące się przypominają... Oni tam też mają słoneczniki, ale to tylko kwiaty, roślina dekoracyjna. Przebiegnie koło tych słoneczników córka Rangara w swoim sari i mimo woli myślisz sobie: a co

my wiemy o przyszłości, o tym, jak nasze dzieci będą żyły na świecie? Może naprawdę nie będą chciały znać miedz, barier i kiedyś bystre oczęta hinduskie ujrzą niebo ukraińskie i rude dymy w nocy nad zakładami? Może pojawi się na naszej Wesołej dziewczyna hinduska ze swoją miłością, ze swoimi pieśniami, z tańcami i łaskawe wody Skarbnego omyją smagłe nogi, które w dzieciństwie omywał Ganges.

W wolnym czasie chodziliśmy w gości do naszych hinduskich przyjaciół. Prócz Rangara mieliśmy zaproszenia i do innych, to nie szkodzi, że są biedni, że mają nie urządzone mieszkania, lecz są gościnni, lubią, gdy się do nich przychodzi. A poza tym wśród ich hutników było kilku ożenionych z naszymi zaporoskimi i mariopolskimi dziewczętami. Poznali się, kiedy chłopcy hinduscy odbywali praktykę w naszych zakładach metalurgicznych.

— Przyjdźcie na barszcz ukraiński — zapraszali.

I kiedyśmy się u nich zbierali, to piosenek naszych mnóstwo śpiewaliśmy. Bo im dalej do domu, tym bardziej za swoimi się tęskniło. Niekiedy taka tęsknota brała, że miejsca nie można było sobie znaleźć.

A potem doszło do wydarzenia, które wszystkim napędziło strachu...

A było to tak: pewnego wolnego od pracy dnia całą kolonią pojechaliśmy autobusem za miasto. Jest tam u nich wielkie jezioro, prawie w samej dżungli. Dzień spędziliśmy jak zwykle: śpiewy, dużo radości i zazdrości, bo gdzie są kobiety, bez tego się nie obejdzie. Nie jest tajemnicą, że i „suche" prawo państwowe tego dnia było trochę naruszone. A że ja wtedy podobno trochę przebrałem miarkę, za co potem robiono mi zarzuty, to mówiono, że to przeze mnie. To nie odpowiada rzeczywistości. Nie szkocka whiski była przyczyną. Po prostu stało się ze mną coś takiego, jak to niekiedy zdarza się z człowiekiem: poczułem się smutny i kompania mnie nie cieszyła, ot, poszedłbym w świat, dokąd oczy poniosą...

Jezioro odbrzymie, większe niż zalew Skarbnego, linia przeciwległego brzegu wabi swą tajemniczością, jest aż sinawa, powleczona mgłą, migocze w przestrzeni... Obszar taki jak u nas na Poniżu, gdzie Dniepr się rozlewa naprzeciwko sioła Wijskowego i gdzie nasi forsowali w czterdziestym trzecim... Więc oni forsowali, a ty?

„Płyń" — jakby mnie ktoś popchnął.

I popłynąłem.

Nikt mądry nie spostrzegł mego głupiego postępku.

A mnie jakby jakiś bies pcha wciąż naprzód i naprzód, tam, gdzie nikt z naszych jeszcze nie był, tam, gdzie siniało...

Co tam jest, myślę? Jaki jest ten brzeg z bliska? Stąd, nie wiem czemu, przypominał mi smugę brzegu Dnieprowego, tam, gdzie co lato urządzano obozy dla dzieci fabrycznych, gdzie był mój Piotruś. Może w tej chwili piłkę z dziećmi gania? Tak mi się w tej chwili wyraźnie przywidziało: i mocno opalone nogi Piotrusia, i ręce podrapane, słyszę jego dziecięce żarty i już jakbyśmy obaj oglądali ten załom skalny, na którym mosiężnymi literami zapisano, że tu zginął w walce z Połowcami sławny niegdyś witeź Światosław Igorowicz. Kiedy zatapiano prochy, mosiężną tablicę zabrano z dołu i przeniesiono na inne miejsce, na wyżej umieszczony głaz, i tablica, jak wiadomo, znajduje się teraz na terenie obozowiska pionierów fabrycznych. Wszystko to przypomniało mi się, serce coś ścisnęło i popłynąłem tam, do brzegu rodzinnego.

Bez pośpiechu wymachuję ramionami, oszczędzając siły, i tylko jednego nie wziąłem pod uwagę: że wiatr może dmuchać. A wiatr dmuchnął i to mocno, jak dmucha i u nas wieczorem, kiedy wieje nisko nad Dnieprem. Teraz chcę czy nie chcę muszę płynąć przed siebie, bo jeżeli zawrócę, to fala mnie zaleje. Płynę. Prawdę mówiąc spodziewałem się, że to nie będzie daleko. Jako chłopiec nieraz Dniepr przepływałem, zawsze czułem się na wodzie pewnie, a tu nagle strach zaczął mnie oblatywać. Może dlatego, że zaczął zapadać zmierzch. I do swoich daleko, przepłynąłem już więcej niż połowę, ale brzeg przeciwległy wcale nie był bliżej.

Powiem tylko tyle, że zmierzch zastał mnie na wodzie. W krajach tropikalnych zapada od razu. Nie wiem kto, czy potężny duch Zaporożca jakiegoś zawstydził mnie pośrodku tego jeziora, czy synek z brzegu rękę mi podał, dość, że dotarłem do brzegu. Ale wcale naszego brzegu nie przypominał. Bez skał, bez zapachu stepowego... Ciemno, jakieś chaszcze, a dokoła pod nogami szu-szu-szu... węże. Nie wiem czy naprawdę tyle ich było, czy tylko tak mi się wydawało ze strachu. Stoję nagi w tej tropikalnej ciemności i kroku

nie mam odwagi zrobić, wydaje mi się, że wszędzie są kłębowiska wężów. I o tygrysach-ludożercach sobie przypomniałem. Pochyliłem się, patrzę, chcę dojrzeć jakieś mocne i wyższe drzewo, wejdę, myślę, na drzewo i mimo że nie bardzo mi wypada jako radzieckiemu ekspertowi, ale jednak przyjdzie mi spędzić noc na małpi sposób.

Wysokiego drzewa nie dostrzegłem, wszędzie jakieś pokraczne majaki stoją, ale dalej, gdzieś na brzegu jeziora, widzę, migocze ogieniek! Wszyscy ludzie na świecie prawdopodobnie przeżywają to samo, kiedy znajdą się w podobnej sytuacji — żywo reagują na blask ognia. Jeszcze nie wiesz, co on ci wieści — ratunek czy może zagładę, kto go rozpalił i jak cię przywita, ale nabierasz do niego zaufania, gotów jesteś biec do niego poprzez nocny mrok, poprzez kłębowiska gadów i splecione zarośla tropikalne.

Chwytam jakąś gałąź i jak kosiarz kosą zaczynam wymachiwać nią po trawie, żeby węże przepłoszyć, i zaczynam podążać w stronę owego światełka.

To byli rybacy. Ognisko takie jak nasze, a oni siedzą dokoła i wieczerzę sobie warzą. W tej ich gromadzie wyróżniał się jeden starzec, człowiek poważny, broda siwa jak u apostoła.

Nie wiem, ale prawdopodobnie wydałem się im przybyszem z innej planety — nagi, dziki, nie znający ich języka, nie znający ani jednego słowa hinduskiego. Lecz, co najciekawsze, nie patrzyli na mnie wrogo, tylko ze zdziwieniem, chcieli odgadnąć, kto ja jestem, dojść ze mną do porozumienia i w czymś mi pomóc. Tak zawsze i wszędzie powinni ludzie patrzeć na człowieka.

Ja oczywiście zacząłem lamentować na wszystkie w świecie sposoby, wołając, że trzeba mi na tamtą stronę jeziora, bo tam na mnie czekają, bo tam mnie szukają, bo zbłądziłem, odłączyłem się od swoich. Jak dziki wymachiwałem rękami, wskazując w ciemności za jezioro, lamentowałem nie bardzo do rzeczy, lecz mimo to zrozumieli mnie. Ich przywódca, stary rybak, pokiwał głową: to niemożliwe, mówił. Przepłynąć jeziora nie można. Nawet w dzień. Nie zawracaj sobie, człowiecze, głowy, nie denerwuj się, zastanów się nad tym i, gestykulując bardzo wyraźnie, zaprosił mnie na kolację i na nocleg. Pokazał nawet, w jaki sposób będziemy spali, podkładając rękę pod głowę, a niebo zamiast kołdry przykryje nas swymi planetami i galaktykami.

Wieczerza niczym u świętych: ryba, sól i gotowany ryż — żadnych dodatków cywilizacji.

Bujna, nie znana roślinność otaczała nas i nasze ognisko. W jego odblaskach widziałem olbrzymie liście, jakieś tropikalne łopuchy. Kiedy ryż już się ugotował, młody rybak poszedł i narwał tych łopuchów, dokładnie rozłożył przed każdym z obecnych: najpierw położył przede mną, potem przed starym rybakiem, następnie przed wszystkimi pozostałymi. Ja miałem miejsce z brzegu, od zarośli, najbliżej tygrysów-ludożerców, wszystkich tych strachów, które mi się przywidziały, i przez moje plecy mimo woli raz po raz przebiegało nerwowe drżenie. I choć w żaden sposób nie chciałem zdradzić swego wewnętrznego stanu, lecz stary rybak dostrzegł moje samopoczucie, nie, raczej nie dostrzegł, lecz wyczuł. Tacy delikatni i subtelni byli ci nocni ludzie. Stary ledwo dał znak młodym, a oni zrozumieli, o co chodzi, i w milczeniu przesunęli się ze swymi listkami-serwetkami na moją drugą stronę. W ten sposób byłem teraz zabezpieczony przed wszystkimi tygrysami, które prześladowały mnie w wyobraźni. Okazało się, że siedziałem teraz w samym środku, na poczesnym miejscu obok ich przywódcy. Tak wyglądała nasza ostatnia wieczerza.

Podjadłem sobie dobrze, żeby nabrać sił, bo nie opuszczała mnie myśl, że rano trzeba będzie popłynąć z powrotem.

Położyli mnie spać nie z brzegu, lecz pośrodku, między sobą: troskliwie czymś przykryli, żeby moskity mnie nie cięły. Ale nie do snu mi było. Kim są ci ludzie? I kim ja jestem dla nich? I co to się stało, że spotkawszy się przypadkiem, jak to bywa, od razu poczuliśmy się jak bracia? Było w nich coś pierwotnego i równocześnie coś tajemniczego, niezmiernie mi obcego. Ludzie ci od prawieków żyją na swojej czerwonawej ziemi, wszystko jest tu inne, a jednocześnie byli mi bliscy... Mimo iż palą swoich umarłych, a leczą się zaś w ten sposób, że na brzuchu, na splocie słonecznym noszą w woreczku garstkę ziemi. Czarne włosy strzygą po to, by matki złożyły je w świątyniach jakiemuś bóstwu. Pragnąłem poznać ich bliżej, dowiedzieć się, czemu są tacy? Dlaczego mają takie obyczaje? Co to za prawa i skąd się wzięły wspólne cechy sanskrytu i naszego języka, dla których wspólne są słowa „matka" i „chleb"? Czy przyniosły je plemiona pasterskie? Czy została jakaś wspólnota? Dlaczego została zerwana? Nie mogłem tego zrozu-

mieć. Niekiedy przychodziło mi do głowy jakieś fantastyczne przypuszczenie, że wszyscy przywędrowaliśmy z jakichś dalekich planet, że w pomroce dziejów zapomnieliśmy o wspólnym prajęzyku, o naszej ludzkiej prawspólnocie, którą utraciliśmy i której w ciągu wieków nie zdołaliśmy odnowić...

Rozmaite myśli przychodziły mi do głowy. Kraj ten ukazał mi tyle swych cudów. I mimo że niby nic szczególnego nie było w tym, że tak mnie przyjęli, to jednak i to wydało mi się niezwykłe. Nic o tobie nie wiedzą, widzą cię po raz pierwszy, a zostałeś przez nich przyjęty jak przyjaciel. Czy podobne stosunki nie powinny zapanować między ludźmi na całej kuli ziemskiej? W tę bezsenną, niespokojną noc, jak zwykle w takich wypadkach, wiele jeszcze myśli przychodziło mi do głowy. Myślałem o swoich kolegach, uczestnikach wycieczki, o tym, że sprawiłem im tyle kłopotu, przykrości, niepokoju. Zginął człowiek! Zniknął jeden z hutników! Utonął, zabłądził czy zginął? Dość, że go nie ma! O takim zaginięciu należy niezwłocznie zawiadomić poselstwo. Z powodu takiego wydarzenia niejednego tam przepytają, niejeden dostanie taką rugę, że dopiero w Związku Radzieckim się obejrzy! Sumienie mnie męczyło. Uległeś chwilowemu nastrojowi, coś ci się przywidziało, coś strzeliło do tej głupiej głowy, o nikim nie pomyślałeś, jak chłopaczek wypuściłeś się w siną dal... Jesteś człowiekiem dojrzałym, a poddałeś się podszeptom diabelskim, pociągnęło cię w nieznane, na los szczęścia...

Bies nawet tutaj nie zniknął, nie sczezł bez reszty, ale od czasu do czasu podżartowywał sobie: mimo wszystko ładnie to wypadło! Wypuścić się na taką głębinę! Ruszył przed siebie i przepłynął! Zaporożcy kiedyś na bajdakach przez morze do Turków wybierali się z wizytą, a ty bez wizy pognałeś wpław po jeziorach hinduskich. Będziesz za to odpowiadać, przygotuj kark, boki podstawiaj. To ci bezkarnie nie ujdzie... Odetchnąłeś przestrzenią, zmierzyłeś siły z żywiołem, z nieznanym, a teraz zmierzysz się z tym, co zgodnie z instrukcją czeka radzieckiego eksperta.

Noc była długa, miało się wrażenie, że słońce nie wzejdzie, lecz wzeszło! Takie samo jak u nas: jasne. Wprost z zarośli wytoczyło się czerwonoognistym dyskiem; rośnie, rośnie, górna część nabiera blasku. Dawniej tego nie zauważałem, teraz zaś widzę, jak to jest — słońce zaświeciło po

nocy, po oceanie mroków. Zrozumiałem po raz pierwszy, dlaczego tu się modlą do słońca, dlaczego kłaniają się, gdy wschodzi... Sam miałem ochotę kłaniać się jasnemu dyskowi, witać dzień... Zostawiliśmy obóz oraz gasnące ognisko i przyjaciele poprowadzili mnie brzegiem jeziora. Stary przywódca idzie przede mną, nogi jak patyki, widać wszystkie żebra, skóra spalona tak, że aż się łuszczy, a on sobie idzie i coś plecie po hindusku, coś mruczy pod nosem. Widziałem wielu ludzi w różnych okolicznościach, lubię przyglądać się naszemu bratu hutnikowi, jakiemuś walcownikowi, który stoi przy swojej pracy i ciemnym potem się oblewa, a koło jego nóg mkną rozpalone czerwone węże, on zaś tylko leciusieńko, jakby się bawił, swoimi kleszczami łapie je raz i przerzuca, niby jakiś fakir, zaklinacz węży. Hutnik wie, jak trzeba stać. Jaka jest potrzebna wytrzymałość nerwów, bystrość wzroku, jak muzykalny, czuły powinien być słuch, by każdy gest był doskonały. Dziesięć, piętnaście minut stoi tam wytrwale, więcej nie wytrzyma, ale jak on stoi! Jaką ma godność w każdym geście! Można się na niego zapatrzeć. Ale i na tego bosonogiego przywódcę, który tak lekko stąpał obok, idąc plótł sieć umiejętnie nawijając ją na łokieć i jeszcze sobie podśpiewując, też można się było zapatrzyć.

Idziemy błotnistymi miejscami, znowu węże wiją się po namulinach, między zwałami zmurszałych pni, nigdy takich nie widziałem. Przechodzimy przez strumyki, przez ruczaje, wreszcie spotykamy naszych ludzi.

Jedni się cieszą, drudzy mają łzy na policzkach.

— A oto nasz bohater! Całą naradę nam zepsuł! — krzyczy na mnie kobieta, której mąż cały czas biegał dokoła każdego posągu Buddy, uwieczniając go na zdjęciu. — Całą noc nie spaliśmy przez niego, szukaliśmy z pochodniami!

— A przynajmniej wiesz, gdzie byłeś? — spytał jeden z naszych naczelników. — Zawędrowałeś aż do innych plemion! Tam już są inne plemiona!

Szczerze poczuwałem się do winy, przepraszałem, jak umiałem, bo prawdę mówiąc postąpiłem wobec towarzyszy jak ostatni egoista. Przeze mnie przepuszczono jeden z autobusów; tyle ludzi nie odpoczęło, do roboty się spóźnili, bo co to za praca, kiedy zaszedł taki wypadek, kiedy zginął człowiek.

Długo nie mogli opanować zdenerwowania. Tego samego

dnia zwołano zebranie: odesłać do Związku i koniec, nalegał ten, co cały czas krzyczał o plemionach. Jak Taratutę odesłać, jak tego, co z handlarzami kombinował.

— Ale on chyba nie kombinował! — zaprzeczali inni.

— Iwan nawiązywał przyjaźń z tymi plemionami — zażartował ktoś.

Musiałem wszystkich przepraszać. Bo mimo że bardzo tęskniłem za domem, to jednak powracać z plamą w życiorysie za nic nie chciałem.

Zresztą ujęli się za mną towarzysze. Dzięki nim zostałem w kolektywie.

I tego jeszcze dnia stanąłem przy martenie.

Zastanawiając się nad swoją nocną przygodą, jasno zrozumiałem: nie można budować życia w atmosferze podejrzeń i niewiary, nie można żyć nienawiścią. Istnieje w człowieku coś wyższego — potrzeba jedności, poparcia, braterstwa.

Naczelnik, ta dusza urzędnicza, dogmatyk nieszczęsny, nie zadowolił się tym, że na zebraniu wszystkich przeprosiłem, lecz wezwał mnie do kancelarii i przy szczelnie zamkniętych drzwiach powiedział:

— Pisz!

— Co mam pisać?

— Po co poszedłeś do tych plemion... I jeszcze napisz, że to się nigdy nie powtórzy... Że będziesz robił tylko to, co do ciebie należy.

Nie zgodziłem się napisać tego oświadczenia. On zresztą nie musiał tego ode mnie wymagać, mógł uwierzyć na słowo, nie mówiąc już o tym, że był to mój krajan z Zaporoża... Musiałbym zresztą wspomnieć i o tym, że tej nocy nigdy nie zapomnę, nie zapomnę tych czuwających ludzi, którzy udzielili mi gościny i odkryli przede mną coś, co zostało we mnie na całe życie.

25

Pośrodku rzeki, pośrodku jasnego lustra wody ciemnieje łódka, a w niej pochylony człowiek: stary Neczujwiter, stary hutnik pilnuje swoich więcierzy. Według dokumentów dawniej nazywał się Izot Łoboda, a tu nazwano go Neczujwitrem. I wszyscy w Domu Metalowca, i ludzie przy-

jeżdżający z miasta znają go pod tym przezwiskiem: Neczujwiter, postrach kłusowników, gromadzki dozorca Skarbnego. Ci, co tu przyjeżdżają głuszyć ryby albo łowić je w czasie tarła, wystrzegają się Neczujwitra. Stary nikogo się nie boi, sam jeden rozprawia się z całymi watahami łobuzów, którzy przed nim uciekają.

Wszystkie te uroczyska, łęgi i nieużytki stanowiły jakby jego własność, władał nimi niepodzielnie, jakby ktoś mu je zapisał czy zostawił w spadku. Ten, kto tu się znajdzie po raz pierwszy, błądzi po Skarbnem w porównaniu z którym Samarczuk czy Wowcza czarowały i równocześnie odstraszały swoimi zalewami o malowniczych brzegach, limanami, błotami, jeziorami bronionymi przez gąszcz szuwarów, że łódką nie można było przebić się przez nie. Krzyżówki zrywają się z wody, przelatują nad głową niby bombowce. Za jeziorami znowu ciągnie się las, a w lesie płynie jakaś nieznana rzeczka, ciemna na głębinach, bo gnije w niej mnóstwo różnych roślin i korzeni, gnije od wielu lat, a miejscami leżą w niej drzewa powalone przez burze i tonące aż pośrodku rzeczki. Nie wygląda na głęboką, ale spróbuj choćby najdłuższym wiosłem dosięgnąć jej dna — nie zgruntujesz.

Neczujwiter ma zwyczaj wstawać rano, przed wschodem słońca, kiedy na wodach jeszcze nie ścielą się mleczne mgły i wszędzie na nizinach jest rosa obfita niczym woda. Wtedy najlepiej zbiera się zioła. W Domu Metalowca pomógł niejednemu choremu, wie, gdzie co zbierać — i zioła, i korzonki... Sekrety przyrody są wszędzie, trzeba je tylko znać i rozumieć. Zioła koniecznie należy zbierać przed wschodem słońca, gdy jest jeszcze rosa. Wtedy są czyste, wysterylizowane, jak mówią lekarze... Korzonki również należy wykopywać tak, żeby słońce na nie nie padało. Wykopałeś i od razu do worka, i na zaciemniony strych, w żadnym wypadku nie wolno ich płukać. Bo gdy się je przemyje, tracą całą moc: przyroda posiada swoje prawa, bo przecież nawet kurczak nie wykluje się z jajka, jeżeli się je przedtem umyje... Spojrzysz — niepozorna roślinka, a jaką posiada moc i nawet ktoś nadał jej nazwę: car-dąb albo car-zioło. Był taki człowiek, od którego Neczujwiter nauczył się tych sekretów. Już go nie ma, lecz nauka została.

Nocą cisza panuje w posiadłościach Neczujwitra. Gdzieś zza trzeciego lasu słychać z rzadka warkot czyjejś moto-

rówki. Powarczy i ucichnie. Jedynie w sobotę, gdy z miasta zjedzie się dużo ludzi, całe łęgi rozbrzmiewają śpiewem, bo czy życie bez pieśni byłoby prawdziwe? Płyniesz sobie łodzią i słyszysz, jak płynie pieśń: to wystrzeli w górę, to rozlewa się i ściele daleko po wodzie, rozpływa się powoli, gaśnie...

Tam, gdzie ktoś inny by zabłądził, Neczujwiter trafi nawet w nocy, choćby z zawiązanymi oczami. Nie ma tu dla niego nic nieznajomego, zna wszystkie zakręty rzeczki, zawsze pozna najmniejszą zatoczkę, każde zwalone w rzece drzewo jest dla niego znakiem.

Wycieczkowicze, zanim zaczną rozrzucać po lesie blaszanki po konserwach lub ciskać pustymi butelkami w pnie drzew, najpierw rozejrzą się wokoło, czy gdzieś w pobliżu nie widać starego Neczujwitra, dozorcy Skarbnego. Bo może przyjść, zbeształ, zawstydzić. I nawet nie dlatego, że jest dozorcą, ale że patrzeć nie może, jak współczesny barbarzyńca niszczy i zaśmieca piękno... Bo tam, gdzie w czasie okupacji część dębiny była wyrąbana, teraz zasadzono młody dębniak, a obok dąbków zasadzono akacje dla gonności, żeby przyśpieszały rośnięcie dębów. Taka gonność bardzo dobrze wpływa na dębinę i stary Neczujwiter własnoręcznie napisał i ustawił koło młodniaków tablicę z napisem: „Kto posadzi drzewko, tego i wnukowie wspomną."

Ale nie tylko kłusownicy znają prowadzącą tu drogę. Przyjeżdżają i tacy jak towarzystwo Bagłaja, sławni i drodzy mu ludzie. Pośpiewali, pohałasowali i przycichli, ognisko ich przygasło, o północy zaś rosa chyba opadła już i na ich plecaki. Pokładli się widocznie i zasnęli, tylko dwoje zakochanych siedzi na odległym brzegu. Z pochylonymi głowami, przytuleni do siebie siedzą nad cichymi wodami Skarbnego. Dla nich, zakochanych, noc schodzi bezsennie, gwiazdy ich nie usypiają.

Stary Neczujwiter siedzi w łódce pośrodku lustra wody, czeka, by coś wpadło mu do więcierza. A może drzemie? Nie, nie drzemie — jego myśli snują się niczym sny. Widzi siebie młodego, o bujnej czuprynie, w pociągu pancernym, w stepie. W jednym z tych pociągów pancernych, które sami opancerzali za murem fabrycznym. Jakże to słońce wtedy świeciło, jaki świat roztaczał się dokoła! Ścigał tego, u którego Jagor Kartaty był woźnicą na taczance. Potem piec hutniczy ich pogodził. Budowali razem trzeci i czwar-

ty piec; ileż to te piece dostarczyły krajowi stali! Kiedy czystka, zataczając bardzo szerokie kręgi, objęła i ich zakłady, dobierano się już i do Jagora, i wtedy Izot stanął w jego obronie. Toteż Jagor do dziś o nim pamięta i w tych dniach go odwiedził. Usiedli obaj w skarbniańskim szałasie, porozmawiali o dawnych czasach (och, ależ łobuzeria była u Machny!... A gdzię się podzieli? Jakim dymem się rozpłynęli?). Wspomnieli jeszcze Papirnego, który przed dwoma laty zmarł na chorobę, na którą nie ma żadnego car-ziela. Gdyby ktoś takie ziele znalazł, postawiono by mu złoty pomnik.

Snują się i snują różne myśli. Nikt w naszych galopujących czasach, wśród życiowej szarpaniny z jej karkołomnym tempem, nikt nie przemyśli tyle, co stróże nocni. Kiedy świat usypia, zapominając o swych kłopotach, i śpią również dyplomowani filozofowie, stróże, ci nieznani myśliciele nocni, stają na swych wartach, wypływają na oceany rozmyślań, a gwiazdy stawiają im pytania.

Młodzi zapytują, na czym polega szczęście? Co to jest szczęście? Domagają się szczęścia niczym stypendiów! Jak gdyby szczęście można było złowić w więcierze i wręczyć im... Znowu przypomniał sobie towarzystwo Bagłaja; siedział wtedy koło ich ogniska. Tacy uczciwi ludzie są bohaterami pracy i życia... A jacy to bohaterowie są u was? Jacy z was majstrowie? Wszyscy odwiedzający Skarbne dzielą się dla Neczujwitra na majstrów i kłusowników. Dzieli ich według powiedzonka Tarasowego: „Jeden buduje, a drugi rujnuje." Do tych ostatnich zalicza i swego syna. Czemu on taki? I jak to się stało, że on, uczciwy robotnik, wyhodował kłusownika? Kiedy się go słucha, to odnosi się wrażenie, że pracuje dla pięknej przyszłości: sobór trzeba zburzyć, bo jest zawadą do założenia basenu dla ludzi pracy... Opary — to siedlisko i wylęgarnia komarów... Na wszystko ten niszczyciel ma gotową odpowiedź i to jaką! Czy tak musi być w życiu? Skoro drzewo ma korniki, metal korozję, pszenica kąkol, może tak samo majster musi mieć kłusownika? Tak było zawsze, ale czy zawsze będzie? Czyżby wszędzie, gdzie tylko stąpnie budowniczy, nieodłącznie niby cień stąpał burzyciel? W głowie jeszcze pstro, a on spieszy jak najprędzej burzyć dawne dzieła, plantować, oczyszczać plac pod jakieś nieznane obiekty. „Takie jest życie, tato, że trzeba iść przez nie przebojem, że trzeba chwytać je na

gorąco! Tylko wtedy coś się osiągnie..." I idzie. Tylko nie wiadomo dlaczego wszystko rozpoczyna od burzenia. Gdy odrzucisz, synu, to, co zbudował ojciec, wtedy i twoje własne życie będzie bezowocne, upadnie koło twych nóg i na tym się skończy... Kaleki jest ten, kto nie dba o dzieła przodków. Człowiek został obdarzony pamięcią, która trwa przez wieki...

Do Neczujwitra dotarła wiadomość, jakoby jego syn miał wkrótce awansować. Zdarza się, że tacy zachodzą daleko. „Nie bierzcie go — usta same szepcą, jakby kogoś ostrzegały. — Nie bierzcie, nie bierzcie, choć to mój syn!" Stary sam nie dostrzega, jak tym swoim szeptem zwraca się do brzegów i do ciemnych głębin, w których drzemią ryby. „Bo jak weźmiecie, to on wam niejeden sobór zburzy, niejedno cuchnące morze założy i rady potem nie dacie." Lecz mimo to chciałby go zobaczyć. Chciałby, żeby przybiegł jako miły, dobry chłopak czy jako młodzieniec, kiedy był wesołym robotnikiem w hucie, jako Wołod'ka znany na oddziele metalurgicznym... Przychodzi, wnuków mu prowadzi i powiada: „Poznajcie, tato, swoich wnuków... Teraz zamieszkacie u nas, zabiorę was stąd..." Czy stanie się tak kiedyś? I znowu usta same szepcą gdzieś w stronę brzegów, w stronę ciemnych uroczysk Skarbnego: „Szanujcie każdy dzień — oto, co wam mówię, młodzi! Szanujcie każdą chwilę, każdą sekundę! Nie ten żyje, kto czad wznieca... Żyje ten, kto tryska iskrami! Żyjcie tak, byście zdążyli zostawić po sobie wartościowy ślad... Pamiętajcie o tym, że wszyscy staniemy przed przyszłym sądem, a przed takim sądem żaden Tamerlan, żaden największy burzyciel nie przechyli szali nawet najpośledniejszego mularczyka... Zostawcie po sobie ślad... Nie blaszankę po szprotach porzuconą na Skarbnem, nie kupy śmieci, lecz zostawcie ślad taki, który będzie cieszył ludzi bliskich i dalekich... Szanujcie, szanujcie każdą chwilkę, synkowie! Bo zapory wodne planują, wszystko na świecie się planuje, nie planuje się tylko śmierci."

Stary milknie, pochyliwszy głowę na pierś, jakby spał, ale nie śpi. W jego wieku ludzie śpią niewiele. Zbliża się niebyt, wieczne rozstanie, lecz mimo to Neczujwitrowi zdaje się niekiedy, że on nawet stamtąd ostatnim wysiłkiem kiedyś znowu powróci, żeby przepędzać podłych szkodników i żeby choć jeszcze raz spojrzeć z daleka na swego Tytana,

na sobór zaczepiański, na szare niebo nad miastem. To jego niebo! To on spowodował, że jest ono bure, bo piece hutnicze budował i marteny, wytopił rzekę metalu nie mniejszą niż na Skarbnem. I gdy przyjdzie czas na zawsze się pożegnać, powie do wszystkich: zostawiam wam piece hutnicze, zostawiam wam Skarbne, w spadku, i zażąda, by go pogrzebano nie na cmentarzu, lecz na najwyższej mogile stepowej; niech z jednej strony szumią mu zielone dęby Skarbnego, a od strony Dniepru niech ma widok na kominy hutnicze... Żeby stamtąd mógł je widzieć... A co tam będzie? I czy coś będzie? Czy tamten świat niebytu, świat bezkresu, do którego wejdzie, to tylko chłód, chłód i mrok?

Jakiś samochód zawarczał w lesie i ucichł — przyjechał ktoś spóźniony. Wyszczerbiony księżyc podniósł się zza lasu i świeci przytłumionym światłem, jakby z zamierzchłej odległości. Widział stepowe carstwa, konie tatarskie... Ileż to wieków rozlewało się po łąkach jego upiorne światło... Pełne mroku dęby stoją bezszelestnie, w milczeniu, z jakąś szlachetną wyniosłością. Zakochani wciąż jeszcze siedzą na brzegu, biegnie po rosie dźwięczny śmiech Jelki. Chyba coś rozweselającego opowiada dziewczynie Bagłaj-junior.

Neczujwiter przypomina sobie zasłyszane od studenta zwyczaje wyspiarzy. Działo się to gdzieś na Oceanii, na jakiejś wyspie. Kiedy wylądowali tam kolonialiści, to ich siły i siły tubylców były nierówne, uzbrojenie dawało najeźdźcom przewagę: przybysze mieli broń palną, a wyspiarze tylko bambusowe dzidy... I oto, kiedy mieszkańcy kwitnącej wyspy widzieli, że śmierć jest nieunikniona, zdobyli się na czyn ostateczny — całym plemieniem stanęli do walki na śmierć i życie, do walki świętej, jak ją nazwali. Najeźdźcy ujrzeli przed sobą obraz niezwykle barwny i zarazem tragiczny, bujny, jakby to było słoneczne święto wiosny: na spotkanie z ich muszkietami i armatami odświętnie ubrany tłum mężczyzn, kobiet i dzieci ruszył jedynie z dzidami; wszyscy ubrani w malownicze jaskrawe stroje z połyskującymi ozdobami, szli w rytualnym tańcu, śpiewając w podnieceniu i religijnej ekstazie swe najpiękniejsze pieśni. Nie odczuwali strachu, szli do walki uzbrojeni przed nawałnicą ognia strzelniczego jedynym, co im jeszcze zostało — wybuchem piękna.

„To byli ludzie!" — myśli Neczujwiter. I naraz ognista dzida przeszyła mu pierś. Całe niebo rozbłysło krwawo.

W tym przeszywającym bólu stary poczuł, jak zanurza się ciężko w jakiejś czerwonej, lepkiej mgle. Wiosło wypadło mu z ręki do wody, ale wszystko pozostało jak dotąd... Zakochana para tkwi na brzegu, chłopak i dziewczyna siedzą objęci, a przed nimi rodzą się czary: woda pełna gwiazd... Łódź przepłynęła cicho, bezszelestnie... Pochylony rybak ciemnieje na niej jak zwid. Zdaje się, jakby to był Neczujwiter. Zawołali go. Nie odpowiedział.

— Nie słyszy — uśmiechnęła się Jelka. — To naprawdę Neczujwiter...

Łódka powoli płynęła dalej, bez wioseł, prąd niósł ją łagodnie, by wypłynąć gdzieś na otwarte lustro wody, pięknie oświetlone ogniami zakładów... Przestrzeń, swoboda... Pośród jasnych wód ciemnieją w oddali krzyżówki — nie boją się łódki nocnego rybaka. Dopiero gdzieś o świcie, gdy zapalać się będzie zorza poranna, która obejmie pół nieba swoim różowym światłem, dnieprowi rybacy dostrzegą tę żałobną, błąkającą się łódkę... Spotkają ją i ze zdziwieniem spostrzegą, że nie jest ona pusta, znoszona swobodnie przez prąd, lecz dokądś niesie swego martwego gospodarza... Wyłowią, rozgłoszą i wszyscy przybiegną z zakładów: na żądanie robotników nazwie się jego imieniem laboratorium zakładowe. Lecz zanim to nastąpi, Neczujwiter, leżąc twarzą do góry, płynie poprzez cichą noc, płynie otoczony najdelikatniejszą na świecie mgłą Skarbnego... Stary hutnik płynie na spotkanie syna, na spotkanie miasta, zakładów, wybuchów ze swoich pieców hutniczych, na spotkanie tych nigdy nie gasnących czarnych soborów swego życia! Po wodach purpurowych, pod niebem czerwonym, w chmurzyskach dymów fabrycznych, które suną powoli i spowijają go w purpurę wieczności. I w tej purpurze odpłynie. Do brzegów nieznanych, w ostatnią, najbardziej tajemniczą podróż, z której nikt nie wraca.

26

Towarzystwo to należało do tych, co wychodzą z restauracji jako ostatni.

„Schodzili z tonącego okrętu jako ostatni." Tak kiedyś o nas napiszą — powiedziała rudowłosa dziewczyna.

Po restauracyjnym zaduchu powietrze na ulicy jakby

jeszcze bardziej ich zamroczyło. Rudowłosa zataczała się na szpilkach. Była smukłonoga, wysoka, opierała się na ramieniu Taratuty.

— Daj papierosa.

— *Boy!* — Taratuta zwrócił się do jednego z grupy, jeszcze podrostka. — Słyszałeś? Dama żąda papierosa.

Młodzieniec szybko wyjął z kieszeni paczkę „Szipka" i podał usłużnie.

— Proszę, Żanno...

— Mój pierwszy mąż — podnosząc papierosa do ust powiedziała rudowłosa omdlałym głosem — Łoboda Włodzimierz Izotowicz nazywał mnie nawet Żannusią... On niekiedy był bardzo sentymentalny...

— To był pierwszy, a kto ostatni? — spytał mordziasty łobuz z zawiniętymi rękawami. Jego wygląd rzucał się w oczy: okrągła, nisko osadzona na ramionach głowa, na czole przyklejony loczek, na włochatej ręce wytatuowane serce przeszyte strzałą. — Szkoda, że w naszym mieście nie ma akademików — powiedział. — Mogłabyś, Żanno, zostać jeszcze wdową po akademiku.

— Dokąd teraz pójdziemy? — spytała druga, tak samo wysoka i smukłonoga, tylko że włosy miała nie rude, lecz połyskująco czarne, czarne rzęsy, ufarbowane na modłę wschodnią jak u gejszy skośnookiej.

— Na bulwar, straszyć stróżów porządku — zaproponował Taratuta.

— Ja nie lubię bulwarów — z odrazą powiedziała rudowłosa. — W świetle neonów wygląda się niekorzystnie. Chcę nad Dniepr. Będę się kąpać.

— Nocna kąpiel jest pożyteczna — powiedział mordziasty. Poprawił przewieszony przez ramię tranzystor i ujął gejszę pod rękę.

Wszyscy powoli powlekli się bulwarem w dół. Neony rzucały na nich z wystaw zielonkawe, upiorne światło. Na wystawie „Okno satyry" ktoś groził podniesioną do góry butelką.

— Nie, tylko nie to! — krzyknęła gejsza, kiedy wszyscy zatrzymali się przed „Oknem satyry". Wśród narysowanych tuszem pijaków i chuliganów naklejono zdjęcia jakiejś rozkudłanej dziewczyny, którą widocznie sfotografowano w izbie wytrzeźwień. — Nieszczęsna! Nalepią i jeszcze na-

piszą: darmozjad bez żadnego zajęcia. Całemu miastu na pośmiewisko.

— Ale nie napiszą — dodała Żanna — dlaczego uciekłam od swego odpowiedzialnego Łobody! Całe życie mi zepsuł! Moją wiośnianą duszę spustoszył!

— Chodźmy stąd! — powiedziała niespokojnie gejsza zasłaniając twarz ręką; widocznie zdawało jej się, że mogą ją tu zaraz sfotografować, żeby jutro wystawić na tym bulwarze między zdjęciami spekulantów i pijaków.

— Nie obawiaj się, Ero — uspokoił gejszę mordziasty. — *Señor* jest przy tobie.

Powlekli się dalej. Szli krokiem znudzonych i rozleniwionych. Za nimi wlokło się jeszcze jakieś towarzystwo zapóźnionych birbantów. Podziwiano głośno smukłe nogi przyjaciółki Taratuty, dopóki ten się nie obejrzał.

— Obywatele, chcecie awantury? Uważajcie, jestem kontuzjowany.

A jego pyskaty przyjaciel dodał dla wyjaśnienia:

— Mamy dziś święto. Obchodzimy dwumiesięczny jubileusz powrotu jednego z nas stamtąd, gdzie jest z i u - z i u... Gdzie pod nosem takich smarkaczy jak wy, zamarza. A więc nie psujcie nam tej pięknej neonowej nocy. Radzę zachowywać dystans.

Towarzystwo oddaliło się bez dyskusji. Bardzo możliwe, że niektórzy poznali w tym krępym młodzieńcu znanego Obrucza. Obrucz rzeczywiście niedawno powrócił z „rodzimych" dla niego, jak sam mówił, „zasobnych w kopaliny krajów kołymskich". Wzięto go z „przerobu żużli wielkopiecowych"i do tych samych żużli wrócił.

— A czemu Witia milczy? — spytała Era. — Toć przecież na jego cześć odbył się bankiet.

— *Boy*, to twoja zasługa. — Taratuta ciężką ręką objął swego przyjaciela. — Bardzo ładnie z twojej strony, pierwszą wypłatę opłukałeś. Weź pod uwagę, że dziś wyświęciliśmy cię na dojrzałego do towarzystwa.

— Witia, ty już jesteś dorosły? — zarechotała Żanna spojrzawszy na młodzieńczego dyspozytora. — Nie jesteś już młokosem? I chyba jesteś spragniony miłości kobiecej?

— Ale wpierw musisz wysłuchać wykładu mego męża — uśmiechnęła się czarna gejsza. — Wykładu o miłości. To jego as atutowy. Gdy rozpocznie wykład, to się zasłuchasz! Staruszki rencistki płaczą.

— Oryginalne — powiedział Obrucz. — Kiedy szanowny prelegent naucza gdzieś ludzi pracy, jak należy kochać, młodziutka pani lektorka, nasza cudowna Era, spędza wieczór w bardzo pracowitym towarzystwie... Każdemu to, co mu się należy, powiedział filozof.

— Nikogo on tam nie uczy — powiedział Taratuta. — W cytaty o miłości już się nie wierzy. Odbębnił swoje, złapał flotę i teraz śpi mocnym snem delegowanego.

— Mój piękny prelegencie — sentymentalnie powiedziała gejsza. — Przebywasz gdzieś w hotelu rejonowym... Dokuczają ci pchły rejonowe... Najdroższy mój! Wszystkim wykładasz, jak należy kochać, ale sam nie nauczyłeś się kochać! Umrzesz nie wiedząc, co to jest miłość! — I kołysząc biodrami, deklamowała: Była jesień. Mżył nudny atomowy deszcz. Dwoje siedziało na brzegu, wspominając odległe, przedatomowe wiosny... Tak kiedyś będą się rozpoczynały powieści ery atomowej. — Zatrzymała się i krzyknęła: — Czyżby to były ostatnie piękne noce? Czyżbyśmy dla przyszłych zdegenerowanych pokoleń mieli zostać tylko... antykami?

Na rogu ulicy zegar elektryczny wskazywał późną godzinę.

Rudowłosa z zaciekawieniem zaczęła wypytywać Taratutę, za co go przedterminowo odesłano z Indi do Związku.

— Przez zazdrość — powiedział Obrucz za przyjaciela. — Cały jego grzech polegał na tym, że przyprowadzał sobie do hotelu czarnoskóre dziewczęta...

— A czy czarnoskóre są ładniejsze od nas? Powiedz, ładniejsze?

Uwagę ich przyciągnęła wystawa sklepu ze ślubnymi strojami. Nakrochmalona suknia ślubna spowijała manekin muślinową pianą...

W takiej białośnieżnej sukni do ślubu! — wykrzyknęła eks-żona Łobody. — To było moim marzeniem... I żeby w nocy, przy świecach, przy muzyce organowej... W Rydze słyszałam organy w katedrze... Jest taka... Taka... Nic piękniejszego w życiu nie słyszałam. I nic piękniejszego nie posłyszę. Fugi Bacha! Wykradnij mnie, Taratuto! Porwij mnie i zawieź do soboru, gdzie weźmiemy ślub!

— Wróble tam śluby biorą — mruknął Taratuta. — A poza tym ty jesteś rozwódką. A rozwiedzionym ślubu się nie daje.

Obrucz powiedział, że w ogóle nie rozumie, dlaczego ten sobór dotąd nie został zburzony. Niewiele trzeba — skrzynkę trotylu... Taratuta zaś wspomniał o czołgach. Zdarzało się, że zaraz po wojnie chłopcy-czołgiści potrafili robić nocne wyprawy. Wyjadą z miasta ponoć na manewry nocne, czołg niby niechcący zawadzi przy drodze o sklepik wiejski i korzystajcie, bracia, jest co wypić i czym zagryźć.

— Wymyśliłeś to sam — zaśmiała się Żanna.

Taratuta tylko się skrzywił: myśl sobie, co chcesz. Oglądając okno wystawowe, w sposób przyjacielski wypytywał boya:

— Witia, powiedz, korci cię kiedy o tak sobie... podejść i trzasnąć czymś ciężkim w okno wystawowe?

— Po co? — zdziwił się wyrostek.

— A tak sobie. Raz, i szkło się sypie!... Czy naprawdę nigdy nie miałeś ochoty?

— Nie.

— W takim razie nie ma w tobie tego... fermentu swobody — powiedział tatuowany Obrucz. — Absolutnej swobody. Cielak z ciebie jeszcze.

— Daj mi spokój — zjeżył się chłopak.

— To tak z przyjaźni. Kiedy człowieka nie szanuję, to nigdy go „matem" nie potraktuję. I zapamiętaj to sobie: nigdy nie należy obrażać się na leadera.

— Masz, leaderze, wspaniały charakter — powiedziała Era.

— Nie przeczę. Ktoś pisał w oświadczeniu do swego kolektywu fabrycznego: „Chociaż mam bardzo podły charakter, tak, że nie mogę zżyć się z sąsiadami w sali, to jednak proszę o poręczenie za mnie..."

Koło kina ich kompanię odepchnął na bok tłum ludzi, którzy właśnie wyszli z ostatniego seansu. Tłum falami płynął obok nich. Przeważnie młodzież, prawdopodobnie było tu wielu z ich zakładów i *„boy"* mimo woli stanął pod drzewem w cieniu, widocznie nie chciał, by go dostrzeżono w pijackim towarzystwie. Jakieś młode robotnice, mijając ich, dzieliły się wrażeniami z filmu, w oczach ich jeszcze błyszczały łzy, z kina zaś wciąż wychodzili inni, rozchodząc się po bezludnym już bulwarze. Obrucz z rękami na ramionach swoich dam stał między tymi pięknotkami w niedbałej pozie i, przepuszczając przechodzący tłum, bełkotał z rozczuleniem o tym, że dużo jest na świecie ludzi,

którzy nie siedzieli w celach, nie czuli za plecami wartownika, nie wysłuchiwali odczytywanych wyroków...

Tłum rozszedł się. Witia wyszedł z cienia, blady z przepicia i niebieskawy od neonowego światła. Wysunął sie i znowu ukrył w cieniu, gdyż właśnie w pobliżu przechodzili stróże porządku publicznego, którymi były dwie dziewczyny prawdopodobnie z ich narzędziowni. Szły powoli, poważnie, trochę nawet demonstrując swoje czerwone opaski. Przyjrzawszy się surowym wzrokiem Obruczowi i jego kompanii, poszły dalej, rytmicznie postukując obcasami. Za nimi jeszcze poważniej przedefilowali chłopcy, którzy również pełnili warty porządkowe, mieli na sobie świeżo zaprasowane spodnie. Obrucz znowu zaczął mówić o tym, że jest to po prostu idylla: fabryczne dziewczęta pełnia obowiazki strażniczek porządku; one nie maią pojęcia, ile ponurych, zawziętych kryminalistów, którzy w tej chwili wrócili z zajęć, tłoczy się na pryczach obozów karnych.

Witia spytał, czy to prawda, że łapownik swego wspólnika za nic nie zdradzi i że wielu jest wśród nich nieustraszonych.

— A kogo mieliby się bać? — skrzywił się mordziasty. — Nie ma Boga, prócz kodeksu!

Koło wystawy „Gastronomu" dołączył się do nich jeszcze jakiś nie ostrzyżony, nie ogolony, w zmiętym berecie. Mimo że nie znał Obrucza, z miejsca nazwał go przyjacielem i pokazał zwitek banknotów w zaciśniętej dłoni. Wciaż się dopytywał, gdzie jeszcze można wypić, mimo że ledwo trzymał się na nogach.

— Ty kto? — Obrucz spojrzał na niego podejrzliwie. — Szpicel? Czy ktoś inny?

— Mógłbym być kimś wielkim — mamrotał tamten. — Ale nie jestem. Jestem taki sam jak wy.

Żona prelegenta spytała niespokojnie:

— A my kim jesteśmy pana zdaniem?

— Dzikimi końmi naszych czasów — jakby trzeźwiejąc powiedział nieznajomy. — Bydło, które zaczyna ryczeć jeszcze przed zaćmieniem słońca... Posiadamy rozwiniętą intuicję, gdy chodzi o katastrofę... Intuicję nieuniknionego końca, który wkrótce nastąpi...

— O, to ty jesteś mędrcem! — huknął Obrucz. — A ja myślałem, że jesteś zwykłym prymitywnym łapownikiem,

który nie nadąża przepijać swych łapówek. Spec od telewizorów czy co...

— Znam się i na telewizorach... I na odbiornikach różnych marek... Naprawiam wszystko na świecie.

— Wszystkiego prawdopodobnie nie naprawisz do końca...

— Nie podejmowałem się tylko osi ziemskiej naprawić... Restauruję nawet sobory... To moja najważniejsza specjalność: restaurator wysokich obiektów.

— O, to ciekawe! — powiedziała Era. — Potrafi pan pracować na samych szczytach? Ma pan stamtąd dalekie widoki!

— Na sto mil wokoło... Wszystko widzę... Gdzie kradną... Gdzie i czym kłusownicy się posilają... Rzucam wzrokiem aż za zwykłe horyzonty...

— A do duszy? Do głębi duszy może pan zajrzeć? — uszczypliwie spytała Żanna.

— Do duszy nie. Tam nikt zajrzeć nie może. Do jądra atomu zajrzano, w kosmos się wdarto, naftę ciągniemy zza dziesiątych horyzontów... Ale w głąb duszy nikt jeszcze nie zajrzał! Mrok! Ciemność bezdenna! Coś tam tylko tajemniczo migocze odwiecznymi zagadkami...

— Ty co, psychopata? — Obrucz spojrzał uważnie na „szczytołaza". — Może jesteś z Igrenia, uciekłeś z zakładu psychiatrycznego?

— Ja się pana boję! — Odskoczyła Era.

— Nie obawiaj się — uspokoił ją Obrucz. — W razie czego od razu będę interweniować. Sam wybierałem się z lagą do Igrenia, uspokajać szaleńców. Podobno dobrze tam płacą.

Taratuta zmierzył „szczytołaza" nieprzyjemnym spojrzeniem.

— A ty przypadkiem nie byłeś kontuzjowany? Może spadłeś z soboru?

— Wszyscy jesteśmy kontuzjowani — „wierchołaz" obrzucił towarzystwo nieprzyjemnym spojrzeniem. Może i ja też... Na wojnie nie byłem, ale życie mnie kontuzjowało... No, więc gdzie można wypić?

I w jego dłoni znowu zjawił się zwitek banknotów. Zwitek ten prawdopodobnie wywarł wrażenie na Taratucie, bo powiedział, że bufet na dworcu kolejowym jest czynny całą dobę.

— Zapraszam! — powiedział „szczytołaz" i wszyscy razem poszli na dworzec.

Ale do bufetu dworcowego nie dotarli. Na placu przed dworcem Żanna całą uwagę skierowała na nowiutką „Wołgę" wiśniowego koloru; sterczała niklowana antena. Żanna stuknęła w nią dla sprawdzenia. W samochodzie nikogo nie było. Taratuta grubym paluchem z obrączką nacisnął zatrzask drzwiczek, które lekko się otwarły. Kluczyk sterczał w stacyjce; radio brzęczało cichutko; widocznie właściciel wysiadł na chwilę ze swej limuzyny, może pobiegł na peron, by kogoś powitać.

— Gapa, zapomniał zabrać kluczyk. — Taratuta dotknął kluczyka. — Co mu za to zrobić?

Żanna pierwsza wskoczyła do samochodu.

— Na plażę! Kąpać się! Taratuto, do kierownicy!

Z pośpiechem i tłumionym chichotem wszyscy zaczęli wciskać się do samochodu. „Szczytołaz" wsiadł również; któryś z pijanych położył się na kolanach jednej z kobiet. Z oburzeniem wciśnięto go w kąt. Nie wsiadł tylko Witia-boy. Stał blady i wystraszony ich wyczynem.

— Witia, chodź prędzej! — z samochodu rozległ się głos Ery. — Wszyscy się zmieścimy! Wezmę cię na kolana.

Chłopak nie ruszył się z miejsca. Jego wytrzeszczone i wyraziste oczy pełne były przerażenia.

— No? — Taratuta wyjrzał przez okienko.

— Ogłuchłeś czy co? — Obrucz groźnie krzyknął spoza ramienia Taratuty.

— Nie wsiądę! — Chłopak cofnął się do tyłu i nawet zamachał rękami. — Nie wsiądę! Nie wsiądę!

I jak szalony zaczął uciekać od samochodu.

Tej nocy widziano „Wołgę" wiśniowego koloru w rejonie huty, jak mknęła po ciemnych zaułkach, jak przeskakiwała przez tory tramwajowe, potem z szaloną szybkością przemknęła przez most na lewy brzeg, dała nurka pod wiadukt, gdzie omal nie potrąciła spóźnionego cyklisty. Pomknęła wybrzeżem do przystani wodnej, zatoczyła tam szalone, pijackie koło i nie zatrzymując się ruszyła gdzieś w kierunku osiedla. Będzie jeszcze na jej drodze topola włoska, wierzby płaczące gdzieś na grobli, chłopcy i dziewczęta pod wierzbami — pary obejmowały się jak w osiemnastym stuleciu... Zakochani odwracali się, unikali światła latarni, samochód zaś, owiewając ich spalinami, pędził dalej

jak zwariowany przez przejazd fabryczny, obok usypisk szlaki.

— Pędź! Pędź! — w samochodzie rozlegały się histeryczne okrzyki kobiet.

— Dokąd?

— W step! Gdzie konie rżą!

— Bierz z życia, co tylko można! Tego mnie uczył mój Łoboda! Przebojem! Odważnie! Na gorąco!

Żanna zerwała firaneczkę, wysunęła rękę z samochodu, zatrzepotała na wietrze.

— Nie, to nie flaga kapitulacyjna — krzyczała upajając się pędem. — To sztandar przeciwko nudzie!

— Pędź! — krzyczała Era. — Do zatracenia się! Do absolutnej wolności!

„Szczytołaz" szarpał Taratutę za ramię.

— Daj, ja poprowadzę. Dam sto mil!

Taratuta strząsał z siebie jego rękę.

— Odczep się, bo wyrzucę.

— Dam sto dwadzieścia...

Zaniosło ich w jakiś głuchy zakątek: usypiska szlaki, sadze fabryczne, cuchnie kwasami. Trzeba było się zatrzymać. Taratuta i Obrucz wysiedli z samochodu i zaczęli się rozglądać, nad czymś się naradzali.

— Dokąd mnie zawieźliście? — skomliła gejsza w samochodzie. — Co mi świekra powie? — Z przerażeniem szukała czegoś w mroku oczami, szukała w chimerycznych cieniach nocy, w coś się wsłuchiwała. Potem znowu zaczęła skomleć: — Dlaczego jestem z wami? Dlaczego ja jestem taka? Chyba wiem... Czyżby na miejscu kwitnących miast miał pozostać tylko czarny chaos, chłód, martwe kaniony usypisk szlaki?

— Dość już! — przerwała jej Żanna; włosy miała potargane. — Wierzę, że świat będzie ocalony. Znajdą się bohaterzy, którzy nas uratują... Czyżby tacy nie mieli się znaleźć?

— Nikt się nie znajdzie — mruknął „szczytołaz". — My zamykamy cykl. Od pitekantropa pochodzimy, przeszliśmy swą drogę i znikniemy w wieczności. Sami siebie wyczerpaliśmy... Lepiej by się stało, gdybyśmy żyli w epoce paleolitu, na mamuty byśmy polowali...

I oto na hałdach szlaki już dostrzegli mamuty. Cienie pradawnych olbrzymów; pasą się w niesamowitych mro-

kach nocnych; zjadają wierzchołki jakichś krzaków. A spoza krańców i głębin nocnych późny księżyc wschodzi niemrawo. Wzeszedł i utknął nad horyzontem — czerwony, olbrzymi, zły. To nie księżyc zakochanych. To znak jakiegoś niepokoju.

— Zabawy! Ja chcę się bawić! — wrzasnęła Żanna usiłując zagłuszyć niesamowitość i lęk, który ją ogarnął w tym pustkowiu. — Taratuto, Obrucz! — zawołała w stronę dwóch cieni. — Chodźcie tu! Boję się!

Znowu obaj wsiedli do samochodu, włączyli wsteczny bieg, by wyjechać na szosę.

— Do soboru! — zaproponował „szczytołaz". — Ja wam pokażę wysokości.

Propozycja wszystkim odpowiadała. Pragnęli nowych wrażeń, lamentu, gwałtu, chcieli obudzić osiedla, dokądś pędzić, mieć całkowitą swobodę... „Szczytołaz", siedząc między kobietami i obrywając od nich kuksańce, wciąż czegoś szukał w kieszeni płaszcza.

— O, przecież mam tu zapas! — krzyknął. — Butelka płynu hamującego!

Obrucz wyrwał mu butelkę. Zaświecił:

— Koniak!

Odkorkowali i zaczęli pić wprost z butelki. Dali i kobietom po jednym łyku. Wszyscy natychmiast poczuli się pijani.

— Do soboru! Do soboru! — wrzasnęła Żanna. — Modlić się o przebaczenie grzechów!

Wkrótce samochód mknął ulicą Szeroką. Drzewa się tu rozrosły tworząc zielony tunel. „Wołga" pędziła tym tunelem, czerwonawy księżyc migotał w prześwitach gałęzi i na czarnym niebie wyglądał jakoś złowieszczo.

Wypadli na plac i „Wołga" zatrzymała się przed soborem. Towarzystwo wysiadło z samochodu.

— Zaraz otworzę wam bramę — powiedział „szczytołaz", pomajstrował przy zamku i rzeczywiście otworzył, szeroko rozwalił ciężkie drzwi.

Towarzystwo wwaliło się do soboru. Kobiety nieśmiało rozglądały się w mroku.

— A gdzie są organy?

Obrucz włączył tranzystor i po raz pierwszy w dziejach tej świątyni pod jej wysokim sklepieniem dziko odezwał się

jazz. Niesamowite echo tłukło się wśród pustych ścian; mrok naraz ożył, napełnił się jakimś szaleństwem.

— Oj, tam coś jest! — krzyknęła Era tuląc się do Obrucza i wpatrując się w mrok. — Zwierzęta! To jakiś zwierzyniec!

W szarzejącym mroku wszyscy naraz spostrzegli, że łby dzików ze wszystkich stron szczerzą kły, jakby poruszały paszczami.

— Uciekajmy stąd! Ja się boję! — Era łapała Obrucza, ten zaś podszedł do najbliższego łba, zaczął chrząkać, jakby w błazeński sposób drażnił zwierzę, i jeszcze bardziej wzmocnił muzykę jazzową.

Taratuta potarł zapałkę zapalając papierosa i z półmroku zjawiła się przed nim naga postać, rozpięta na krzyżu, w koronie cierniowej, z zaciekami krwi, które były widoczne nawet poprzez kurz... Z wysokości środkowej kopuły zwisał gruby łańcuch, na którym był kiedyś żyrandol. Dawno już znikł, ale łańcuch został i „szczytołaz", wyciągając ręce, usiłował go pochwycić, by się na nim pohuśtać. Był za niski, toteż podskakiwał pociesznie, lecz w żaden sposób nie mógł łańcucha dosięgnąć, a jego niezdarne wysiłki tylko rozbawiały towarzystwo i wszyscy byli coraz weselsi. Pierwsze onieśmielenie minęło, snujące się cienie już nie straszyły, wzrok przyzwyczaił się do łbów dzików, które teraz szczerzyły kły bardziej swojsko, niegroźnie. Rytmy jazzu pobudzały do tańca, pragnęło się szaleństwa, zapomnienia.

Żanna w napadzie jakiegoś szału, pochylona, zaczęła tańczyć twista. Po chwili i reszta puściła się w tany. Rozpoczęła się orgia.

Jelka i Mykoła Bagłaj do późna błąkali się tej nocy koło Raduty po znajomych miejscach, koło rozświetlonych jezior, położonych wśród wydm, jezior, które nigdy nie gasną. Na pogrzebie Neczujwitra Jelka widziała się z wujem Jagorem; porozmawiali ze sobą; obiecała go odwiedzić i właśnie odwiedziła.

Wracali z Raduty, kiedy wszystko dokoła było pogrążone we śnie i żadne hałasy nie zakłócały snu Zaczepianki, i dopiero kiedy zatrzymali się koło soboru, poraził ich przez otwarte na oścież drzwi ów jazz i dzikie wrzaski. Zdziczali przybysze jakby z jakiejś innej planety wdarli się do soboru

i wrzeszczeli tam jak małpy, słychać było pijacki rechot, wyzwiska. Mykoła nie zdążył przypomnieć sobie dawnego wydarzenia zaczepiańskiego, kiedy profesor Jawornicki wypędził z soboru machnowców. Nie zdążył pomyśleć i o konsekwencjach swego kroku, zdążył tylko powiedzieć do Jelki: „Zaczekaj tu", sam zaś w trzech susach wbiegł w otwarte drzwi, w te dzikie, ohydne, cyniczne wrzaski, którymi plugawiono jego najwspanialszy poemat...

Jelka nie zdążyła go zatrzymać, a może gdyby nawet potrafiła, to też by tego nie zrobiła. Posłyszała, że wrzaski wewnątrz od razu ucichły i równocześnie usłyszała pijacki, pełen nienawiści głos:

— Czego? Ano, odwal się stąd!

A potem ujrzała, jak ze świątyni wypadają na łeb na szyję jakieś skudłaczone, pierwotne postacie, wykrzykując ohydne wyrazy, pijackie brudne wyzwiska, potem coś mignęło w powietrzu, w mroku soboru błysnęło ostrze noża i Jelka cała ścierpła: naprzeciwko Mykoły pod postacią chuligana z nożem fińskim stała w progu soboru mocna i przysadzista, gwałtowna, czarna śmierć.

Jelka z całej siły, całym swym jestestwem krzyknęła w stronę Zaczepianki, w stronę osiedli:

— Ratunku!!!

Kiedy podbiegła, Mykoła już leżał twarzą do ziemi na progu soboru. Przypadła do niego, słyszała bulgot krwi i w rozpaczy, nieprzytomnie bełkotała, jakby w ten sposób chciała wymodlić mu życie:

— Ja ciebie kocham! Kocham! Kocham!

Koło samochodu miotano się; znowu padały wyzwiska; nie można było uruchomić motoru; gdzieś w soborze zgubiono kluczyk...

Krzyk Jelki poderwał na nogi całą Zaczepiankę. Do świtu nikt w osiedlu nie zasnął. W ogródkach trzeszczały krzaki gdy goniono za uciekającymi. Teraz nie były to wyczarowane przez księżyc, powleczone mgiełką ogródki; była to noc pościgu, zaciśniętych zębów, skrępowanych rąk....

Zaczepiańcy, wysławszy Mykołę karetką pogotowia, wciąż jeszcze się nie rozchodzili: nadzorowali zatrzymanych i jeszcze przez jakiś czas całą gromadą obchodzili sobór. Potem zostali tylko wartownicy ze służby ochotniczej, którzy ustawili się koło soboru, czekając na przybycie milicjantów. Palili papierosy. Milczeli.

Niebo nad hutą wibrowało, łuna dymiła. Księżyc nad sadkami był wyszczerbiony i czerwony. Przypominał o wszystkich początkach i końcach.

Stare akacje zaczepiańskie czekają w nocy na nowe kwiaty, natomiast ktoś zakochany czeka na srebrzyste noce akacjowe. Zakład-weteran co rano budzi osiedle swoją syreną. Jej głośny huk leci gdzieś daleko wzruszając i zarazem denerwując ludzi. Ludzie z zakładów snują się swymi odwiecznymi drogami — ze zmiany i na zmianę, na dzienną i nocną. W powszednie dni Zaczepianka jest znowu w wiecznym ruchu. Huta, dom, znowu huta. I ta codzienność jakby nigdy się nie zmieniała, jakby było w tym całe jej istnienie, coś trwałego, niezniszczalnego w jej życiu.

Zaczepianka czeka na swego Bagłaja. Czeka jak matka, która troskliwie zrywa wiśnie na pierogi dla syna, owoce rzęsiście obsypujące wczesną wiśnię, płonące w słońcu, ciemnoczerwone. Wieś czeka i oślepiającymi połyskami zalewu, nad którym beztrosko hasa dzieciarnia — wszyscy ci młodzi przyjaciele Mykoły, którzy w dnie odwiedzin niosą mu do szpitala zakładowego paczki żywnościowe i są z tego dumni, bo chociaż Mykoła opaski na ramieniu nie nosił, to wśród stróżów porządku publicznego nie ma odważniejszego od niego w całym rejonie. Czasem na podwórzu szpitala dzieci spotykają smagłą dziewczynę w białej chusteczce, Jelkę Jagorową. Przychodzi zasmucona, siada na ławce pod lipą i siedzi tam godzinami, czekając, kiedy lekarze pozwolą Bagłajowi wstać z łóżka, i kiedy nareszcie, blady i wykrwawiony, popatrzy na nią z któregoś okna... A tymczasem Jelka czeka. Betonowe, zionące żarem słonecznym bloki szpitala i oślepłe od światła słonecznego okna sal codziennie widzą narzeczoną Bagłaja. Dziewczyna przychodzi z samego rana, czeka ze smutkiem i zamyśleniem, czeka od dawna i będzie czekać nawet wtedy, gdy pachnąca lipa przekwitnie, nawet gdy liście opadną...

Gorące wiatry od czasu do czasu spowijają Zaczepiankę rudawą kurzawą. A wieczorami, kiedy już jest cicho, Iwan i Wieruńka wychodzą z domu, by posiedzieć na swej historycznej ławce. I siedzą jak para idylliczna pod gwiazdami zaczepiańskiego nieba. Kiedy mówią o Mykole, to Bagłaj starszy nie może znaleźć wytłumaczenia dla tego bezsen-

sownego dramatu, nie może opanować oburzenia; nawet wśród plemion, do których wtedy zabłądził, noża nikt nie podnosi, a na tego tu, w domu, dzikusy własnego chowu... W hucie dniami i nocami wytapia się stal, ale czy na noże fińskie? Pięć ran zadanych nożem, jedna o milimetr od serca, chłopak omal życiem nie przypłacił. Mieli chirurdzy robotę i mogło się to smutno zakończyć, lecz młody organizm zwyciężył. Teraz pozszywane rany goją się powoli...

Bagłajowie niekiedy siedzą do późna. Przez te dwa lata Iwan się zmienił, inny powrócił. Wieruńka to czuje. Iwan często opowiada o tajemniczym białośnieżnym Tadż Mahalu, który w jednym miejscu jest ozdobiony czarnym kamieniem i ten kamień śpiewa. Nie każdy posłyszy ten dziwny śpiew, ale jeżeli uważnie się wsłuchać, wtedy się słyszy cichutką melodię. Kamień ten wmurowali dawni hinduscy majstrowie. Ale nikt dotąd nie rozwiązał ich tajemnicy: jak to się dzieje, że śpiewa? I oto oboje Bagłajowie wsłuchują się w swój sobór, który wznosi się nad majdanem, znikając kopułami w mrokach podniebnych. Czy nie zaśpiewa cichym, odległym śpiewem?

Sobór milczy.

Nie widać poodbijanego tynku ani rdzy na kopułach, noc ukrywa wszystkie zniszczenia dokonane przez czas.

Dokoła ścierają się namiętności, łamią się spisy w codziennych bataliach prowadzonych przez budowniczych z burzycielami, sobór zaś stoi, pogrążony w odwiecznej zadumie. O czym myśli? Wszystko tu przemijało przed nim, jak przed świadkiem i sędzią. Wydaje się, że zupełnie niedawno skrzypiały, przejeżdżając koło niego, arby naładowane snopami zboża. Na tym majdanie soborowym huczała rewolucja, dzwony biły na trwogę, zwoływały na wiece, biły na pożary; to radośnie, to niespokojnie budziły przedmieścia, uderzając swoimi pudowymi sercami w jednolity spiż z domieszką srebra... Spojrzeniem bólu i nieszczęścia w ostatnich czasach wpatrywały się weń rozszerzone źrenice dziewcząt tysiącami pędzonych obok soboru do Niemiec. Słyszał płacz i okrzyki nadziei, i metaliczne szczęki wojny, i jeszcze okropniejszą jej ciszę... Teraz w dzień i w nocy bezszelestnie przemykają przed nim rowerzyści jadący na zmiany.

Sobór wiele widział. Dokoła niego odbywały się jarmarki, barwne i gwarne, pełne głośnego śmiechu, pełne siwych barankowych czap, pyszniono się rzeźbionymi saniami... Czy

wszystko to przeminęło na zawsze? Czy przechowuje on w sobie echa życia wiecznego, migotanie spis zaporoskich, różnogłose jarmarki ludowe, żarty cygańskie, swary handlarzy bydła, rżenie koni skrzywdzonych przez sprzedaż, dźwięczny śmiech szczęśliwych szynkarek, nocne szepty zakochanych, uściski i poczęcia pod gwiaździstym niebem... Pełen jest wszystkiego po brzegi! Spowity w ćmę nocną, siega do gwiazd swoimi kaskami baniastych kopuł. A w piecach hutniczych bulgocze stal i kiedy następuje spust, i za Dniepr kieruje się szlakę, wtedy całe niebo staje w łunie tak, że wierzchołki drzew w sadach są wyraźnie widoczne, każdy ich listek, każda gałązka. W takich chwilach przy łunie hutniczej z mroków nocnych wyłania się sobór. I dopóki nad całym Zadnieprzem niebo jest rozjaśnione, stoi on wśród osiedla hutniczego jakby z wydętymi żaglami, oświetlony i biały jak wtedy, w minionych czasach, gdy dopiero został zbudowany, wyczarowany w sercach mądrych i dzielnych majstrów.

1963—1967

PRINTED IN POLAND
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1972 r.
Wydanie pierwsze
Nakład 5000+290 egz. Ark. wyd. 17,3 Ark. druk. 17,75
Papier m/gł. kl. III 70 g, form. 82×104
z Fabryki Papieru w Kostrzyniu
Oddano do składania 6 lipca 1971 r.
Podpisano do druku w listopadzie
Druk ukończono w grudniu
Zakłady Graficzne w Toruniu
Nr zam. 1617 — U-108
Cena zł 22.—

Cena zł 22.—

Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazały się w roku 1971 i są jeszcze w sprzedaży następujące książki radzieckich pisarzy współczesnych:

Jurij Bondariew
KREWNI
zł 10

Aleksy Kirnosow
DWA KWIETNIE
zł 30

Sergiusz Krutilin
UKOŚNY DESZCZ
zł 12

Ahto Levi
NOTATNIK
SZAREGO WILKA
zł 16

D — 90

Cena zł 22,—